

Janus Katarzyna

Nigdy nie jest za późno

Dziękuję moim przyjaciółkom Eli i Weronice za pierwsze recenzje, Mani za inspirację i uczenie mnie wiary w siebie. Mojej mamie i moim dzieciom, którzy są moimi najlepszymi przyjaciółmi, za wsparcie i bezwarunkową miłość. Bardzo Wam dziękuję.

## SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

ROZDZIAŁ OSIEMNAŚTY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po raz pierwszy wyjechałam na urlop sama. Niesamowite! Uroczą nadmorską miejscowość, tuż przed sezonem, niewielu turystów, cisza i taka ścieląca się wokół nostalgia. Za czym? Za tym, co nieuchronnie przeminęło, czego nie da się już nadrobić? Za szczęściem? Gnałam przez całe życie nie wiedzieć dokąd. Ciągle chciałam czegoś innego. Czegoś, co będzie później, nie skupiając się na teraźniejszości. Nie ciesząc się chwilą. Wiecznie ze wszystkiego niezadowolona, albo zadowolona inaczej. Tyle czasu tylko dla mnie, tyle myśli, które donikąd się nie śpieszą. Tyle refleksji i tęsknoty. I całkowita, chociaż chwilowa, wolność.

Nie chcę smęcić. Pora to zmienić. Nikt nie wie, ile czasu jeszcze nam zostało. Może chwila, a może cała wieczność. *Carpe diem*. Jak powiedziała moja przyjaciółka, która czterdzieści lat skończyła już jakiś czas temu:

– W moim wieku mogę zrobić wszystko oprócz urodzenia dziecka. A najchętniej to robiłabym fikołki na łące. – I tak trzymać!

Chodzę po prawie pustej plaży, jakbym chciała się nachodzić na zapas. I myślę intensywnie. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że myśli mogą tak swobodnie przepływać przez umysł. Bez żadnych zakłóceń w rodzaju: Mamo, a on/ona mi to... Mamo, a ja chcę tego... Zuzka, a może byś to... Dźwięku telefonu, szczekania psa, sygnału zmywarki (którą ktoś musi wypakować)...

Nogi bołą mnie niemiłosiernie, spałam jednak kalorie, więc się nie poddaję. Przyjemniej może i byłoby przysiąść na jakimś kamieniu, ale przecież siedzenia mam w domu w nadmiarze. Jak jakiś natręt w mojej głowie kłębią się myśli o nim. Może niespodziewanie przyjedzie, zapuka do mojego pokoju i zapyta:

– Możemy porozmawiać?

Albo może zadzwoni i powie:

– Zuza, to w tobie się zakochałem. – A ja to przecież wiem. To znaczy tak myślę. Może tylko wydaje mi się, że istnieje taka możliwość, a tak właściwie to nie może być prawdą. Bo przecież jak? We mnie? No popatrz tylko na mnie. Lata świetności, jak to mówią, mam już za sobą.

Z drugiej strony jednak nie jestem przecież jeszcze stara. Schudłam, zaczęłam bardziej dbać o siebie i, za radą Maryni (tej przyjaciółki od nieurodzenia dziecka), zaczęłam się uśmiechać.

– Zuza, jak jesteś poważna, to wyglądasz na bardzo smutną, bo wokół ust robią ci się takie fałdki, jak u buldoga. – Też coś! Jeszcze nie! Ćwiczę więc przed lustrem „delikatny uśmiech wygładzający fałdki”, lekko sardoniczny. Lepiej!

Ciągle siedzi mi w głowie ten Adam, nie wiem po co. Pracujemy razem. Nie jest w moim typie, ale żaden z mężczyzn, z którymi byłam, w nim nie był. Jestem wolną kobietą, rozwiodłam się dawno temu. Zdradzał mnie. Typowe – z o czternaście lat młodszą. Byłam w rozpacz, wieszłam na nim psy wszystkich możliwych ras. Upijałam się czerwonym winem w samotne wieczory. Paliłam i nie jadłam, nie jadłam i paliłam. Schudłam do czterdziestu ośmiu kilogramów. Brr! Okropne to były czasy. Nie byłam jednak bez winy, widzę to dopiero teraz. Było, minęło. Rany zagojone (prawie – oprócz pozostałej niskiej samooceny).

A teraz ten Adam. Zawsze go dosyć lubiłam, ale żeby aż tak o nim myśleć? Małomówny, chudy (no, może szczupły), wysoki. Wysportowany. Nieco rudy (a zawsze miałam blondynów, których nie lubię). Jest tylko jeden szkopuł – żonaty. Od czasu studiów – czyli już trochę.

Pewnej nocy, ni stąd, ni zowąd, miałam sen. Śniło mi się, że jesteśmy w pracy, ja siedzę

na krześle przy biurku, a on schyla się po coś, co upadło przy mnie. I prostując się, całuje mnie delikatnie w usta. To było takie realne, zmysłowe, subtelne. Ale dlaczego taki sen? I Adam? Długo nie mogłam wrócić do rzeczywistości, moja podświadomość nie chciała go zaakceptować. Zawsze miałam zasadę, że żonaci mężczyźni są nietykalni. Byli dla mnie niewidoczni. Nie rozsiewali feromonów. A tu coś takiego!/? Zaczęłam mu się dyskretnie przyglądać. No fajny jest, ale żeby tak od razu? Nie, przestań!

Opowiedziałam o moim śnie Maryni. Jest kobietą, która zna swoją wartość. Dbą o siebie, umie odpoczywać, trzy razy w tygodniu ćwiczy w klubie (jakieś rumby, spinningi czy coś tam jeszcze). Szczupła, elegancka, asertywna. Ale jednocześnie to moja przyjaciółka od przedszkola. Zna mnie. I rozumie jak nikt inny.

– Zuzka, musi być coś na rzeczy, nie zaprzeczaj. Oczy ci się świecą, kiedy o tym opowiadasz. Pociąga cię, ale wypierasz go ze swojej podświadomości, bo jest żonaty. Inaczej rano zapomnielibyś o tym śnie.

Czas mijał. Rozmawialiśmy w pracy jak dotąd, ale też milczeliśmy nieskrępowanie, każdy zajęty swoją pracą. Pracujemy w jednym gabinecie, jesteśmy lekarzami i duża część naszej pracy to papierki. Nie wchodziliśmy w swoją przestrzeń. Często fantazjowaliśmy, że z powodu wypalenia zawodowego pewnego razu porzucimy naszą dotychczasową pracę i kupimy małe pensjonaty – ja w górach, on nad morzem, gdzie będziemy dopieszczać naszych gości. A jak nam zabraknie na chleb, dorobimy jako lekarze, ale tylko w razie głodu. Taki plan. Przestałam myśleć o nim w relacjach damsko-męskich. Sen został odłożony na wyższą półkę.

Minęło kilka miesięcy, pojechałam na kurs do Torunia. Piękne miasto ten Toruń, a szczególnie jego starówka. Spacerowałam po niej popołudniami wolnymi od zajęć, odpoczywałam. Byłam w nastroju bardzo refleksyjnym, zaczęłam się już wtedy zastanawiać, co dalej z moim życiem. Tylko praca, praca, dom, ogródek i znowu praca. Dzieci na studiach. Dwudziestodwuletnie bliźniaki – Antek i Jagna. Kiedy nie mogłam sobie przypomnieć, czy byłam w zeszłym roku na urlopie, pomyślałam sobie, że jest źle. A tu nagle dzwoni telefon:

– Cześć, Zuza, tu Adam. Ustalam listę dyżurów. Na które cię wpisać? – I normalnie na tym byłby koniec. Krótko i na temat. Taki jest Adam. Ale tym razem nie. – A jak tam w Toruniu? Co robisz popołudniami?

– Spaceruję właśnie po starówce. Jest fantastyczna. Zimno tylko trochę, jak na kwiecień przystało. Idę zaraz do jakiejś klimatycznej knajpki rozgrzać się. Wypiję lampkę grzanego wina, pomoże.

– A sama tak spacerujesz? Czy ktoś ci towarzyszy? – Co jest z tym Adamem? Tyle słów? I to takich nie dotyczących pracy?

– Sama. Dumam.

– Aha. – W jego głosie poczułam jakby ulgę. – No to przyjemności, cześć.

– Cześć. – I rozłączył się. A ja znowu lekko oszołomiona, jak po śnie. Dziwnie jakoś. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj.

Ponownie zaczął błąkać się po moich myślach. Na razie tak delikatnie, ot, niby od niechcenia. Ale zaczęło coś kiełkować. Po powrocie do pracy było niby tak samo, a jednak ciut inaczej. Nieco bardziej zwracałam uwagę na to, co powiedział, czy w ogóle coś mówił. Jak patrzył, czy patrzył, czy wcale nie patrzył. Przyciągały moją uwagę drobne bzdurki, gesty, spojrzenia. Nic wielkiego, delikatne zdziwienie. Było to jednak jak lekki zefirek przewiewający przez mój umysł. Przeleciał i poleciał.

Kiedys na przykład Rod Stewart śpiewał w radiu *I Have Got You Under My Skin* (szaleję za Rodem, mogę go słuchać przez cały dzień). Adam zrobił głośniejsze.

– To jest moja piosenka – powiedział. W innej sytuacji nie zwróciłabym na to

najmniejszej uwagi. Teraz jednak pomyślałam: Czy to do mnie? Czy to mnie ma pod skórą? Czy to ja jestem jego obsesją? I znowu zefirek przeleciał, ale myśl pozostała. Dlaczego, co się, u licha, dzieje?

Dalej egzystowaliśmy obok siebie przez następne tygodnie, niby zwyczajnie, a jednak inaczej. I nagle wybuchła bomba!

Sobotni rano. Około 9.00. Wyleguję się jeszcze w łóżku, coś tam czytam, dzwoni Adam. Wiedziałam, że wkrótce będzie w Toruniu w sprawie stażu specjalizacyjnego, i pytałam go wcześniej, czy nie podrzuciłby przy okazji moich dokumentów. Nie wiedziałam tylko, kiedy będzie jechał.

– Cześć, nie obudziłem cię?

– Nie, skądże – odpowiedziałam lekko zaskoczona.

– Jadę w niedzielę do Torunia, zabrałbym te twoje dokumenty.

– O, to super! Będę jechała do rodziców w południe, to ci je podrzucę – ucieszyłam się.

– Wiesz..., zaraz będę jechał do szpitala, bo tam zostawiłem moje papiery, to przyjadę do ciebie gdzieś tak za godzinę.

– Okay. To do zobaczenia.

O rany! Tak wcześnie, a ja jeszcze w pieleszach! Ale co tam, przecież nie umówiłam się z nim na randkę. Przecież to tylko mój kolega z pracy. A tak w ogóle to nie przesadzajmy. Założyłam więc spodnie dresowe, rozciągniętą bluzę, nie zrobiłam makijażu, a włosy miałam niezbyt świeże, bo wieczorem miałam zamiar zrobić sobie domowe SPA i porządek z całym ciałem – także z włosami. Zamotałam je tylko w jakiś kok na czubku głowy, wyszedł nieco rozczochrany. I na to wszystko wpada ON. Był już u mnie kilka razy, wpadał po coś, szybko rozglądał się po ogródku (bo jest zapalonym ogrodnikiem), odmawiał kurtuazyjnie zaproponowanej przeze mnie kawy, załatwiał sprawę i już go nie było. Szczerze mówiąc, myślałam, że tak będzie i tym razem. Dzwonek do drzwi:

– Cześć, Zuza.

– Cześć, wejdz. – Wszedł, rozejrzał się po pokoju. – Napijesz się kawy? – Myślałam, że odmówi, przecież o tej porze każdy normalny człowiek jest już po kawie.

– Chętnie – O! A to ci niespodzianka! Usiadł na kanapie, ja na fotelu. Pijemy kawkę, dziwnie się czuję na innym terenie niż praca, jestem nieco skrępowana. Zazwyczaj nie mam problemów z kontaktami międzyludzkimi, ale teraz dziwnie jakoś. Chyba chciałabym, żeby wziął już te dokumenty i wyszedł.

– Sama jesteś? – spytał nagle.

– Nie, dzieci przyjechały, ale jeszcze śpią w swoich pokojach – odpowiedziałam.

– Aha. – Czułam narastające jego i moje skrępowanie. Zaczął się tak zachowywać, jakby chciał o czymś pogadać, ale nie wiedział, jak zacząć. – Bo tak szczerze mówiąc, to nie wiem, co dalej będzie z tą moją specjalizacją (oboje robimy ją z balneologii, jesteśmy reumatologami). A w ogóle to wszystko mi się pochrzało.

– Stało się coś? – Byłam trochę zaintrygowana, raczej jest małomówny.

– Zakochałem się – powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

Miałam wrażenie, że ktoś wyssał powietrze z pokoju. Czułam, że cała krew odpływa mi z twarzy, także niestety z mózgu.

– W kim? – zdołałam jeszcze wykrztusić, bo chyba w podświadomości pomyślałam sobie, że może to we mnie.

– W kobiecie! – I znowu ten nieśmiały uśmiech. W tym momencie замуrowało mnie zupełnie. Po raz pierwszy w życiu poczułam coś takiego, i nie wiem właściwie dlaczego. Czy to przez totalne zaskoczenie? Czy może przez to, że w pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś mógł

się jeszcze we mnie zakochać (i to ktoś młodszy!), a w kolejnej potłukłam sobie boleśnie tyłek, spadając na ziemię? Przecież nie we mnie, tylko w jakiejś kobiecie! Nie powie przecież: „W Ali, Basi czy innej Joasi”.

Zaniemówiłam. Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. On chyba coś mówił, ale to kompletnie do mnie nie docierało. Bąkałam coś, że to bardzo komplikuje życie, że to trudna sytuacja – ale było to zupełnie bez ładu i składu. Więcej chyba milczałam ze wzrokiem wbitym w podłogę. Musiałam być trupio blada, czułam, że wręcz zdrętwiały mi usta.

Nagle znaleźliśmy się przy drzwiach. On wychodzi, a ja nadal nie wiem, jak się nazywam. Nie mogę dojść do siebie.

– To cześć. – Uśmiechnął się nieco zmieszany.

– Cześć.

I tyle. Kilka minut, a taki szok! Ale właściwie dlaczego? Facet przyszedł, chciał może z kimś pogadać, bo ma problem. Ale co, starszej koleżance chciał się wyzalić? Mamuśka jestem czy co? No, ale może jednak to o mnie chodzi? Zawsze przecież byłam uważana za atrakcyjną kobietę. Fakt, że trochę swego czasu przytyłam, ale już dużo schudłam, BMI mam nieco poniżej górnej granicy normy. I mam czterdzieści pięć lat – to przecież nie tak znowu dużo. No nie, przecież to nie może o mnie chodzić. Ale właściwie dlaczego? Może nie powiedział, że to we mnie się zakochał, bo się przestraszył mojej reakcji? A jeżeli nie we mnie, to w kim? Może w którejś dziewczynie z pracy, a może jakiejś innej, z daleka? No, a może jednak we mnie? Nie, nie, to niemożliwe. Na pewno jest dużo młodsza, bo facet koło czterdziestki przeżywa kryzys i bierze sobie młodą siksę. No, ale przecież ja też mam swoją wartość! Nie, no jaką wartość, do cholery?

I tak biłam się przez kilka godzin z podobnymi myślami. Huśtawka – raz na górze, raz tyłkiem po ziemi. A za każdym razem, kiedy przechodziłam przed lustrem, rozumiałam, że to nie mogę być ja. Ale po chwili znowu Chochlik mi podpowiadał: A może jednak? O nie! Dam ogłoszenie: „Oddam Chochlika i jeszcze dopłacę. Rasowy, szczepiony i bez pasożytów”. Niech go ktoś zabierze, bo zwariuję!

Dzieci wstały koło południa i nie mogły się z matką dogadać. Nie rozumiałam, czego ode mnie chcą. A chcą ciągle czegoś, mimo że są już dorosłe.

– Mamo, co ty taka „potajona” jesteś? Maraton dyżurowy miałaś czy co? – w końcu zapytała zdziwiona Jagna.

Kiedy przypaliłam obiad, skapitulowałam. Dzwonię do Mani!

– Zuza, dawno ci mówiłam, że coś w tym jest – odparła po wysłuchaniu mojej relacji. – Chociaż trudno wyczuć, o co mu chodziło. Na dwoje babka wróżyła. Może chciał ci coś wyznać, ale się wystraszył? A może potrzebował rady starszej koleżanki? Nie wiem.

– No to mi pomogłaś – powiedziałam z przekąsem. – Co ja mam teraz z tym zrobić?

A poza tym głupio mi jak cholera. Co on sobie o mnie pomyśli? Jeżeli to we mnie się zakochał, to pomyśli, że odprawiłam go z kwitkiem. A jeżeli nie we mnie, to pomyśli: „O rety, ona pomyślała, że to o nią chodzi! Ale kanał!” – I tak źle, i tak niedobrze. A swoją drogą to ci mężczyźni są dziwni. Nigdy ich zbytnio nie rozumiałam... Bo gdybym to ja była nim i zakochała się we mnie, i chciałabym mi o tym powiedzieć, to powiedziałabym to wprost: „Zuza, zakochałem się w tobie”. I po sprawie. Gdybym jednak zakochała się w innej kobiecie, powiedziałabym tak: „Zuza, potrzebuję twojej rady, zakochałem się w pewnej dziewczynie, którą (na przykład) poznałem w Warszawie na kursie, i nie wiem, jak mam postąpić. Potrzebuję twojej rady”. O! I po sprawie, wszystko byłoby jasne, bez niedomówień.

– No, bo widzisz, on ma swój tok myślenia i dla niego wszystko jest oczywiste – powiedziała Mańka stanowczo. – Nie przychodzi mu do głowy, że ty możesz inaczej go

zrozumieć. Nie ma pojęcia, że ty wszystko teraz wywracasz podszewką na wierzch i od kilku godzin nie wiesz, co ze sobą zrobić. On myśli, że ty dokładnie wiesz, co miał na myśli. Oni tacy są. A my, kobiety, wszystko rozbieramy na czynniki pierwsze. Nie zmienisz tego. Zajmij się jakąś robotą, tylko nie gotowaniem. Czymś, czego nie spieprzysz. O, wypierz coś! Najlepiej tak, jak prały nasze babcie, na tarce ręcznej i w bali. Zmachasz się, przestaniesz myśleć o głupotach. A potem poczekaj do jutra, ochłoń. Jutro będzie to wszystko wyglądało inaczej. Pogadamy, jak ochłoniesz.

– A skąd ja ci tarkę wezmę, zwariowałaś? – Wypuściłam głośno powietrze. – To pa! Idę do pralni, oddać się czynnościom, do których się w tej chwili nadaję – dodałam zrezygnowana.

Minęły trzy dni, czas jego powrotu z Torunia. A ja przez ten okres nabawiłam się nerwicy natręctw – myśli, które wracały jak mantra:

– Ja czy nie ja jestem tą kobietą? – Chochlika niestety nikt nie kupił. Czulałam się bardzo niezręcznie z powodu mojego zachowania podczas naszej rozmowy, obojętnie, „co poeta miał na myśli”. Wykombinowałam więc, że wyślę mu SMS, dzięki któremu może uda mi się poprawić mój wizerunek. Napisałam: „Cześć, Adam, przepraszam za moje zachowanie podczas naszej sobotniej rozmowy. Mam wrażenie, że chciałeś z kimś pogadać, a mi odebrało mowę. Mowa wróciła. Już jestem, jakby co”.

I wysłałam! A jak wysłałam, to się przeraziłam. O matko kochana, po co ja to napisałam? Przecież to bez sensu, pogrzyżłam się jeszcze bardziej! I znowu ten paskudny Chochlik zacierał łapska, mrużąc złośliwie te skośne oczyska. Oj, ty, oj, ty, głupolu!

Oczekiwałam jakiejś odpowiedzi, no bo przecież tak nakazuje przyzwoitość. Mijały najpierw minuty, potem godziny. Co chwilę sprawdzałam komórkę – NIC! Cały Adam! Następnego ranka poczułam się całkowicie zlekceważona i zupełnie nie miałam pojęcia, co zrobić z tym całym ambarasem.

Bałam się naszego pierwszego wspólnego dnia w pracy, nie wiedziałam zupełnie, jak się zachować. Serce mało mi z piersi nie wyfrunęło, obawiałam się, że za chwilę będę wymagała fachowej pomocy z powodu częstoskurczu i nadciśnienia, ale pokonałam jakoś ten stan i wkroczyłam do dyżurki, udając, że wszystko jest jak dawniej. Adam już siedział przy biurku i coś pisał na komputerze.

– Cześć, Adam – powiedziałam jakby nigdy nic.

– Cześć – odpowiedział, niby też normalnie.

Zdjęłam płaszcz, zmieniłam buty, nałożyłam fartuch. Kręciłam się po gabinecie i mieszałam powietrze. ON się nie odzywał, pilnie coś pisał, co nie było zachowaniem odbiegającym od norm Adama. Często przedtem bywało, że albo gadaliśmy jak najlepsi kumple, albo milczeliśmy, też jak kumple. I to milczenie nie było krępujące, było normalne. Każdy wtedy robił swoje. Tym razem jednak czulałam wiszące w powietrzu napięcie. Nie mogłam tego przedłużyć.

– Adam, przepraszam cię, jeżeli poczułeś się urażony po naszej sobotniej rozmowie, ale po raz pierwszy w życiu mnie zamurowało – powiedziałam, bacznie obserwując jego reakcję i udając w razie czego, że absolutnie nie przyszło mi na myśl, że to może dotyczyć mnie. – Nie wiem właściwie dlaczego. Może potrzebowałeś jakiejś rady, rozmowy z kimś, a ja okazałam się nieprzydatna. Zaskoczyłeś mnie tym wyznaniem, bo w zasadzie jesteś dość skryty i może dlatego to był taki szok.

Adam nie wydawał się jakoś szczególnie zmieszany lub poruszony tą rozmową.

– Nie wiedziałem, jak mam postąpić, ale teraz już wiem – odpowiedział bez większych emocji. – Większość z moich znajomych jest już po rozwodzie, więc nie jest to nic szczególnego.

O kurczę, to aż rozwód? Czyli sprawa jest poważna. Więc to nie mogę być ja (Chochlik



złośliwie chichocze, wytykając mnie krzywym paluchem). No to kto?

– Więc trudne chwile przed tobą. Ale może trzeba walczyć o swoje szczęście, sama nie wiem. – Nie wierzę, że to powiedziałam! Przecież zawsze wyznawałam zasadę, że rodzina to świętość, a tu teraz takie rzeczy? Może sama jestem zdesperowana i chciałabym, żeby ktokolwiek zrobił dla mnie coś takiego? Niech rzuci dla mnie rodzinę (czy chociaż tylko żonę), niech ja się okażę tą najważniejszą. Niech mnie ktoś przytuli!

– No to powodzenia – powiedziałam z lekkim, jak mi się wydawało, serdecznym uśmiechem.

– Dzięki – odpowiedział zupełnie zwyczajnie i na tym się skończyło.

A ja znowu zaczęłam dopasowywać kandydatki na jego ukochane. Nie mogłam zupełnie skupić się na pracy. Chciało mi się wściekać ze złości, że to nie ja, a z drugiej strony czułam z tego samego powodu ulgę. Żal jednak został. W jednej chwili czułam się niedowartościowana, stara i nieatrakcyjna, a za chwilę myślałam sobie: „Zaraz, zaraz, to jeszcze nie jest do końca powiedziane, że to na sto procent nie ja”. I tak w kółko.

Na szczęście dzień pracy jakoś dobiegł końca. Prowadziliśmy banalne rozmowy, które nie różniły się specjalnie od tych wcześniejszych. Za dwa dni miałam zaplanowany urlop – tylko morze i ja. Chciałam ochłonać, pomyśleć. Jedno jest pewne – cała ta sytuacja obudziła we mnie uśpioną od kilku lat kobietę. Wiem, że nie chcę być tylko matką, córką, lekarką, ogrodniczką, sprzątaczką. **CHCĘ BYĆ KOBIETĄ!** Prawdziwą, taką do kochania, przytulania, miętoszenia, taką do szeptania czułych słówek, do uwielbiania, do noszenia na rękach. Przecież to niemożliwe, żebym miała to wszystko już za sobą. Ja chcę się zakochać! Chcę być dla kogoś całym światem! Chcę miłości! I będę ją miała! A teraz chcę nad morze!

## ROZDZIAŁ DRUGI

Odpoczywam. Morze przed sezonem jest cudowne. Bez tych tłumów, hałasu i całego blichtru. Wreszcie robię tylko to, na co mam ochotę. Czasem zrywam się z łóżka o 6.30 i biegam po prawie pustej plaży. Zależnie od nastroju słucham szumu fal lub muzyki z MP3 – Norah Jones, Michael Bublé albo mój ukochany Rod Stewart. Rozsadza mnie uczucie wolności i drzemiącej jeszcze we mnie młodości. Mam w sobie tyle energii już po kilku dniach od przyjazdu. Po zmęczeniu i stresach nie zostało śladu. Czuję się szczęśliwa. Zresetowałam się. Nigdy nie myślałam, że spędzając samotnie urlop, będę taka zadowolona. Bałam się trochę, że będę miała zbyt dużo wolnego czasu i nie będę wiedziała, co z nim zrobić. Że zostanę sama ze swoimi myślami i że zwyczajnie się sobą znudzę. Pogoda, o dziwo, dopisuje. Ciepło, ale bez upałów, tak idealnie. Deszczu nie było od mojego przyjazdu. Plaża cudowna, to wylegiwanie się na ciepłym piasku, bez parzenia sobie ciała. Czysta esencja przyjemności. Ogarnia mnie błogość, rozanielenie. Czytam zaległe książki, obserwuję spacerujących plażowiczów i bawiące się dzieci, wieczorami zachodzące słońce. I nic nie muszę.

Byłoby idealnie, gdyby nie zaprzatające mój umysł myśli o Adamie. Nie wiem zupełnie na jakiej podstawie, ale podświadomie stale go tu wyczekuję. I nie pomagają żadne moje wewnętrzne tłumaczenia – że to po prostu bzdura i jakieś mrzonki. Stale go wypatruję i rozpamiętuję minione sytuacje. Tak już mam. Jedną jest z tego korzyść. Obudziła się we mnie chęć do korzystania z życia, z ostatnich może lat względnej młodości. Poczulałam się znów atrakcyjną kobietą, niezależnie od uczuć Adama. A stan naszej duszy uzewnętrznia się w naszym ciele. Kiedy czujesz się ze sobą dobrze, znasz swoją wartość, twoje ciało o tym śpiewa. Podnosisz głowę wysoko, patrzysz ludziom w oczy i masz ten tajemniczy uśmiech Mony Lisy (stale trenowany przeze mnie przed lustrem za radą Mani). To przyciąga wzrok innych osób. Mężczyzn, ale także kobiet. Bo my, kobiety, pomijając akceptację mężczyzn, uwielbiamy także podziw czy choćby uznanie innych kobiet. Czujemy się wtedy wyjątkowe.

Czuję, jak moje opalone ciało nabiera sprężystości, prawie zupełnie zniknęła fałdka na brzuchu, błyszczą mi oczy – to wszystko podnosi moją samoocenę. Zwracam uwagę na innych ludzi, ich wygląd, kto sprawia wrażenie szczęśliwego, a kto wygląda na samotnika. Lubię ich obserwować, podglądać zachowania, czasem słuchać, co do siebie mówią.

O, na przykład ten facet przy tablicy z turystycznymi ogłoszeniami. Bardzo atrakcyjny na pierwszy rzut oka. Wyglądem przypomina mi Josha Duhamela z filmu *Bezpieczna przystań*, jest może tylko nieco starszy. Ubrany w wytarte, jasnoniebieskie dżinsy z dziurami na kolanach, czarny T-shirt i białe trampki. Uważnie przegląda informacje na tablicy. Kiedy mijam go, spogląda na mnie ukradkiem. No, jednak nie jestem taka zupełnie niewarta uwagi. Przed rokiem, kiedy osiągnęłam masę krytyczną (65 kg przy 160 cm wzrostu), czułam się, jakbym była przeźroczysta. Nikt mnie nie widział, nikt nie skupiał na mnie wzroku. Żadne diety nie pomagały, zresztą nie miałam do nich specjalnej motywacji. Nie miałam potrzeby czucia się atrakcyjną. Odczuwałam permanentne zmęczenie. Rano wstawałam, brałam prysznic, ubierałam się, szybki makijaż i do pracy. A w pracy – wiadomo – ciągle rozmowy z ludźmi (pracuję w szpitalu i poradni), bezustanny ruch. Praca na dwóch etatach, do tego jeszcze po sześć, siedem dwudziestoczworgodzinnych dyżurów szpitalnych miesięcznie (także w niedziele i święta), wyjazdy na kursy specjalizacyjne. W drodze z pracy zakupy, jakieś prace domowo-ogródkowe (na szczęście mam panią do sprzątania raz w tygodniu), kąpiel i spać. Jak chomik w kołowrotku. Zero czasu na przyjemności (może bardziej zero siły), nie mówiąc już o znajomych. Po całym dniu rozmawiania z pacjentami i innymi osobnikami odczuwałam totalne znużenie rozmową.

Milczenie było dla mnie marzeniem. Dlatego znajomi powoli zaczęli się wykruszać. Zresztą wiele osób pracuje podobnie. Życie towarzyskie powoli zamiera.

Potrafiłam niewiele jeść przez cały dzień, ale za to po powrocie z pracy nadrabiałam zaległości. Jadłam, co mi wpadło w ręce, i tak do północy. Błąd! W nocy sadełko spokojnie się zawiązywało. I w końcu przyszedł taki moment, że sięgnęłam dna. Ubierając się rano pewnego dnia, spojrzałam w lustro i poczułam do siebie odrazę. Coś pstryknęło w mojej głowie. Pomyślałam, że nie mogę tak dalej egzystować. Dosyć tego! Zmieniłam dietę, jadłam rano i do godziny osiemnastej. Wieczorem w razie głodu kęs czegoś niskokalorycznego. Pomogło. Nie sprawiło mi to trudności, bo moja głowa się przestroiliła. Za każdym razem, kiedy miałam ochotę coś podjeść, szczególnie słodkiego, przed oczami pojawiało się moje odbicie w lustrze. To wystarczyło. Moja obecna waga to pięćdziesiąt osiem kilogramów – jest dobrze.

Minęłam więc tego Duhamela sprzed tablicy ogłoszeń i pomyślałam: „Pewnie szuka jakiejś atrakcyjnej wycieczki dla rodziny. A jak wygląda jego żona, ile ma dzieci?”. I znowu pojawiły się natrętne myśli o Adamie. Zupełnie bez sensu.

Wieczorem postanowiłam zaszaleć. Poszłam na kolację do tawerny. Pyszne, świeże ryby, do tego jakieś dobre wino. Będzie super.

– Czego piękna pani sobie życzy? – zagadnął gruby kelner w kraciastym fartuchu i z przepaską piracką przesłaniającą lewe oko. Mrugnął do mnie tym odsłoniętym, wyglądało to upiornie.

– Łosoś z grilla, tylko mały kawałek, z surówką, bez frytek i do tego lampkę białego wytrawnego wina.

Rozsiadłam się wygodnie przy stoliku na zewnątrz, obserwowałam spacerujących turystów i upajałam się lenistwem. Oczywiście jedzenie było super, na jednej lampce wina się nie skończyło. Po alkoholu zazwyczaj staję się zbyt odważna i zdarza mi się robić niezbyt mądre rzeczy. Postanowiłam więc wysłać kolejnego SMS-A do Adama. Tym razem był to MMS z widoczką rybackiego kutra porzuconego na plaży z dopiskiem: „Pozdrowienia z nad Bałtyku”.

„Dzięki” – po chwili przyszła odpowiedź. I tyle. Chochlik się obudził i zaśmiewał się szyderczo, trzymając się za brzuch. A niech tam, nie będę się tym przejmować. Wino szumiało mi w głowie i było mi całkiem przyjemnie. Za to po powrocie do hotelu zasnęłam kamiennym snem. Nie dane mi jednak było spać spokojnie.

Miałam sen, dziwny sen. Śniło mi się, że przedzieram się przez mokradła, jak z horroru toczącego się gdzieś na bagnach Luizjany. Z drzew zakorzenionych w wodzie zwisają długie, białe epifity, jak skudłane siwe włosy starej wiedźmy. A wszystko to otacza ścieląca się u podnóża mgła i niesamowita, złowieszcza cisza. Otacza mnie groza. Brnę przez te bagna z przerażeniem, nie mogąc znaleźć celu mojej ucieczki. Czuję się przez coś osaczana, jakby to coś miało mnie za chwilę dopaść. Narasta we mnie lęk, wręcz panika. Nie mogę złapać tchu. W końcu w oddali spostrzegam drewnianą chatę na palach, wpadam do niej z uczuciem ulgi, rygluję drzwi, opadam na pryczę zasłaną perfekcyjnie starym, zniszczonym, szarym kocem. Wewnątrz wszystko jest wykonane z surowego drewna, urządzenia spartańskie – oprócz pryczy zbity z desek mały stół i dwa krzywe taborety. Nic poza tym. Zdyszana, wbijam wzrok w podłogę, usiłując uspokoić oddech. Zauważam grubą warstwę kurzu pokrywającego deski i nagle – na tym kurzu – stopa po stopie odciskają się ślady dużych męskich butów, zmierzające wolno wprost na mnie. Same ślady, bez właściciela! Panika łapie mnie za gardło, czuję się przykuta do pryczy, duszę się! Zaczynam krzyczeć!

Budzę się z tym krzykiem na ustach, który krzykiem nie jest, tylko jakimś bełkotem. Patrzę na zegarek – 6.00. Serce bije mi jak szalone, na szczęście na dworze jest już jasno.

O dalszym spaniu nie ma mowy. Ubieram się w dresy i biegnę na plażę, wybiegać ten strach. Psycholog miałby używanie. Chcesz o tym porozmawiać?

O tej porze dnia miejscowość jeszcze śpi. Nieliczni zapaleńcy albo ci po koszmarach sennych biegają lub spacerują brzegiem morza. Jest ich niewiele. Słońce przedziera się przez delikatną mgiełkę na niebie. O dziwo wiatr zbyt nie dokucza. Stada mew przekrzykują się wzajemnie, prowadząc swoje poranne sejmiki. Nadaję mojemu biegowi żywe tempo, chcę się zmęczyć i wytrząsnąć z siebie resztki tego koszmaru. Kiedy w końcu brakuje mi tchu, siadam na piasku, wyrównuję oddech i spoglądam w morze. W moją stronę zbliża się postawny biegacz ze słuchawkami w uszach, przypatruje mi się. O, w mordę! Duhamel! Zwalnia nieco, kiwa mi głową. Uśmiecham się do niego niepewnie, przesłaniając ręką oczy. Mężczyzna biegnie dalej, nawet nieco przyspieszając tempo. Jakby ode mnie uciekał. Śmiać się czy płakać?

Kolejne dni mijają beztrąsko, nocy nie zakłócają koszmary. Czuję się doskonale, nawet pacjenci nie wydzwanają, jakby wiedzieli, że nie wolno. Patrząc w lustro, stwierdzam, że zniknęły mi kurze łapki w kącikach oczu, a fałdka buldoga zrobiła się znacznie mniejsza. To cud!

Postanawiam wypożyczyć rower i pojechać na długą, może całodniową, wycieczkę wzdłuż morskiego wybrzeża. Trzeba przyznać, że miejscowe władze wreszcie pomyślały o turystach i stworzyły sieć tras rowerowych, łączących sąsiednie miejscowości, ale sięgających także w głąb lądu. Coś wspaniałego! Pędzę więc na tym wypożyczonym sprzęcie, wiatr rozwiewa mi włosy, jest ciepło, czuję wolność. Endorfiny się uwalniają. Wprawdzie nieco odczuwam moje siedzenie, ale co tam! Dam radę! Ruch jest niewielki, przede mną jakiś mężczyzna z labradorem spaceruje wolno brzegiem ścieżki, wyminę go spokojnie.

Nagle pies się zrywa z jazgotem, przebiega mi tuż przed kołami i kieruje się w krzaki ku sobie tylko wiadomemu celowi, a ja nagle czuję uderzenie z tyłu i ląduję za psem w rowie. Na mnie upada jakiś ogromny, kanciasty ciężar. Czuję potworny ból w lewym kolanie, nie mogę nim ruszyć, bo utknęło pod kierownicą roweru, który runął na mnie. Na dodatek przygniata mnie ciało jakiegoś wielkiego faceta. Pies szczeka, usiłując się wyrwać z tej plątaniny rąk, nóg, kół i kierownic, właściciel psa krzyczy na niego. I jeszcze facet leżący na mnie sapie ze złością, nie mogąc się podnieść.

– Co pani wyrabia? – słyszę jego zirytowany głos. – Chce pani ludzi pozabijać?

W końcu udaje mu się ze mnie wygramolić, stoi obok, otrzepuje ubranie, nie próbując nawet pomóc mi wstać. Na szczęście właściciel psa, starszy pan, staje na wysokości zadania, przeprasza i pomaga mi się podnieść.

– Bardzo mi przykro, coś musiało Rexa spłoszyć. Zazwyczaj jest bardzo spokojnym, przyjaznym psem. Nie wiem, co go tak zdenerwowało, może jakiś kot? – Jest tak skruszony i przerażony, że serce mi mięknie. Uśmiecham się do niego.

– Nic się nie stało, zew natury – mówię, a po chwili gniewnie spoglądam na nieznajomego, który przed chwilą na mnie leżał, chcąc okazać mu pogardę z powodu tak paskudnego zachowania i... nieruchomieję. Duhamel! Znowu!

On też przygląda mi się zaskoczony, mam wrażenie, że mnie rozpoznaje. A może znowu tylko mi się wydaje?

– Przepraszam za moje zachowanie. Pomogę pani. – Podaje mi rękę, którą oczywiście ignoruję. Wyczołguję się z rowu, pies się uspokoił i siedzi grzecznie u nogi swego pana. Duhamel stoi, jakby kij połknął, wpatrując się w moje nogi. Starszy pan ma łzy w oczach. A ja nie mogę stanąć na lewą nogę, czuję coś ciepłego spływającego mi po łydce. Z dziury w spodniach widać krwawiącą ranę. Szybkim ruchem rozdieram nogawkę, oceniając rozmiar zniszczeń.

– No tak, do szycia – stwierdzam, zła na cały świat.

– Co, spodnie? – pyta zdziwiony starszy pan.  
– Nie, noga – odpowiadam. Starszy pan blednie.  
– Przepraszam, to moja wina, to mój rower tak panią urządził – wtrąca się Duhamel. – Gdybym tak nie pędził, zdążyłbym wyhamować. Bardzo mi przykro, naprawdę. Może zadzwonię po pogotowie?

Na jego twarzy maluje się autentyczna skrucha. Proszę, proszę... nagle nabrał dobrych manier? Starszy pan natomiast patrzy na mnie z przerażeniem.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiadam nieco udobruchana. – Jestem lekarzem, wiem, co z tym zrobić. Ranę trzeba zszyć i tyle. Pojadę na izbę przyjęć do szpitala.

– To chociaż proszę mi pozwolić zorganizować transport – prosi łagodnym głosem. – Mój znajomy ma duży samochód terenowy, zabierze nas razem z rowerami.

Chyba autentycznie czuje skruchę. Łapie mnie delikatnie za ramię ręką, którą strząsam z niechęcią jak jakiegoś paskudnego robala. W pierwszej chwili chcę się unieść honorem i odmówić, ale krew cieknie coraz mocniej, papierowa chusteczka, którą wcześniej przytknęłam do kolana, jest nią całkowicie przesiąknięta.

– Dobrze, niech będzie. – Kapituluję.

– Nie przedstawiłem się pani, nazywam się Maksymilian Weber. – Przechyliła głowę w przepaszającym geście. – Znajomi mówią na mnie Maks.

– Zuzanna Maj – odpowiadam.

– Dzwonię po znajomego. Czy uda się pani przez chwilę zapanować nad tym krwawieniem? – pyta z troską w głosie.

– Postaram się, proszę dzwonić.

\*

Po kilkunastu minutach podjechał duży, czarny nissan navara, z którego wysiadł mężczyzna w wieku około czterdziestu lat w stalowym garniturze, pod krawatem.

– Dzień dobry, panie Weber – przywitał się nieco zbyt oficjalnie jak na znajomego.

– Witaj. Mieliliśmy mały wypadek, załadujemy rowery na pakę i zawieziemy panią na pogotowie – powiedział Duhamel, znaczy Maks, tonem nieuznającym sprzeciwu. – Potem trzeba oddać pani rower do wypożyczalni. Adres jest na ramie. Później wrócisz po nas.

Pomogli mi obaj wsiąść do kabiny. Starszy pan pożegnał nas, przepaszając i życząc powodzenia. Pies zamiatał ogonem, jakby chciał z nami jechać. Zbój jeden, sprawca mojego nieszczęścia.

Na pogotowiu, kiedy przyznałam się, że jestem lekarzem, sprawę załatwiono szybko. Sympatyczny chirurg w średnim wieku, wyglądający na zmęczonego (jak ja jeszcze kilka dni temu), opatrzył ranę jak należy, zakładając pięć szwów, i zostałam wypisana do domu.

– Odwiozę panią do hotelu. Gdzie się pani zatrzymała?

– W Heliosie na Sienkiewicza.

– Dobrze, jedziemy. – Maks wziął mnie pod ramię, pomagając mi wstać. Nagle poczułam, że otoczenie zaczyna wirować, w uszach słyszałam dziwny pisk, przed oczami latały czarne mroczki. O nie, tylko nie mdlej!

– Pani Zuzanno, pani Zuzanno! Niech się pani ocknie! – Znowu ten zirytowany ton. Dochodził do mnie jakby zza szyby. Otworzyłam oczy. Leżałam na ławce w poczekalni, nade mną pochylał się chirurg, który mnie wcześniej szył, teraz badał mi puls. Z drugiej strony zdenerwowany Maks tarmosił mnie za rękę.

– Już dobrze, zakręciło mi się tylko trochę w głowie. – Usiłowałam się podnieść.

– Trochę za dużo wrażeń jak na jeden dzień – autorytatywnie stwierdził zmęczony

chirurg, zwracając się do Maksa. – Nie powinna pani zostawać dzisiaj sama.

– Zaopiekuję się nią – odpowiedział ten z rezygnacją. Wyglądał, jakby nadepnął na żabę.

– Nie ma takiej potrzeby, dam sobie radę. – Zaczynało mnie już to wszystko irytować.

Powiem więcej – wkurzać!

Maks utkwił we mnie wzrok. Gdyby oczy mogły strzelać, to leżałabym martwa u jego stóp. Wyjął z kieszeni telefon, wydał jakieś polecenie, którego nie usłyszałam, sięgnął po stojący obok wózek i bez większego wysiłku posadził mnie na niego. Przed szpitalem stał zaparkowany nissan. Wraz ze „Stalowym Garniturem” przenieśli mnie do samochodu.

Po chwili zorientowałam się, że nie jedziemy w dobrym kierunku.

– Dokąd jedziemy? To nie jest droga do Heliosa! – W moim głosie można było wyczuć niepokój.

– Nie. Zabieram panią do mnie.

– Ale ja pana wcale nie znam. Niech mnie pan natychmiast zawiezie do Heliosa!

– Czy jest tam ktoś, kto się panią zaopiekuje? – warknął.

– Poradzę sobie! – warknęłam ja. – Zwalniam pana z tego niemiłego dla pana obowiązku.

Nie życzę sobie pana łaskawej litości.

– Jak pani chce, kapituluję.

W samochodzie zapadło milczenie. Do końca jazdy nie zamieniliśmy ze sobą słowa. „Stalowy Garnitur” od początku nie zabierał głosu, spoglądał jedynie na mnie od czasu do czasu z lekkim zdziwieniem i chyba rozbawieniem. Teraz także milczał.

Podjechaliśmy pod hotel. Maks wysiadł pierwszy, podał mi rękę i pomógł wysiąść. Odprowadził mnie pod wejście, ale nadal nie puszczał mojej ręki, przyglądał mi się z lekkim niepokojem. O nie, tylko nie to! Znowu to dzwonienie w uszach, czuję drętwienie warg. Nie mdlej, nie, nie teraz! Musiał mnie przytrzymać, inaczej bym upadła.

– Dobrze, skoro nie zgadza się pani zatrzymać u mnie, ja zostanę z panią do jutra. – Jego ton nie uznawał sprzeciwu. – Nie ma pani wyjścia. Jutro, jeżeli poczuje się pani lepiej, pożegnamy się najszybciej, jak to będzie możliwe. I na tym kończymy te targi.

Poddałam się. Czułam, że opuszczają mnie siły. Zdarzenia całego dnia jednak nie pozostały bez wpływu na mój organizm. Zbyt dużo wrażeń. Nie czułam się zmęczona, czułam się wyczerpana! A niech tam, chyba w hotelu jestem bezpieczna. Chyba mnie nie ograbi, nie zgwałci, nie zamorduje? Noc jakoś przetrwam, a rano się pożegnamy. I zapomnę o Panu Duhamelu vel Maksie Weberze.

– Niech będzie, ale śpi pan na kanapie.

– O niczym innym nie marzę. – Wydawał się już znudzony tą słowną żonglerką. – A poza tym jestem Maks. Będzie prościej.

– Zuza.

Uniósł brwi w lekkim zdziwieniu.

– Tak mówią na mnie znajomi. – Zaczynała mnie bawić ta dziwna sytuacja.

Weszliśmy do pokoju. Na szczęście miałam wynajęty jednoosobowy apartament, składający się z saloniku z kanapą i małej sypialni z jednoosobowym łóżkiem. Cena była bardzo przystępna, ponieważ było przed sezonem. Bogu teraz za to dziękowałam.

Maks rozejrzał się po pokoju, miałam wrażenie, że z ulgą zauważył osobną sypialnię. Pomógł mi usiąść na kanapie. Położył mnie na niej, podłożył poduszkę pod głowę. Zaczęłam lekko drzeć, poczułam zimno i zmęczenie. Przykrył mnie kocem. Zrobiło mi się dziwnie przyjemnie, dawno już nikt się o mnie nie troszczył. Zawsze to ja o wszystko i o wszystkich dbałam.

– Pójdę zorganizować coś do jedzenia. Na co masz ochotę?

– Obojętnie, właściwie to nie jestem głodna.

– Ale ja jestem. – I już go nie było.

Dziwne to wszystko. Dziwny cały dzień. I wcale dzisiaj nie myślałam o Adamie. To dobrze, bo przecież te myśli były bezsensowne, a nawracały jak uprzykrzona mucha. A swoją drogą to przystojny ten Maks. Ciekawe, czy jest żonaty. Obrączki na palcu nie nosi, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. I gdyby nie był taki arogancki i irytujący. Traci przez to cały urok. A los lubi płatać figle. Trzy razy się spotkaliśmy. Do trzech razy sztuka, jak to mówią. Czyli dzisiaj to ostatni raz?

Chyba zasnęłam. Z odrętwienia wyrwał mnie dźwięk otwieranych drzwi. Wkroczył Maks, niosąc dwa pudełka z pizzą i duży termos. Przez ramię miał przewieszoną sportową torbę, taką, jakiej używa się do noszenia stroju treningowego. Rzucił ją niedbale w kąt, rozłożył pudełka na stoliku obok kanapy, włączył telewizor, wyszukał wiadomości. Wyjął z szafki filiżanki i nalał z termosu parujący, aromatyczny płyn.

– Zielona herbata z miodem, cytryną i prądem – powiedział z lekkim uśmiechem. – Na pokrzepienie ciała i duszy. – Umie się uśmiechać... Twarz mu się wtedy rozjaśnia, nabiera zupełnie innego wyrazu.

– Z prądem?

– Rum.

– O! To miło.

Podał mi filiżankę, która przyjemnie rozgrzewała moje dłonie. Herbata smakowała wybornie. Kwaśna słodycz wzmocniona rumem.

– Skąd ta herbata? – zapytałam.

– Sam zrobiłem.

– Nie posądziłabym cię o to. – Uśmiechnęłam się. – Dobra.

Spojrzał na mnie, zatrzymując na dłuższą chwilę wzrok na mojej twarzy, jakby lekko zdziwiony. Zmarszczył brwi. Zauważyłam, że robi tak, kiedy jest zirytowany lub nad czymś się zastanawia. Teraz dopiero zwróciłam uwagę, że się przebrał. Miał na sobie czarne dzinsy i białą koszulę wyciągniętą na spodnie. Na nogach czarne mokasyny. Włosy nieco potargane, chyba jeszcze lekko wilgotne. Wyglądało na to, że był u siebie. Kiedy zdążył to wszystko zrobić?

– Długo cię nie było? Chyba zasnęłam. Straciłam poczucie czasu.

– Wyszedłem na godzinę – odpowiedział, podając mi kawałek pizzy. Z szynką i karczochami, taką, jaką lubię najbardziej. Skąd wiedział? Sam ugryzł następny kawałek. Jadł z apetytem, miło było patrzeć. – Pojechałem do siebie po parę rzeczy. No i musiałem się wykapać. Ty pewnie też masz na to ochotę?

– Tak, za chwilę. – Zmieszałam się nieco. Będę musiała jakoś sobie poradzić, nie będzie to łatwe.

– Mogę ci pomóc – powiedział to zupełnie naturalnie, nie wyczuwało się w tym żadnego podtekstu.

– Nie trzeba. – Pomyślałam, że chyba oszalał.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, jakby znowu się nad czymś zastanawiając. Trzymał w ręce niedojedzony kawałek pizzy i po raz kolejny zmarszczył brwi.

– No co?

– Zawsze jesteś taka Zosia samosia? Nie przyjmujesz pomocy?

– Od pewnego czasu muszę sobie radzić sama w życiu. A pomoc od ciebie, przynajmniej początkowo, była trochę wbrew twojej woli, chyba nie zaprzeczysz?

Rozluźnił się nieco, ale nic nie odpowiedział. Resztę posiłku spożyliśmy w milczeniu, oglądając wiadomości. Dolał mi herbaty. Poczulałam się odprężona, rum robił swoje. Ułożyłam się

wygodniej na kanapie. Coraz mniej informacji z ekranu do mnie docierało. Musiałam znowu zasnąć. Kiedy się obudziłam, za oknem było ciemno. Leżałam na kanapie. Na drugim końcu, na siedząco spał Maks, z głową opartą o wezgłowie. Pochrapywał delikatnie. Pokój rozświetlał ekran telewizora, nadając wszystkiemu niebieskawe zabarwienie. Maks wyglądał tak spokojnie. Był bardzo przystojny. Ile może mieć lat? Czterdzieści dwa, czterdzieści pięć? Ciekawe, kim jest. Zupełnie nic o nim nie wiem. Obcy facet śpi w moim pokoju hotelowym. A może to jakiś bandyta? Morderca? Oho, moja podświadomość zaczęła pracować. A co mi tam, zaryzykuję!

Poczułam nieodpartą potrzebę odwiedzenia łazienki. Bardzo delikatnie wstałam z kanapy, udało mi się nie obudzić Maksa. Kolano nawet nie bolało tak bardzo. I co najważniejsze: nie odczuwałam żadnych zawrotów głowy. W łazience obyłam się bez pomocy, umyłam się z pewnym trudem, przebrałam się w piżamę. Kiedy weszłam do pokoju, Maks nadal spał. Bose stopy wyciągnął przed siebie, ręce splótł na brzuchu. Miał takie idealne stopy! Mam obsesję na tym punkcie. Stopy i dłonie u mężczyzny są dla mnie bardzo ważne. Dużo o nim mówią. Muszą być zadbane, ale męskie, nie zniewieściałe. On miał idealne. Aż jęknęłam w duszy, czując rozlewające mi się w podbrzuszu ciepło. Kobieto, opanuj się! Zza kanapy wychylił się Chochlik i przyglądał się nam ciekawsko, przekrzywiając głowę.

Przykryłam Maksa kocem i poszłam do sypialni. Ale nie było mi łatwo zasnąć. Poczułam, jakby coś się we mnie obudziło. Coś czułego. I było to coś zupełnie innego od tego, co obudził we mnie Adam. A właśnie, Adam! Nagle przestał być ważny.

\*

Obudził się w środku nocy, zupełnie zdrętwiały. Ścierpła mu szyja, w nogach czuł mrowienie. W pokoju było zupełnie ciemno. Niewielka smuga światła wpadająca z ulicy znaczyła ślad na podłodze, widać było jedynie zarysy mebli. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Nie była to na pewno jego sypialnia. Ach, tak! Wczorajszy wypadek rowerowy. Czuł nadal lekką irytację na wspomnienie minionych wydarzeń. Nie chciał, żeby coś zaprzętało jego umysł. Dość miał kobiet i tego całego ambarasu, jaki wokół siebie robią.

Jednak od razu zwrócił na nią uwagę. Zuza – pasuje do niej to imię. Przeglądał na tablicy lokalne ogłoszenia turystyczne, sprawdzając, czy jego też się tam znalazło. Zobaczył ją, jak przechodziła przez ulicę. Było w niej coś, co przyciągało uwagę. Nie była piękna, ale bardzo atrakcyjna i taka proporcjonalna. Wszystko na swoim miejscu i wszystkiego tyle, ile być powinno. Nie za dużo, nie za mało. I biła od niej taka radość. Może nie radość, raczej odprężenie. Coś, czego od dawna nie zaznał. Promieniała wręcz. Średnio długie włosy w odcieniu kasztanu lśniły w promieniach słońca. Szła sprężystym krokiem, w uszach miała słuchawki i wydawało mu się, że nucila coś pod nosem. Musiała być w jego wieku, ale sprawiała wrażenie młodszej, chyba przez ten sportowy ubiór. Spojrzała na niego przelotnie, z lekkim zdziwieniem. Udawał, że pilnie studiuje ogłoszenia. Nie, nie będzie sobie zaprzętał nią głowy. Dość ma kobiet na dłuższy czas. Zresztą to prawdopodobnie jakaś turystka. Przyjechała, wyjedzie i tyle.

Zdziwiony był bardzo, kiedy rano, po kolejnej nieprzespanej nocy, podczas biegania na plaży, zobaczył ją ponownie. Siedziała na piasku, w stroju do joggingu, znowu ze słuchawkami w uszach. Widać było, że jest zmęczona po biegu. Wpatrywała się w morze. Usiłowała złapać oddech. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział zdawkowym półuśmiechem i pobiegł dalej. Poczuł się dziwnie. Nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na turystki. A przecież ona nie jest jakaś wyjątkowa. Ot, zwykła kobieta. I tyle.

A teraz siedzi w jej pokoju hotelowym, pilnując, żeby znowu nie zemdląła. I wcale nie jest mu tu źle. Czuł irytację zmieszaną z zaskoczeniem, kiedy zdarzył się ten przykry incydent. Jechał szybko. Znowu przepełniała go złość i gorycz. Nie patrzył, co się dzieje po bokach.



Powinien był bardziej uważać. A potem, w szpitalu, chciał jak najszybciej ją zostawić. A jednak ciągle tu jest, jak stróż pilnujący dobytku.

Leżał przykryty kocem, Zuza nie było obok. Przeszedł cicho do sypialni. Drzwi były tylko przymknięte. Popchnął je lekko. Leżała na boku, ręką obejmowała poduszkę. I znowu odniósł wrażenie, że emanuje z niej taki dziwny spokój. Jemu też byłoby to potrzebne, a nie to ciągle rozdrażnienie, złość na cały świat. Może czas z tym skończyć, zacząć żyć od nowa? A może Zuza jest tym sygnałem, może to opatrność mu ją zesłała? Usiadł obok niej, spała tak twardo. Musiała być bardzo zmęczona. Odgarnął jej włosy z czoła. Miała takie ładne oczy. Coraz bardziej do niego docierało, jaką jest atrakcyjną kobietą. Ciekawe: co robi w życiu? Czy ma rodzinę? Powiedziała już, że jest lekarzem, ale gdzie mieszka, gdzie pracuje? Niewiele ze sobą rozmawiali. A może warto spróbować? Długo jej się przyglądał. Mruczała coś przez sen, chwilami poruszała się niespokojnie. Musiało jej się coś śnić. Położył się obok niej, podparł na łokciu i patrzył dalej. Czuł się coraz bardziej zafascynowany. Dziwiło go to. Od ponad czterech lat, od nagłego odejścia Ingrid, nie doświadczał takich uczuć. Może już czas odkreślić ten okres grubą kreską?

Kiedy się obudził, za oknem zaczynało świtać. Ręka, którą miał pod głową, zdrętwiała mu zupełnie. Widocznie przez sen bał się poruszyć, nie chcąc jej obudzić. Będzie musiał się o niej więcej dowiedzieć. Czas na zmiany!

\*

Ranek za oknem był taki piękny. Czułam się dobrze. Nawet kolano specjalnie mi nie doskwierało. Stresy minionego dnia odeszły wraz z nocą. Wprawdzie miałam jakieś męczące sny, ale nie pamiętałam ich treści. Widocznie za szybko spałam, jak to miał w zwyczaju mówić w dzieciństwie mój syn. Przypomniałam sobie o Maksie. Czy spędził tu całą noc? Z pokoju obok nie dochodziły żadne dźwięki. Może jednak dał za wygraną i odszedł? Wstałam powoli, bojąc się nadwyrężyć ranną nogę, i przeszłam do pokoju obok. Był pusty. Koc na kanapie, którym wcześniej przykryłam Maksa, był porządnie złożony. Naczynia z poprzedniego wieczoru były umyte, pokój uprzątnięty. „Maks zatarł po sobie ślady” – pomyślałam z sarkazmem. Bo i po co miałby zostać do rana. Stwierdził, że nic już się ze mną nie będzie działo, uspokoił swoje sumienie i wrócił do siebie. Zapomni o mnie szybciej, niż dotrze do domu. No trudno.

Weszłam do łazienki. Kiedy byłam pod prysznicem, usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Pewnie pokojówka, zazwyczaj przychodziły o tej porze. Nie śpieszyłam się więc. Okręciłam mokre włosy białym ręcznikiem, robiąc z niego turban, ciało owinęłam drugim, jak pareo. Nucąc pod nosem *I've Got You Under My Skin*, wyszłam z łazienki i... osłupiałam. Stolik był nakryty białą serwetą, a na niej śniadanie – świeże bułeczki, twarożek, dżem, a w dzbanku kawa. Maks siedział na kanapie, wpatrując się we mnie intensywnie. Chciałabym poznać jego myśli. Nagle poczułam się naga.

– Maks, myślałam, że odszedłeś – powiedziałam z wahaniem, jednocześnie przyciskając nad piersiami ręcznik, jakbym się bała, że zaraz się zsunie i odsłoni moje wdzięki.

– A powinienem? – Znowu zmrużył oczy.

– Nie wiem, co powinienesz – odpowiedziałam nieco zaczepnie. – Bardzo mi miło, że zadałeś sobie tyle trudu, przynosząc śniadanie, i chętnie je z tobą zjem, ale chcę, żebyś wiedział, że nie musisz mieć poczucia winy. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Czuję się dobrze, kolano mnie nie boli. A mdleć też już nie będę. Teraz ubiorę się szybko, zjemy śniadanie i jesteś wolny.

– Jestem wolny! – powiedział z naciskiem na „jestem”. – I nie lubię, żeby mi ktoś wydawał polecenia. – Oho, zirytował się. Czy jest naprawdę wolny (w znaczeniu: nieżonaty)?

Czy tylko taki niezależny?

Przeszłam do sypialni. Szybko założyłam dżinsy, białą bluzkę, rozczesałam mokre włosy. Przez chwilę chciałam zrobić makijaż, ale zrezygnowałam. Bo po co? Kiedy weszłam do pokoju, Maks nalewał kawę do filiżanek. Spojrzał na mnie pogodnie, z lekkim uśmiechem.

– Nie wiedziałem, co jadasz na śniadanie, ale pomyślałem, że coś lekkiego będzie odpowiednie. Jakie masz plany na dzisiaj?

– Zostały mi trzy dni do końca urlopu. Zamierzałam wsiąść w samochód i pozwiedzać okolicę. Może też trochę poleniuchować na plaży. Mam ciekawą książkę. Nie będę się nudzić.

– To może wybierzemy się razem na wycieczkę? Znam okolicę, pokażę ci ciekawe miejsca, do których nie docierają turyści – mówił, jakby mu naprawdę zależało. – A potem moglibyśmy pójść do karczmy na obiad.

– A nie musisz iść do pracy? – Miałam nadzieję, że czegoś się o nim dowiem. – Przecież dzisiaj jest dopiero czwartek. Zorientowałam się, że nie jesteś turystą. A skoro nie, to czym się zajmujesz?

– Jestem kucharzem. A dzisiaj mam akurat dzień wolny.

Kucharzem? Nie pomyślałabym. Wyglądał raczej na biznesmena. A zachowanie i sposób wysławiania się też wskazywałyby na człowieka wykształconego. Oczywiście, fakt, że ktoś jest kucharzem, nie wyklucza, że jest także inteligentny i wykształcony. Ciekawe, jak gotuje.

– Dobrze, ale powtarzam jeszcze raz: nie musisz tego robić. – Podszedł do mnie wolno. Łagodnym ruchem założył mi pasmo mokrych włosów za ucho, kciukiem przejechał delikatnie po policzku, po czym przesunął dłoń na kark, tuż pod włosami, masując go delikatnie.

– Ja nic nie muszę – powiedział zmysłowym głosem, nie przestając mnie dotykać. – Jestem panem samego siebie i jeżeli czegoś nie chcę, żadna siła mnie do tego nie zmusi.

Nie mogłam się poruszyć. Powinnam powiedzieć, żeby przestał, ale nie byłam w stanie, to było takie przyjemne. I dawno nikt tego nie robił.

Maks pochylił się, jakby chciał mnie pocałować. Był wyższy ode mnie o głowę, dobrze zbudowany, szeroki w ramionach. No, jak Duhamel. Emanował męskością, pobudzał moje uśpione zmysły, mimo wcześniejszego irytującego zachowania. Pachniał czymś przyjemnym, ale nie kojarzyłam z niczym tego zapachu. Nie pocałował mnie jednak. Przez chwilę patrzył mi w oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym się odsunął.

– Więc?

– Co: więc? – Zaszło mi w gardle. Czułam się, jakby ktoś dał mi powąchać pucharek lodów malinowych, a potem nagle zabrał mi je sprzed nosa.

– Czy wybierzesz się ze mną na wycieczkę? – Uśmiechnął się ironicznie.

– Jeżeli nie masz nic innego, ciekawszego do roboty, to czemu nie – odparłam, wracając do rzeczywistości i udając, że wcale mi nie zależy. Bo nie zależy właściwie. Oj tam, oj tam.

Po godzinie, kiedy spałaszowaliśmy przygotowane przez Maksa śniadanie i zdołałam ogarnąć mój wygląd, wsiedliśmy do czarnego nissana, którym wcześniej „Stalowy” zawiózł nas do szpitala. Maks otworzył mi drzwi i pomógł wsiąść.

– Twój znajomy nie ma nic przeciwko temu, żebyś jeździł jego samochodem? – zapytałam lekko zdziwiona.

– Powiedzmy, że działamy w kooperacji. – Uśmiechnął się ironicznie.

Pogoda była doskonała. Słońce świeciło, ale nie przygrzewało jeszcze zbyt mocno. Było ciepło i przyjemnie. Na drogach panował mały ruch, jak to w środku tygodnia i jeszcze przed sezonem. Jechaliśmy drogą prowadzącą wzdłuż brzegu morza, które od czasu do czasu prześwitywało między lasami i pagórkami. Z odtwarzacza rozbrzmiewały dźwięki *Czterech pór roku* Vivaldiego. Brzeg stawał się coraz bardziej stromy, lasy porastające go coraz rzadsze, coraz

mniej mijaliśmy zabudowań. Zjechaliśmy z utwardzonej drogi na szutrową, krętą i wąską. Pomyślałam: „Dobrze, że jedziemy takim terenowym samochodem, bo inny mógłby nie dać rady”. Wysoki klif graniczył z malowniczymi pagórkami porośniętymi jakąś niską roślinnością. Było spokojnie i bezludnie. Teren przypominał mi trochę wybrzeże Kornwalii (znane mi jedynie z filmów, niestety). Nie wiedziałam, że mamy tak piękne tereny. Dobrze, że nie zabudowano ich jeszcze hotelami i budkami z piwem.

– Pięknie tu – powiedziała zachwycona. Maks zatrzymał samochód.

– Dalej musimy iść pieszo. – Popatrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Dasz radę?

Kiwnęłam głową.

– Dokąd idziemy? Mam nadzieję, że nie zamierzasz zrzucić mnie z klifu, żeby zatrzeć swój niecny występ z rowerem? – zażartowałam, żeby rozładować nieco atmosferę.

– Zobaczysz.

Weszliśmy na krętą ścieżkę, która wiała się między wzgórzami. Cały czas widzieliśmy w dole falujące morze, które przybrało kolor atramentowy, gdzieś tam poprzetykane srebrzystymi nitkami, gdzie na grzbietach fal odbijały się promienie słońca. Było idealnie cicho, gdzieś z oddali dochodził jedynie delikatny szum morza. Żadnych innych ludzi, aż po horyzont. Tylko my. Droga stawała się coraz bardziej trudna, musieliśmy pokonywać strome wzniesienia. Zaczynałam czuć zmęczenie, kontuzjowane kolano zaczynało dokuczać. Miałam już zapytać: „Daleko jeszcze?”, kiedy zza kolejnego wzgórza ukazał się niesamowity widok.

Przed nami stał mały kościółek, a właściwie większa kaplica. Stał na krawędzi klifu. Nie byłoby to może takie nadzwyczajne, gdyby nie fakt, że wokół niego klif się zapadł. Wyglądało to, jakby kościółek był wysunięty w stronę morza na jakiejś magicznej platformie, połączonej ze stałym lądem zaledwie skrawkiem ziemi. I prawie nie był zniszczony, mury miał nienaruszone. Wprawdzie w oknach nie było szyb ani witraży, a drzwi wejściowe były obecne tylko w połowie, jednak i tak jego istnienie wydawało się cudem.

Stałam zupełnie osłupiała. Czulałam się jak widz w kinie. Jakbym oglądała *Wichrowe Wzgórze*. Nie wiem, czy kiedykolwiek doświadczyłam tak silnych emocji. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle pojawił się Heathcliff z rozwianym włosom. Miałam wrażenie, że przeniosłam się do innego wymiaru.

– Chodź, usiądziemy na kamieniu, odpoczniesz, a ja opowiem ci historię, którą od lat przekazują sobie miejscowi – powiedział Maks. – Przed pierwszą wojną światową, kiedy morze nie wdarło się jeszcze tak głęboko w ląd, w tych okolicach znajdowały się rybackie wioski – zaczął swoją opowieść. – Wybrzeże nie było tak strome, okolica była spokojna, ludzie żyli tu powoli, ciężko pracując, a pory dnia i roku decydowały o ich poczynaniach. Nie zapuszczali się daleko w swoich połowach. Ryb w morzu był dostatek, nie mieli potrzeby szukania nowych łowisk. Z tego też powodu nie znali świata, nie czuli takiej potrzeby. Ale jak to zazwyczaj bywa, w każdej społeczności znajdzie się jakaś niespokojna dusza, która chce więcej. I taką właśnie duszą był młody rybak, nazwijmy go Maksymilian. Był to piękny, silny młodzieniec, obiekt westchnień wszystkich białogłów z wioski. Nie był typem poety. Ciężko pracował i twardo stąpał po ziemi. A najbardziej na świecie chciał się stąd wyrwać. Namawiał rybaków, z którymi wyruszał na łowy, żeby wypływali ciągle dalej i dalej. Ulegli mu raz i drugi, ale nie byli zbyt chętni zapuszczać się w nieznanne.

Pewnego razu, w czasie wyjątkowego sztormu, w pobliżu wioski, na mieliźnie osiadł handlowy żaglowiec. Został tam rzucony przez bardzo silny wiatr, musiał przeczekać burzę. Maks, ujrawszy rano statek, zrozumiał, że taka okazja nigdy więcej mu się nie trafi. Podpłynął do niego wplaw, wszedł na pokład i zaferował kapitanowi, że będzie dla niego ciężko pracował,

wystarczy mu jedynie wikt i możliwość podróżowania po świecie. Kapitan przyjął jego ofertę i Maks wyruszył w świat. Nikt nie wie, dokąd dotarł i czym się trudnił. Po kilku latach wrócił do swojej osady, bogaty niczym książę, przywożąc ze sobą piękną Ingrid – swoją żonę. Każdy, kto na nich patrzył, widział od razu niesamowitą miłość w oczach Maksa. Ingrid jednak pozostawała chłodna i opanowana, nie odwzajemniała uczuć mężczyzny.

Maks wybudował w pobliżu piękny dwór, który otaczały bajeczne ogrody, a blisko brzegu kazał wznieść kościół, z wdzięczności Najwyższemu za ukochaną żonę i dostatek. Żyli pozornie szczęśliwie przez parę lat. Maks tryskał energią, a Ingrid zadomowiła się w nowym miejscu, dbała o ogród, wydawała wspaniałe przyjęcia. Zaakceptowała miłość Maksa. Niestety, jak to w życiu bywa, szczęście nie trwało długo.

Do sąsiedniego probostwa przyjechał nowy pastor. Był zupełnym przeciwieństwem Maksa. Szczupły, wysoki, z bladą twarzą, która rzadko oglądała słońce, wiecznie zamyślony. Raz w tygodniu przyjeżdżał bryczką, którą posyłał po niego Maks, żeby odprawić mszę w kościółku. I jak się zapewne domyślasz, Ingrid zakochała się w nim bez pamięci. Pastor, nie pamiętając o swoim powołaniu, odwzajemnił jej uczucie. Nie trwało długo, aż Maks zorientował się w sytuacji. Nie pomogły prośby, groźby, szantaże. Pastor i Ingrid postanowili odejść. Maks szalał z rozpaczy, ale nie mógł nic zrobić. Kochankowie uciekli. Nie pomogły straże wysłane w pościg, pastor i Ingrid przepadli jak kamień w wodę.

Którejś nocy, kiedy Maks stracił wszelką nadzieję na odnalezienie Ingrid, w szale spalił cały dwór i zabudowania gospodarcze. Spłonęły także ogrody. Nie zezwolił służbie na gaszenie pożaru. Podobno luna była widoczna na wiele mil od brzegu, a gryzący dym nie dawał oddychać w okolicznych miejscowościach przez kilka następnych dni. Kiedy zgłiszcza wreszcie się dopaliły i można było się zbliżyć do dworu, oczom przybyłych ukazał się zrównany z ziemią teren pokryty grubą warstwą popiołu. Nic nie ocalało. Kościółek jednak był nienaruszony. Kiedy otwarto wrota, znaleziono na posadzce dwa zwęglone ciała. Po łańcuchu z krzyżem na piersi rozpoznano pastora, a po obrączce i zaręczynowym pierścionku – Ingrid. Maks zapadł się pod ziemię.

Miejscowi mówią, że do dzisiaj, kiedy na dworze jest wietrznie i mglisto, słysząc rozdzierający serce szloch Maksa, który nie może pogodzić się ze stratą swojej ukochanej Ingrid.

Maks snuł swoją opowieść ze wzrokiem utkwionym gdzieś poza horyzont. Czułam się oczarowana. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, każde zatopione w swoich myślach.

– To było piękne – powiedziałam w zamyśleniu. – Tyle w tym smutku.

– Bo życie bywa smutne – odparł. Wyczułam w jego głosie cierpienie.

– Sprawiasz wrażenie przygnębitego. Czy spotkało cię coś przykrego w życiu?

Spojrzał na mnie w zadumie. Nasze ramiona dotykały się, siedzieliśmy obok siebie na granitowym głazie. Subtelnie przesunął opuszkami palców po moich włosach, zatrzymując się na ramieniu. Przyciągnął mnie bliżej siebie, delikatnie pocałował w usta. Czułam się odurzona, jak na lekkim rauszu. Pocałunek był bardzo zmysłowy, uczuciowy, ale miałam wrażenie, że Maks jest myślami daleko.

Niestety, tę wyjątkową chwilę przerwał dźwięk telefonu Maksa. Brutalnie przywrócił mnie do rzeczywistości. Maks odszedł na kilka kroków, słyszałam, że gwałtownie z kimś dyskutuje. Po chwili wrócił zirytowany.

– Niestety, musimy wracać – odezwał się. – Mam coś ważnego do załatwienia, nie mogę tego odłożyć na później. Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to przełożymy naszą ucztę na wieczór.

Nadal oszołomiona, bujałam w obłokach, zaczarowana jego pocałunkiem. Co jest? Zachowuję się jak jakaś siusiumajtką, a nie dojrzała kobieta. Niewinny pocałunek, a ja co? Zejdz

na ziemię, Zuza!

– Tak, oczywiście. Nie martw się tym – powiedziałam.

Drogę powrotną odbyliśmy w milczeniu. Maks podał mi ramię, bo kolano jednak dało się we znaki. W samochodzie William Joseph grał *Kashmir* – niesamowicie energetyzująco. Zasłuchałam się. Nadal byłam pod wrażeniem opowieści Maksa. Miejsce, w którym jej wysłuchałam, osoba, która opowiadała, i domieszka tego czegoś w powietrzu wywarły niesamowite wrażenie. To było po prostu piękne. A swoją drogą to ten Maks chyba jest romantykiem? Takim raczej smutnym romantykiem.

Nie wiem nawet, kiedy minęła podróż. Wydawało mi się, że trwała tylko chwilę. Zawsze droga powrotna jest krótsza. Nagle ocknęłam się przed Heliosem.

– Jeszcze raz przepraszam, że tak nagle muszę cię opuścić. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to przyjadę po ciebie około ósmej. Pojedziemy na kolację do tej karczmy, o której mówiłem wcześniej? – zapytał Maks. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

– Dobrze, będę gotowa.

Pocałował mnie delikatnie w policzek i odjechał. Weszłam do hotelu zamyślona, nadal duchem byłam na urwisku. Czułam znużenie, tyle emocji naraz. Włączyłam muzykę, położyłam się na kanapie i rozmyślałam. W tak krótkim czasie tyle się wydarzyło. Wiodłam dotychczas nudne życie, wyjechałam po raz pierwszy sama na urlop i od razu takie trzęsienie ziemi. A Maks – coraz bardziej mnie intrygował. I pociągał, nie przeczę.

Nie wiem nawet, kiedy zasnęłam. Obudził mnie dźwięk telefonu. To Jagna!

– Mamo, Antek miał wypadek na motorze! – szlochała do słuchawki. – Jest w szpitalu na Krysiewicza, dzwoniли do mnie przed chwilą. Jest nieprzytomny! Mamo, mamo, musisz szybko przyjechać! – Nadal nie mogła opanować płaczu. – Podali numer telefonu. Zadzwoń i porozmawiaj z lekarzem.

Poczułam przerażenie, nie mogłam wypowiedzieć słowa. Nie, to niemożliwe, przecież Antek nie ma motoru. Walczę z nim z tego powodu od dwóch lat. To musi być jakaś pomyłka.

– Jaguś, to niemożliwe, nie mogę uwierzyć! Podaj mi szybko ten numer, zaraz zadzwonię. Uspokój się. Zadzwoń do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem.

Nie mogłam się dodzwonić, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach. Kilka razy drżącymi palcami wybierałam nieprawidłowy numer, kilka razy nikt nie odbierał telefonu. W końcu, po kilkunastu minutach, odebrał lekarz.

– Dzień dobry, nazywam się Zuzanna Maj, jestem lekarzem, przed chwilą dostałam wiadomość od córki, że mój syn Antoni Maj miał wypadek i jest u państwa. – Głos odmawiał mi posłuszeństwa, serce waliło w piersi, drżało całe ciało. – Czy może mi pan doktor coś więcej powiedzieć? Jestem daleko od Poznania, na urlopie, strasznie się denerwuję.

– Pogotowie ratunkowe przywiozło pani syna nieprzytomnego – powiedział lekarz. – Jechał motorem, uderzył w niego samochód osobowy, który wyjechał z podporządkowanej. W tej chwili odzyskał przytomność. Wydaje się, że ma złamane kości podudzia, ale logicznie odpowiada na pytania. Jest w trakcie tomografii. Za jakies pół godziny będę mógł powiedzieć coś więcej. Ale wydaje się, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo – dodał, nieco mnie uspokajając.

– Dziękuję, doktorze. W takim razie pakuję się i natychmiast wracam do Poznania, ale niestety zajmie mi to kilka godzin. Zostawię panu mój numer telefonu, bardzo proszę o informacje o jego stanie zdrowia.

– Dobrze, proszę jechać bezpiecznie. Jak będzie wynik tomografii, zadzwonię do pani. Po przyjeździe proszę wejść na trzecie piętro na oddział chirurgiczny i zgłosić się do dyżurki lekarskiej. Mam dzisiaj dyżur, nazywam się Marek Elias i będę panią informował na bieżąco.

– Dziękuję raz jeszcze i czekam na wiadomość od pana. Do usłyszenia.

Nieco uspokojona zaczęłam się gorączkowo pakować. Wszystkie rzeczy bez ładu wrzucałam do walizki. Biegałam po pokoju nerwowo, tysiące myśli tłoczyło mi się w głowie. Modliłam się: Boże, uratuj moje dziecko! Boże, błagam! A Maks?! Uświadomiłam sobie, że nie mam numeru jego telefonu, nie wiem, gdzie mieszka, nie mam z nim żadnego kontaktu!

W recepcji siedział jakiś blondyn w średnim wieku.

– Muszę pilnie wyjechać. Opuszczam pokój wcześniej. Około ósmej byłam umówiona z panem Maksem Weberem. Zostawiam mu mój numer telefonu, bardzo proszę mu go przekazać.

Recepcjonista niechętnie wziął ode mnie kartkę z numerem i schował ją pod blat.

– Przekażę, jak pani sobie życzy. Szczęśliwej podróży.

Nie wiem, jak przejechałam pierwsze sto kilometrów. Cały czas zerkałam na telefon, bojąc się, że się rozładuje i lekarz nie będzie się mógł do mnie dodzwonić. W końcu upragniony sygnał.

– Pani Maj, tu doktor Elias. Mam dobre wiadomości. Tak, jak początkowo podejrzewaliśmy, syn ma złamane obie kości prawego podudzia i wstrząśnienie mózgu. Nie ma krwawienia ani żadnych innych obrażeń wewnętrznych. Podudzie ma nastawione, założony gips. Dostaje kroplówki. Pozostanie u nas kilka dni i myślę, że wszystko będzie dobrze. Proszę się już nie denerwować i jechać bezpiecznie. Do zobaczenia w szpitalu.

Dzięki ci, Boże! Odetchnęłam. Dzwonię do Jagi.

– Mamo!

– Córcia, nie martw się, wszystko jest dobrze. Antek jest przytomny. Ma tylko złamaną nogę. Ma już założony gips. Zostanie kilka dni w szpitalu, a potem go wypiszą.

– Dzięki, odchodziłam od zmysłów. Właśnie jadę do niego, jestem w tramwaju. Chyba mnie wpuszczą, jak myślisz, mamo? – Na pewno. Ja będę za jakieś trzy godziny, spotkamy się u niego. A tak swoją drogą: skąd miał ten motor? – Kiedy przerażenie minęło, zaczęłam się na niego wkurzać. Tyle moich tłumaczeń poszło na marne. Zawsze uważałam, że motor to najbardziej niebezpieczny środek lokomocji. Naoglądałam się w pracy tych delikwentów po wypadkach na motorach. Zgroza!

– Mamo, nie wiem. – Jak zwykle Jagna nie puści pary z ust. Jak to bliźniaki, byli bardzo zżyci. Zawsze rozumieli się bez słów, porozumiewali się wzrokiem. Jedno za drugie poszłoby do piekła. Antek, jak to chłopak, szczególnie w okresie dojrzewania miał różne mniej lub bardziej wariackie pomysły. Kiedy miał dostać burę, Jagna była jego najlepszym adwokatem. Dlatego chyba studiuje prawo. Antek z kolei był jej bodyguardem. Kiedy zaczęli chodzić na dyskoteki, wiedziałam, że jest bezpieczna. Był postawnym chłopakiem, już choćby swoim wyglądem budził respekt. Uzupełniali się więc wyśmienicie. Tylko że ja, jako rodzic, nie zawsze mogłam dojść prawdy. Mieli swoje tajemnice.

– No tak, jak zwykle nie puścisz pary. Ale tym razem nie popuszczę, dowiem się wszystkiego. Do zobaczenia w szpitalu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Widok Antka w szpitalnym łóżku wyzwolił we mnie niepohamowany szloch. Błady, z posiniaczoną i podrapaną twarzą, rozciętym łukiem brwiowym i nogą w gipsie, wyglądał żałośnie. Spał. Usiadłam na krześle obok i usiłowałam stłumić płacz, żeby go nie obudzić. Moje dziecko! A to już przecież mężczyzna. Ładny z niego chłopak. Trudno się pogodzić, że dzieci podejmują swoje własne decyzje. Nie zawsze mądre, ale własne. Jagna zeszała do barku napić się kawy, a ja posiedzę przy nim. Wzięłam go za rękę. Tak dawno tego nie robiłam. Wprawdzie lubi się czasami do mamy przytulić, szczególnie kiedy potrzebuje kasy albo spóźni się na obiad, ale zawsze w biegu. Jaga jest bardziej czuła, szczególnie teraz, kiedy dorosła, bo w dzieciństwie przytulanie i pieszczoty były dla niej stratą czasu, stale dokąds gnała. Antek otworzył oczy.

– Mamo, przyjechałaś?

– Jak mogłabym nie przyjechać? Gnałam jak wariat – odpowiedziałam z czułością. – Jak się czujesz?

– Wszystko mnie boli, ale tak w ogóle to nie jest źle. Niewygodnie mi. I jestem głodny. Zjadłbym schabowego albo pizzę. – Rozmarzył się.

– Zapytam lekarza, czy możesz coś zjeść, ale obawiam się, że do jutra popościsz.

– Szkoda – odpowiedział z żalem.

– A teraz odpowiedz mi, młody człowieku: skąd miałeś motor? – Żarty się skończyły.

– Pożyczyłem – odpowiedział niepewnie.

– Coś mi się wydaje, że ściemniasz, synu. Mów prawdę, bo tym razem nawet Jaga cię nie wybroni.

– Kupiłem sobie. Jamaszkę – powiedział ze skruchą. – Pracowałem w weekendy w McDonalddie i dorobiłem sobie. Dołożyłem do tego oszczędności i wystarczyło na używany. A teraz nawet nie wiem, czy coś z niego zostało. Jeździłem nim niecały miesiąc. – W jego głosie słychać było autentyczną rozpacz.

Zrobiło mi się go żal. Ale z drugiej strony to przecież diabelska maszyna. Taka niebezpieczna.

– Porozmawiamy o tym, jak wydobrejesz. A teraz odpoczywaj. Zobaczymy się jutro.

– Okay, mamo. – Widać było, że jest wymęczony. Zasypiał.

Kiedy odjeżdżałam spod szpitala, było już ciemno. Pożegnałam się z Jagną. Z Poznania do domu, do Gniezna, miałam czterdzieści minut jazdy. Czułam się zmęczona. Tyle wrażeń. I ten potężny stres. Ciekawe, co z Makssem. Nie zadzwonił. Może wcale nie przyszedł po mnie na tę kolację, może coś mu wypadło? Zresztą jaką przyszłość miałyby taka znajomość? Dzieliłoby nas czterysta kilometrów. To bez sensu.

Jednak po powrocie do domu nie mogłam przestać o nim myśleć. Mimo że było już po 22.00, zadzwoniłam do recepcji Heliosa. Odebrała kobieta.

– Dobry wieczór, nazywam się Zuzanna Maj. Do dzisiaj wynajmowałam u państwa pokój, dwójkę. Musiałam pilnie wyjechać, zostawiłam w recepcji pani poprzednikowi kartkę z informacją dla pana Maksa Webera. Nie wie pani przypadkiem, czy ją odebrał? Czy może zostawił dla mnie jakąś wiadomość? – zapytałam z niepokojem.

– Poprzednik nic mi nie przekazywał. Sprawdzę, czy nie ma dla pani jakiejś wiadomości. Nie, niestety, nie ma.

– Rozumiem, dobranoc.

I na tym widocznie kończy się moja romantyczna historia. Dwa niezwykłe dni, które narobiły tyle zamieszania w moim życiu. A teraz co? Znowu nic się nie będzie działo? Znowu

wpadnę w ten kołowrotek? Dobrze, że chociaż z Antkiem wszystko w porządku. A Maks? Jak mogę go znaleźć? Wiem, może przez Facebooka...

Zapomniałam o zmęczeniu. Szybko włączyłam komputer, musiałam założyć swój profil na Facebooku, bo do tej pory nie interesowały mnie takie portale. Wpisałam jego imię i nazwisko. I nic! Nic! Osobnik nieznany. Jeżeli nie ma go na Facebooku, to chyba nie istnieje? Może to nie są jego prawdziwe dane? Może powinnam wpisać Josh Duhamel? Ze złością zatrzasnęłam laptopa. Pomyślę o tym jutro (jak Scarlett O'Hara).

\*

Cały dzień był pod wrażeniem tej kobiety. Spędzone z nią przedpołudnie było takie odprężające. Udzielił mu się jej spokój, czuł się rozluźniony. Sam nie wiedział, dlaczego opowiedział jej tę historię. Faktem jest, że trochę ją zmienił, chciał opowiedzieć jej część swojego życia. Chciał opowiedzieć o Ingrid. Ale przeszkodził im ten wypadek w hotelu. Na ostatnim piętrze, w najdroższym apartamencie wybuchł pożar. Wprawdzie sytuacja została szybko opanowana, ale on, jako właściciel, musiał być na miejscu. Tak, nie powiedział Zuzie, kim jest. Ale też nie skłamał zupełnie. To prawda, że był szefem kuchni. Może niezbyt często obecnie gotował, miał swoich wyszkolonych zastępców, ale dwa-trzy razy w tygodniu hotelowa kuchnia należała do niego. Gotowanie zawsze było jego pasją. Kończył różne kursy we Francji i Włoszech, był także u Antoine'a na Florydzie. A że przedtem studiował w Berlinie hotelarstwo, to inna historia. Zarządzał rodzinnym majątkiem po śmierci rodziców i wiodło mu się całkiem dobrze, ale nie chciał się tym chwalić. Do dzisiaj myśli, że Ingrid była z nim tylko dla jego majątku. I czym to się skończyło?

Kiedy sytuacja w hotelu została opanowana, pożar dogaszony, formalności załatwione, mógł wreszcie pomyśleć o dzisiejszej kolacji. Na szczęście spaliła się tylko kanapa i dywan, nic więc nie psuło mu humoru. Zarezerwował stolik na 20.00 w Szarej Sowie – jego ulubionej restauracji na wybrzeżu. Wziął prysznic, założył grafitowy garnitur i białą koszulę. Zrezygnował z krawata. Nie chciał, żeby myślała, że aż tak bardzo mu zależy. Czy rzeczywiście aż tak bardzo? Miał jeszcze sporo czasu. Po drodze wstąpił do kwiaciarni. Ciekawe, jakie kwiaty lubi. Zdecydował się na bukiet anemonów. Nawet nie wiedział, że istnieją kwiaty o takiej nazwie. Były delikatne, takie jak ona. W pastelowych kolorach: bladego różu, wanilii i łososiowym. Nie pachniały zbyt, ale wyglądały subtelnie.

Jadąc do hotelu, czuł przyspieszone bicie serca. Jak młokos. Było to bardzo podniecające, dawno nie doświadczał takich emocji. Był ciepły wieczór, czuło się początek lata. Powietrze pachniało świeżością. Czuł radość, ale jednocześnie niepokój. Czy powinien się tak angażować? Jaką przyszłość ma taka znajomość? Nie wiedział nawet, gdzie Zuza mieszka. Może na Podhalu – po przekątnej Polski? Dalej już być nie może. Nie bądź pesymistą, szklanka jest w połowie pełna.

Do hotelu dotarł pięć minut przed czasem. Kobieta w recepcji zajęta była rozmową, udał się prosto do Zuzy pokoju. Przed drzwiami poprawił jeszcze marynarkę, przeczesał palcami niesforne włosy i zapukał. Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Odczekał chwilę. Może jest w łazience? Zapukał jeszcze raz, głośniej. Nic, cisza. Nacisnął klamkę, drzwi nie drgnęły. Poczł ukłucie niepokoju. Zszedł do recepcji.

– Byłem umówiony z panią Zuzanną Maj z pokoju numer 2. Nie ma jej w pokoju. Czy zostawiła dla mnie jakąś wiadomość?

– Pani Maj musiała nagle wyjechać. Wymeldowała się z hotelu. Nic mi nie wiadomo o żadnej wiadomości dla pana, ale proszę poczekać, jeszcze sprawdzę. – Przeglądała pudełko z wiadomościami. – Niestety, przykro mi, nie ma niczego dla pana.



Poczuł, jakby ktoś smagnął go biczem. Odwrócił się, rzucił bukiet na stolik w holu, z wściekłością otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą z hukiem. Wypadł na zewnątrz, gwałtownie wciągnął powietrze. Zatrzymał się, odrzucił głowę do tyłu, spojrzął w ciemniejące niebo i wydał z siebie wściekły spazm. Nie ulżyło mu. Jak to możliwe, że wyjechała? Co, uciekła przed nim? Niemożliwe! Bo niby dlaczego? Musiała mieć jakiś powód. Może coś się stało? Ale przecież mogła zostawić jakąś wiadomość w recepcji. Przecież skontaktowałby się z nią. Widocznie ta znajomość była dla niej bez znaczenia. Ale wydawała się zauroczona dzisiejszą wycieczką, jego opowieścią. Patrzyła na niego takim czułym wzrokiem. Czuł więź między nimi. A teraz wszystko ma się skończyć, zanim naprawdę się zaczęło?

Wściekły wszedł do samochodu. Pełnym gazem ruszył z miejsca. Miał w mieście taki swój ulubiony bar, gdzie nikt go nie zaczepiał, gdzie kiedyś topił swoje smutki. Dawno tam nie był. Barmani, nauczeni doświadczeniem, wysłuchiwali takich nieszczęśników. Pozwalali się wygadać, nie zadając zbędnych pytań.

\*

Dni mijały szybko. Po dwóch tygodniach Antka wypisano do domu, sama zdziwiłam się, że to były aż dwa tygodnie. Rano wstawałam, jechałam do pracy, po pracy codziennie do Poznania, do Antka. Kiedy wracałam do domu, byłam tak wyczerpana, że po szybkim prysznicu i lampce wina zasypiałam kamiennym snem. I znowu jak chomik w kołowrotku. Często myślałam o Maksie. Taka chwilowa znajomość, a tak mocno wryła się w moją pamięć. I chyba także w serce. Natomiast, o dziwo, moje relacje z Adamem były zupełnie bezpłciowe. Nie wiem, co ja sobie uroiłam w głowie. Zawsze wydawało mi się, że prawidłowo odbieram sygnały wysyłane przez mężczyzn, ale widocznie się pomyliłam. Starzeję się. Osłabiają się moje zmysły albo wręcz świrują. A może odbieram rzeczywistość taką, jaką chciałabym widzieć, a nie taką, jaką jest naprawdę?

Antek w domu, z nogą w gipsie, to gorzej niż szpital pełen chorych. Ciągle czegoś chciał, ciągle coś mu nie pasowało. A to gips go swędzi, a to nudzi mu się, a to by coś zjadł. Jedynym plusem było to, że nie musiałam jeździć do Poznania. Miałam nieco więcej czasu dla siebie, chociaż wieczorami.

Tak minęła połowa lata. Antkowi zdjęli gips, noga wygoiła się zupełnie, jak to w młodym organizmie. I żeby nie stracić zupełnie wakacji, pojechali razem z Jagną i paczką wspólnych znajomych do Hiszpanii na winobranie. Pierwszego października będą musieli stawić się na uczelniach.

A ja zostałam sama. Po trzech dniach dochodzenia do siebie po przedwyjazdowym zamieszaniu z bliźniakami nagle poczułam pustkę. Coraz więcej rozmyślałam o Maksie. Próbowалам nawet znaleźć go przez różne portale społecznościowe, ale nic z tego. Przepadł jak kamień w wodę. Na pewno mnie już nie pamiętał. Pozostały mi jedynie długie wieczorne rozmowy z Marynią, ale chyba zaczynał już ją powoli nużyć ten temat.

– Zuza, weź zrób coś ze sobą. Jeżeli tak ciągle myślisz o tym Maksie, to jedź nad morze, pochodź po mieście, popytaj ludzi, może go odnajdziesz? – Czuć było irytację w jej głosie. – Albo zainteresuj się kimś innym. A jak tam Adam?

– Adam zachowuje się, jakby nie było tamtej nieszczęsnej rozmowy. Myślę, że to było jakieś kosmiczne nieporozumienie. Ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Jest mi zupełnie obojętny i myślę, że dobrze, że tak sprawy się mają, bo gdyby było inaczej, to byłby dla mnie tylko kłopot.

Jednak mój nastrój systematycznie się pogarszał, czułam, że dno jest blisko. Nie miałam na nic ochoty. Nie musiałam o nikogo się troszczyć, więc z pracy wracałam do domu i potrafiłam

całymi godzinami gapić się tępo w telewizor lub laptopa. Często łapałam się na tym, że rozpoczynał się nowy program, a ja nie wiedziałam, o czym był poprzedni. Stale za czymś tęskniłam. Za Maksem? Sama nie wiem. Gdyby nie konieczność pójścia do pracy, snułabym się przez cały dzień w piżamie, nieuczesaana, w rozdeptanych kapciach. Jak Dulska, tylko papilotów mi brakowało.

Wreszcie po prawie dwóch tygodniach wyrwał mnie z tego marazmu telefon od Balbiny. Balbina jest drugą z moich przyjaciółek, obok Mani, z którą chodziłam do szkoły podstawowej i liceum. Otóż ta Balbina po skończeniu studiów prawniczych pojechała do Niemiec, aby przed rozpoczęciem pracy w kancelarii adwokackiej popracować sobie i zarobić trochę gotówki na swoje potrzeby. I jak to w bajkach bywa, zakochała się w przystojnym Włochu pracującym jako kucharz w restauracji, w której Balbina zatrudniła się jako kelnerka. Marzenia o karierze adwokackiej przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, moja przyjaciółka wróciła do Polski, spakowała swój dobytek i nie zastanawiając się wiele, wyjechała z ukochanym na niemiecką wyspę Föhr na Morzu Północnym, gdzie Roberto objął posadę szefa kuchni we włoskiej restauracji. I tak żyją sobie szczęśliwie już od ponad dwudziestu lat.

– Zuza, kochana, jak dawno ze sobą nie rozmawialiśmy. Cieszę się, że cię słyszę. Co tam u ciebie? – Szybkie, grzecznościowe pytania, jak zwykle. Balbina ma jednak w sobie krew prawnika. Konkretnie i bez owijania w bawełnę.

– A dzięki, teraz już w miarę dobrze – powiedziałam, udając samozadowolenie. – Antek miał wypadek na motorze, ale wyszedł z tego bez większego szwanku, a teraz jest razem z Jagną w Hiszpanii. A u mnie jak zwykle.

– Oj, coś ściemniasz, znam cię nie od dziś. Nieszczęśliwa miłość? – Balbina drażyła dalej.

– Nie, nawet nie to, może jakaś tęsknota za nieszczęśliwą miłością.

– W takim razie ja mam dla ciebie lekarstwo na tę tęsknotę – zaczęła. Czułam, że dzwoni z jakiegoś konkretnego powodu. – Jak wiesz, pracuję tu na Föhr w sanatorium reumatologicznym, w administracji. I tak się złożyło, że jedyny lekarz reumatolog, którego mamy na wyspie, wyjeżdża na trzy miesiące w podróż dookoła świata. I pilnie potrzebujemy zastępstwa. A wiem, że ty jesteś reumatologiem i znasz niemiecki. Nie chciałabyś się oderwać od tej twojej codzienności, przyjechać do nas, pomieszkać na pięknej wyspie i jeszcze trochę zarobić? A może spodobałoby ci się i zostałabyś u nas na stałe? Co ty na to? Miałabym blisko przyjaciółkę.

W mojej głowie zapaliła się lampka i migała jak oszalała. Dlaczego nie? Co mam do stracenia? Może przeżyję jakąś przygodę, zobaczę nowe miejsca, poznam nowych ludzi? I nie będę tyle myślała o Maksie. Ani o Adamie.

– Od kiedy jest ten wakat? – Już byłam zdecydowana.

– Od wczoraj, a poważnie mówiąc, najlepiej od przyszłego tygodnia. – W głosie Balbiny wyczuwałam ponaglenie. – Doktor zdecydował się na wyjazd dość nagle, a że jest w wieku przedemerytalnym, stwierdził, że taka okazja może mu się więcej nie trafić.

– Jestem zdecydowana – powiedziałam stanowczo. – Nie wiem tylko, czy zdążę ze wszystkimi formalnościami. I czy moja dykcja się zgodzi dać mi bezpłatny urlop.

– Zuza, jesteś obrotna, poradzisz sobie. Zaczynaj jutro. Wieczorem zadzwonię i dowiem się, jak sprawy stoją. Potrzebujemy tylko twój dyplom, świadectwo specjalizacji i świadectwo zdrowia. Jutro zacznę załatwiać ci mieszkanie.

– O matko kochana, ja chyba zwariowałam! Ale to może jak z waszym doktorkiem, taka okazja może mi się więcej nie trafić – głośno myślałam.

– Dokładnie. Zaczynasz więc działać, a ja dzwonię jutro wieczorem. Ale będzie super!

Nie mogę się doczekać. – I rozłączyła się, jak to Balbina.

Następnych kilka dni było zupełnie szalonych. Załatwienie sprawy z dyrekcją nie było trudne, ale musiałam obiecać, że wrócę. Ogarnęłam dom, zostawiłam klucze i instrukcje Mani. Zadzwoiłam do dzieci, które z entuzjazmem zapowiedziały się z wizytą na Föhr w pierwszy wolny weekend po powrocie z Hiszpanii. Odwiedziłam rodziców, którzy także utwierdzili mnie w słuszności mojej decyzji. Najdziwniejsza jednak była reakcja Adama. Kiedy powiedziałam mu w pracy dwa dni przed wyjazdem, że wyjeżdżam za granicę na co najmniej trzy miesiące, usiadł gwałtownie na krześle z zaszokowaną miną.

– Jak to: wyjeżdżasz? Tak nagle się zdecydowałaś? Nic wcześniej nie mówiłaś! – powiedział z pretensją w głosie.

– A powinnam powiedzieć? – Adam się zmieszał.

– Przecież pracujemy razem, myślałem, że się kumplujemy. – Nadal był urażony.

– Zależy, co się rozumie przez kumplowanie się. – Usiłowałam zachować spokój. – Ty mnie nie informujesz o swoich planach, nie rozmawiamy o swoim życiu. Rozmawiamy o sprawach służbowych.

– Masz kogoś? Wyjeżdżasz do niego? – Nadal był lekko zszokowany, okulary zsunęły mu się na czubek nosa, spoglądał na mnie sponad nich.

– Trochę mam dosyć takiej egzystencji – powiedziałam wymijająco. – Muszę coś zmienić w moim życiu. Myślę, że to jest idealna okazja. Zawsze mogę wrócić. Nie palę za sobą mostów.

– Może jednak jakieś spalisz. – W jego głosie wyczuwało się sarkazm. – Ale mimo wszystko życzę ci powodzenia. Może jeszcze tu będę, jeżeli wrócisz.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

I tak oto jadę na Föhr. Spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy nie sprawiło mi większych trudności. Mam w tym wprawę po latach pakowania na letnie i zimowe wakacje trzech osób, z tego dwóch z bardzo dużymi potrzebami. Ponownie poczułam się wolna, podobnie jak jadąc na mój samotny urlop. Nie myślałam, że jestem zdolna do podjęcia takiej decyzji w tak krótkim czasie i że przyjdzie mi to z taką łatwością. I radością!

Wyspa Föhr. Morze Północne, blisko Danii. Niemiecka wyspa z Archipelagu Wysp Północnofryzyjskich. Druga co do wielkości po Sylt. Oprócz nich jeszcze Amrum, Pellworm i kilka mniejszych. Wyglądają na mapie, jakby stały ląd ktoś pociągnął w prawo i oderwało się od niego kilka odprysków. Powierzchnia 82 km<sup>2</sup>, stałych mieszkańców nieco ponad 8600. Największa miejscowość i jednocześnie stolica wyspy to Wyk. I tam właśnie jadę. Najstarszy w Szlezwiku-Holsztynie kurort na wybrzeżu Morza Północnego. Z kilkoma wyjątkami większość nazw miejscowości kończy się na -um: Nieblum, Utersum, Wrixum, Borgsum. Tak po fryzyjsku. A Föhr to największa z niemieckich wysp, do których można dostać się tylko promem.

Mam do pokonania ponad osiemset kilometrów. Wyruszam wczesnym rankiem. Dobrze, że mamy jeszcze lato, bo wcześniej robi się jasno. Nie lubię jeździć po ciemku. Samochód zapakowany po dach, jakbym przeprowadzała się na stałe, a nie wyjeżdżała tylko na trzy miesiące. Dobrze, że mebli nie zabrałam. Nie zmieściły się.

Uwielbiam jeździć samochodem. Latanie mnie przeraża, musi mieć coś wspólnego z siłami nieczystymi. No bo jak maszyna ważąca kilkaset ton może wzbudzić się w przestworza i jeszcze się w nich przemieszczać? Musiał tam diabeł coś majstrować. A samochód jest bezpieczny, przynajmniej w moim odczuciu. I nie zmieniają mojego zdania żadne statystyki. I basta!

Autostrada w Niemczech niezbyt zatłoczona. Środek tygodnia, południe, szczyt jeszcze przede mną. Póki co jadę sobie dziarsko, podśpiewując *Dianę* razem z Paulem Anką – *Oh, please stay by me, Diana*. Lubię się powydzierać, kiedy jestem sama w samochodzie (albo w wannie). I znowu ogarnia mnie radość i poczucie wolności, zupełnie jak przed trzema miesiącami. *Déjà vu!*

Do Dagebüll docieram około szesnastej. Mam pół godziny do odplynięcia promu do Wyk na Föhr. Parkuję samochód, wysiadam, żeby rozprostować kości. Na parkingu tylko dwa samochody. Wokół przystani rozpościerają się lekko pagórkowate, pokryte soczyście zieloną trawą tereny. Jest dosyć odludnie, pojedyncze białe domy z grafitowymi dachami i zieleń. Tak bym sobie wyobrażała Finlandię, chociaż tam nie byłam. Jest przyjemnie ciepło, 24°C, wieje lekki wietrzyk. Stoję na nabrzeżu i wpatruję się w widoczną na horyzoncie wyspę. Wygląda jak brązowa plama. To tam spędzę następne trzy miesiące mojego życia? Ciekawe, co mnie na niej czeka. Czuję lekkie zmęczenie podróży, ale bardziej ekscytację. Jaka ja jestem jednak odważna! Zawsze byłam raczej bojącą duszą, a tu – proszę! Sama, w nieznanie i jeszcze na wyspę! Mam nadzieję, że mnie woda nie pochłonie.

Prom odplywa dokładnie o 16.30 – niemiecka punktualność. Podróż trwa godzinę. Mam szczęście, że jest przypływ, bo podczas odplywu podróż trwa o pół godziny dłużej. Bardzo jestem ciekawa tych przypływów i odplywów, zawsze chciałam je zobaczyć. Tyle się nasłuchiwałam opowieści Balbiny. Jest to dla mnie fascynujące zjawisko, niewyobrażalne. I zobaczę je wkrótce na własne oczy!

Stojąc na promie, obserwuję coraz bardziej przybliżającą się wyspę. Wyraźniej widzę domy na nabrzeżu Wyk. Słońce schodzi coraz niżej, oświetlone przez nie budynki sprawiają

wrażenie, jakby były pokryte złotem. Szyby w oknach odbijają migotliwe światło, które bajkowo kontrastuje z szafirowym niebem, upstrzonym małymi, puchatymi chmurkami przypominającymi owieczki. Po prawej stronie od portu wzdłuż nabrzeża rozciąga się płaski teren porośnięty trawą, która w tym oświetleniu jest seledynowa. Widok sprawia wrażenie ilustracji z bajki. Zapiera mi dech w piersiach. Teraz wiem, że śniłam o tym miejscu, zanim je zobaczyłam.

Z promowego tarasu widzę Balbinę czekającą na nabrzeżu. Macha do mnie ręką i podskakuje jak niesforna dziewczynka. Zawsze była taka ruchliwa i żywiołowa. Prom cumuje w porcie, pędzę do samochodu i po dziesięciu minutach ściskamy się radośnie. Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Tyle słyszałam od niej cudownych opowieści o tym miejscu, ale zawsze było to dla mnie coś nierealnego. I oto jestem. *Veni, vidi, vici!* Mam nadzieję, że *vici*.

\*

Obudziłam się wczesnym rankiem w wynajętym przez Balbinę dwupokojowym mieszkaniu z widokiem na promenadę. Mieszkanie mieściło się blisko sanatorium, w którym miałam pracować, kilka minut pieszo. I znowu *déjà vu*. W pierwszej chwili po przebudzeniu miałam wrażenie, że to ciąg dalszy moich nadbałtyckich wakacji. Relaks i odprężenie. Mam jeszcze weekend, zanim zacznę pracę, muszę go maksymalnie wykorzystać. Wieczorem idę do Balbiny na kolację, poznam jej rodzinę. Do tego czasu muszę zobaczyć Wyk. No i oczywiście morze. Może będzie odpływ?

Wyskoczyłam z łóżka pełna energii. Przepęłniała mnie radość i ciekawość, czułam się bardzo podekscytowana. Była 7.30, po promenadzie ciągnącej się wzdłuż plaży spacerowali lub biegali nieliczni turyści. Przebiegłam przez nią i popędziłam w kierunku plaży. Całe piętnaście kilometrów nadmorskiego piasku rozpościerało się przede mną. Stałam nieco rozczarowana! Morze było pełne, kończyło się trzy metry przed pierwszym rzędem koszy plażowych ustawionych w trzech nieskończenie długich szeregach. Równiutkich! Znow ten ordnung. Niebo było czyste. Słońce jeszcze dość nisko, przygrzewało delikatnie. Plaża podobna do naszych nadbałtyckich, piasek może nieco bardziej żółty i ku mojej radości na brzegu całe mnóstwo dużych, różnokształtnych muszelek! Zaczęłam zbierać zapamiętałe, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że będę miała na to całe trzy miesiące. Cisnęłam ich garść prosto w morze, zaśmiewając się przy tym.

Ruszyłam w kierunku promenady. Piękne miejsce. Po jednej stronie rząd malowniczych budynków, w stylu trudnym do określenia. Większość zbudowana z cegły z fragmentami białych elewacji i ciemnymi lub rdzawymi dachami. Na parterze sklepy lub restauracje, u góry pomieszczenia mieszkalne. Po drugiej stronie ulicy, odgradzony aleją kasztanowców, pas zieleni z wystawionymi fotelikami i stolikami z lokalnych restauracyjek, z rozpostartymi parasolami przeciwsłonecznymi. Skwery z ławeczkami, czasami urozmaicone fontanną lub pomnikiem. Ludzi zaczynało się zbierać coraz więcej. Jedni kupowali w okolicznych sklepikach, inni jedli śniadania przy stolikach na skwerach, pili kawę, rozmawiali w różnych językach. Wyczuwało się wszechobecny relaks. Uwijali się tylko kelnerzy, sprzedawcy i dostawcy ładujący towar z furgonetek do wnętrza sklepów. Spacerowałam wolno, chłonąc atmosferę nieznanego mi miejsca. W pewnej chwili przez szybę restauracji dostrzegłam mężczyznę stojącego przy stoliku przodem do ulicy, lekko pochylonego nad siedzącą kobietą i tłumaczącego jej coś gorliwie. „Maks” – pomyślałam w pierwszej chwili. Chciałam już wejść do środka, ale opamiętałam się szybko. Skąd Maks tutaj, na Föhr!? Przecież to niemożliwe! Potrząsnęłam głową, uśmiechnęłam się do siebie z politowaniem, odwróciłam w stronę morza. Po chwili, kiedy wróciłam wzrokiem do wnętrza restauracji, przy tym samym stoliku stał kelner i podawał kobiecie kartę. Omamy mam chyba, bo inaczej być nie może.

Wróciłam do mojego mieszkania, robiąc po drodze zakupy w lokalnej *Konditorei* – słodkie bułeczki, których sobie zazwyczaj odmawiam, i kawę latte macchiato na wynos, moją ulubioną. Po szybkim prysznicu usiadłam z tymi łakociami na małym balkoniku wychodzącym na promenadę, wyciągnęłam przed siebie wyprostowane nogi i rozkoszowałam się chwilą. Było bosko. Od strony knajpki nieopodal dochodziły dźwięki muzyki – smooth jazz. Zaczęłam myśleć o Maksie. Od naszego spotkania nad morzem nie było dnia, żebym o nim nie myślała. Co by było, gdyby...? Czy taka znajomość miałaby jakąkolwiek przyszłość? Było w nim coś intrygującego. Jakaś tajemniczość, szorstkość, za którą kryło się dużo ciepła. Jakieś niezabliźnione rany. A ponadto był niesłychanie przystojny, męski i intrygujący. Jednym słowem – wszystko, czego pragnie kobieta. Bo my, kobiety, wolimy mężczyzn skomplikowanych, trudnych, takich do naprawiania. I święcie wierzymy, naiwne, że ich się naprawić da. Błąd! Dopóki jesteśmy zakochane, tolerujemy wszystkie ich wady i zawsze potrafimy ich wytłumaczyć. Gorzej, jak chemia trochę osłabnie, opadną z oczu zasłony, widzimy wtedy zupełnie kogoś innego. I nadal, naiwne, ich kochamy. Oj, Maksie, Maksie!

Minęło południe. Nie mogłam doczekać się odpływu. Postanowiłam wybrać się na plażę, sprawdzić stan morza, a potem wypożyczyć rower i pojeździć po okolicy. To najlepszy sposób zwiedzania.

Dotarłam do plaży i... oniemiałam! Po horyzont rozciągała się płaska jak stół pustynia, poprzecinana delikatnymi żyłkami cienkich strumyków. Niezwykły spektakl natury, magiczna przemiana krajobrazu. Powietrze w oddali falowało jak fatamorgana. Daleko, w głębi tej pustyni, widać było grupki ludzi idących w szeregach, którzy wyglądali jak mrówki w tym kosmicznym krajobrazie. Balbina wspominała, że odpływ jest co 6 godzin, 25 minut i 12,5 sekundy. Miejscowi korzystają z tablic pływów, które umieszczane są w wydawanych co roku książkach telefonicznych. Opowiadała mi anegdotę, jak pewnego razu, wracając pociągiem od rodziców z Polski, siedziała w przedziale z Niemką i prowadziła przez telefon po niemiecku rozmowę ze swoim mężem Włochem. Chciała, żeby wyjechał po nią do portu i odebrał ją z promu, ale nie wiedziała, jak długo będzie płynął prom, bo nie pamiętała, czy będzie przytytuw, czy odpływu. Mąż, jak to mąż, cały dzień pracujący w restauracji, nie uzależniał swojej egzystencji od pływów Morza Wattowego, nie miał zielonego pojęcia, skąd zdobyć takie informacje.

– Zajrzyj do książki telefonicznej, to się dowiesz! – powiedziała zirytowana Balbina, czym wzbudziła konsternację u towarzyszki podróży i musiała jej dokładnie wyjaśniać zawilosci egzystencji wyspiarzy.

Ludzie tu mieszkający od wieków toczą walkę z morzem o swój byt i przetrwanie. Morze steruje ich życiem. Silne sztormy, podtopienia, porywisty wiatr to żywioły, z którymi stale muszą się zmagać. Tu nawet poczta dostarcza przesyłki zgodnie z rytmem pływów.

Morze cofa się na sześć kilometrów w głąb. Nie można sobie takiego widoku wyobrazić, to trzeba zobaczyć. Dostrzegłam prom, który zdawał się płynąć po piasku jak statek widmo. Wiedziałam jednak z opowieści Balbiny, że płynie on specjalnym, sztucznie do tego celu stworzonym kanałem. Pomimo że wiem, jak to się odbywa, mój umysł zdaje się tego nie przetwarzać. Obserwuję grupy ludzi podążające po odsłoniętym dnie morza w kierunku widocznej na horyzoncie wyspy Amrum. Wyprawy takie mogą być jednak bardzo niebezpieczne. Dozwolone są tylko z przewodnikiem. Co roku kilku turystów ginie z powodu swojej lekkomyślności, żeby nie nazwać tego głupotą. Wszędzie na tablicach informacyjnych umieszczone są ostrzeżenia o samotnych wyprawach w głąb morza w czasie odpływów. Człowiek nieznający terenu i niemający wystarczającej wiedzy o pływach łatwo traci orientację, znalazłszy się daleko od lądu. Unosząca się mgiełka, falujące powietrze oraz ciekące w różnych kierunkach cienkie strumyki morskiej wody sprawiają wrażenie, że ląd, do którego podążamy,

znajduje się w zupełnie innym kierunku. A potem takiego delikwenta zaskakuje przypływ i pozamiatane. Wyszkolony, doświadczony przewodnik z kompasem jest jedynym zabezpieczeniem takiej wyprawy i gwarancją, że żywi do domu wrócimy.

Siedziałam na plaży i nie mogłam stamtąd odejść. Obserwowałam ten piaszkowy bezkres i czułam się tak blisko natury. Nie mogłam się poruszyć. Byłam zafascynowana widokiem, każdą cząstką mojego ciała chłonełam otaczającą mnie przyrodę. Chyba nic dotychczas, nawet moje ukochane tokańskie krajobrazy, nie wywarło na mnie takiego wrażenia. No, może z wyjątkiem opowieści Maksa na nadbałtyckim klifie. Ale miałam wrażenie, że to było w jakimś innym życiu.

Wstałam z ociąganiem i ruszyłam na poszukiwanie wypożyczalni rowerów. Nie miałam trudności z jej znalezieniem, bo na wyspie jest ich mnóstwo, jak się potem okazało. Od sympatycznego pana dostałam mapę wyspy i po przestudiowaniu jej postanowiłam skierować się na północno-wschodnią jej część. Nie ma na niej miejscowości, jedynie pojedyncze gospodarstwa. Czułam potrzebę obcowania z czystą naturą. Ruszyłam ścieżką rowerową wzdłuż promenady w kierunku portu. Kiedy go minęłam, wjechałam na trasę rowerową. Cała wyspa jest otoczona wałem przeciwpowodziowym, który porasta soczyście zielona trawa. To ona właśnie tak lśniła seledynem, kiedy wpływałam do portu. To dziwne, że pod koniec lata jeszcze ma taki kolor. Po obu stronach wału, od strony morza i od strony lądu, prowadzą dwie świetnie utrzymane ścieżki rowerowe okalające wyspę. Zatrzymałam się na tej od strony morza, spojrzałam na wał i poczułam, jakbym się znalazła w surrealistycznym obrazie Salvadora Dali – intensywnie błękitny kolor nieba kontrastujący z seledynową trawą, a na granicy tych dwóch kontrastów – owca! I nic więcej.

Ruszyłam dalej. Owiec było coraz więcej, pasły się na trawie. Co chwilę wyprzedzali mnie lub mijali nadjeżdżający z przeciwka rowerzyści, czasem rodziny z dziećmi. Wszyscy pozdrawiali się serdecznie, czułam z nimi specyficzną więź. Minął mnie szybko jadący postawny mężczyzna. Musiał pędzić, bo szybko się ode mnie oddalał. Spojrzałam na niego uważnie – Maks? Nie, to niemożliwe. Ten sam strój, ta sama sylwetka i ta nerwowość w ruchach.

– Maks! Maks! – zawołałam, ale moje wołanie zagłuszył szum morza. Stałam i przez chwilę wpatrywałam się w oddalającą się postać. Chyba rozum odmawia mi posłuszeństwa. To przecież nie może być on. Z drugiej strony jednak – nie ma rzeczy niemożliwych. Kiedyś, wracając z rodziną z wakacji na południu Włoch, postanowiliśmy zwiedzić San Marino. Spędziliśmy tam pół dnia, spacerując po stromych, krętych uliczkach. Kiedy wróciłam do Gniezna, koleżanka w pracy powiedziała mi:

– Wiesz, Zuza, mój mąż ma omamy wzrokowe. Kiedy byliśmy w ostatnią niedzielę lipca w San Marino, zawołał do mnie: „Patrz, Zuza Maj!”. A ja mu odpowiedziałam: „Zwariowałeś, skąd tu Zuza Maj?”.

– Szkoda, że mnie nie zawołałaś, bo ja byłam w ostatnią niedzielę lipca w San Marino. Wszystko jest więc możliwe, chociaż niestety mało prawdopodobne. Może jednak to Maks? Skąd, weź się w garść. Ruszyłam dalej, ale nie mogłam przestać o nim myśleć.

Wieczorem przyjechała po mnie Balbina, żeby zabrać mnie do siebie na umówioną wcześniej kolację. Wieczór był przemiły. Mąż Balbiny, Roberto, okazał się bardzo rozmownym, towarzyskim człowiekiem. Typowy, żywiołowy Włoch! Miał akurat dzień wolny w pracy i gotował tylko dla nas. A trzeba przyznać, że gotował wyśmienicie. Na przystawkę podał bruschetty z pomidorami, oliwkami i bazylią. Wielokrotnie robiłam to danie, ale nie wiem, dlaczego moje wychodzą takie niedoskonałe, jakbym czegoś nie dodała. A przyrządzone przez Włochów są idealne. Na drugie danie – kurczak alla cacciatore – po wielu próbach i towarzyszącemu im szczeremu śmiechowi Roberta udało mi się zapamiętać tę nazwę. Był to delikatny, duszony kurczak w sosie pomidorowym z rozmarynem. Pychota! I jeszcze oczywiście

deser – truskawkowe tiramisu z limoncello. Było mięciutkie jak chmurka, a smakowało tak, że chciało się jeszcze i jeszcze. Moje dietetyczne sumienie musiałam zdusić głęboko w sobie, żeby nie widziało, co tu dzisiaj wyczyniam. Wiem, że będę cierpieć z powodu wyrzutów sumienia, ale pomyślę o tym jutro!

Dzieci – Klaudyna i Paolo, nieco młodsze od moich bliźniaków – chętnie rozmawiały ze mną po polsku, opowiadały o szkole i znajomych. Ale najciekawsze było słuchanie ich wspólnych rozmów. Balbina mówiła coś do Paola po polsku, on jej odpowiadał po niemiecku, na co wtrącał swoje trzy grosze Roberto po włosku, więc Paolo odpowiadał mu po włosku. Klaudyna natomiast łączyła razem wszystkie trzy języki na zasadzie: „Klaudyna chce *spazieren gehen, arrivederci*”. Dzieci rozmawiały ze sobą po niemiecku. Istna Wieża Babel.

Czas mijał szybko. Kolacja była wyśmienita, gospodarze bardzo gościnni i rozmowni, czerwone wino smakowało wybornie. Kiedy spojrzałam na zegarek, zbliżała się północ. Szczęście, że następnego dnia była niedziela, mój ostatni wolny dzień przed podjęciem pracy. Taksówka odwiozła mnie do domu. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. I nie śniłam o Maksie!

\*

Niedzielny poranek powitał mnie deszczem. Było ciepło, ale niestety niebo zasnuwały grafitowe chmury, które zlewały się na horyzoncie z taflą morza, tworząc jednolitą płaszczyznę. Na tle tego grafitu pojawiały się delikatne, jaśniejsze chmury, jakby ktoś rozsypał sól na szkle. Deszcz siąpił monotonna już chyba od kilku godzin. Wyrzesałam przez okno, na promenadzie tylko nieliczni skuleni turyści dokądś spieszyli. A takie miałam wycieczkowe plany, i co z nimi? Postanowiłam pójść do jakiejś knajpki na śniadanie. Ubrałam się, zarzuciłam na siebie kurtkę przeciwdeszczową, rozpostarłam parasol i wyszłam na promenadę. Szybko podjęłam decyzję – pójść do restauracji, w której widziałam Maksa. Albo raczej kogoś do niego podobnego.

Krażyłam przez chwilę po promenadzie, nie mogłam sobie przypomnieć, w którym to było miejscu. W końcu trafiłam. Wnętrze było urządzone w stylu skandynawskim. Jasne, przestronne. Dominowała w nim biel ścian i duże okna wykonane z jasnego drewna. Na suficie spękane, odnowione drewniane belki, z których zwisały metalowe, fabryczne lampy. Stoły i krzesła stylizowane na stare, bielone w stylu *shabby chic*, przykryte niewielkimi lnianymi serwetami, z bukietami polnych kwiatów w pękatach ceramicznych lub metalowych dzbankach z towarzyszącymi im grubymi świecami w cynowych lichtarzach. Krzesła wyściełane takim samym lnem, z którego uszyto serwety, na podłodze naturalne, jasne deski. Ściany z chropowatym białym tynkiem ozdobiono dużymi, czarno-białymi fotografiami, które przedstawiały morze o różnych porach roku i dnia oraz brzeg morski o fascynujących kształtach. Zdjęcia były przepiękne, w większości tajemnicze, mroczne, zawierające w sobie jakiś niepokój. Ciekawe, kto był ich autorem. Nagle na jednej ze ścian spostrzegłam fotografię przedstawiającą znajomy krajobraz. W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, co to za miejsce, ale tak, to przecież kościółek na urwisku, który oglądałam z Maksem! Zdjęcie zrobiono chyba tuż przed burzą, na niebie kłębiły się ciemne, posępnie wyglądające chmury. Jedyne światło, jakie był w stanie przedrzeć się przez tę zasłonę, padał dokładnie na wieżę kościelną. Sprawiało to wrażenie, jakby jakieś boskie moce pokierowały właśnie tam to światło. Niesamowite! Ale kto wykonał to zdjęcie i dlaczego wisi akurat w tym miejscu, na Föhr? Czyżby jednak miało to coś wspólnego z Maksem? Może to jednak jego widziałam dwukrotnie? Byłby to niesłychany zbieg okoliczności.

Usiadłam przy stoliku pod oknem, zamówiłam moją ulubioną latte macchiato i kanapkę z szynką. Delektowałam się śniadaniem i przyglądałam się gościom restauracji. Byli to turyści, którzy z powodu deszczu szukali spokojnego schronienia pod dachem. Jedli lody, pili kawę,



toczyli spokojne rozmowy. Nie było ich zresztą zbyt dużo, pora dnia była jeszcze dość wczesna.

Nagle kanapka uniesiona w mojej dłoni zawisła w powietrzu, siedziałam oniemiała z otwartymi ustami i nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Z zaplecza wyszedł Maks i rozmawiał z kelnerem. Stali po przeciwległej stronie sali. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że jeżeli nie wykonam żadnego ruchu, Maks znowu rozplynie się w powietrzu, zniknie. Gwałtownie poderwałam się z krzesła, szybkim krokiem przeszłam przez salę i stanęłam obok rozmawiających mężczyzn. Maks stał do mnie tyłem i przyciszonym głosem tłumaczył coś po niemiecku kelnerowi.

– Maks? – zapytałam drżącym głosem. – To ty?

Gwałtownie nabrał powietrza i znieruchomiał na chwilę, po czym odwrócił się w moją stronę.

– Zuza? – Chwila ciszy. – Co ty tutaj robisz? – Wpatrywał się we mnie przenikliwym wzrokiem. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– Przyjechałam tu do pracy, do sanatorium reumatologicznego. Zaczynam jutro. A ty co tutaj robisz?

– Podobnie. Pracuję – odpowiedział bez cienia uśmiechu na twarzy.

– Co za niesamowity zbieg okoliczności! Masz wolną chwilę? Może byśmy porozmawiali? Siedzę przy tamtym stoliku pod oknem, może się przysiądziesz? – zapytałam z nadzieją w głosie.

Mina Maksa przypominała tę z wypadku rowerowego. Była zacięta i wroga.

– Nie mam zbyt wiele czasu. Pracuję tu.

– Aha, rozumiem. – Poczulałam się bardzo zawiedziona, wypełnił mnie głęboki żal i rozczarowanie. Tak bardzo ucieszyło mnie to spotkanie, było takie niespodziewane, wręcz niemożliwe. A dla Maksa byłam widocznie intruzem. Chochlik się pokazał! Kiwał głową ze współczuciem. Dawno go nie było.

– A może spotkamy się później, jak będziesz wolny? Porozmawiamy? – Nadzieja jeszcze mnie nie opuszczała.

– Pracuję do późna, jestem bardzo zajęty – odpowiedział głosem niewyrażającym żadnych emocji.

– Nie będę ci więc przeszkadzać. Przyjemnej pracy. – Odwróciłam się i ruszyłam w stronę mojego stolika. Czulałam się zawiedziona. Czego się właściwie spodziewałam? Po odebraniu wiadomości ode mnie nie zadzwonił, nie skontaktował się ze mną. Widocznie nie czuł takiej potrzeby. A ja się tak nim fascynowałam. Co ja mam ostatnio z tymi mężczyznami? Lata posuchy i spokoju, a teraz takie emocje i upokorzenia. Nigdy ich nie zrozumieć. Widocznie dlatego jestem sama.

Miałam wrażenie, jakbym otrzymała siarczysty policzek. Podeszłam do stolika, chciałam usiąść, żeby dokończyć śniadanie, ale się rozmyśliłam. Wybiegłam na zewnątrz. Deszcz nadal siąpił, a ja zostawiłam w środku parasol. Ale nie chciałam po niego wracać. Chciałam być jak najdalej stąd. Ruszyłam szybko, kierując się w stronę mojego mieszkania. Mokre włosy przykleiły mi się do twarzy. Byłam zła, rozczarowana, smutna. Upokorzona! I zlekceważona! Niech wszyscy mężczyźni zapadną się pod ziemię!

\*

Stał jak skamieniały. Spotkanie Zuzy w tym miejscu było dla niego szokiem. Prędzej spodziewałby się Ingrid niż jej. To fakt, zbyt często o niej myślał, o Zuzie, a nie chciał tego. Dlatego wyjechał. Nie musiał tu być. Interes kręcił się dobrze, nie musiał go doglądać. Miał dobry personel, sprawdzony. Wystarczyłoby, że pojawiłby się tutaj raz na pół roku, ale zawsze

lubił Föhr. To Ingrid nie chciała tu przyjeżdżać, twierdziła, że się tu dusi, że wyspa jest za mała, że poza sezonem można się tu zanudzić. Taka była. Więc przyjeżdżał zazwyczaj sam, na krótko, ale zawsze z żalem stąd odjeżdżał. Kiedy Ingrid odeszła, bywał częściej, zostawał na dłużej. Miał tu dom, który kochał. Stary dom po dziadkach, taki z duszą. Nie zmienił w nim wiele po ich śmierci. Wiązało się z tym miejscem wiele wspomnień. A teraz nagle Zuza, tutaj.

Wyjechała bez pożegnania, jakby chciała od niego uciec. To bolało. I nadal boli, mimo że znali się tak krótko. Mogła zostawić jakąś wiadomość, odszukać go. Faktem jest, że gdyby chciał, sam by ją znalazł. Mógł zdobyć jej adres i telefon choćby w recepcji, mógł użyć swoich wpływów, gdyby mu odmówiono. Ale za bardzo czuł się urażony. Nie chciał pokazać samemu sobie, że znowu zaczęło mu zależeć. Nie chciał tego.

A teraz odeszła, urażona. Nie zachował się jak gentleman. Zlekceważył ją, postąpił paskudnie. Widział, jak wybiega z lokalu. Chciał ją dogonić, ale coś trzymało go w miejscu. A może popełnił błąd? Może warto było porozmawiać, wyjaśnić, co takiego się stało, że tak szybko wyjechała? Będzie musiał ją odnaleźć. Nie będzie to na szczęście trudne, sanatorium reumatologiczne w Wyk jest tylko jedno. Tylko czy będzie chciała z nim rozmawiać?

\*

Pierwszy dzień w pracy minął na sprawach organizacyjnych. Administratorka obiektu, pani Angela König, oprowadziła mnie po budynku, zapoznała z personelem i moimi nowymi obowiązkami. Praca tutaj zapowiadała się na bardziej przyjemną i mniej męczącą niż w Polsce. Zdecydowanie mniej obowiązków i mniej godzin pracy. Codziennie po piętnastej będę wolna. Bez dyżurów! To fantastyczne! I zarobki bez porównania większe. Jednym słowem, szykują mi się trzymiesięczne wakacje. I wszystko byłoby dobrze, gdyby Maks nie burzył tej idylli. Po spotkaniu z nim w restauracji nie mogłam spać całą noc. Sniły mi się jakieś koszmary, ktoś mnie gonił, z kimś się sprzeczałam. Na szczęście nie pamiętałam tego dokładnie po przebudzeniu, ale wstałam wymęczona, z sińcami pod oczami i nawet mocna kawa nie przywróciła mi do życia. Nie wiem, jakie wrażenie wywarłam na personelu sanatorium, ale mam nadzieję, że następne dni będą lepsze. Maks jasno określił swój stosunek do mnie i sprawa na tym była zakończona. Nie będę więcej gościem tej restauracji, a na ulicy, nawet jeżeli się spotkamy, możemy udawać, że się nie znamy. To nic, że czuję się podle, upokorzona i zlekceważona. Trudno, to nie koniec świata. Z czasem zapomnę.

Zabrałam się za swoje lekarskie obowiązki. Zapoznałam się z listą pacjentów, część z nich przebadalam, zleciłam dodatkowe zabiegi lub leki. Początkowo niezbyt pewnie radziłam sobie z językiem niemieckim, ale im więcej rozmawiałam, tym bardziej się rozkręcałam. Większość pacjentów to emeryci, przyjaźnie nastawieni, i nawet kiedy brakowało mi jakiegoś niemieckiego słowa, pomagali jak mogli. Nie zauważyłam, kiedy wybiła piętnasta. Opuszczałam budynek w dobrym nastroju. Przewidywałam, że nie będę żałowała swojej decyzji.

Kiedy wyszłam na zewnątrz, zobaczyłam Maksa. Siedział na kamiennym murku przy schodach. Zatrzymałam się zaskoczona, patrzyłam na niego bez słowa. Pomyślałam, że jeżeli szybko się nie odezwie, pójdę dalej.

– Cześć, Zuza – powiedział niepewnie, wstając z miejsca. – Chciałem cię przeprosić za moje wcześniejsze zachowanie. Moglibyśmy porozmawiać?

– O czym? – Nie kryłam smutku i irytacji.

– O nas.

– Nie ma żadnego „nas”.

– Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego tak nagle wyjechałaś.

– Zostawiłam ci przecież wiadomość i numer telefonu. Gdybyś wtedy po mnie przyjechał,

wiedziałbyś.

– Przyjechałem! Nie było żadnej wiadomości! – Na jego twarzy malowało się wzburzenie i konsternacja.

– Jak to? – Teraz ja byłam zaskoczona.

– Chyba jednak powinniśmy porozmawiać. Chodźmy, tu niedaleko jest przyjemna kawiarnia, porozmawiamy w spokoju.

Miejsce rzeczywiście było kameralne, przytulnie urządzone. W tle cicho grała muzyka (chyba Michael Bublé), pojedyncze stoliki były zajęte. Maks zamówił dla nas kawę.

– Opowiesz, co się wtedy stało? – zapytał, patrząc mi w oczy wyczekująco.

– Kiedy wróciłam do hotelu, zadzwoniła moja córka z wiadomością, że syn miał wypadek na motorze i leży w szpitalu nieprzytomny. Spakowałam się więc natychmiast i niezwłocznie wyjechałam.

– Masz dzieci? – zapytał, jakby to było coś dziwnego.

– Tak, dwudziestodwuletnie bliźniaki – Jagnę i Antka – odpowiedziałam mimochodem. –

Wracając do tamtego dnia: napisałam ci kartkę, wyjaśniłam, że muszę pilnie wyjechać z powodów rodzinnych, i zostawiłam mój numer telefonu. Powiedziałam recepcjoniście, że przyjedziesz, podałam nawet twoje imię i nazwisko i prosiłam o przekazanie tej informacji. Sprawiał wrażenie niezbyt zadowolonego, ale powiedział, że ci przekaże.

– Kiedy przyjechałem po ciebie przed dwudziestą, w recepcji była kobieta. Prosiłem o sprawdzenie, czy nie zostawiłaś dla mnie jakiejś informacji. Szukała i stwierdziła, że niczego nie ma.

– A ja myślałam, że się nie pojawiłeś, dlatego nie było od ciebie telefonu. – Smutno było mi to mówić. – Szukałam cię nawet na portalach społecznościowych, ale jakbyś się pod ziemię zapadł.

– Myślałem, że uciekłaś – powiedział ze smutkiem w głosie.

– Prawie cię nie znałam, dlaczego miałabym uciekać?

– Masz też męża? Jesteś z kimś związana? – zapytał z niepewnością w głosie.

– Nie, już nie mam nikogo. A ty? – Czułam narastające napięcie.

– Jestem sam. Dzieci też nie mam. – Cały czas w jego głosie pobrzmiewał smutek. –

Mam nadzieję, że z synem wszystko w porządku?

– Na szczęście skończyło się na złamaniach i potłuczeniach, bez poważniejszych obrażeń. Kilka tygodni trwała rekonwalescencja, ale jak to z młodymi bywa, jak tylko wydobrzał, zaraz wyfrunął z gniazda. W tej chwili są z siostrą i znajomymi w Hiszpanii na winobranii. A skąd ty się tu wzięłaś?

Maks zawahał się przez chwilę. Przez moment myślał nad odpowiedzią.

– Mówiłem ci, że jestem kucharzem. Mam tu pracę.

– Ale akurat na Föhr? – Nadal nie mogłam uwierzyć.

– Powiedzmy: powiązania rodzinne. A ty jak się tu dostałaś?

– Moja przyjaciółka ze szkoły mieszka tu razem z mężem. Ona pracuje w tym sanatorium w administracji. Jedyne lekarz reumatolog wyjechał na trzymiesięczny urlop, a ona pomyślała o mnie na zastępstwo. I oto jestem!

– I co? Uważasz, że tu jest nudno? Nie dusisz się tutaj? – Przyglądał mi się uważnie.

– Skąd to pytanie? – zdziwiłam się. – Jestem tak oczarowana wyspą, że aż dech mi zapiera. A niewiele do tej pory zobaczyłam. Wczoraj planowałam pozwiedzać okolicę na rowerze, ale deszcz i spotkanie z tobą pokrzyżowało mi plany.

Maks uśmiechnął się, jakby poczuł ulgę.

– Wybacz mi, proszę, czułem się zraniony. – Delikatnie wziął mnie za rękę, kciukiem

przesuwał po kostkach, bawił się moimi palcami. – Odezwały się niezabliźnione rany. Znałem cię krótko, ale zafascynowałaś mnie. Nie mogłem przestać o tobie myśleć. Znalazłbym cię, gdybym chciał, w hotelu mieli przecież twoje dane. Ale byłem przekonany, że mnie zlekceważyłaś. Byłem tak wzburzony, kiedy cię nie zastałem, że cisnąłem bukiet, który dla ciebie miałem, i wybiegłem bez zastanowienia z hotelu. Trafiłem do baru, gdzie upiłem się w sztok. Nie myśl o mnie źle, nie zdarza mi się to często. A potem, przez następne dni, przepełniała mnie taka złość i tak się nad sobą rozżalałem, że nie mogłem się niczym zająć. Ciągle myślałem o tobie. Dlatego tu przyjechałem. Żeby zapomnieć. I proszę! Kogo tu spotkałem? Ciebie!

Zza wolnego krzesła wyrżał Chochlik z rozdziawioną buzią. Ślinił się.

– Miałeś dla mnie kwiaty? – Wypełniała mnie czułość. Co się dzieje, chyba zaraz się rozpadnę na kawałki. Przykryłam drugą ręką dłoń Maksa, delikatnie ją głaszcząc. Czułam energię przepływającą między nami. – Ja też ciągle o tobie myślałam. Widziałam cię tutaj dwukrotnie po moim przyjeździe. Raz przez szybę w restauracji, a drugi raz minąłeś mnie na rowerze. Zawołałam cię nawet, ale tak pędziłeś, że mnie nie usłyszałeś. Zresztą wtedy jeszcze nie byłam pewna, że to ty. Dopiero kiedy zobaczyłam w restauracji zdjęcie kościółka na urwisku, wiedziałam, że się nie mylę. Ty zrobiłeś to zdjęcie?

– Wszystkie! – Minę miał przeszczęśliwą, jak chłopiec, który zbudował wysoką wieżę z klocków Lego.

– Jesteś więc wszechstronnie utalentowany, Maksie Weber. Są piękne. Nie wiem tylko, jak gotujesz.

– Przekonasz się – odpowiedział. Podniósł moją dłoń i patrząc mi w oczy, delikatnie pocałował jej wnętrze. Poczulałam rozlewające się ciepło daleko od mojej dłoni. Hmmm... Co się ze mną dzieje? Przecież nie mam nastu lat, żeby tak reagować. Ale niech nie przestaje, chcę to czuć, niech nie przestaje!

W tle Rod Stewart śpiewał *I Love You, Yes I Do*. Wpatrywałam się w Maksa. Wyglądał wspaniale. Postawny, opalony, z lekko zmierzwionymi, ciemnymi włosami, w błękitnej koszulce polo i niebieskich dżinsach. Jego dłonie były takie męskie, a jednocześnie delikatne. W kącikach oczu zaznaczały się drobne, nieopalone zmarszczki, które dodawały mu tylko uroku. Wpatrywał się we mnie swoimi szaroniebieskimi oczami i uśmiechał delikatnie. Po raz pierwszy widziałam jego uśmiech. Gdzie podział się ten mroczny, irytujący Maks?

Nachyliliśmy się do siebie jednocześnie. Poczulałam nieodparte pragnienie, aby dotknąć jego ust. Przejechałam po nich kciukiem. Właściwie to ja go pocałowałam, a może zrobiliśmy to jednocześnie? Cały czas patrzyliśmy sobie w oczy. Świat wokół przestał istnieć. Ta chwila trwała i trwała. Nieważne było, czy ktoś nam się przygląda, nic mnie w tej chwili nie obchodziło. Smakował kawą i czymś jeszcze... subtelnym, dobrym. Nie wiem, co to było, chyba po prostu Maks.

Pierwszy odsunął się ode mnie, nie puszczał nadal mojej dłoni. Patrzył na mnie z czułością. Nie mogę uwierzyć, że to właśnie mnie się przytrafia. Przecież we mnie nie ma niczego szczególnego. Szara mysz. Nie będę się nad tym teraz zastanawiała.

– Skoro jesteś tak zafascynowana wyspą, to musisz ją trochę pozwiedzać. Wybierzemy się na rowerową wycieczkę. Dzisiaj nie pada, a ja obiecuję nie sprawiać kłopotów. Co ty na to? – zapytał z energią, potrząsając lekko moją dłońią.

– Zgadzam się! Muszę się tylko przebrać i coś zjeść.

– W takim razie najpierw pójdziemy do mojej restauracji, ugotuję szybko coś dla ciebie, a potem się przebierzesz.

– Ugotujesz dla mnie? A nie musisz dzisiaj pracować? – Przepełniała mnie radość.

– Zrobię sobie wolne – odpowiedział z szelmowskim uśmieszkiem. – I zjem razem z tobą.

Zgoda?

– Zgadzam się na wszystko. – Uśmiech nie schodził mi z twarzy.

Nie zauważyłam wcześniej nazwy restauracji. Nazywała się Mathilde. Imię kobiece, czarujące. Zaprowadził mnie do kuchni, gdzie wszyscy uwijali się, bo na sali było sporo gości. Przy barze postawna kobieta szykowała drinki, uśmiechnęła się do nas ciepło. Kucharze witali się z Maksem, prosili go, żeby spojrzał na to czy owo danie. Zachowywali się swobodnie, ale wyczuwało się z ich strony szacunek. Przeszliśmy do bocznego pomieszczenia, gdzie znajdowała się mała kuchnia, stół z czterema krzesłami i wielka dwudrzwiowa lodówka. Maks odsunął dla mnie krzesło, pomógł mi usiąść i nalał lampkę białego wina.

– Na co masz ochotę? – zapytał.

„Żebyś ty wiedział na co” – pomyślałam.

– Zdaję się na ciebie. – Pominęłam to, co pomyślałam.

Maks przepasał się długim fartuchem i zaczął krzątać się po kuchni. Podśpiewywał przy tym do muzyki, która dochodziła do nas z głównego pomieszczenia. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, zadowolonego. Postukiwał garnkami, podrzucał jakieś smażone produkty na patelni, siekał, kroił, solił i pieprzył. Wszystko wokół niego zdawało się wirować. Czysta energia. Po chwili postawił na stole dwa talerze z cudownie pachnącą potrawą.

– Roladki indyjskie z kurkami i sałatka z roszponki z serem rokopól, avocado, gotowanymi ziemniaczkami i grejfrutem, posypana prażonymi pestkami dyni i świeżą kolendrą. Smacznego.

I znowu na jego twarzy wykwitł ten chłopięcy uśmiech. Zaczęłam jeść, delektując się każdym kęsem. Potrawa była wspaniała, smaki dopełniały się wzajemnie, mięso było delikatnie kruche, sałatka przyprawiona wyśmienicie. Jednym słowem – rozkosz na podniebieniu. Maks zajadał swoją porcję i wpatrywał się we mnie wyczekująco.

– I jak? Smakuje? – zapytał niecierpliwie.

– Jest doskonałe. Jesteś artystą w dwóch dziedzinach – kulinariach i fotografii. Obie opanowałeś do perfekcji.

I ponownie ten chłopięcy uśmiech od ucha do ucha. Pełne samozadowolenie. Lubi pochlebstwa. I jest szczęśliwy, przynajmniej w tej chwili.

– Szefie, przyjechał nowy dostawca owoców morza. – Do naszej kuchenki wparował mały, grubawy kucharz w przekrzywionym czepku na głowie i z zarumienioną twarzą. – Nie mamy jeszcze z nim podpisanej umowy. Czy szef z nim porozmawia, czy Peter albo Teresa mają się tym zająć?

– Myślę, że Peter doskonale sobie poradzi. Mnie dzisiaj nie ma – odpowiedział Maks tonem nieuznającym sprzeciwu.

– Tak jest, szefie. – I zniknął za drzwiami.

– Jesteś ich szefem? – zdziwiłam się.

– Jest kilku głównych kucharzy, ja mam dzisiaj wolne – padła wymijająca odpowiedź.

– Mówisz bardzo dobrze po niemiecku, jak rodowity Niemiec. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Mój ojciec był Niemcem, mama Polką. Weber to niemieckie nazwisko. Mam więc dwa ojczyście języki.

Po zjedzeniu całej porcji zaserwowanej przez Maksa (wylizałabym też talerz, ale to chyba byłby wstyd) oparłam się z rozkoszą o oparcie krzesła, wyciągnęłam przed siebie nogi, splotłam ręce na brzuchu i oddałam się błogiemu lenistwu, wzdychając od czasu do czasu. Opuściły mnie siły. Maks siedział po drugiej stronie stołu i z zadziornym uśmiechem przypatrywał mi się.

– Miałem w planie wybrać się z tobą na rowerowe zwiedzanie wyspy, ale nie wiem: czy w tym stanie dasz radę? – zapytał, mrużąc oczy.

– Daj mi piętnaście minut i mocne espresso, a będę jak nowo narodzona – zamruczałam.

Dziwne, znam go tak krótko, a właściwie: tak mało, a czuję się w jego towarzystwie tak swobodnie. Nie wiem, czy to zasługa pełnego żołądka (przecież to raczej działa na mężczyzn) i tej lampki wina. Nie czuję skřępowania, zresztą wcześniej, jeszcze w Polsce, też go nie czułam. Na początku była złość, potem zafascynowanie, a po naszym rozstaniu – żal. A co odczuwam teraz? Zadowolenie? Bliskość? No, no, Zuza, nie rozpędzaj się tak.

– Wypij kawę i śmigamy, bo trzeba wykorzystać piękną pogodę – powiedział, stawiając przede mną małą filiżankę z aromatycznym, parującym naparem. Hmm, to jest to!

Wzięliśmy rowery zaparkowane z tyłu restauracji. Maks miał swój, a dla mnie pożyczył rower jednej z pracownic. Na szczęście ubrałam się do pracy na sportowo, w dżinsy i wygodne buty, mogłam więc swobodnie jechać, nie musiałam się przebierać. Byłby komiczny widok, gdybym założyła szpilki i wąską spódnice, które miałam w planie wcześniej. Miss Piggy na rowerze, tylko przefarbowana na ciemno! I szczuplejsza! O matko kochana!

Szybko przejechaliśmy uliczkami Wyk, nie zatrzymując się nigdzie. Obraliśmy kierunek do Nieblum. Po drodze minęliśmy lokalne lotnisko dla małych awionetek i helikopterów, za nim pole golfowe. Jeszcze dalej, zza niewielkiego lasu, wyłoniły się przepiękne domy, widać było, że bogatych właścicieli, położone na rozległych posesjach na pagórkowatym terenie. Tworzyły bardzo malowniczy widok. Fajnie byłoby tam mieszkać, ale nie narzekaj, Zuza, mogłaś mieć gorzej.

Po krótkiej jeździe świetnie utrzymaną ścieżką rowerową dotarliśmy do malowniczego miasteczka czy raczej osady – Nieblum. I znowu zapało mi dech w piersiach. Czułam, jakbym się znalazła w wiosce Hobbitów. Po obu stronach wyłożonej brukiem wąskiej drogi usytuowane były niskie domki ze spadzistymi dachami pokrytymi strzechą. Dachy były opływowe, bez ostrych kantów, z małymi, półokrągłymi okienkami od frontu. Elewacje domów, białe lub z surowej cegły, z małymi oknami ze szprosami, harmonizowały z okalającą je roślinnością. Drzwi, zakończone półokrągło, były tak niskie, że Maks prawdopodobnie musiałby się pochylić, żeby przez nie przejść. Niebieskie lub czerwone okiennice były jak ta wisienka na torcie. Ogródki były okolone przez murki z polnych kamieni, z których malowniczo zwisały skalne rośliny. Białe, drewniane furtki i bramy broniły wejścia na posesje, zazwyczaj jednak były szeroko otwarte.

Zatrzymałam się na poboczu, żeby lepiej przyjrzeć się uliczce, usta same mi się uśmiechały. Maks zatrzymał się obok, oparł rękę na moim ramieniu i wpatrywał się we mnie, nieco zdziwiony.

– Podoba ci się tutaj? Lubisz takie klimaty? – zapytał zaintrygowany.

– Uwielbiam – odpowiedziałam pogodnie, zachwycona tym, co widziałam przed sobą, ale miałam wrażenie, że w pewien jemu tylko wiadomy sposób mnie testuje. Wydawał się zadowolony z odpowiedzi.

Ruszyliśmy w stronę widocznego z oddali kościoła zbudowanego z czerwonej cegły. Wewnątrz odbywał się koncert – trio: flet boczny, skrzypce i pianino. Trzy kobiety wykonywały nieznanne mi utwory, chyba z epoki Bacha. Usiedliśmy w ławce, Maks wziął mnie za rękę, bawił się w zamyśleniu moimi palcami. Kątem oka obserwowałam jego twarz. Wydawał się pod urokiem muzyki, ale raczej nieobecny duchem. Coś w nim siedzi mrocznego, trochę mnie to przeraża. Te napady irytacji z niewiadomego albo może niezrozumiałego dla mnie powodu, to sprawdzanie mnie, jakby nie dowierzał mojej szczerości. Intryguje mnie, ale zarazem niepokoi. Oj, Zuza, znowu szukasz dziury w całym. Uważaj, bo drobne pogubisz!

Robiło się późne popołudnie. Słońce schodziło coraz niżej, ale powietrze było nadal ciepłe, przyjemne. Ruszyliśmy w stronę plaży, drogą przez las. Po pokonaniu pagórka zobaczyłam morze, a właściwie morską pustynię. Była pełnia odpływu. Nigdy chyba nie

przestanę się fascynować tym widokiem. Kilka osób przechadzało się po plaży. Usiedliśmy na wydmie w milczeniu, Maks objął mnie ramieniem. Nie mieliśmy potrzeby rozmowy. Czułam niesamowity spokój, pełną symbiozę z naturą. Ale czy ta intymność między nami nie jest za szybka? Właściwie wcale się nie znamy. Maks wie o mnie trochę, ale ja o nim nic.

– Opowiedz mi o sobie – poprosiłam.

Zesztywniał, zdjął rękę z mojego ramienia, objął podkurczone kolana, wpatrując się w dal.

– Nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Ot, zwykłe życie – odparł niechętnie.

– Byłeś żonaty?

– Tak, kilka lat temu miałem żonę, ale odeszła do innego. Taka banalna historia, niewarta wspomnień.

– Zraniła cię. Kochałeś ją? Jak miała na imię? – drażylałam dalej.

– Ingrid. I nie mówmy o tym więcej. Chodź, ruszamy. Niedługo będzie ciemno, a mamy jeszcze kawałek drogi przed nami.

Ożeż! Ingrid! Jak bohaterka opowieści znalazła urwiska! Czy to była jego historia przeniesiona w inne czasy, czy tylko zbieżność imion? Nie teraz, Zuza, nie teraz. Nie bądź raptus. Daj mu czas.

Nie rozmawialiśmy po drodze, każde było zagłębione w swoich myślach. Kiedy dojechaliśmy do Wyk, ruszyliśmy w kierunku sanatorium. Gdy tylko rozpoznałam okolicę, poprowadziłam nas do mojego mieszkania. Ściemniało się, kiedy stanęliśmy przed bramą.

– Wejdiesz? – zapytałam z wahaniem. – Nie mam wprawdzie czym cię dziś poczęstować, bo nie zdążyłam zrobić zakupów, ale herbata i sok się znajdują.

Zawahał się na chwilę.

– Chętnie. – Jego marsowe oblicze rozjaśnił lekki uśmiech. – Nie jesteś zmęczona? Może chcesz odpocząć?

– Nie jest ze mną tak źle. Nad Bałtykiem miałam ostry trening, taka wycieczka jak dzisiaj to dla mnie pikuś – powiedziałam, otwierając jednocześnie drzwi.

Weszliśmy do mieszkania. Maks rozglądał się po wnętrzu, nie było tam nic ciekawego. Kilka prostych mebli z Ikei (na szczęście lubię ten styl), żadnych osobistych drobiazgów. Przez otwarte drzwi widać było niezaścielone łóżko (zaspiałam po nieprzespanej nocy), porzucane części mojej garderoby. W pośpiechu zgarnęłam rzeczy do szafy, przeszłam do kuchni, żeby przygotować coś do picia.

Maks cicho podszedł do mnie, położył ręce na moich ramionach, powoli odwrócił mnie do siebie. Wyjął z moich rąk butelkę soku i szklankę, odstawił je na blat kuchenny. Objął dłońmi moją twarz i nachylił się nade mną. Serce najpierw mi zamarło w piersiach, a po sekundzie zaczęło łomotać, jakby chciało eksplodować. Wiedziałam, co się za chwilę stanie, i nie miałam zamiaru protestować. Chochlik stał z rozdziawioną gębą i wywalonym do podłogi językiem.

Maks powoli mnie pocałował. Objęłam jego głowę i przyciągnęłam go bliżej do siebie. Stawaliśmy się coraz bardziej natarczywi, nie wystarczały już subtelne pocałunki. Nagromadzone w nas od kilku godzin pragnienie chciało znaleźć ujście. Całował coraz bardziej namiętnie. Jedną ręką przytrzymał mój kark, drugą sięgnął pod bluzkę, głaszcząc moje plecy. Rozkoszne dreszcze rozchodziły się po moim ciele. Złapałam jego koszulkę i zaczęłam niezdarnie ściągać ją z niego. Pomógł mi, widząc moją nieudolność. Wpatrywał się we mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem, tym razem przepełnionym dodatkowo pożądaniem.

Potykając się, przedostaliśmy się do sypialni. Ciepłe światło latarni ulicznej wpadało do pokoju, rozjaśniając go żółtą poświatą. Stanęliśmy przy brzegu łóżka, Maks odsunął mnie nieco od siebie.

– Jesteś pewna? Chcesz tego? – zapytał zachrypniętym głosem.

Byłam w stanie tylko kiwnąć głową. Patrzyłam na jego nagi, opalony tors. Nie miał czego się wstydzić, był dobrze zbudowany, wysportowany, niejeden dwudziestolatek mógłby mu pozazdrościć.

A co ze mną? O mamę moja, dobrze, że jest takie słabe oświetlenie. A jak mu się nie spodobał? A co będzie rano? Rozczaruję go? Zuza, wrzuc na luz! Patrząc mu w oczy, powolnym ruchem zdjęłam bluzkę. Dobrze, że jestem fanką ładnej bielizny. Widziałam jego skupiony na mnie wzrok. Nie śpiesząc się, odpięłam stanik i upuściłam go na podłogę. Maks wciągnął głośno powietrze, oblizwał usta. Gwałtownie zbliżył się do mnie, całując mnie łapczywie. Szybkim ruchem położył mnie na łóżku, przygniatając swoim ciałem. Jego dłonie błądziły po mojej nagiej skórze, wywołując we mnie dreszcze, czułam narastające ciepło i mrowienie w dole brzucha, miałam wrażenie, że za chwilę się rozpadnę.

Szybkim ruchem zdjął ze mnie spodnie, potem swoje. Byliśmy nadzy. Nie czułam skrzepowania, jedynie ogromne pożądanie. Chciałam go już, teraz, natychmiast. Jego szybki oddech świadczył o podobnym pragnieniu. Nagle pochylił się powoli nad moimi udami, całując moje najintymniejsze miejsca. Czułam, jakbym szybowała po niebie, chciałam jeszcze i jeszcze, a jednocześnie pragnęłam eksplozji. Pociągnęłam go gwałtownie do siebie, błądziłam rękoma po jego całym ciele, całując go agresywnie, natarczywie, bezładnie, szepcząc mu do ust jego imię. Oboje zatraciliśmy się zupełnie w naszych pieszczotach. Chciałam poznać każdy centymetr jego ciała, jednocześnie cały czas czując zdziwienie, że mogę. Kiedy poczułam go w sobie, po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę, że pragnę go tak intensywnie, jak jeszcze nigdy nikogo. Czytałam wielokrotnie o tym uczuciu, ale wydawało mi się to wymysłem wygłodniałych pensjonarek. A teraz – proszę!

Zacząłam gwałtownie się poruszać, chcąc poczuć spełnienie natychmiast. Maks nagle znieruchomiał, uniósł się nieco na łokciach, spojrzął na mnie jakby z lekkim zdziwieniem, oparł czoło o moje, zaczerpnął głęboko powietrza.

– Maks, proszę! – Poruszałam się pod nim niespokojnie. Nie mogłam znieść tego bezruchu, był dla mnie torturą.

Następne chwile były dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Seks uważałam zawsze za przyjemność, ale bez przesady, nieco przereklamowaną. Żadnego trzęsienia ziemi, wybuchających gwiazd na niebie i tym podobnych. Tym razem poczułam się oszołomiona. Jakby eksplodowały we mnie miliony drobniutkich igiełek, które, wbijając się we wszystkie zakamarki mojego ciała, wykonują niezmierny masaż, coraz bardziej natarczywy i intensywny, dając w końcu gwałtowne ukojenie.

Poczułam odprężenie połączone z wyczerpaniem. Nie miałam siły podnieść ręki ani poruszyć nogą. Maks przygniatał mnie swoim ciałem, jego twarz spoczywała w zagłębieniu mojej szyi, powoli uspokajał się jego oddech. Po chwili przesunął się na bok, jednocześnie przygarniając mnie do siebie ramieniem. Pocałował czubek mojej głowy, drugą ręką głaskał mnie delikatnie. Objęłam go w pasie, przytulając się mocniej. Pomyślałam, że chciałabym tak trwać i trwać. Nie odezwaliśmy się do siebie, każde zagłębione w swoich myślach. Zanim zasnęłam, poczułam dreszcz niepokoju. Dlaczego?



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zuza spała, oplatając go swoim ciałem jak miś koala. Czuł bijące od niej przyjemne ciepło. To już druga noc, którą spędzają razem. Teraz jednak było to starcie żywiołów. Nie przypuszczałby, że potrafi być taka namiętna. Rozpałała w nim ogień, ale nie było to jedynie pożądanie. Czuł wobec niej tkliwość, ciepło, czułość. Motyle w brzuchu? Czyżby się w niej zakochał?

Z Ingrid było zupełnie inaczej. Fascynowała go jej dominująca osobowość, był dumny z posiadania tak pięknej kobiety. Traktował ją jak własność, jak potwierdzenie swojej męskości. Była drapieżna, przyciągała wzrok innych mężczyzn. Sama ich zresztą prowokowała swoim zachowaniem. Uprawiali bezpruderyjny seks doprowadzający ich do spełnienia, ale po nim każde zamykało się w swoim świecie. Uważał wtedy, że ją kocha. Ale w takim razie co to było teraz? Nigdy czegoś takiego nie czuł. Zuza nie była tak piękna jak Ingrid. Miała jednak w sobie tę skromną kobiecość. Nie prowokowała ani swoim zachowaniem, ani wyglądem. Miała subtelne rysy twarzy, była obdarzona nieagresywną urodą. Im dłużej się z nią przebywało, tym większe wzbudzała zainteresowanie, dostrzegało się więcej szczegółów, stawała się coraz piękniejsza.

Ale czy jest na to gotowy? Czy jest w stanie znowu komuś zaufać? Długo trwało, zanim otrząsnął się po odejściu Ingrid. Jeszcze przed kilkoma dniami wydawało mu się, że nadal ją kocha i tęskni za nią. A teraz? Obraz Ingrid zatarł się nieco, przestawała być ważna, przestawało boleć.

A co, jeżeli pokocha Zużę, a ona go zrani, tak jak Ingrid? Albo bardziej? Poczuł ukłucie głęboko w sercu. I strach. A co z dziećmi? Ingrid była od niego dużo młodsza, zawsze chciał mieć z nią dzieci. To ona odkładała to w nieskończoność, pomimo jego wielokrotnych próśb. Zuza niedługo może zostać babcią, dziećmi go nie obdarzy. Czy nie lepiej zakończyć tę znajomość, zanim będzie za późno? Zanim się zakocha? Poczuł w sobie pustkę.

Zuza delikatnie uśmiechała się przez sen. Wyglądała tak bezbronnie. Powoli wyplątał się z jej objęć. Ubrał się, nie zapalając światła. Czuł się jak złodziej. Zamykając za sobą drzwi, miał wrażenie, że wychodzi z sali kinowej, w której oglądał komedię romantyczną. Teraz pora wrócić do codzienności.

\*

Obudziłam się wczesnym rankiem z niepokojem, że zapomniałam nastawić budzik. Nie, 6.30, mam jeszcze czas. Czułam się zdezorientowana. Moje ciało było lekko obolałe. Maks! Wspomnienie niesamowitej nocy przywróciło mnie do rzeczywistości. Łóżko obok mnie było puste. Może jest w łazience?

– Maks! – zawołałam. Cisza. Może poszedł po bułki, jak wtedy, kiedy pierwszy raz spędziliśmy razem noc? Razem, ale osobno.

Wstałam powoli, przeszłam do saloniku, sprawdziłam łazienkę. Nie było go. Poczułam niepokój, ale szybko go od siebie odsunęłam. Niemożliwe, żeby tak zniknął bez słowa. Nawet nie mogę do niego zadzwonić, nadal nie wymieniliśmy się numerami telefonów. Może jednak zaraz wróci.

Weszłam pod prysznic. Czułam oczyszczające działanie ciepłej wody. Oczyszczające ciało i umysł. Nie mogłam tylko pozbyć się uczucia niepokoju. Ubrałam się, zjadłam śniadanie. Czas mijał, a ja nabierałam coraz większej pewności, że Maks nie wróci. Nie mogłam tego zrozumieć, odczuwałam narastające rozczarowanie, upokorzenie. Czułam się jak dziwka. Chochlik patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami, trzymając się za głowę.

I znowu *déjà vu*. Podobnie jak w czasie wakacji wyczekiwałam Adama, tak teraz przez cały dzień w pracy wypatrywałam Maksa. Ciągle miałam nadzieję, że jest jakieś logiczne wytłumaczenie jego porannego zniknięcia. Nie mogłam się zdecydować, czy pójść do restauracji po pracy i spróbować go odszukać, porozmawiać z nim, czy też unieść się honorem i udać, że ostatnia noc nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Wychodząc z pracy, łudziłam się jeszcze, że będzie na mnie czekał przed bramą, tak jak wczoraj, i sprawa się wyjaśni. Serce biło mi szybko, motyle latały w brzuchu. Nic z tego. Maksa nie było. Stałam bezradnie, nie mogąc się zdecydować, co dalej. Raz kozie śmierć. Niczego nie stracę, jeżeli spróbuję z nim porozmawiać. Jedynie moją dumę.

Po kilku minutach byłam w lokalu.

– Czy zastałam Maksa? – zapytałam młodego kelnera stojącego przy barze.

– Jest w biurze. Tym korytarzem, pierwsze drzwi po lewej – odpowiedział, wskazując palcem kierunek. W głębi stała pracownica Maksa, Teresa, poznałam ją wczoraj. Dziwnie mi się przyglądała, tak jakoś smutno.

Przeszłam przez niewielki korytarz, drzwi po lewej stronie były otwarte, dobiegał z nich kobiecy głos, nie rozróżniałam słów. Podeszłam bliżej, zajrzałam do wnętrza. Zatrzymałam się gwałtownie, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. W głębi pomieszczenia stał odwrócony do mnie tyłem Maks obejmujący w pasie wysoką, szczupłą, piękną blondynkę. Kobieta szeptała do niego czule, muskając ustami jego policzek. Stałam wpatrzona w tych dwoje, nie mogąc oderwać od nich oczu. Nie mogłam oddychać, nogi miałam jak ze stali, jakby były przyspawane do podłoża. Kobieta zauważyła mnie. Na jej ustach pojawił się ironiczny półuśmieszek, zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, spojrzała na Maksa i pocałowała go namiętnie w usta. On nie pozostał obojętny, żarliwie odwzajemnił pocałunek.

No i co, Zuza, na co liczyłaś? Myślałaś, że taki Maks się w tobie zakocha, że będzie cię nosił na rękach, zamieszkać razem w domku z ogródkiem, w oknach powiesicie firaneczki? Że nie będzie cię zdradzał? I że będziecie żyli długo i szczęśliwie? Popatrz na siebie! Co możesz mu zaoferować? Porównaj się z tą kobietą! Daleko ci do niej! Oj, ty głupia Zuzo!

Nagle za mną w drzwiach pojawił się młody kelner.

– Szefie... – Zamilkł natychmiast, widząc załączony obrazek. Maks odwrócił się gwałtownie, nie wypuszczając blondyny z objęć. Spojrzał na mnie i znieruchomiał. Nie czekałam na dalszy rozwój wypadków. Odwróciłam się i wybiegłam z biura. Nie zatrzymałam się, biegnąc przez salę restauracyjną. Wypadłam na ulicę, biegłam dalej, skręcając w małą uliczkę za rogiem, potem w następną małą uliczkę, byle jak najdalej od Maksa. Nikt mnie nie wołał, nikt za mną nie wybiegł.

Rzeczywistość jest smutna. Jeszcze chyba nigdy nie odczuwałam tak skrajnych emocji. Od totalnej euforii po poczucie kompletnej klęski. Czy Maks się mną zabawił? Bzyknął mnie i poleciał na następny kwiatek?

Zatrzymałam się, oparłam plecami o ścianę domu, po chwili zgięłam się wpół. Miałam uczucie, jakby ktoś z całej siły przyłożył mi w brzuch. Nie mogłam złapać tchu. Nagle poczułam gwałtowne, nie do opanowania mdłości. Zwymiotowałam, dopełniając tym moje upodlenie. Na szczęście uliczka była pusta, a przede mną był skrawek trawnika. Czułam zawroty głowy. Nie mdlej, Zuza, nie wygłupiaj się! Zawsze musisz wywijać w najmniej odpowiednich sytuacjach?

Po chwili mój oddech zwolnił, zawroty minęły, wyprostowałam się. Przymknęłam oczy, usiłowałam się uspokoić. Powoli, z opuszczoną głową ruszyłam w stronę domu. Nie wiem, kiedy pokonałam tę drogę. Nie wiem też, o czym myślałam. Chyba o niczym. Byłam zupełnie odrętwiała. Nie spotkało mnie przecież nic strasznego. Można powiedzieć, że wakacyjny romans, przyjemny seks – i na tym koniec. Żadna tragedia. Dlaczego więc czuję się tak podle?

Chwilę męczyłam się z drzwiami, jakbym nie miała siły przekręcić klucza. Kiedy w końcu pokonałam tę złośliwą bestię, zamknęłam je cicho za sobą i poszłam prosto do sypialni. Działalam jak robot. Zaciągnęłam zasłony, zrzuciłam z siebie ubranie, założyłam piżamę, położyłam się do łóżka. Nakryłam głowę kołdrą, leżałam odrętwiała. Jak łatwo pokazać komuś, jak niewiele znaczy.

Ranek zastał mnie chyba w takiej samej pozycji, w jakiej zasnęłam po południu. Przespałam siedemnaście godzin! Czułam się jak na kacu. Bolała mnie głowa i całe ciało. I dusza! Muszę się z tego otrząsnąć. Nie pozwolę mu się skrzywdzić, nie będę więcej przez niego cierpieła. Sprawa z Maksym zamknięta. Definitywnie i nieodwołalnie!

\*

Następne dni mijały powoli. Pomimo że utrzymywała się ładna pogoda, turystów systematycznie ubywało. Czuło się, że lato dobiega końca. Spacerowałam brzegiem morza w pobliżu portu. Obserwowałam trójką żagli windsurfingowych bujające się na falach. Lubiłam patrzeć na przybywające promy, wysiadających pasażerów, niektórych witanych serdecznie przez tych, którzy na nich czekali. Szczególnie upodobałam sobie stojący w pobliżu portu trzymetrowy posąg rubasznego rybaka w kaszkiecie na głowie, z uniesioną prawą ręką, witającego przybyszy. Była to przezabawna, uśmiechnięta postać z perkatym nosem, z lekko zawianym wyrazem twarzy. Rumu za kołnierz nie wylewał. Miejscowi opowiadali turystom, że kto potrze ręką lewy but rybaka i pomyśli marzenie, temu się ono spełni. Nigdy tego nie zrobiłam.

Tęskniłam za Manią. Rozmawialiśmy co kilka dni na Skypie, ale to nie mogło zastąpić naszych spotkań. Opowiedziałam jej o przygodzie z Maksym. Mania, ze swoim filozoficznym podejściem do życia, stwierdziła:

– Zuzka, nie zadręczaj się tak. Pomyśl sobie, że niejedna kobieta w naszym wieku chciałaby przeżyć to, co tobie się przytrafiło. Szkoda, że tak to się skończyło, ale miałaś swoje pięć minut. I ciesz się z tego!

Praca podobała mi się coraz bardziej. Minał prawie miesiąc, zdążyłam polubić niektórych pracowników. Sympatyczna pielęgniarka Manuela pożyczyła mi swój rower. Stwierdziła, że ostatnio tak przytyła, że jej ciało na rowerze mogłoby wprawić przechodniów w zakłopotanie. Dopóki nie schudnie, mogę na nim jeździć. Obserwując jej apetyt, czułam, że mam ten rower dożywotnio. Przemierzałam więc wyspę wzdłuż i wszerz, nie zważając na pogodę. Endorfiny utrzymywały mnie w jakimś takim nastroju. Szerokim łukiem omijałam restaurację Maksa. Nie spotkałam go dotychczas, nie próbował także nawiązać ze mną kontaktu. Nie miałam wątpliwości, że byłam dla niego tylko przygodą i to najwyraźniej niezbyt satysfakcjonującą, skoro nie chciał więcej. A, niech tam.

Na najbliższą sobotę zaprosiła mnie na babskie plotki Balbina. Dawno się z nią nie widziałam, ponieważ wyjechali do Włoch odwiedzić rodzinę Roberta. Wrócili kilka dni temu. Spotkałyśmy się u nich w restauracji. Roberto był bardzo zajęty, bo przygotowywał przyjęcie zaręczynowe na trzydzieści osób, ale do wieczora miałyśmy czas dla siebie. Później będzie potrzebował Balbiny pomocy. Moja przyjaciółka barwnie opowiadała o podróży do południowych Włoch, gestykulując przy tym zawzięcie i naśladując miny Mammy. Śmiałam się do łez. Zawsze miała talent kabaretowy, minęła się z powołaniem, najpierw zostając prawnikiem, a potem zaszywając się na drugim końcu świata. Włosi ze swoim hałaśliwym stylem życia są bardzo wdzięcznym tematem satyrycznych opowieści. Dawno nie czułam się tak odprężona. Chociaż na chwilę oddaliłam od siebie smutne wspomnienia o Maksymie. Nagle Balbina coś sobie przypomniała.

– Zuza, Roberto mówił mi przed wyjazdem, że widział cię z Maksem Weberem przed jego restauracją. Skąd go znasz?

– Poznaliśmy się przypadkiem w Polsce, a dlaczego pytasz? – Czułam, że cały mój spokój ducha odpływa w dal. Pojawił się ucisk w żołądku, galop serca, drżenie rąk.

– No, wiesz, taka partia! – odpowiedziała Balbina, kiwając na boki głową z rozmarzeniem.

– Jaka partia? Niewiele o nim wiem, znamy się przelotnie. Opowiedz mi o nim. – Wypowiadając te słowa, czułam, że za chwilę zabraknie mi tchu, a nie chciałam, żeby Balbina poznała prawdę. Prawdy chciałam się dowiedzieć od niej.

– Nie znam go osobiście, ale mogę ci powiedzieć, co ludzie o nim gadają. Pochodzi z najbogatszej rodziny na wyspie – snuła swą opowieść. – Jego ojciec tu się urodził. Jego dziadkowie mieli dom w Wyk, w dzielnicy bilionerów, jak ja to mówię. Wiesz, w tej w pobliżu pola golfowego. Zresztą Maks odziedziczył ten dom po ich śmierci. Jego ojciec ożenił się z Polką, wyprowadzili się z wyspy. Nie wiem, gdzie mieszkali. Trochę w Polsce, dużo podróżowali po całym świecie. To znana rodzina hotelarzy i restauratorów. Maks studiował coś w Berlinie, chyba hotelarstwo czy jakiś marketing, nie wiem dokładnie. Był żonaty z Niemką, piękną blondynką, nie wiem, jak miała na imię. Zostawiła go kilka lat temu. Byli podobno zamieszani w jakąś finansową aferę, Maks miał nawet jakieś problemy z prawem, ale nie wiem, o co chodziło.

Balbina zrobiła przerwę w opowieści, upiła łyk kawy i przyglądała mi się bacznie.

– Dobrze się czujesz? Jakaś taka blada się zrobiłaś – zapytała z troską i zaniepokojeniem.

– Nic mi nie jest, za dużo kawy dzisiaj wypiałam. Muszę coś zjeść. Zaraz coś zamówię. I co dalej z tym Maksem? – Próbowałam ukryć drżenie głosu.

– No więc ten Maks to dziany facet. Kilka lat temu jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym i Maks odziedziczył wszystko. Był jedynakiem. Na wyspie jest właścicielem domu, o którym ci wcześniej mówiłam, tej restauracji, przed którą widział cię Roberto, i jeszcze hotelu Mistral we Wrixum. Jednego z największych i najładniejszych na wyspie. Restaurację nazwał podobno po swojej babci – Mathilde. Ma jeszcze jakieś restauracje czy hotele w Polsce nad morzem i w Berlinie. Kobiety się za nim uganiają.

– A co z tą jego żoną? – rzuciłam niby od niechcenia. Wzięłam z talerzyka ciastko, ugryzłam kawałek, usiłując sprawić wrażenie, że średnio jestem zainteresowana owym Maksem Weberem.

– Nie wiem, ale podobno widziano ją tu niedawno. Może do siebie wrócili? A ty nie miałaś więcej z nim kontaktów? Nic ci nie mówił?

– Spotkaliśmy się tylko raz na początku mojego przyjazdu, rozmawialiśmy krótko. – Udawałam obojętność. – Więcej go nie widziałam.

– Szkoda, miałabym znajomego bilionera. A może i bilionerkę?

– Balbina, bądź realistką. Tacy mężczyźni jak Maks nie szukają takich kobiet jak ja. Nie ta bajka. Jestem realistką, przynajmniej przez większość czasu – odpowiedziałam pośpiesznie.

Wracałam do domu zamyślona. Znowu powróciły myśli o Maksie. A było już tak dobrze. Nie przyznał się, kim jest naprawdę. Bał się, że go oskubię czy co? Mamusi, litości! Kucharz od czterech boleści! Nie będę o nim więcej myśleć. Niech się cieszy swoim bogactwem, niech mąci w głowach kobietom. Ja mam to już za sobą.

\*

Nadeszła jesień. Początkowo bardzo delikatnie. Zrobiło się pusto na promenadzie, zniknęły z morza żagielki, niebo coraz częściej zasnuwały szarobure chmury. Nawet deszcz stał

się jakby smutniejszy. Otoczenie zaczęło przybierać żółto-złoto-brunatne barwy, z czasem coraz więcej liści opadało z drzew. Pozamykano niektóre restauracje, zniknęły z promenady stoliki z parasolami przeciwsłonecznymi. Czas jakby zwolnił.

Kwitło natomiast życie sanatoryjne. Pobyt jesienią był tańszy, przybyło więcej emerytów. Zazwyczaj byli to sympatyczni, starsi ludzie, często poważnie schorowani, ale łapiący każdą sposobność, żeby poczuć, że jeszcze żyją. Dużą popularnością cieszyły się fajfy – spotkania popołudniowe (*five o'clock*), gdzie można było porozmawiać przy kawie lub herbacie (z dodatkiem słodkości), potańczyć w rytm łagodnej muzyki. Niektórzy kuracjusze podrygiwali nawet w towarzystwie kuli lub chodzika. Nie liczyła się niesprawność, tylko chęci. Na ich twarzach malowało się szczęście. Okruchy młodości. Często zapraszali personel, szczególnie na koniec turnusu. Towarzyszyliśmy im zatem, słuchając swingującej muzyki, prowadząc długie rozmowy, ciesząc się chwilą.

Zaprzyjaźniłam się z pewnym starszym panem o imieniu Andreas, siedemdziesięciolatkiem z Monachium. Miał tam kancelarię adwokacką, którą obecnie prowadził jego syn. Był dziarskim mężczyzną, który wziął sobie za punkt honoru nauczyć mnie płynnie i poprawnie mówić po niemiecku, wyrażać się ładnym, literackim językiem. Zawsze ubrany w elegancki garnitur lub blezer, z fantazyjną muszką pod brodą przychodził często do mojego gabinetu, przynosząc mi jeden kwiatek, za każdym razem inny. Zastanawiałam się, skąd je bierze i kiedy wyczerpie się ich asortyment. Andreas rozmawiał ze mną o swojej młodości, czytał wiersze niemieckich poetów. Uwielbiał poezję. Ja wprawdzie za nią nie przepadam, ale kiedy on ją czytał, stawała się intrygująca. Miał w sobie tyle pogody, optymizmu. Roztaczał wokół siebie pozytywną aurę. Takich mężczyzn już nie ma. Lubili go wszyscy kuracjusze i cały personel. Zawsze był uśmiechnięty. Grał często na fortepianie stojącym w holu. Czasami były to klasyczne utwory, ale często przeboje jego młodości, do niektórych podśpiewywał cicho melodyjnym głosem. Uwielbiałam, kiedy śpiewał *Where Have All The Flowers Gone* z repertuaru The Kingston Trio. Smutna to piosenka, antywojenna. Czasem śpiewał ją po angielsku, a czasem po niemiecku – *Sag mir, wo die Blumen sind*. Podobał się starszym paniom. Zawsze otaczały go wianuszkami, zagadywały, podsuwały łakocie. A on, zawsze uśmiechnięty i szarmancki, adorował je z wdziękiem. Jednak Andreas przez całe życie był wierny jednej kobiecie, swojej żonie. Odeszła przed dwudziestu laty – zmarła na raka. On od tego czasu był sam, nigdy nawet się nie umówił z żadną kobietą. Ach, gdzie ci mężczyźni!

Smutno mi było, kiedy odjeżdżał. Zapraszał mnie w odwiedziny do Monachium. Zostawił swoją wizytówkę. Może odwiedzę go kiedyś w drodze do Toskanii albo Dolomitów?

Dobiegał koniec drugiego miesiąca mojej pracy. Byłam bardzo zadowolona. Smutno mi było myśleć, że za miesiąc będę musiała stąd wyjechać. Ku mojemu zaskoczeniu pani Angela Kraus poprosiła mnie do swojego gabinetu na rozmowę. Okazało się, że mój poprzednik nie zamierza wracać na Föhr co najmniej do wiosny, a może wcale. Pani Kraus powiedziała, że są bardzo zadowoleni z mojej pracy i chcieliby zaproponować mi, abym została do tego czasu. Zatrudni mnie na czas nieokreślony na pełnym etacie, co wiąże się ze znaczną podwyżką pensji. Nie chodziło mi o pieniądze. Mam ich wystarczająco. Żal by mi było wyjeżdżać z wyspy, zostawić poznanych ludzi, Balbinę i jej rodzinę. Tęskniłam za bliźniakami, ale za kilka dni wracają z Hiszpanii i zamierzają na tydzień przyjechać do mnie, zanim na dobre zacznie się rok akademicki. A poza tym oni i tak mają swoje życie, są dorośli. A tak przynajmniej będą mieli gdzie przyjeżdżać na wypoczynek. Europa obecnie bardzo się skurczyła. Kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że Monachium albo Paryż są na końcu świata, a teraz? Rano wsiadasz w samochód, wieczorem jesteś w Monachium. No, w Paryżu może w nocy... Zgodziłam się.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minęły prawie trzy miesiące, od kiedy po raz ostatni widział Zużę. Stale miał w pamięci jej szeroko otwarte oczy i wyraz niedowierzania i bólu malujący się na jej twarzy. Kiedy wyszedł z jej domu, sam nie wiedział dlaczego. Teraz myśli, że po prostu stchórzył. Zaczęło mu zależeć, a to wiąże się z ryzykiem. Łatwiej dryfować przez życie, nie angażując się w nic poważnie. Jakby się stało obok i oglądało film.

Pech chciał, że w tym samym dniu przyjechała Ingrid. Był zdezorientowany, nie wiedział, jak się zachować. Kiedy po wyjściu od Zuzy poszedł do restauracji, przeżył szok, kiedy zobaczył ją siedzącą przy biurku w jego biurze. Ktoś z personelu ją tam wpuścił, zresztą znała drogę, a nigdy nie pytała nikogo o pozwolenie. Wiedziała, jak wyrzucić na nim wrażenie. Siedziała w niedbałej pozie, popijając kawę. Ubrana w krótką czarną sukienkę, doskonale eksponującą jej zgrabne, długie nogi w czerwonych szpilkach. Strój niezbyt odpowiedni jak na wyspę o tej porze roku, ale Ingrid nigdy nie obowiązywały konwenanse, postępowała według własnych zasad. Długie blond włosy odgarnęła kokieteryjnie na plecy. Zatrzymał się przy jej stoliku. Był tak oszołomiony tym, co zaszło z Zużą, i widokiem Ingrid w pełnej krasie, że chyba nie rozumował logicznie. Jakby nie był sobą.

– Cześć, Maks – powiedziała Ingrid, zalotnie się uśmiechając.

– Co tu robisz? Po co przyjechałaś? – Nie krył zdenerwowania.

– Chciałam z tobą porozmawiać. Przyjechałam specjalnie w tym celu. Możemy pójść w jakieś spokojniejsze miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał? – mówiła, jednocześnie wstając z krzesła i zbliżając się do niego. Nie mógł się poruszyć, nie wiedział, jak ma się zachować. – Nie przywitasz się ze mną? Nie jestem przecież twoim wrogiem. – Podeszła i położyła mu ręce na ramionach. Nadal nie mógł się ruszyć. Ingrid przyciągnęła go do siebie i niespodziewanie pocałowała gorąco w usta. W tym momencie wszedł kelner, Maks się odwrócił i zobaczył zdruzgotaną Zużę. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z lokalu. Chciał biec za nią, ale jednocześnie chciał przyciągnąć do siebie i namiętnie całować Ingrid. Co się z nim dzieje, do diabła?

Przyjechała skruszona, prosić o drugą szansę.

– Popełniłam błąd, odchodząc od ciebie – mówiła, wkładając w to wiele żaru. – Byłeś miłością mojego życia. – Potrafiła być bardzo przekonująca. Płakała, z jej oczu biła szczerość. – Dopiero rozłąka uświadomiła mi, co czuję naprawdę. Życie, jakie prowadziłam przez ostatnie lata bez ciebie, było puste, pozbawione radości i sensu. I jeżeli została w tobie jeszcze odrobina uczucia, pozwól mi spróbować. Nigdy więcej cię nie zawiodę. Zrozumiałam, jakie popełniałam błędy. Zrozumiałam, co straciłam.

Patrzyła na niego wielkimi oczami, pełnymi uczucia.

Poczuł, że nagromadzona od ponad dwóch lat tęsknota za nią może być wreszcie zaspokojona. Kiełkujące uczucie do Zuzy zostało definitywnie zmiecione z powierzchni jego duszy przez ekspansywną Ingrid. Reagował, jakby był na haju, jakby przebywał w krainie fantasy i ułudy. Uwierzył.

To, co się działo później, dla każdego trzeźwo myślącego człowieka było do przewidzenia. Po dobie spędzonej w jego domu (z czego w większości w ich dawnym wspólnym łóżku), z powodu nalegań Ingrid, w pośpiechu wyjechali z wyspy. Pierwsze tygodnie były sielanką, Maksowi wydawało się, że wiodło się im lepiej niż przed ślubem. Ingrid była czuła, cierpliwa, uśmiechnięta. Co noc kochali się długo i namiętnie, co w ostatnich miesiącach ich małżeństwa było rzadkością.

Myśli o Zuzie, które nawiedzały go przez pierwsze dni po wyjeździe, zostały skrupulatnie upchane na dno świadomości. Czuł się szczęśliwy, za tym przecież tęsknił od wielu miesięcy. Miał przebłycki wątpliwości, jakby migające lampki, zapalające się w różnych momentach, ale gasił je z taką samą gorliwością, z jaką odpychał od siebie Zuzę. Czasem, kiedy Ingrid myślała, że jest sama, widział jej zamyśloną, zaciętą twarz. Innym razem, kiedy wchodził niespodziewanie do pokoju, wyłączała telefon, jakby nieco spłoszona. Na pytanie, z kim rozmawiała, zazwyczaj odpowiadała, że z bratem lub koleżanką, której oczywiście Maks nie znał. A z bratem nigdy nie był w dobrych stosunkach, więc nie drążył tematu.

Jeździli po Europie i żyli pełnią życia. Ingrid bez skrupułów wydawała jego pieniądze, zresztą dostała od niego kartę kredytową. Mieszkali w drogich hotelach, chodzili na przyjęcia, brylowali w towarzystwie, a właściwie to brylowała Ingrid. Przedstawiała mu ciągle swoich nowych znajomych, z którymi nie miał nic wspólnego. Nie miał z nimi o czym rozmawiać. Interesowały ich imprezy, plotki, majątek. Czuł, jakby w kontaktach z nimi stawał się jak posąg, zimny i obojętny. Coraz częściej, szczególnie w takich momentach, widział Zuzę. Szczerą, miłą, życzliwą. I taką zwyczajną.

Nadeszła jesień, osiedli tymczasowo w Berlinie. Maks doglądał swojego hotelu oraz na odległość kierował pozostałymi interesami. Ingrid na coraz dłuższe godziny znikwała z domu. Stawała się coraz bardziej zamyśloną. Na jego pytania odpowiadała zdawkowo, zawsze podając wiarygodny powód. Chciał nadal jej wierzyć.

Na początku października przyjechał do nich brat Ingrid – Dirk. Prowadził interesy w Azji, nie był w Europie od kilku miesięcy. Przyjechał na tydzień, żeby znaleźć nowego wspólnika do prowadzenia interesów – handlu produktami spożywczymi sprowadzanymi z Dalekiego Wschodu, przeznaczonymi do restauracji i hoteli. Maks, pomimo że w czasie małżeństwa z Ingrid nie przepadał za Dirkiem, udzielił mu gościny w swoim domu. Nie spotykali się wcześniej zbyt często, może nie zdążyli się poznać bliżej. Tym razem Dirk okazał się bardzo sympatycznym człowiekiem, otwartym, życzliwym, elokwentnym. Maksowi sprawiało przyjemność przebywanie z nim. Obok rozmów o sporcie i gotowaniu prowadzili także dyskusje o biznesie. Maksa zainteresował jego nowy projekt, chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Ingrid sprawiała wrażenie szczęśliwej, nie znikwała z domu. Okazywała Maksowi znowu wiele czułości i uczucia. Dirk był bardzo przekonujący, dysponował fachowo przygotowanym biznesplanem, miał wiele zapału.

Zdecydował, że zostanie wspólnikiem Dirka. Wszystko wydawało się takie proste, logiczne i uczciwe. Założyli spółkę, załatwili wszystkie formalności. Maks wniósł do spółki sporą część swojego kapitału. Ingrid była pogodna, tryskała dobrym humorem, poświęcała Maksowi dużo czasu. Zuzia na dobre wyprowadziła się z jego świadomości.

Pod koniec października wyjechał na wybrzeże, żeby zatrudnić nowego menedżera hotelu, ponieważ poprzedni, wieloletni pracownik i przyjaciel, odchodził na emeryturę. Ingrid miała jechać z nim. Dzień przed wyjazdem rozchorowała się, dostała grypy jelitowej, całą noc spędziła w toalecie.

– A może jesteś w ciąży? – zapytał, nie kryjąc błysku szczęścia w oczach. Zawsze pragnął mieć z nią dzieci. – Teraz, kiedy jesteśmy tacy szczęśliwi, byłby odpowiedni moment – mówił z nadzieją.

– Nie, nie jestem – odpowiedziała z irytacją. – Byłam wczoraj u Leny, jej dzieci przechodziły gripę żołądkową, pewnie się od nich zaraziłam. A o dziecku pomyślimy, jak wrócisz – odpowiedziała nieco łagodniejszym tonem.

Rano czuła się lepiej, ale była zanadto osłabiona, aby z nim pojechać. Została w domu. Maks miał skrócić swoją podróż, żeby nie rozstawać się z nią na dłużej. Kiedy dotarł do Polski,

zadzwoił do niej, czuła się już lepiej, była u lekarza, który potwierdził jej wcześniejszą diagnozę. Zalecił dietę i wszystko powinno wrócić do normy. Następnego dnia, pomimo wielokrotnych prób kontaktu telefonicznego, nie udało mu się z nią porozmawiać.

Teraz jest w drodze na Föhr. Zawsze kiedy jest zdruzgotany, jedzie na Föhr. Ingrid i Dirk przepadli jak kamień w wodę. Przepadły też jego pieniądze. Historia jak żywcem wyjęta z kryminału. W radiu Michael Bublé śpiewa *I Want To Go Home*. Prokuratura prowadzi dochodzenie, ale nie ma większych nadziei na odzyskanie pieniędzy. Znowu dał się omotać jak młokos. Wzgardził kobietą, która być może była tą, z którą mógłby zaznać szczęścia. Teraz jest już za późno. Miała wyjechać z końcem października, zresztą nie miałby odwagi pokazać jej się na oczy. Jediną korzyścią z tej beznadziejnej sytuacji jest zmiana jego uczuć względem Ingrid. Miłość zastąpiła pogarda, niechęć i złość. Tak, czuł się wyleczony.

\*

Listopad na wyspie to najmniej miły z miesięcy. Przez większość dni zacina zimny, siekący deszcz, wieją silne wiatry, czasami nawet uniemożliwiające spacerów brzegiem morza. Nie mówiąc już o wycieczkach rowerowych. Dużo czasu spędzałam w sanatorium, zajęłam się organizowaniem hydroterapii, która dotychczas nie była na zbyt wysokim poziomie. Ponieważ instytucja dostała dofinansowanie z funduszy unijnych, trzeba było je szybko wykorzystać. Robiłam to z przyjemnością, chciałam coś tu po sobie zostawić.

Bliźniaki przyjechały na początku października na kilka dni. Były zachwycone, nie dziwiły się, że chciałam tu zostać. Od czasu ich wyjazdu rozmawiamy codziennie na Skypie, co za szczęście, że istnieje taka możliwość. Bez tego chyba nie zniosłabym tej rozłąki. Przyjadą znowu na Boże Narodzenie, razem z moimi rodzicami. Urządzimy sobie wspaniałe święta. Nie mogłam się już doczekać. Postanowiłyśmy z Balbiną, że zorganizujemy je wspólnie. Dzieci się polubiły, znalazły wspólny język. Nie ma między nimi jakiejś znacznej różnicy wieku, to samo pokolenie. A dla Roberta im więcej ludzi, tym lepiej. Będzie gotował, a my będziemy kuchcikami. Może uda się jeszcze namówić Manię do przyjazdu, byłoby wspaniale!

Regularnie korespondowałam z panem Andreasem. Pisał wspaniałe listy. Każdy na eleganckiej papeterii z czerpanego papieru ze znakiem wodnym (gdzie takie jeszcze można kupić w dobie e-maili i SMS-ów?), którą pokrywał drobnym, eleganckim pismem pisany wiecznym piórem, nie długopisem. Pisał mi o pogodzie w Monachium, o konsultacjach, jakich jeszcze udzielał w kancelarii syna, o przyjaciółach, z którymi grał w brydża. I zawsze podpisywał: „Szczerze oddany – Andreas”. To takie romantyczne. Wybiera się znowu do naszego sanatorium latem, ale mnie już tu pewnie nie będzie. A zresztą zobaczymy.

Kilkukrotnie rozmawiałam w ostatnich tygodniach z Adamem. Kiedy podjęłam decyzję o pozostaniu na Föhr na czas bliżej nieokreślony, powiadomiłam dyrekcję i wzięłam dalszy bezpłatny urlop. Wcześniej Adam dzwonił do mnie dwukrotnie, ale były to grzecznościowe rozmowy o pogodzie i urokach wyspy. Nic osobistego. Kiedy jednak wiedziałam, że nie wracam, zadzwoniłam do niego.

- Cześć, Adamie, tu Zuza.
- Zuza, wróciłaś? – Usłyszałam radość w jego głosie.
- Nie, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że zostaję na wyspie. Na razie do wiosny, potem zobaczę. Zostajesz więc sam na placu boju – powiedziałam lekkim tonem.
- O! – wydukał Adam po chwili ciszy. Milczał nadal.
- Jesteś tam? – Myślałam, że może nas rozłączyło.
- Tak, jestem – powiedział z rezygnacją. – Miałem tylko nadzieję, że już wkrótce się zobaczymy. Czekałem na to.



– Lekarz, którego zastępuję, przedłużył swoje wojaże po świecie, na razie do wiosny. Możliwe, że zupełnie zrezygnuje z pracy.

– I co wtedy, zostaniesz tam na stałe? – Znowu ten niepokój.

– Nie wiem, nie planuję tak daleko. Czas pokaże.

– Jesteś z kimś? Tam, na wyspie? – O rany, a co on taki ciekawski? Jak nie Adam.

– Nie ma znaczenia, czy byłabym tu z kimś, czy nie. Miejsce jest wspaniałe, praca świetna, dzieci dorosłe, żyją własnym życiem. Czuję się tu szczęśliwa, przynajmniej na razie. Nie chcę niczego planować. Wiosną będę podejmowała następne decyzje.

– A nie wybierasz się do Gniezna? – zapytał z nadzieją w głosie.

– W tym roku raczej już nie. Dzieci przyjadą na święta, może wybiorę się na początku przyszłego roku. Nie wiem, zobaczą.

– Dawno cię nie widziałem, chciałbym się z tobą zobaczyć. – O kurczę, to mówi Adam? Nic z tego nie rozumiem.

– Zobaczyć mnie można tylko na Föhr, do końca roku przynajmniej. Adamie, muszę kończyć, pielęgniarka mnie wzywa. Odezwę się wkrótce. Wszystkiego dobrego – powiedziałam w pośpiechu.

– Do zobaczenia – odpowiedział Adam głosem, jakby myślami był daleko.

Czyżby jednak coś do mnie czuł? Ale dlaczego tak długo milczał? Zawsze myślałam, że mężczyzna, któremu zależy, chociaż próbuje zawalczyć o kobietę. A tu Adam nic, a Maks – owszem, zawalczył, tylko nie o mnie. Chochlik siedział cicho, dawno go nie widziałam. Mam nadzieję, że Maks, wyjeżdżając, zabrał go ze sobą i teraz jemu uprzykrza życie.

Myśli o Maksie przychodziły coraz rzadziej. Wprawdzie teraz, jesienią, kiedy cały świat dopada nostalgia, zaczęły znowu powracać, ale były takie smutne, że starałam się je odpychać od siebie. Kiedy jednak się nie dało, stwierdziłam, że wysiłek fizyczny i zmęczenie są na nie najlepszym lekarstwem.

Wsiadałam na rower, biegałam, szłam na basen. Kiedy i to nie pomagało, ubierałam się ciepło, na głowę naciągałam czapkę smerfetkę, na to kaptur kurtki przeciwdeszczowej i intensywny spacer po plaży nawet w siekącym deszczu odganiał złe myśli i wspomnienia. W ostateczności uciekałam się do metody, której nauczyła mnie moja pani psycholog, kiedy byłam krótko po rozwodzie i nie mogłam sobie poradzić z bólem. Mówiła tak:

– Wyobraź sobie, że jesteś w pustej sali kinowej, przed sobą masz rozświetlony, pusty ekran. I wyobraź sobie siebie taką, jaką jesteś teraz, jak się czujesz. Opisz mi siebie.

– Jestem szarą, brzydką myszą. Mam na sobie brzydkie ubranie, tłuste włosy, szarą cerę – mówiłam posępnie.

– Umieść tę postać na środku ekranu. Możesz to zrobić?

– Tak, mogę.

Między tymi pytaniami i odpowiedziami rozmawialiśmy o mnie, o moich decyzjach, mojej samoocenie, moim postrzeganiu obecnej rzeczywistości.

– A teraz pozbaw tę postać całego wnętrza, niech zostaną tylko kontury. Zrobiłaś to? A teraz przesuń ją do rogu. Zrobione?

– Tak – odpowiadałam.

– A teraz wyobraź sobie siebie w najbardziej szczęśliwym momencie swojego życia. Opisz mi siebie.

– Jestem młoda, piękna, kochana. Cała promienieję. Mam na sobie jasną, powiewną sukienkę. Puszyste włosy układają się w piękne fale, moje oczy błyszczą. Uśmiecham się promiennie.

– A teraz umieść ją na środku ekranu. Możesz to zrobić?

– Mogę – odpowiadałam.  
– A teraz nasuń tę piękną, świetlistą postać na kontur tej szarej, smutnej myszy – co odczuwasz?  
– Czuję się lepiej, mam wrażenie, że jestem więcej warta, nie jest mi już tak ciężko.  
– Na następny tydzień masz zadanie: chodzisz ulicą z podniesioną głową, uśmiechasz się i patrzysz ludziom prosto w oczy, szczególnie mężczyznom.

To działało.

Wiedziałam, że czas leczy rany, już to kiedyś przerabiałam. Miałam nadzieję, że Chochlik teraz podgryza Maksa po kostkach.

Dzisiaj piątkowe popołudnie. Zawsze jest miło mieć w perspektywie trochę wolnego czasu, nawet jeżeli nie ma się nic szczególnego do roboty. Kiedy wychodziłam z pracy, dobiegała osiemnasta. Był to ostatni dzień przygotowań przed uruchomieniem hydroterapii. Wszystko wydawało się dopięte na ostatni guzik. O dziwo, kiedy wyszłam przed budynek, nie padało. Nawet wiatr się uspokoił. Było wprawdzie ciemno, ale to mi nie przeszkadzało. Czułam potrzebę dotlenienia się. Zapięłam kurtkę pod brodą, założyłam ciepłą czapkę, bawełniane rękawiczki, sportową torebkę przewiesiłam skosem przez piersi i ruszyłam w kierunku promenady, wdychając głęboko rześkie powietrze. Z daleka widziałam światła promu powoli zbliżającego się do Wyk. Na moment zza chmur zaświecił księżyc, kładąc złocisty blask na tafłę morza. W nielicznych domach paliły się światła, większość z nich pozamykano na zimę. Drzewa pozbawione liści sprawiały smętne wrażenie. Jedyne ciepłe, żółtawe światło ulicznych latarni dawało trochę ciepła temu posępnemu widokowi.

Zatrzymałam się przed restauracją Maksa. Nie wiem, jak to się stało, że doszłam do tego miejsca. Unikałam raczej zapuszczania się w te rejony, ale ostatnio poczułam się bezpiecznie. Nie spodziewałam się tu Maksa o tej porze roku, skoro nie pojawił się do tej pory. Wiedziałam, że wyjechał ze swoją byłą żoną. Bolało mnie to, ale ostatnio trochę mniej.

Stałam przed oknem i patrzyłam przez rozsunięte firanki do wnętrza. Nic się w środku nie zmieniło. Zresztą dlaczego coś miałoby się zmienić w tak krótkim czasie? Co chciałabym zobaczyć? Ruiny i zgliszcza, a na nich płaczącego Maksa? Co za bzdury płaczą mi się po głowie! Wewnątrz trwał chyba jakiś bankiet. Około trzydziestu starszych osób siedziało przy długim stole, wesoło rozmawiając i konsumując. Miły widok. Dwóch kelnerów krzątało się między nimi, jednym z nich był ten, którego widziałam, będąc tu po raz ostatni. Za barem stała Teresa, wydawało mi się przez moment, że spojrzała na mnie. Maksa oczywiście nie było.

Nie czułam z tego powodu smutku. Odwróciłam się powoli od okna z zamiarem kontynuowania spaceru i... znieruchomiałam. Przedemną, w odległości czterech metrów, stał Maks. Czy zawsze musi mnie zaskakiwać? Patrzył na mnie skonsternowany, jakby zobaczył ducha. Chyba myślał, że mnie już tu nie ma, dlatego wrócił. Nie ruszał się, ja też nie. Nie wiedziałam, co mam zrobić, czułam się zażenowana.

Nagle odezwał się mój telefon. Rzadko dzwoni tu, na wyspie. Adam?

– Adam? Cześć, stało się coś? – zapytałam zaskoczona. Maks musiał słyszeć moją rozmowę. Stał nadal w tym samym miejscu.

– Cześć, Zuzka. – „To już jestem Zuzka, nie Zuza?” – pomyślałam. – Przyjechałem cię odwiedzić. Jestem na wyspie. Właśnie przyplynałem promem. Muszę z tobą porozmawiać. Możemy się spotkać? – zapytał niepewnym głosem.

– Zostań w porcie, za pięć minut po ciebie przyjdę, jestem w pobliżu – odpowiedziałam, czując podekscytowanie. Wiem, że Maks mnie słuchał, wpatrywał się we mnie przez cały czas rozmowy. Spojrzałam na niego przez chwilę. Nie wyglądał dobrze. Wprawdzie było ciemno, ale nawet od jego sylwetki emanowało przygnębienie. Może zmęczenie? Lekko przygarbiony, jakby

skurczony, ręce głęboko wciśnięte w kieszenie. Na twarzy kilkudniowy zarost. Nie ruszył się, nie wykonał żadnego gestu. Tylko patrzył. Odwróciłam się i ruszyłam szybko w kierunku portu.

Zobaczyłam go za szybą poczekalni. Wysoki, lekko zgarbiony, szczupły, ze sportową torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Na jego twarzy malowało się napięcie. Poczułam się niepewnie. „Dlaczego tu jest?” – zadawałam sobie pytanie, ale chyba znałam odpowiedź.

– Adam?

– Zuza, cześć! Przepraszam za tę niespodziewaną wizytę, ale bałam się, że jeżeli cię uprzedzę, nie pozwolisz mi tu przyjechać. A koniecznie muszę z tobą porozmawiać. – Czułam, że jest zdesperowany. – Powiedziałaś, że zobaczyć się z tobą można tylko na Föhr, dlatego tu jestem.

– Jestem bardzo zaskoczona twoim przyjazdem. Nie jest to raczej pora roku na urlop na wyspie – powiedziałam, usiłując nadać zdaniu lekki ton. – Masz załatwiony jakiś nocleg?

– Jeszcze nie, ale myślę, że o tej porze roku nie będzie z tym problemu – odpowiedział lekko zmieszany.

– Chodźmy więc do mnie. To niedaleko, ale musimy iść pieszo. Na szczęście nie pada i nie wieje.

Ruszyliśmy nabrzeżem w stronę mojego mieszkania. Czułam, że Adam jest skrepowany. Rozmawialiśmy o jego podróży, o pierwszym wrażeniu z wyspy. Samochód zostawił w Dagebüll, na lądzie, nie był mu tu potrzebny.

Kiedy znaleźliśmy się u mnie, czułam się bardzo zziębnięta i zdenerwowana. Zaparzyłam gorącą herbatę, dolałam do niej rumu (zielona herbata z prądem według przepisu Maksa). Adam rozglądał się po mieszkaniu, w którym zdążyłam się już zadomowić. Znajdowało się w nim znacznie więcej drobiazgów i bibelotów niż w czasach, kiedy był tu Maks. Nie sprawiało już wrażenia służbówki. Włączyłam muzykę, usiedliśmy wygodnie w fotelach. Adam był spięty, czułam, że zaraz powie, co mu leży na sercu. Byłam zaniepokojona.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Powinienem był to zrobić już dawno, ale się przestraszyłem – zaczął nieco niespokojnie. – Kiedy tamtego razu przyjechałem do ciebie, chciałem ci powiedzieć, że to w tobie się zakochałem. Zresztą próbowałem dać ci to do zrozumienia już wcześniej, ale ty nie odbierałaś sygnałów. Traktowałaś mnie cały czas jak kolegę. Więc kiedy wreszcie znalazłem w sobie odwagę i wyznałem ci prawdę, wystraszyła mnie twoja reakcja. Wyglądałaś, jakbyś była kompletnie zdruzgotana, jakby cię to przeraziło. Zrozumiałem, że popełniłem błąd, że nie odwzajemniasz moich uczuć. Nie wiedziałem, jak się zachować. Dlatego na pytanie „W kim?” odpowiedziałem wymijająco, że w kobiecie. Kiedy wysłałaś mi tego SMS-a, dotarło do mnie, że raczej rozumiałaś, że jest jakaś inna. Podtrzymałem więc tę wersję. Potem wyjechałaś i czekałem cierpliwie na twój powrót, ale czas dłużył się niemiłosiernie. W międzyczasie rozwiodłem się. Moja żona też kogoś miała, zresztą w naszym małżeństwie od dwóch lat nie układało się najlepiej. Tkwiliśmy obok siebie, każdy miał swoje życie. Rozwód zakończył się na jednej rozprawie, bez orzekania o winie. Jestem teraz wolny. Kiedy zadzwoniłaś do mnie ostatnim razem, żeby poinformować, że zostajesz, poprzedniego dnia właśnie odbyła się rozprawa. Na wieść, że nie wracasz, poczułem, jakby grunt mi się usuwał spod nóg. Nie mogłem powiedzieć ci tego wszystkiego przez telefon, musiałem się z tobą zobaczyć. – Na zakończenie poczułam ulgę w jego głosie. Sprawiał wrażenie, jakby wyrzucił z siebie coś, co od dawna nie dawało mu spokoju.

Chochlik wrócił! Siedział na kanapie ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, nogi miał założone jedną na drugą, machał jedną energicznie. Wpatrywał się w sufit i robił minę z gatunku „A nie mówiłem?”. Sio!

Milczałam. Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Prawdę? Nie wiem tylko, czy to ma

jakiś sens. Tyle się zmieniło w tak krótkim czasie.

– Adam, czuję się zaszczycona tym, co mi przed chwilą wyznałeś. Ale zupełnie nie wiem, co ci odpowiedzieć. Dużo się przez te kilka miesięcy w moim życiu zmieniło – powiedziałam z zadumą.

– Masz kogoś. Czuję to. Wiedziałem, że się spóźnię. – W jego głosie wyczułam rezygnację.

– Nie, to nie tak. – Zobaczyłam w jego oczach iskrę nadziei. Rum mnie rozgrzał, dodał mi nieco odwagi. – Kiedy byłeś u mnie, w pierwszej chwili rzeczywiście pomyślałam, że to o mnie chodzi, i myślę, że moje zaskoczenie wywołane było faktem, że mogę jeszcze w kimś wzbudzić takie uczucia. Kiedy wyszedłeś, pomyślałam, że to przecież nie mogę być ja. Kiedy wyjechałam na urlop, ciągle podświadomie cię wyczekiwałam, nie byłeś mi obojętny. Jednak byłeś żonaty, tacy mężczyźni są pod ochroną. Później nie zrobiłeś żadnego gestu, który mógłby świadczyć o jakimkolwiek uczuciu do mnie. Nabrałam przekonania, że to jednak nie ja. A potem poznałam kogoś i dużo się w moim życiu zmieniło. – Wyrzuciłam to z siebie.

– A więc jednak jest ktoś – powiedział z rezerwą.

– Był – powiedziałam stanowczo. – I nie chcę o tym więcej mówić. Było, minęło.

– I co teraz? – zapytał niepewnie. – Ciągle o nim myślisz?

– Nie wiem, co teraz, ale czy musimy składać jakieś deklaracje? Nie wiem, jakie są moje uczucia wobec ciebie. Nie mogę ci niczego obiecać. Zostawmy sprawy własnemu biegowi.

– Czyli mogę zostać na wyspie do poniedziałku, poświęcisz mi swój czas? Pobędziemy ze sobą? – zapytał z nadzieją, patrząc mi prosto w oczy.

– Możesz się u mnie zatrzymać – powiedziałam. – Kanapa jest wolna, nie ma problemu ze spaniem. Chciałabym jedynie, żeby wszystko było między nami jasne. Nie wiem, co się wydarzy. Nie mogę ci w tej chwili niczego obiecywać, ale wiedz, że chętnie spędzę z tobą czas. I cieszę się, że tu jesteś – dodałam z uśmiechem. – A teraz zrób coś do jedzenia. Na pewno jesteś głodny.

Kiedy sprawy zostały wyjaśnione i skrzępowanie minęło, nasze nastroje znacznie się poprawiły. Wróciły kumpelskie relacje między nami, jak dawniej, czułam więcej swobody. Do szybko upichconej przeze mnie kolacji Adam otworzył wino, które przywiózł ze sobą. Był rozluźniony, wesoły, czułam, że zrzucił z siebie wielki ciężar. Nie znałam go takiego, coraz bardziej mnie intrygował. I kiedy żartował, miał taki rozbrajający uśmiech. U kogoś już taki widziałam. Tak, mam! Tom Cruise – on tak się uśmiecha, jak zawstydzony chłopiec. To słodkie. Zapaliłam świece, cicho grała muzyka. Poczułam odprężenie, udzielił mi się jego optymizm. Nie miałam nawet czasu myśleć o spotkaniu z Makssem. Nie zapomniałam o nim, ale postanowiłam pomyśleć o tym później. Teraz chciałam cieszyć się chwilą. Dlaczego ja zawsze mam się kontrolować, dlaczego mam postępować jak wypada? Czy nie należy mi się od czasu do czasu odrobina szaleństwa? Czy nie mam do tego prawa? Z premedytacją nastawiłam płytę Roda Stewarta. Właśnie dobiegały dźwięki *I've Got You Under My Skin*. Zapalone na komodzie świece stwarzały romantyczny nastrój. Rozmawialiśmy o wszystkim, czuliśmy się ze sobą swobodnie. Adam raz po raz zaglądał mi głęboko w oczy. Czułam narastające we mnie pragnienie, nie chciałam tego kontrolować. Adam usiadł koło mnie na kanapie, oparł rękę na oparciu, bawił się delikatnie moimi włosami. Opowiadał mi o pracy, o swoich eskapadach rowerowych. Kiedy odwróciłam twarz w jego stronę, pochylił się nade mną, delikatnie pocałował moje usta. Chciałam ponownie poczuć, że jestem ważna, że jestem coś warta. A jeżeli znowu rano zastanę puste miejsce obok mnie? Jeżeli znowu będę czuła się jak śmieć? Oj, Zuza, przestań jojczyć, jeżeli tak się stanie, to pójdiesz do zakonu. Chochlik uśmiechał się głupkowato, zasłaniając ręką oczy. Idź do Maksa, szczypać go po łydkach!

Odwzajemniłam pocałunek Adama. Był subtelny, delikatny. Miałam wrażenie, że Adam nie chce mnie spłoszyć. Widziałam, że jest zdenerwowany, ale czułam też jego pragnienie. Ja byłam spokojna, miałam wrażenie, jakbym obserwowała nas, stojąc z boku. Zupełnie inaczej niż z Maksem. Wtedy czułam się jak wulkan, teraz jak kotka na gorącym blaszanym dachu. Nie, Zuza, nie porównuj ich. To nieuczciwe wobec Adama.

Poddałam się zupełnie, chłonołam przyjemność każdą komórką mojego ciała. Adam cały czas był bardzo subtelny. Wstałam, wzięłam go za rękę, zaprowadziłam do sypialni. Nie odzywaliśmy się do siebie. Rozebrał mnie powoli, cały czas patrząc na mnie zachłannie. Widziałam w jego oczach pragnienie, ale też niepokój. Rozpięłam mu koszulę. Całowaliśmy się coraz gwałtowniej, ręce coraz bardziej niespokojnie błądziły po naszych ciałach. Adam szeptał pieszczotliwie moje imię. Zuzka, Zuzia – podobało mi się. Całował mnie po całym ciele, czułam się taka spokojna, pożądana, kochana. Czy ta świadomość wystarczy, żeby kogoś pokochać? Czy nie muszą być do tego fajerwerki?

Napięcie narastało we mnie coraz bardziej, ruchy Adama były coraz gwałtowniejsze. Kiedy wreszcie doznaliśmy spełnienia i leżeliśmy przytuleni do siebie, uświadomiłam sobie, że uczuciem, które w tej chwili mnie ogarnęło, jest poczucie bezpieczeństwa.

– Kocham cię, Zuziu. Kocham – wyszeptał Adam. A ja wiedziałam, że to prawda.

Kiedy obudziłam się rano, miejsce obok mnie nie było puste. Adam już nie spał. Leżał na boku, podparł się na łokciu i wpatrywał się we mnie z tkliwym uśmiechem na ustach.

– Dzień dobry, Zuziu. Jak się czujesz? – zapytał, śmiejąc się i jednocześnie głaszcząc mnie delikatnie po twarzy.

– Mmm... – zamruczałam.

– Mmm znaczy dobrze czy mmm – źle?

– Mmm znaczy dobrze. – Przytuliłam się do niego. Był taki ciepły, cieszyłam się, że tu jest. – Jesteś głodny? Musisz być.

– Zrobię śniadanie. Co ty na to? – zapytał.

– A umiesz? – zapytałam, ironicznie kręcąc głową.

– Będę próbował – zaśmiał się. – Teraz idę pod prysznic.

Obserwowałam go, kiedy wyszedł z łóżka. Miał szczupłe ciało, ale pod skórą pięknie rysowały się wyćwiczone mięśnie. Ciało kolarza. Nie był skrzepowany swoją nagością. Poruszał się zwinnie jak pantera. „Pantera pasuje do kotki” – pomyślałam, przeciągając się rozkosznie. Drzemałam jeszcze, kiedy dobiegły mnie z kuchni dźwięki stukających naczyń. Cicho grało radio. Miałam wrażenie, że jesteśmy tak razem już od dawna. Wskoczyłam energicznie z łóżka, wzięłam szybki prysznic, założyłam podomkę i poszłam do kuchni. Pachniało cudownie, poczułam wilczy głód. Adam w samych dżinsach, bosy, wykladał na talerze omlety. Obok w filiżankach parowała świeżo zaparzona kawa. Do tego tosty – pychota!

– Zrobiłem śniadanie z tego, co znalazłem w kuchni. Nie jesteś zbyt dobrze zaopatrzona. Nie gotujesz w domu? – Siadł koło mnie przy stole, całując mnie przelotnie w usta. Rozczuliło mnie to.

– Nie, obiady jem w pracy, a na śniadanie wystarcza mi kawa i tost. Hmm, pyszne – odpowiedziałam z ustami pełnymi jedzenia.

– Nie mów z pełną buzią, bo się udławisz. A ja nie znam się na reanimacji – powiedział, śmiejąc się.

Popatrzyłam na niego uważnie. Czy to jest szczęście? Czy to jest miłość?

Cóż mogliśmy zrobić na wyspie? Na szczęście pogoda się ustabilizowała, nie wiał przenikliwy wiatr, ale o zwiedzaniu na rowerach nie było mowy. Wsiedliśmy w samochód i pojeździliśmy po okolicznych miejscowościach. Wrixum, Nieblum, Borgsum, uśpione, bez

turystów, w szaro-grafitowych barwach, przedstawiały się smutno, ale taka była pora roku. Miały jednak nadal swój urok, jesienna aura dodawała im nieco tajemniczości, może nawet grozy. Adam był zauroczony. Spacerowaliśmy leniwie, trzymając się za ręce. Rozmawialiśmy dużo, jak nigdy dotąd. Czułam, że Adam jest szczęśliwy. Często nagle zatrzymywał się, obejmował mnie mocno i całował w czubek głowy (sięgałam mu akurat do brody) lub w usta.

– W najśmielszych marzeniach nie mógłbym wyobrazić sobie wspanialszego scenariusza – powiedział, patrząc mi z uczuciem prosto w oczy.

Czułam się zadowolona, taka wyciszona. Dobrze mi było z Adamem. Nie był mi obojętny, ale cały czas odczuwałam niepokój, czy nie robię mu krzywdy. Postawiłam przecież sprawę jasno na początku jego przyjazdu. Nie robię niczego wbrew sobie, wszystko jest spontaniczne, sprawia mi wiele radości. Sprawa z Maksymem dawno zakończona. Może byłoby łatwiej, gdybym go tu wczoraj nie zobaczyła. Nie mogę tak zupełnie wymazać go z pamięci, jeszcze nie teraz. Ale co dalej? Nie wiem. Pomyślę o tym później...

Największe wrażenie wywarł na Adamie oczywiście odpływ. Jakże by mogło być inaczej. Siedzieliśmy późnym popołudniem na ławce na plaży i przyglądaliśmy się znikającemu morzu. Ponieważ wszystko wokół było szare, trudno było dojrzeć granice między wodą, niebem i lądem. Czułam się jak mrówka zamknięta w szarej kuli. Adam obejmował mnie ramieniem, masując moje zziębnięte plecy. Oparłam o niego głowę, przymknęłam oczy i wsłuchiwałam się w szum morza. Trudno było rozróżnić, czy to morze, czy wiatr tak szumi.

Zapadał już zmrok, kiedy wróciliśmy do mieszkania. Wygłodnieliśmy okropnie. Po drodze zrobiliśmy zakupy. Na szczęście Adamowi przypomniała się pustka w mojej lodówce. Zrobiłam frittate. Przysmażone ziemniaki z cebulą i kielbasą, na to mrożone warzywa lekko podsmażone, a następnie zalane roztrzepanymi jajkami z dodatkiem mleka i przypraw, szczególnie świeżej bazylii. I to wszystko do piekarnika. Po chwili rozchodzący się po domu aromat jeszcze bardziej spotęgował uczucie głodu. Do tego sałata z sosem winegret i schłodzone białe wino. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i pałaszowaliśmy jedzenie. Ruch na świeżym powietrzu zaostrza apetyt.

Adam żartował, był bardzo rozluźniony, po prostu szczęśliwy. Kiedy pochłonęliśmy kolację, wygrzebując z talerzy ostatnie okruszki, usiedliśmy na kanapie i wyciągnęliśmy przed siebie nogi, wygodnie podparci na poduszkach. Poczułam błogie odprężenie. Adam obejmował mnie znowu ramieniem, opierał policzek o moją głowę, jednocześnie głaszcząc mnie delikatnie po ramieniu. Czy tak wygląda szczęście? Chochlik wruszał ramionami, unosząc brwi. A kysz!

W nocy kochaliśmy się z czułością i oddaniem. Nieco mniej zestresowani, śmiejąc szukaliśmy zaspokojenia. Dłonie Adama, o długich palcach, pewnie poruszały się po moim ciele, dawały ciepło i przyjemność. Zasnęliśmy, spleceni ze sobą jak bluszcz, chłonąc nawzajem naszą energię. Pasowaliśmy do siebie.

Kiedy obudziłam się rano, na zegarku była dziesiąta. Nie pamiętam, kiedy tak długo spałam. Adam spał głęboko z ugniecioną poduszką pod głowę. Ogarnęła mnie czułość. Kiedy patrzyłam na jego twarz, oczy bez okularów, potargane włosy, jednodniowy zarost z pojedynczymi siwymi włoskami, lekko rozchylone usta, poczułam, że chciałabym ofiarować mu więcej uczucia, odwzajemnić jego miłość. Dotknęłam jego włosów, przejechałam ręką po brodzie, palcem po wargach. Otworzył gwałtownie oczy. Rozpromienił się, widząc, co robię. Pocałowałam go delikatnie, przyciągnęłam mocniej do siebie. Głaskałam po plecach, ramionach, oplatałam nogami jego biodra. Czułam, że mnie pragnie. Był tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Tylko go schrupać, jak ciastko.

Dochodziło południe, kiedy wreszcie postanowiliśmy wstać. Burczenie w brzuchach nas do tego zmusiło. Żadne z nas nie miało chęci na urzędowanie w kuchni. Po filiżance espresso

i małym toście wybraliśmy się na wycieczkę. Zabrałam Adama na zachodnią część wyspy, na klif, skąd rozciągał się piękny widok na wyspy Amrum i Sylt. U podnóża klifu znajdowała się restauracja Zum Wattenlaufer. Szyld zdobił stary rybak w kaszkiecie na głowie, z białą brodą i fajką w zębach. Przez ramię miał przewieszony worek marynarski, podpierał się sękatym kijem.

W środku na kominku wesoło buzował ogień, zajęty był tylko jeden stolik – dwóch starszych panów popijało piwo. Zamówiliśmy pieczone ziemniaki ze smażoną kiełbasą i jarmużem, do tego gorącą herbatę – ja z rumem, Adam bez (kierowca musi pokutować). Miałam nadzieję, że rum pomoże mi w strawieniu tak ciężkiego jadła. Spędziliśmy tam dwie godziny, przekomarzając się wesoło, zjadając ze smakiem. Na dworze rozpadał się deszcz, zacinał z łoskotem w szyby. A my czuliśmy się chronieni przed tą nieżyczliwą aurą, jak w bezpiecznym azylu. Nie odmówiliśmy sobie deseru – szarlotki na ciepło z cynamonem i bitą śmietaną. Pychota. Ten smak zawsze kojarzył mi się ze świętami.

Na zewnątrz zrobiło się szaro. W przedsionku restauracji zapięliśmy szczelnie nasze przeciwdeszczowe kurtki. Adam ze śmiechem naciągnął mi na oczy czapkę smerfetkę, całując mnie przy tym namiętnie w usta. Obejmował mnie swoim niedźwiedzim uściskiem, podniósł mnie. Zamknęłam oczy i śmiałam się szczerze. Kiedy je otworzyłam... w drzwiach zobaczyłam przemoczonego Maksa!

Stał zaskoczony, cały ociekający wodą, przeszkakiwał wzrokiem to na mnie, to na Adama. Poczulałam, że nie mogę złapać oddechu, krew odpłynęła mi do stóp. Wyglądał żałośnie. Poczulałam ukłucie w sercu.

– Zuza – powiedział po chwili, kiwając głową.

– Maks – odpowiedziałam. Nie mogliśmy oderwać od siebie wzroku. Adam stał nieruchomo, przyglądając się nam.

Po chwili Maks odsunął się, dając nam przejść. Adam przytrzymał dla mnie drzwi, biegiem ruszyliśmy przez zacinający deszcz do samochodu, stopami rozchlapując błoto. Milczałam, nadal myśląc o Maksie.

– To był on? – zapytał Adam.

Przez chwilę chciałam zaprzeczyć, ale przecież postanowiłam nie okłamywać Adama.

– Tak.

– Kochasz go? – zapytał smutno.

– Nie umiem określić moich uczuć. Dla mnie to sprawa zakończona. Nie spodziewałam się go tu spotkać. Nie rozmawiamy o tym więcej. – W moim głosie była stanowczość. Wzięłam Adama za rękę, uśmiechając się nieśmiało. Pokiwał głową ze smutnym uśmiechem, podniósł moją dłoń do ust, pocałował, po czym wyswobodził swoją rękę i wolno ruszył z parkingu.

Jechaliśmy oboje zamyśleni. Czar prysł. Myślałam o Maksie. O ile byłoby mi łatwiej o nim zapomnieć, gdybym nie musiała go widywać. Może lepiej byłoby wrócić do Polski? Ale podpisałam kontrakt, muszę tu zostać do kwietnia. A z drugiej strony: czy miałabym uciekać z podkulonym ogonem, jak zbity pies? Spojrzałam na Adama. Przygryzał wargę, marszczył brwi, okulary zsunęły mu się na czubek nosa, zdawał się tego nie zauważać.

Zaparkowaliśmy przed moim domem. Pomógł mi wsiąść, na szczęście deszcz nieco zelżał. W domu zdjęliśmy mokre kurtki, zrobiłam gorącą herbatę. Usiedliśmy w pokoju, wzięłam Adama za rękę.

– Adam, nie psujmy sobie nastroju przez niepotrzebne, przypadkowe spotkanie – powiedziałam z prośbą w głosie. – Cieszymy się chwilą. Nie chcę, żeby to się popsulo. Jest dobrze, mnie i tobie. Po co to rozpamiętywać, analizować? Zostawmy sprawy naturalnemu biegowi.

Adam pokiwał ze zrezygnowaniem głową.

– Tak, ale ja jutro wyjadę, a on tu zostanie.  
– Ale może się zdarzyć, że nie spotkam go już więcej do końca pobytu. Zresztą on nie zabiega o spotkania ze mną, wierz mi.  
– No to chyba jest idiotą, na szczęście dla mnie – odpowiedział nieco pogodnie. Pochylił się nade mną i zaczął mnie gwałtownie całować, jakby chciał we mnie wlać cały swój lęk, niepewność. Jakby chciał się mną nasycić na zapas. Wziął mnie za rękę, pociągnął do sypialni. Kochał się ze mną intensywnie, gwałtownie, wręcz nieco brutalnie. Pozwalałam mu na to, chciałam, żeby okiełznał swój niepokój, żeby się uspokoił.

Rano, po śniadaniu, odprowadziłam Adama na prom. Długo staliśmy na nabrzeżu, nie mógł wypuścić mnie z objęć. Zwlekał z odejściem do ostatniej chwili, już prawie zamykali trap. Stałam i patrzyłam za odpływającym promem, ogarnęła mnie zaduma. „Co będzie dalej?” – zastanawiałam się.

Czy związek mój i Adama ma jakąś przyszłość? Czy zdołam zapomnieć o Maksie?

\*

Nie mógł przestać o niej myśleć. Ależ był idiotą, dokonał fatalnych wyborów w swoim życiu. A w ostatnich miesiącach to było chyba zupełne zaćmienie. Ingrid musiała rzucić na niego jakiś czar, że poszedł za nią jak ślepiec. Policja nadal szukała jej i Dirka, trafili podobno na jakiś ślad w Azji, ale nie mógł się dowiedzieć niczego więcej. Miotał się. Nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie szło mu gotowanie ani szefowanie w firmie, nie mógł sobie także znaleźć miejsca w domu.

Kiedy spotkał Zużę pierwszy raz po powrocie, był jednocześnie zaskoczony i uradowany. Był przekonany, że już wyjechała. Z drugiej strony odczuł ogromną ulgę i radość, że jeszcze tu jest, że nic nie jest stracone. Chciał podejść, przeprosić, prosić o wybaczenie. Ale ten nieszczęsny telefon uniemożliwił mu to. A potem, w restauracji na klifie, kiedy zobaczył ich takich szczęśliwych, stracił wszelką nadzieję. Zuza wyglądała promiennie, nigdy przy nim się tak nie śmiała, nie była taka swobodna. Ale z drugiej strony on, Maks, nigdy nie okazywał jej takiej bezwarunkowej miłości, jaką widać było na twarzy jej towarzysza. Zazdrościł temu dryblasowi (no, nie był dużo wyższy od niego, tylko ta szczupłość pozornie dodawała mu wzrostu). Kiedy ich zobaczył, nie mógł wykonać żadnego ruchu, ledwo zdołał wykrztusić jej imię. Zuza odpowiedziała mu niechętnie. A czego się spodziewał? Że padnie mu w ramiona? Okazał się kompletnym durniem. Za błędy trzeba płacić.

Spacerował wczesnym wieczorem uliczkami Wyk, snując się bez celu. Nosiło go, jak co wieczór. Przechodząc obok kościoła, usłyszał dźwięki muzyki, chyba Bach. Czy to nie to samo trio, którego słuchali z Zużą w Nieblum? Wszedł do wnętrza, zobaczył kilka osób siedzących w ławkach, zasłuchanych w dźwięki muzyki. W jednej z ławek dojrzał... Zużę! Siedziała sama, z zamkniętymi oczami, chłonęła muzykę całą sobą. Mógł ją bezkarnie obserwować. Była smutna.

Może, podobnie jak on, wspominała czas, kiedy wspólnie słuchali tego koncertu. Wszedł do ławki, usiadł blisko niej. Bał się, że wstanie i odejdzie. Albo, co gorsza, że go zignoruje. Zetknęli się ramionami. Zuza otworzyła oczy. Wpatrywał się w nią intensywnie. Była poruszona, zaczęła szybciej oddychać, patrzyła mu prosto w oczy.

– Przepraszam – powiedział bezgłośnie. Wyczytała to jedynie z ruchu jego warg. Nie poruszyła się.

W jej oczach zaszklily się łzy, jedna powoli spływała po policzku. Wziął ją za rękę. Chciała ją zabrać, ale nie pozwolił. Odwróciła twarz w stronę muzyków. Delikatnie gładził palcami jej dłoń. Była bardzo spięta. Nie powinien tego robić. Tak ją upokorzył, nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.



Nagle wstała gwałtownie, ruszyła do wyjścia. Zerwał się za nią, szła coraz szybciej, na koniec prawie wybiegła z kościoła. Na zewnątrz było ciemno, przez mgłę przedzierały się światła ulicznych latarni. Szła szybkim, zdecydowanym krokiem, nie mógł za nią nadążyć.

– Zuza, zatrzymaj się, proszę! – Złapał ją za ramię, ale się wyrwała. – Chciałbym cię przeprosić. Nie planowałem tego spotkania, ale może tak miało być. Zuza!

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia – mówiła dziwnie spokojnie. – Nie znamy się właściwie, już ci to kiedyś mówiłam. A to, że przypadkowo spędziliśmy ze sobą noc, może się każdemu zdarzyć. To bez znaczenia.

– To nie było dla mnie bez znaczenia! – krzyknął prawie.

– Nie? – Zatrzymała się nagle, prawie wpadł na nią. – Nie było bez znaczenia? To dlaczego wziąłeś dupę w troki i cichcem zwiąłeś? Każdy mężczyzna w ten sposób okazuje kobiecie, jak bardzo mu zależy? – mówiła z coraz większą furją.

– Przeraziłem się, że zależy mi za bardzo – Mówił prawdę, ale czy mu uwierzy?

– I pobiegłeś prosto w ramiona byłej żony? – Ruszyła szybko przed siebie, na oślep, nie wiedziała, dokąd zmierza. Nie myślała o tym, myśli miała zaprzątnięte jedynie Maksem. Wokół było coraz mniej zabudowań, zbliżyli się do dzielnicy bilionerów.

– Omamiła mnie. Wiem, że nie jest to żadne usprawiedliwienie, ale przez tyle miesięcy za nią tęskniłem, kochałem ją kiedyś. Nie mogę racjonalnie wytłumaczyć tego, co zrobiłem. Nie była to dobra decyzja, ale nie zmienię już tego. Wiem także, że nie naprawię tego, co było między nami. Chciałbym tylko, żebyś mi wybaczyła.

Zuza stała nieruchomo, popatrzyła na niego zamyślona. Zaczęło padać. Oboje nie reagowali na spadające krople. O czym ona teraz myśli?

– Pada coraz bardziej – powiedział po chwili – przemokniesz do suchej nitki. Mój dom jest niedaleko, pozwól się zaprosić, zaparzę herbatę, osuszysz się, a potem odwiozę cię do domu. Obiecuję.

Zaprzeczyła ruchem głowy. W tym momencie lunęło jak z cebra. Chwycił ją gwałtownie za rękę i ruszył biegiem w stronę domu. Nie opierała się, zresztą lało zbyt mocno, a w pobliżu nie było żadnego schronienia.

\*

Biegliśmy, nie zważając na kałuże. I tak byliśmy cali mokrzy. Maks mocno trzymał moją rękę. Nie widziałam, dokąd mnie prowadzi. Wokół rozpościerała się ściana wody, zanurzona w gęstej mgłę. Nie było nic widać. Nagle Maks skręcił na ścieżkę prowadzącą do domu. Nie wiem, jak wyglądał, deszcz przesłaniał wszystko. Otworzył drzwi wejściowe i znaleźliśmy się w przestronnym holu. Na kamiennej podłodze leżał ręcznie tkany, wiejski gobelin. Ściany były białe, z nierównym tynkiem, zakończone półokrągło w narożnikach. Kinkiety oświetlały pomieszczenie delikatnym, żółtawym światłem. Między nimi lustro w naturalnej, drewnianej ramie, obok komoda z takiego samego drewna, z delikatnym rzeźbionym ornamentem kwiatów. Na komodzie prosta lampa, która dawała takie samo, delikatne, żółte światło. Całość sprawiała wrażenie przytulnej intymności.

Nie mogłam uspokoić oddechu. Maks pomógł mi zdjąć kurtkę.

– Jesteś zupełnie przemoczona. – Popatrzył na mnie przez chwilę. – Przejdź do łazienki, przyniosę ci jakieś suche rzeczy do przebrania. Moje rzeczy.

– Nie trzeba, nic mi nie będzie – odpowiedziałam oczywiście uparcie. Cała drżałam, zęby mi dzwoniły. Maks popchnął mnie delikatnie w kierunku łazienki. Usiadłam na toalecie i zastanawiałam się, co ja tu robię. Czy to zbieg okoliczności popchnął mnie znowu w kierunku Maksa, czy też sami podświadomie szukaliśmy się nawzajem?

Po chwili Maks wsunął przez uchylone drzwi naręcze ubrań. Spodnie dresowe, bluza z kapturem i ciepłe skarpety. Nawet bieliznę miałam przemoczoną. Zdjęłam więc wszystko, przebrałam się w rzeczy Maksa. Spodnie podwinęłam w pasie, nogawki dwa razy, podobnie rękawy bluzy. Kiedyś ubierałam tak lalki w ubranka niemowlęce. Wyglądałam podobnie.

Kiedy wyszłam z łazienki, Maks spojrzął na mnie, jego usta drgnęły w hamowanym uśmiechu. Na kanapie siedział Chochlik, kręcąc głową na boki i cmokając z politowaniem. Stałam niepewnie, ściskając w ramionach moje przemoczone ubrania.

– Usiądź, zaparzyłem herbatę z prądem, taką, jaką lubisz – powiedział, zabierając moje mokre rzeczy i rozwieszając je przed kominkiem. – Napijemy się, rozgrzejesz się trochę, a potem odwiezę cię do domu. Nie obawiaj się, nie będę cię do niczego zmuszał.

Usiedliśmy w przestronnym salonie. Miękkie, beżowe kanapy zajmowały sam środek pomieszczenia. Przed nimi stał niski, kwadratowy stolik z jasnego drewna, na nim, na tacy, kilka świec różnej wielkości. Między nimi rozsypane muszelki. Pod ścianami witryna, komoda, w narożniku kominek. Klasycznie i elegancko, z dodatkiem rustykalnej nutki. Ściany ozdobione zdjęciami w beżowo-brązowej tonacji, oprawione w czarne, wąskie ramy. Przedstawiały znowu nadmorskie krajobrazy. Były przepiękne, każde kryło w sobie jakąś tajemnicę. Jakby dopełnienie kolekcji z restauracji. Wiedziałam, kto był ich autorem. Największe zdjęcie, powieszona nad komodą, przedstawiało raz jeszcze znajomy mi kościółek. Przed jego drzwiami stała tyłem odwrócona kobieta w półdługich włosach, patrząca w stronę morza... to przecież ja! Kiedy zrobił to zdjęcie? Komórką? To niemożliwe!

Maks rozpałił ogień w kominku. Płomień buchnął wysoko, od razu poczułam jego ciepło. Usiadłam na kanapie i łączywie popijałam podaną mi herbatę. Czułam jej moc rozchodzącą się po moim ciele. Rum dawał odprężenie. Zrobiło mi się ciepło, poczułam się spokojna. Podwinęłam pod siebie stopy w za dużych, męskich skarpetkach. Moje buty były zupełnie przemoczone. Maks położył je przy kominku. Znowu *déjà vu*. Czy ja jeszcze żyję w rzeczywistym świecie? Ciągle przeżywam podobne sytuacje, czasem tylko zmieniają się w nich postacie.

Nie wiedziałam, jak mam się zachować, o czym rozmawiać. Więc milczałam. Maks usiadł na sąsiedniej kanapie. Trzymał w dłoniach kubek z parującą herbatą, wpatrywał się we mnie intensywnie.

– Kochasz tego mężczyznę? – zapytał cicho.

– Którego? – Wyrwał mnie z głębokiego zamyślenia.

– Tego, z którym widziałem cię w restauracji na klifie.

– Nie masz prawa zadawać mi takich pytań – odpowiedziałam poirytowanym głosem.

Zmieszał się. Cały czas był smutny. Ma jakieś kłopoty? Ingrid go znowu zostawiła? – On mnie kocha – powiedziałam w zamyśleniu. – Sprawia, że czuję się bezpiecznie, akceptowana i adorowana.

– I to ci wystarczy? Jesteś szczęśliwa? – Nadal wpatrywał się we mnie przenikliwie.

Wstałam gwałtownie. Wiedziałam, do czego doprowadzą takie rozmowy. Znowu dam się ponieść emocjom, a potem będę cierpiała. Po co mi to?

– Maks, dlaczego to robisz? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? Chcesz się mną pobawić, znowu? Nie rób tego! – Czułam narastające we mnie emocje, gniew, żal i chyba przerażenie.

– Nie, Zuza, to nie tak! Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy. – W jego głosie słyszałam cierpienie.

– Ale zrobiłeś! I nie pozwolę na to ponownie. A teraz proszę, odwieź mnie do domu. – Ruszyłam szybko w stronę drzwi. Maks złapał mnie za ramiona, gwałtownie odwrócił do siebie.

Popatrzył mi głęboko w oczy.

– Nie mogę o tobie zapomnieć. Stałaś się moją obsesją. Nawet przez ten krótki czas, kiedy znowu byłem z Ingrid, codziennie myślałem o tobie. Tęskniłem do twojego ciepła, do twojej serdeczności, ufności. Do naszych rozmów, dotyku, do twoich ust, twojego ciała. Pragnąłem cię. Zuza, zakochałem się w tobie, nic na to nie poradzę.

– I odszedłeś od Ingrid, bo stwierdziłeś, że to jednak mnie kochasz? – zapytałam z nadzieją.

– Niezupełnie. Ale...

– Czyli znowu cię zostawiła, a u mnie szukasz pocieszenia? – Narastała we mnie furia. – Mam cię pocieszać do czasu, aż ona znowu postanowi wrócić? I tak będziemy się zabawiać, aż ci się znudzę? – Mówiłam coraz głośniejszym głosem, krzyczałam prawie, jednocześnie uderzałam go dłońmi w klatkę piersiową, odpychając go od siebie.

Nagle zbliżyłam się do niego, objęłam rękoma jego twarz i pocałowałam go. Gwałtownie, namiętnie, z wściekłością. Nie wiem, co chciałam tym osiągnąć. Chciałam pozwolić mu, żeby mnie posmakował, żeby przypomniał sobie, jak to było. A potem brutalnie go odepchnąć. Jednak w miarę, jak trwał pocałunek, obudził się we mnie uspiiony wulkan. Poczułam niewyobrażalne pragnienie, żar rozpalający mnie od wewnątrz. Maks po początkowym osłupieniu przyłgnął do mnie, jego ręce błędziły gwałtownie po moich plecach, wplatał je w moje włosy, były wszędzie. Całował mnie tak, jakby od tego zależało jego życie. Poczułam, że nie jestem w stanie tego przerwać. Pragnę go tu i teraz. Wiedziałam, że on odczuwa to samo.

Nagle rozległ się dzwonek. Głośny, natarczywy. Oderwaliśmy się od siebie zaskoczeni. Patrzyliśmy sobie z niedowierzaniem głęboko w oczy.

Maks odwrócił się, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Za drzwiami było dwóch policjantów. W tle stał policyjny radiowóz z migającymi światłami.

– Pan Maksymilian Weber? – zapytał jeden z nich.

– Tak – odpowiedział Maks zaskoczony.

– Jest pan aresztowany, pojedzie pan z nami.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Byłam w szoku. Wyprowadzili Maksa w kajdankach, nie chcieli wyjaśnić, o co jest oskarżony, miał się dowiedzieć dopiero na miejscu. Nie wszystko rozumiałam po niemiecku, część słownictwa była dla mnie nieznana. Zrozumiałam tylko tyle, że po wstępnym przesłuchaniu będzie przewieziony do Monachium i że może się skontaktować ze swoim adwokatem, na co Maks odpowiedział, że niestety jest na urlopie na Borneo. Pozwolili spakować mu rzeczy osobiste, miał na to dziesięć minut.

Na moment spojrział na mnie błagalnym wzrokiem.

– Nie zrobiłem nic złego. Wszystko się wyjaśni, przepraszam. Proszę, zaopiekuj się domem.

I tyle go widziałam. Stałam w holu zupełnie zdezorientowana. Poraziła mnie ta sytuacja. „Co ja mam teraz zrobić?” – zastanawiałam się. Co on takiego zrobił, że został aresztowany? Znowu nic o nim nie wiem. Jest kompletnie pokręcony, ale czuję, że nie jest żadnym przestępcą. Wiem to! Jak mogę mu pomóc? Nie wiem nawet, kogo mogłabym zawiadomić, jakich ma przyjaciół. Wiem, że nie ma rodzeństwa ani rodziców, do byłej żony dzwonić nie będę, zresztą i tak nie mam z nią kontaktu. I dlaczego zabierają go do Monachium, to przecież drugi koniec Niemiec. Weszłam do salonu, usiadłam na kanapie zupełnie nieruchomo, w głowie miałam gonitwę myśli. Zaraz, zaraz... Monachium... pan Andreas! Muszę mieć gdzieś w torebce jego wizytówkę. Jest! „Andreas Miller & Sohn. Kancelaria Adwokacka”, jest telefon.

Odebrał po kilku sygnałach. Odezwał się lekko zaspanym głosem.

– Witam pana, panie Andreasie. Mówi Zuzanna Maj z sanatorium z Wyk. Bardzo przepraszam, że tak późno dzwonię, obudziłam pana zapewne, ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki, chodzi o mojego bliskiego przyjaciela z wyspy, Maksymiliana Webera. Bardzo potrzebuję pana pomocy.

– Pani doktor Zuzanna, dla pani zawsze mam czas. Nie zdążyłem jeszcze odpisać na pani ostatni list. Muszę przyznać, że wyczekuję ich z utęsknieniem. Są dla mnie jak promyk młodości. Ale nie po to pani dzwoni, jak mogę pomóc temu Maksowi? O ile mnie pamięć nie myli, to jeden z bogatszych przedsiębiorców na wyspie.

– Tak, został właśnie przed godziną aresztowany w swoim domu w Wyk. – Czułam, że zaczyna puszczać napięcie, które trzymało mnie do tej pory. Łzy spływały po moich policzkach, nie mogłam nad nimi zapanować. – Byłam przy tym, nie ukrywam, że jestem tym zaszokowana. Nie postawiono mu w domu żadnych zarzutów, ma zostać przewieziony do Monachium, nie wiem kiedy i nie wiem, gdzie go w tej chwili trzymają. Nie wszystko rozumiałam z tego, co mówili policjanci, ale Maks powiedział, że jego adwokat jest na urlopie na Borneo. Nie wiem, jak mogę mu pomóc.

– Pani Zuzanno, zrobię wszystko, co będę mógł, żeby pani pomóc, ale pan Weber musi udzielić mi pełnomocnictwa, żebym mógł go reprezentować – powiedział starszy pan uspokajającym tonem.

– Ale ja nie mam z nim kontaktu – odpowiedziałam, nadal chlipiąc w słuchawkę.

– Wiem o tym, proszę się nie martwić. Zaraz zadzwonię do syna, bo większą pracę on będzie musiał wykonać. Ja, z racji mojego wieku, będę już głównie jego doradcą. Skontaktujemy się z posterunkiem policji w Wyk, powinni udzielić nam wszelkich informacji. Jeżeli tylko panu Weberowi będzie odpowiadała współpraca z nami, szybko dojdziemy do porozumienia. Mam pani numer telefonu, skontaktuję się z panią, jak tylko będziemy coś wiedzieli. – Jego słowa były jak balsam dla moich skołatanych nerwów. – A teraz proponuję położyć się spać, bo nie

wiadomo, co będzie panią czekało jutro. Trzeba odpocząć. Lampka koniaku i do łóżka. Wcześniej pani ordynowała mi leczenie, teraz moja kolej.

– Nie wiem, co bym zrobiła bez pana pomocy, panie Andreasie. Zastosuję się do pana zaleceń i będę czekała na wiadomości. Jeszcze raz dziękuję bardzo i do usłyszenia.

Odkładając słuchawkę, czułam ulgę. Jakbym zrzuciła mój problem na cudze barki. Wiedziałam już teraz, dlaczego moje dzieci z każdym swoim kłopotem dzwonią do mnie. Mają wtedy złudzenie, że chociaż jego część zostawiają komuś innemu.

Weszłam do salonu. W kominku dogasał ogień, na stoliku stały kubki z niedopitą herbatą. Zrobiło mi się zimno, poczułam dreszcze. Czułam się w tym domu obco, zresztą dlaczego miałoby być inaczej? Zamknęłam drzwi wejściowe i weszłam po schodach na górę. Zapaliłam światło, włącznik znajdował się tuż przy schodach. Zobaczyłam hol wielkością podobny do tego na parterze, nieco bardziej kwadratowy. Znajdowało się w nim czworo drzwi, wszystkie były otwarte. Po lewej stronie była przestronna sypialnia. Po rzeczach leżących na fotelu domyśliłam się, że to musi być sypialnia Maksa. Po lewej stronie były drzwi do łazienki. Pod ścianą stało duże, dwuosobowe łóżko z czarnego metalu, zasłane pościelą w beżowo-kremowo-popielate geometryczne wzory. Pod oknem nowoczesne biurko, na którym piętrzyły się sterty dokumentów, stało kilka pustych kubków i szklanek, aparat fotograficzny, minimalistyczna lampa biurkowa. Po przeciwnej stronie drzwi do garderoby. Całego wystroju pokoju dopełniała orientalna komoda, na której stała nowoczesna lampa z kremowym abażurem. Na podłodze miękka, kremowa wykładzina skutecznie tłumiła kroki. Rozebrałam się do bielizny i wsunęłam pod kołdrę. Opatuliłam się nią pod samą brodę. Pachniała Maksem. Czułam potworne znużenie, tyle wrażeń dzisiejszego dnia. Zasnęłam natychmiast.

Spałam bardzo niespokojnie. Śniło mi się, że widzę Maksa na żelaznym moście zasnutym mgłą. Wołam go, on się do mnie odwraca, patrzy na mnie z obojętną miną, po czym odchodzi w kierunku drugiego brzegu i znika we mgle. Jestem przerażona, chcę za nim biec, ale moje nogi nie mogą ruszyć z miejsca. Patrzę na nie zaszokowana, ale ich nie ma tam, gdzie być powinny, tylko mgła. Jestem przerażona. W tym momencie z drugiego brzegu, przeciwnego do tego, na którym zniknął Maks, pojawia się Adam. Wyciąga do mnie rękę, uśmiechając się łagodnie. Czuję się taka nieszczęśliwa, rozdarta między nimi dwoma, a jednocześnie niemogąca ruszyć z miejsca. Obudziłam się nagle, zmęczona jeszcze bardziej, niż byłam, kładąc się do snu. Czy moja podświadomość chce mi o czymś powiedzieć?

Zasnęłam ponownie. Kiedy o siódmej zadzwonił budzik, byłam zupełnie zdezorientowana. W pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, gdzie jestem. Kiedy przypomniały mi się wydarzenia minionego dnia, poczułam się przerażona. Musiałam jednak iść do pracy.

„Na szczęście dzisiaj jest piątek – pomyślałam – dotrwam jakoś do końca”.

Wzięłam szybki prysznic w łazience Maksa. Moje rzeczy wyschły, buty też. Nie zdążyłabym pójść do domu, żeby się przebrać. Ubrałam się szybko i wybiegłam z domu, śpiesząc w kierunku sanatorium.

Pracowałam niespokojnie, cały czas wyczekując wiadomości od pana Andreasa. W końcu koło południa zadzwonił telefon. Rzuciłam się na niego podekscytowana. Adam!

– Cześć, Zuziu. Co tam u ciebie? – zapytał czule.

Byłam nieco zmieszana. Czułam się jak oszust. Nie wiedziałam, jak się zachować.

– Adam, jak się masz? – zapytałam neutralnie. – Jestem w pracy, mam sporo roboty. A ty jak się czujesz?

– Też pracuję, ale zatęskniłem za tobą. – Adam nadal nie wyczuwał mojego zmieszania. Dobrze, że to nie Skype, nie widział mojej miny. Była nietęga. W tle słyszałam dźwięk dobijającej się drugiej rozmowy. – Adam, przepraszam, ale czekam na rozmowę z Antkiem. Nie

może się do mnie dodzwonić, a ma coś ważnego do przekazania. Słyszę właśnie dźwięk drugiego połączenia. Odezwę się wieczorem, dobrze?

– Nie ma problemu. To do usłyszenia później, kochanie – odpowiedział pogodnie.

– To na razie – powiedziałam. Kochanie! Mamusiu, jakie to ciepło. Wieki całe nikt do mnie tak nie mówił. Ale ja to jednak jestem kłamczucha. Choć przecież nie mogłam powiedzieć prawdy. Nie chciałam go zasmucić.

Spojrzałam na telefon, nieodebrane połączenie od Andreasa. Oddzwoniłam natychmiast.

– Witam, panie Andreasie. Przepraszam, ale miałam drugą rozmowę. Czy ma pan dla mnie jakieś wiadomości? – zapytałam z nadzieją w głosie. Czułam przyspieszone bicie serca, zaczynały pocić mi się ręce. Bałam się złych wieści.

– Skontaktowaliśmy się z panem Weberem – ciepłym głosem zdawał relację Andreas. – Już w nocy został przewieziony do aresztu śledczego w Monachium. Rano mój syn widział się z nim. Pan Weber nie zdołał jeszcze skontaktować się ze swoim prawnikiem, więc zgodził się chętnie z nami współpracować. Znał naszą kancelarię. Nie chwaląc się, mamy dobrą reputację. Syn powiedział mu, że to na pani prośbę odbywa się to spotkanie. Muszę powiedzieć, że był bardzo zaskoczony. Ale myślę, że dobrze się stało.

– A czy może mi pan powiedzieć, o co jest oskarżony? Czy to jakieś poważne zarzuty? – Nie mogłam ukryć niepokoju w głosie.

– Niestety, pani Susi, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Mam wprawdzie upoważnienie pana Webera do przekazywania pani informacji o nim, ale niestety muszą się one ograniczyć do treści osobistych. Nie mogę nic mówić na temat śledztwa.

– Rozumiem, to proszę chociaż mi powiedzieć, jak on się czuje. Martwię się o niego.

– Fizycznie nic mu nie dolega. W areszcie są przyzwoite warunki, niczego mu nie brakuje. Ale obawiam się, że psychicznie jest w fatalnym stanie, jak mi przekazywał syn. Kazał pani podziękować za tak szybką i skuteczną pomoc. Pani Zuzanno, niech się pani nie zamartwia. To silny mężczyzna, biznesmen, który niejedno już przeszedł. Poradzi sobie, a pani wsparcie będzie dla niego bardzo istotne. W poniedziałek będę się z nim widział. Rzadko angażuję się osobiście w sprawę, od kiedy przeszedłem na emeryturę, ale dla pani, pani Zuzanno, zrobię wyjątek – powiedział pogodnym, krzepiącym głosem.

– Dziękuję, panie Andreasie. Będę panu dożgonnie wdzięczna. Proszę przekazać Maksowi, że wierzę, iż wszystko się wyjaśni, i trzymam za niego kciuki. Będę czekała na wiadomości od pana.

– Zatem do usłyszenia w poniedziałek – pożegnał się Andreas i w słuchawce zapadła cisza.

Przez cały dzień miotałam się, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Strasznie dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu Adama. Nie chciałam go zwodzić, ale przecież niczego mu nie obiecywałam. Ale jednak kochaliśmy się. To nie jest nic. Z Maksem też się kochałam. Nie, to nie było kochanie, to było trzęsienie ziemi! Wiedziałam, że Adam zrobił sobie nadzieję. I nie był mi przecież obojętny. O mamó kochana! Co ja mam zrobić? Z drugiej strony nie wiedziałam, co mnie łączy z Maksem oprócz nieodpartego pociągu. Ale jaki jest jego stosunek do mnie? Nic nie wiem, nic nie wiem! Czy jest człowiekiem godnym zaufania? Czy też przestępcą, który już raz mnie wykorzystał i może zamierzał zrobić to po raz drugi, bo na przykład nudno mu było? I dlaczego tak ciągle o nim myślę? Już było lepiej, zaczynałam zapominać. Cieszyłam się bliskością z Adamem, a teraz wszystko diabli wzięli! Chyba pójdę do zakonu! Chochlik miałby ubaw!

Po pracy poszłam do mojego mieszkania, przebrałam się, spakowałam trochę rzeczy i postanowiłam zamieszkać chwilowo w domu Maksa. Nie rozumiałam do końca, co miał na

myśli, mówiąc, żebym zaopiekowała się jego domem. Nie chciałabym, żeby sobie pomyślał, że się tam wprowadziłam. Co za niezręczna sytuacja. Może ma jakąś gosposię, która na przykład przyjdzie po weekendzie i przejmie ten dom, uwalniając mnie od obietnicy? Zobaczymy.

Kiedy wolnym krokiem dotarłam na miejsce, było ciemno. Nie mogłam zlokalizować światła w przedpokoju, wewnątrz tonęło w mroku. Poczułam dreszcze przebiegające mi po plecach. Jak w thrillerze! Zuza, nie popadaj w paranoję.

Pozapalałam światła na całym parterze. W kuchni zrobiłam sobie kanapkę – lodówka Maksa była wyśmienicie zaopatrzona, jak na kucharza przystało. Nalałam lampkę czerwonego wina. Usiadłam wygodnie w salonie na kanapie. Czułam, jak siły mnie opuszczają. Nie włączyłam nawet muzyki, nie byłam w stanie. Pamiętałam, że obiecałam Adamowi, że zadzwonię wieczorem, ale na miłość boską, co ja mam mu powiedzieć? Dalej brnąć w kłamstwo czy powiedzieć prawdę? Tylko jaka jest ta prawda?

Nie wiem, kiedy zasnęłam. Obudził mnie jakiś hałas na górze. W całym domu nie było światła. Na dworze hulał wiatr, deszcz siekł o szyby. Gdzieś na górze trzaskało niedomknięte okno. Poczułam lęk. Na szczęście wieczorem nie spuściłam rolet, słabe światło ulicznej latarni na tyle rozświetlało pomieszczenie, że po omacku doszłam do kominka. Wiedziałam, że tam na gzymsie leżą długie kominkowe zapalki, a na stoliku stoją świece. Udało mi się jedną zapalić. Podeszłam do okna i zobaczyłam, że w sąsiednich domach palą się światła. „Dziwne – pomyślałam – tylko w tym domu nie ma prądu? Może za dużo świateł pozapalałam i przeciążyłam instalację? Ale to chyba niemożliwe w tak solidnym domu?”

Nagle z góry dobiegł mnie hałas, jakby coś spadło na podłogę. Głośno trzasnęło niedomknięte okno. „Jeżeli tak mocno leje, to może zalać podłogę” – pomyślałam. Wzięłam świecę i powoli ruszyłam na górę. Czułam, jak moje serce przyspiesza, oddychałam coraz głębiej. Zuza, opanuj się! Kto miałby na ciebie tu czyhać? Wchodząc do holu na górze, usłyszałam, że to w Maksa pokoju trzaska otwarte okno. Otworzyłam drzwi i przerażenie odebrało mi całą energię. Zobaczyłam ciemną postać, zwinnym ruchem pokonującą parapet i znikającą za oknem. Cała sypialnia była zasłana porozrzucanymi rzeczami – papierami, książkami, ubraniami Maksa. Drzwi do garderoby były otwarte, widziałam fragment podłogi zasłanej rzeczami. Ogarnęło mnie przerażenie. Odwróciłam się gwałtownie, chciałam jak najszybciej stąd uciec. W tym momencie podmuch wiatru zdmuchnął płomień świecy. Ogarnęły mnie zupełne ciemności. Po tej stronie domu nawet nie docierało światło z ulicy. Na domiar złego zostawiłam na dole komórkę.

Poczułam panikę łapiącą mnie za gardło. Po omacku, powoli, stopień za stopniem zsuwałam się na dół po schodach. Nogi pode mną drżały jak osika. W holu na dole było trochę jaśniej. Nie pamiętałam, gdzie zostawiłam telefon. W salonie na stoliku? Nie, nie ma go. Znowu trzaskające okno! A jeżeli włamywacz wróci? O Boże, gdzie ten telefon!?

W kuchni! – przypomniało mi się. Macając po szafkach, trafiłam na coś ostrego. Nóż, którego używałam do robienia kanapki. Oczywiście, nóż kucharza musi być ostry! Poczułam silny ból w dłoni, a potem rozchodzące się po niej ciepło. Krew! Czułam jej zapach. Muszę znaleźć ten telefon. I, Zuza, nie mdlej czasem, bo cię zamorduję. Jest! Leżał na stole.

Szybko wybrałam numer policji. Na szczęście Wyk to nie Berlin czy Monachium, nie trzeba długo czekać na zgłoszenie.

– Posterunek policji w Wyk, słucham? – odezwał się zaspany głos.

– Nazywam się Zuzanna Maj, jestem znajomą Maksymiliana Webera. Opiekuję się jego domem podczas jego nieobecności. Przed chwilą do domu było włamanie, widziałam złodzieja. – Czułam, że robi mi się coraz słabiej, dzwoni mi w uszach. Próbowałam jeszcze usiąść, ale było za późno. Nie mogłam opanować słabości, nie mogłam nic więcej powiedzieć.

\*

Kiedy się ocknęłam, dom był pełen ludzi. Leżałam na kanapie, nade mną pochylał się ratownik w czerwonym ubraniu, bandażował moją rękę. Pod nogami miałam zrolowany koc. Z ulicy wdzierały się migające niebieskawo-żółte światła, chyba karetki i samochodu policyjnego. Dwóch policjantów stało obok i rozmawiało przyciszonymi głosami. Z góry docierały dźwięki energicznych kroków kilku osób.

Bolała mnie głowa. Dotknęłam jej ręką i poczułam bandaż. Zostałam uderzona w głowę? Czy też sama się uderzyłam, upadając? Nie mogłam myśleć logicznie. Przy każdym ruchu świat zaczynał wirować, byłam znowu bliska omdlenia.

– Co się stało? – odezwałam się cichym głosem do ratownika.

– Ma pani zranioną dłoń i doznała pani urazu głowy – odpowiedział profesjonalnym tonem. – Straciła pani przytomność. W tej chwili nic pani nie zagraża. Na dłoń założyłem cztery szwy, ranę tłuczoną głowy ma pani opatrzoną. Zabierzemy panią do szpitala, zrobimy zdjęcie albo tomografię, lekarz zadecyduje.

Nie, tylko nie to!

– Nie ma takiej potrzeby, czuję się już dobrze – skłamałam. – Jestem lekarzem. Jeżeli poczuje się gorzej, to sama się zgłoszę do szpitala.

– Dobrze, ale na pani własną odpowiedzialność. Musi pani to podpisać. Ma pani kogoś, kto się panią zaopiekuje?

– Tak, zadzwonię po przyjaciółkę. – Znowu powtórka z rozrywki. – Czy zostałam uderzona w głowę? – zapytałam z niepokojem.

– Tego nie wiem, musi pani porozmawiać z policjantami. – Dokończył bandażowanie, pożegnał się ze mną i karetka odjechała. Podeszło do mnie dwóch policjantów.

– Witam panią, nazywam się Stephen Kraus, zajmuję się sprawą włamania do domu pana Webera – odezwał się znużonym głosem. Wyglądał, jakby wstał dopiero z łóżka, nawet nie zdążył się uczesać. – Proszę nam opowiedzieć, co się tutaj wydarzyło. Co pani pamięta?

– Jestem znajomą pana Webera, byłam z nim w domu, kiedy został aresztowany. Poprosił mnie, żebym zaopiekowała się domem. Nocowałam tutaj tej nocy.

Rzeczowo opowiedziałam wydarzenia minionego wieczoru. Policjant słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając dodatkowe pytania i notując pilnie w notatniku.

– Proszę mi powiedzieć: czy zostałam napadnięta? Nie pamiętam, jak to się stało, że upadłam – zapytałam, bojąc się odpowiedzi.

– Nie mamy pewności – odpowiedział. – Nie znaleźliśmy narzędzia ani przedmiotu, którym miałyby pani być uderzona. Nie możemy jednak wykluczyć takiej ewentualności. Możliwe jest także, że na skutek rany dłoni i emocji temu towarzyszących straciła pani przytomność. Po zakończeniu czynności śledczych i zabezpieczeniu śladów oddaliśmy się, a pani będzie mogła odpocząć. Czy jest ktoś, kto mógłby tu z panią zostać?

– W Wyk mieszka moja przyjaciółka. Zadzwonię do niej. A czy powiadomicie panowie pana Webera o włamaniu?

– Przekażemy te informacje do policji w Monachium. – Odpowiadał na moje pytania bez cienia emocji. Zawodowa rutyna. – Oni będą wiedzieli, co z tym zrobić.

– Proszę mi chociaż powiedzieć: co się tutaj stało? – Nadal nie mogłam opanować lęku.

– W tej chwili wiemy nie więcej niż pani. Doszło do włamania. Włamywacz dostał się do budynku prawdopodobnie przez niedomknięte okno na pierwszym piętrze. To, przez które zobaczyła go pani, kiedy uciekał. Nie wiemy, czego szukał, i nie wiemy, czy coś zginęło. Prosimy zatem, żeby nie ruszała pani niczego na górze, pokoje zostaną zabezpieczone do



przyjazdu właściciela. Dom będzie pod obserwacją. Czy zamierza pani tu zostać?

– Nie wiem, co mam robić. Maks prosił mnie, żebym zaopiekowała się domem. Czy uważa pan, że jestem tu bezpieczna? Czy włamywacz nie wróci?

– Mam nadzieję, że wypłoszyliście go. Gwarancji dać nie mogę. Tak, jak powiedziałem, będziemy w pobliżu.

Po godzinie policjanci opuścili dom. Spisali mój numer telefonu, powiedzieli, że będą mnie informować, jeżeli zajdą nowe okoliczności. Porucznik Kraus zostawił mi swoją wizytówkę. Powiedział, że mogę dzwonić o każdej porze. Mam nadzieję, że nie będę musiała. Na dworze świtało. Bolała mnie głowa, ale zawroty złagodniały na tyle, że nie wykonując zbyt gwałtownych ruchów, mogłam się poruszać dość swobodnie. Nie chciałam niepokoić Balbiny, nie potrzebowałam także czyjegoś towarzystwa. Zaczęłyby się pytania na temat mój i Maksa, a chciałam tego uniknąć.

Weszłam do kuchni. Zaparzyłam kawę, usiadłam na krześle przy kuchennym stole i poczułam potworne znużenie. Czy moje kontakty z Maksem zawsze będą się sprowadzały do bólu i cierpienia? Duszy i ciała? I co ja mam z tym wszystkim zrobić? Wiodłam takie spokojne życie, a teraz co? Uwikłałam się w jakąś kryminalną historię, do tego jeszcze ten uczuciowy trójkąt z Maksem i Adamem. Co mam dalej robić? Oszukiwać Adama? Zaufać Maksowi? Taka byłam szczęśliwa tutaj, na Föhr. A teraz najchętniej spakowałabym manatki i wyjechała, gdzie pieprz rośnie. Chochlik, ty nie kiwaj tak z politowaniem tą głową! Nie, nie mogę żyć w kłamstwie. Muszę porozmawiać z Adamem.

– Zuziu, kochanie, co się stało, że dzwoniś tak wcześnie? – zapytał z niepokojem Adam.

– Adam, muszę ci coś wyjaśnić. – Bałam się, ale nie mogłam się już wycofać. – Kilka dni po twoim wyjeździe spotkałam przypadkowo Maksa – zaczęłam.

– To ten drugi?

„A może pierwszy?” – pomyślałam.

– Tak, można tak powiedzieć. Rozmawialiśmy na ulicy w pobliżu jego domu. Zastała nas tam gwałtowna ulewa – zaczęłam opowiadać pokrótce. Nie zagłębiając się w szczegóły, streściłam Adamowi ostatnie wydarzenia. Długo milczał, kiedy skończyłam mówić.

– Adam, jesteś tam? – zapytałam z niepokojem.

– Nie wiem, co powiedzieć. Z jednej strony boję się o ciebie, z drugiej jestem potwornie zazdrosny. Najchętniej pojechałbym do ciebie. Zuza, czy ty nadal kochasz tego Maksa?

– Nie wiem, Adam. Nie umiem określić moich uczuć do niego... ani do ciebie. Obaj jesteście mi bliscy. Zależy mi na was obu. Chyba najrozsądniej będzie, jeżeli stąd wyjadę. Nie chcę wybierać między wami, nie o to tu chodzi. Chciałabym mieć trochę czasu dla siebie, żeby przemyśleć to wszystko. Nie chcę cię także okłamywać. Pamiętasz, mówiłam, że nie wiem, co będzie z nami, nie mogłam ci niczego obiecać. Było mi z tobą dobrze, czułam się bezpiecznie. I było to dla mnie coś ważnego. Nie chciałam tego stracić. Myślałam wtedy, że między mną i Maksem wszystko skończone. Teraz sama nie wiem, jak jest naprawdę. Adam, proszę, daj mi trochę czasu. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić.

– Boję się, że ten czas będzie działał na moją niekorzyść. Szczególnie, jeżeli tam zostaniesz. Ale nie mam na to wpływu. Nie chciałabym, żebyś była ze mną, a kochała innego. Musisz sama podjąć decyzję. Pamiętaj, że cię kocham. To się nie zmieni. Ale nie zmuszę cię do miłości. Sama musisz wiedzieć, czego pragniesz. Będę na ciebie czekał.

I zakończył rozmowę. Stałam, wpatrując się w wygaszony ekran telefonu. Z jednej strony czułam ulgę, że nie muszę kłamać, z drugiej – poczułam pustkę.

Siedział na krześle w ciemnej celi, wpatrywał się w wysoko usytuowane, zakratowane okienko, przez które docierały do wnętrza światła miasta. Przy drugiej ścianie piętrowa prycza zasłana szaroburymi, sfatygowanymi kocami. Obok odrapany stolik i metalowa szafka. Ściana pod oknem zabazgrana niemieckimi napisami. Jeden po polsku: „Chcę do domu”.

Był środek nocy, a on nie mógł zasnąć. Obrzydzeniem napawało go położenie się na pryczy, zwlekał z pójściem spać, jak długo było to możliwe. Rozmyślał. Szokiem było dla niego to aresztowanie. Postawili mu zarzuty prania brudnych pieniędzy w firmie założonej wspólnie z Dirkiem, wyłudzenia ulgi podatkowej. Na nic nie zdały się tłumaczenia, że sam stał się ofiarą oszustów. Trwało sprawdzanie faktów. Na razie musiał czekać.

Był już w podobnej sytuacji. Przed kilkoma laty, kiedy był żonaty z Ingrid, kiedy dopuścił ją częściowo do wspólnego prowadzenia interesów. Na jego firmę padło wówczas podejrzenie o zakup towarów bez faktur dla jednego z berlińskich hoteli. To właśnie Ingrid była odpowiedzialna za zaopatrzenie. Został wtedy zatrzymany na trzy doby, prawnicy zajęli się sprawą, ale nie udowodniono mu winy. Nie przyszło mu w tym czasie na myśl, żeby posądzić Ingrid o oszustwo. Ale teraz był innego zdania. Zresztą wtedy pomieszkiwał w Berlinie także Dirk, często się z Ingrid widywali. Klocki układanki zaczynały do siebie pasować.

Było dla niego zaskoczeniem, kiedy skontaktował się z nim adwokat – pan Marcus Miller z kancelarii Andreas Miller & Sohn. A już zupełnie zaniemówił, kiedy mecenas oznajmił mu, że przychodzi z polecenia pani doktor Zuzanny Maj. Jak to możliwe? Skąd? Spadł mu wprawdzie z nieba, bo niemożliwością było skontaktowanie się z jego adwokatem na Borneo, a tu, w Monachium, nikogo nie znał i potrwałoby trochę, zanim udałoby mu się kogoś załatwić. Następnego dnia pojawił się sam szef, bardzo konkretny i kompetentny starszy pan. Na odchodne powiedział:

– Pani doktor Zuzanna jest dla mnie takim radosnym promykiem. Bardzo sobie cenię przyjaźń z nią. Mężczyzna, którego pokocha, będzie szczęściarzem. Tylko czy doceni, jaki ma skarb? I biada, jeżeli ją skrzywdzi. Będzie miał wówczas ze mną do czynienia, a potrafię być nieugięty.

Czuł, że była to aluzja do niego. Nigdy nie chciał jej skrzywdzić. Czy wisi nad nimi jakieś fatum? Za każdym razem, kiedy się spotykają i kiedy zaczyna między nimi być dobrze, wydarza się coś, co zupełnie niszczy ich dotychczasową więź. Klątwa jakaś czy co? A myśli o Zuzie nie opuszczają go w dzień i w nocy. Jedyne, co go tu trzyma przy zdrowych zmysłach, to ona. Nie wyjaśnili sobie wszystkiego, nie wytłumaczył jej, jak bardzo mu zapadła w serce. Ale widział, że nie jest jej obojętny. Czuł, że jego dotyk wzbudza w niej żar. To musi być uczucie.

Tylko czy zaufa mu po tym wszystkim? Po raz kolejny? Czy zdoła wynagrodzić jej te wszystkie razy, kiedy przez niego cierpiała?

Ostatniej nocy śniła mu się. Leżeli na łące na rozpostartym piknikowym kocu. Słońce łagodnie przygrzewało. Zuza miała przymknięte oczy, na jej twarzy gościł błogi uśmiech. W ręce trzymała źdźbło trawy, którego koniec przygryzała. Leżał obok niej, podpierał się na łokciu, drugą ręką gładził ją delikatnie po brzuchu. Zuza zaczęła subtelnie łaskotać go po twarzy przygryzaną wcześniej trawką, otworzyła oczy. Było w nich tyle miłości. Czuł narastające podniecenie. Samo patrzenie na nią wzbudzało w nim pożądanie. Nie odzywali się do siebie. Pochylił się nad nią, zaczął delikatnie całować jej usta. Oddawała mu pocałunek z wielką czułością. Wyczuwał miłość przepływającą między nimi. Włożył rękę pod jej bluzkę, przesunął stanik i objął jej pierś. Była taka miękka, delikatna. Zuza jęknęła cicho. Ich ruchy stawały się coraz mniej łagodne, szybsze. Pocałunki bardziej namiętne. Narastało w nim pożądanie. Dłonie Zuzy błędziły po całym jego ciele. Kiedy dotknęła jego męskości, wciągnął głęboko powietrze. Czuł się jak w siódmym niebie. Zaczął ściągać z niej ubranie, Zuza odwzajemniała mu się tym

samym. Kiedy ich nagie ciała się zetknęły, oplótl ją nogami i przetoczył się na plecy. Zuza leżała na nim, zarumieniona, spragniona.

– Kocham cię – powiedziała z czułością.

– Kocham cię – odpowiedział.

Przepełniało go szczęście. Wchodząc w nią, spojrzął jej głęboko w oczy. Duże, niebieskie. Niebieskie? Zuza ma piwne oczy! Odsunął ją gwałtownie od siebie. Jej twarz wykrzywił okrutny, złośliwy grymas. Wyglądała jak demon. To nie Zuza! To Ingrid!

\*

Minęło kilka dni. W ciągu dnia byłam w pracy, noce spędzałam w domu Maksa. Bałam się przebywać tam sama, ale odwagi dodawały mi patrole policji, które raz po raz widziałam na ulicy. Nie wchodziłam na górę, jak polecił mi policjant. Maks nadal nie wrócił. Dzwonił do mnie wczoraj pan Andreas i powiedział, że Maks wyjdzie za kilka dni za kaucją, ale nie wiadomo, czy będzie mógł przyjechać na Föhr. Rana na mojej głowie się zagoiła, usunięto mi szwy z dłoni. Czułam się wyczerpana tą całą sytuacją. Chciałabym, żeby to się już skończyło. Chciałabym już wrócić do mojego mieszkania, zaznać trochę spokoju, odprężyć się.

Dzisiejszego wieczora wróciłam do domu Maksa później niż zwykle. Dobiegała dwudziesta. Prosto z pracy poszłam odwiedzić Balbinę. Opowiedziałam jej o sytuacji, w jakiej się znalazłam. I tak całe Wyk już wiedziało o jego aresztowaniu. W tak małej społeczności nie ukryją się żadne fakty, a już szczególnie dotyczące tak znanej postaci. Pomięłam jednak intymne szczegóły dotyczące mnie i Maksa.

Znowu padało. I znowu byłam przemoczona. Zostawiłam w przedpokoju mokrą kurtkę i poszłam prosto pod prysznic. Ciepła woda tak przyjemnie mnie rozgrzewała, działała odprężająco. Nie wiem, jak długo tak stałam, oparta rękoma o ścianę pozwalałam, żeby strumień zmywał ze mnie trudy całego dnia. Po wyjściu ubrałam szlafrok Maksa, podwinęłam rękawy, mokre włosy owinęłam ręcznikiem. Zaparzyłam herbatę z prądem (tak, jak robi to Maks), usiadłam na kanapie w salonie. Nie zapalałam światła, potrzebowałam wyciszenia. Popijałam herbatę małymi łydkami, przyjemnie rozgrzewała moje ręce i przetyk. Moje myśli błądziły swobodnie.

Nagle usłyszałam dźwięk przekręcanego klucza w zamku i otwieranych drzwi. „Maks!” – pomyślałam. Zerwałam się z kanapy i wybiegłam do holu.

Przede mną stała była żona Maksa. Ingrid!

Ubrana była w ciemne dżinsy, ciemne sportowe buty i czarną kurtkę przeciwdeszczową. Nie przypominała tej eleganckiej, seksownej kobiety, którą widziałam w restauracji.

Była nie mniej zaskoczona niż ja. Po chwili jednak uniosła wysoko głowę i zapytała mnie władcym tonem:

– Kim pani jest? Co pani tu robi?

– Jestem znajomą Maksa, opiekuję się jego domem podczas jego nieobecności – odpowiedziałam niezbyt pewnym głosem. – Maks mówił mi, że się rozstaliście. Co zatem pani tu robi?

– Rozstaliśmy się? – Zaśmiała się nieszczerze. – Taką wersję pani przedstawił? Widzę, że nic się nie zmienił. Cały czas bałamuci naiwne kobiety. I oczywiście uwierzyła mu pani? – Zachowywała się bardzo pewnie, protekcjonalnie, minęła mnie, przechodząc w głąb mieszkania. Ma tupet kobieta, trzeba przyznać.

– To nie jest ważne, czy uwierzyłam, czy nie. – Narastała we mnie złość. Stałam z założonymi na piersiach rękami i udawałam, że czuję się bardzo pewnie. – Nie uprzedzał mnie, że pani się tu zjawi. Proszę zatem opuścić ten dom, dopóki Maks się ze mną nie skontaktuje i nie

poinformuje mnie, że może pani tu przebywać. Wtedy zostawię tu panią samą z wielką przyjemnością.

– Wie pani dobrze, że Maks nie może się z panią skontaktować, bo go przymknęli. Przesłał mi dokumenty, które znajdują się w jego sypialni. Adwokat ich potrzebuje, żeby mógł go uwolnić za kaucją – mówiła głosem nieuznającym sprzeciwu, przechodząc do salonu. – A co do mnie i Maksa, to wręcz przeciwnie, planujemy ślub i to już wkrótce. A poza tym niedługo zostaniemy rodzicami, spodziewam się dziecka – powiedziała z istic diabelskim uśmiechem.

Odebrało mi mowę! Znowu mnie tak oszukał? A ja naiwna mu uwierzyłam po raz kolejny? Nie, to niemożliwe. Zuza, opanuj się, myśl logicznie! Co by tu robił sam, na wyspie? Ale z drugiej strony przecież ma jego klucze. Nie, nic z tego nie rozumiem, to się nie klei.

– Niestety, nie może pani wejść na górę, bo policja zabezpieczyła teren po włamaniu, które miało miejsce kilka dni temu – powiedziała po chwili, kiedy opanowałam wzburzenie. – Dopóki Maks nie wróci i nie oszacuje, czy coś zginęło, piętro jest zamknięte.

– Ależ przecież nie musimy nikomu mówić o tym, że na chwilę weszłam na górę. – Tym razem mówiła przymilnym, protekcyjnym tonem. – Pani przecież także zależy na uwolnieniu Maksa.

– A skąd mam wiedzieć, że mówi pani prawdę? – Zaczęłam się niepokoić. Cała ta sytuacja wydawała mi się dziwna.

– Jeżeli pani chce, to zaraz zadzwonię do jego adwokata i poproszę, żeby wyjaśnił pani całą sprawę – odparła nonszalancko.

Coś mnie tknęło.

– A jak nazywa się adwokat Maksa? – zapytałam pozornie obojętnym tonem.

– Christian Schulz – odpowiedziała bez zająknięcia.

Czułam, jak krew ze mnie odpływa. O co w tym wszystkim chodzi?

– Jest pani w błędzie, to nie jest Maksa adwokat. Widzę, że nie jest pani na bieżąco. Nie wierzę w ani jedno pani słowo, nie wiem, jakie ma pani zamiary. Proszę natychmiast opuścić ten dom, w przeciwnym razie zawiadomię policję.

– Widzę, że jesteś bardzo wojownicza, złotko. – Lisi uśmiezek pojawił się na jej twarzy. – Przyjechałam tu w pewnym określonym celu i nie przeszkodzi mi w tym jakaś głupia gęś z Polski.

– W takim razie dzwonię po policję. – Byłam zdesperowana. Podeszłam do komody, gdzie leżał mój telefon, ale nie zdążyłam po niego sięgnąć. Coś błysnęło w dłoni Ingrid. Pistolet! Mierzyła nim prosto we mnie! Poczułam, jak narasta we mnie przerażenie. Co mam robić? Co robić? Nie mogę pozwolić zwyciężyć panice. Myśl, Zuza, myśl!

– Nigdzie nie dzwonisz. Nie ruszaj się, bo nie zawaham się pozbawić cię tego twojego marnego żywota. – Jej twarz zupełnie się zmieniła. Przerazała mnie. Była wykrzywiona złością, brzydka. – Idziesz przede mną, na górę. Dalej! – wrzasnęła, widząc moje wahanie.

Nie, to nie może się dziać naprawdę. Ruszyłam powoli schodami w górę. Ingrid szła za mną, dziabiąc mnie co chwilę lufą pistoletu w plecy. Czułam, jak panikę zastępuje powoli narastająca wściekłość.

Pchnęła mnie w stronę pokoju naprzeciwko sypialni Maksa. Zerwała taśmę, którą rozwiesili w poprzek drzwi policjanci. Jedną ze ścian w tym pomieszczeniu zajmowały półki z książkami i segregatorami na dokumenty. Stało też podwójne łóżko, widocznie pokój pełnił także funkcję pokoju gościnnego. Popchnęła mnie na fotel, szybkim ruchem wyrwała z gniazdka kabel lampy stojącej na komodzie obok, przywiązała mnie w poprzek tułowia do oparcia fotela.

– Jeden twój głupi ruch i po tobie. Ostrzegam cię. Nie mam nic do stracenia. –

Wierzyłam, że mówi prawdę.

Zaczęła przetrząsać półki z segregatorami, które po wizycie włamywacza zostały o dziwo nietknięte. Nie zdążył się do nich dostać. Wyciągała teczki z dokumentami, przeglądała każdą szybko i rzucała na podłogę.

– To ty się włamałaś? To twoja sprawka? – zapytałam, żeby odwrócić jej uwagę. Próbowałam jednocześnie wysunąć ramiona z krępujących mnie więzów. Okna tego pokoju wychodziły na ulicę. Gdyby udało mi się wywołać jakiś hałas, może zwróciłabym uwagę patrolu policyjnego, jeżeli jeszcze tam jest.

– Zamknij się. Jeszcze jedno słowo i po tobie! – Zamilkłam. Ingrid była coraz bardziej wściekła. Widziałam, że nie może znaleźć tego, po co przyszła. Nie patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. Udało mi się wyswobodzić ręce. Byłam na szczęście blisko okna. Nie miałam jednak czym w nie rzucić. Fotel! Na szczęście nie był duży. Nie zastanawiając się, podniosłam go i z całej siły pchnęłam w stronę okna. Rozległ się huk tłuczonego szkła i jednocześnie huk wystrzału z pistoletu. Padłam na podłogę, przeczołgałam się za komodę.

– Ty suko! – rozległ się wrzask wściekłej Ingrid.

To, co się stało w następnej chwili, było dla nas obu zaskoczeniem. Nagle do pokoju wpadł Maks w towarzystwie dwóch policjantów. Jeden z nich powalił Ingrid na podłogę. Niestety, zdążyła jeszcze oddać strzał i raniła policjanta w nogę, ale już w następnej chwili drugi z nich ją obezwładnił. Maks podbiegł do mnie, podniósł mnie z podłogi, oglądał uważnie moje ciało. Był przerażony.

– Nie jesteś ranna? Nic ci się nie stało? – mówił z niepokojem, obracając mnie, żeby lepiej zobaczyć, czy nie mam żadnych obrażeń.

– Nie, wszystko jest w porządku. – Czułam, jakby wypuszczono ze mnie powietrze. Byłam odrętwiała, jakby to wszystko działo się obok mnie. Po chwili zaczęłam dygotać. Maks odsunął mnie na długość ręki, patrzył na mnie przenikliwie, po czym objął mnie mocno, tuląc do siebie, twarz przytulił do mojej szyi, wzdychając z ulgą.

– Dzięki Bogu, tak się bałem. – W jego głosie słychać było udrękę. I ulgę jednocześnie.

Ingrid przestała się miotać, miała założone kajdanki. Przedstawiała sobą opłakany widok. Stała podtrzymywana przez policjanta. Włosy potargane, rozdarta kurtka. Łypała wściekłym wzrokiem na mnie i na Maksa. Nagle jej wyraz twarzy się zmienił.

– Maks, kochanie, to jakieś nieporozumienie. – Jej głos stał się znowu przymilny. Co za świetna z niej aktorka! – Kocham cię, wiesz przecież o tym. Ta kobieta na mnie napadła. Włamała się do twojego domu. Ten cały bałagan to jej sprawka. Ja się tylko broniłam.

– Ingrid, daruj sobie! Już chyba nie masz nadziei, że uwierzę w twoje kłamstwa. – Głos Maksa był cichy, zmęczony. Nadal obejmował mnie w pasie.

– Maks, nie możesz mnie teraz tak zostawić. Jestem w ciąży! – krzyknęła.

Maks znieruchomiał. Zbladł, wpatrywał się w nią rozszerzonymi oczami. Nie wykonał żadnego ruchu. Policjanci chcieli wyprowadzić Ingrid do samochodu policyjnego. Znowu zaczęła się szamotać, wrywając się w stronę Maksa, wbijając we mnie wściekły wzrok. Nagle szarpnęła się mocniej, jej kurtka, wcześniej już naderwana, pękła na całej długości i na podłogę wypadły jakieś dokumenty i bloczek czeków bankowych.

Maks powoli podszedł do niej, podniósł z podłogi dokumenty, przerzucił kilka stron.

– To tego szukałaś? – Popatrzył jej w oczy. Nie było w nich skruchy, tylko nieopanowana złość. – Chciałaś zniszczyć dowody swojej winy? I oczywiście, jak zwykle, ukraść trochę pieniędzy? – Podał dokumenty policjantowi. Ingrid została wyprowadzona na zewnątrz. Weszło dwóch nowych policjantów.

– Panią musimy poprosić o złożenie zeznań. A pana, panie Weber, poproszę ze mną na

górze. Chciałbym, żeby pan ocenił, czy coś jeszcze zginęło albo zostało zniszczone.

Maks puścił mnie, poszedł za policjantem na górę. Poruszał się jak robot. Nie patrzył na nikogo, był jakby nieobecny.

Miałam dość. Coś we mnie pękło, byłam odrętwiała. Po raz kolejny poczułam się zdradzona, a na dodatek zdemolowana psychicznie. Poszłam do łazienki przebrać się, bo cały czas byłam w szlafroku Makska.

Złożyłam zeznania. Maks na piętrze rozmawiał z policjantami. Kiedy jeden z nich skończył mnie przesłuchiwać, poprosiłam, żeby odwiózł mnie do domu. Chciałam znaleźć się jak najdalej stąd. Chciałam poczuć się bezpiecznie. Miałam dość Makska, jego problemów i tego marazmu, który się za nim ciągnie.

Kiedy znalazłam się u siebie, zrzuciłam ubranie, założyłam piżamę i weszłam do łóżka. Wcześniej wyłączyłam telefon i domofon. Opatuliłam się kołdrą jak kokonem. Nie mogłam jednak zasnąć. Za dużo się wydarzyło, za dużo jeszcze miałam w sobie adrenaliny. Maks po raz kolejny mnie rozczarował. Teraz zostanie ojcem, nie zrezygnuje z tego, widziałam to po jego reakcji. Miałam tego dość. Nic nas nie łączyło oprócz pociągu fizycznego. I nic nas już nie połączy.

„Muszę stąd wyjechać, chociaż na kilka dni. Muszę” – pomyślałam. Z tym postanowieniem wreszcie zasnęłam.

Obudziłam się o jedenastej. Była sobota na moje szczęście. Leżałam przez chwilę w łóżku, zastanawiając się, co zrobić, dokąd wyjechać. Całe ciało miałam obolałe, jakby mnie ktoś rolował po tłuczonym szkle. Włączyłam telefon. Pięć nieodebranych połączeń od Makska. Myślałam, że znowu nie zadzwoni, będzie milczał, zamknie się w swoim świecie. Muszę opuścić Föhr, chociaż na krótki czas. Żeby się zresetować. Nie pojedę do Gniezna, bo tam jest Adam. Nie mam siły na spotkanie z nim. Dokąd pojechać, gdzie będę mogła spokojnie pomyśleć? Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Podskoczyłam zaskoczona. Pan Andreas!

– Jak się pani czuje, pani Zuzanno? – zapytał z troską w głosie. – Rozmawiałem z panem Weberem, opowiedział mi o wczorajszych wydarzeniach. – W tym momencie poczułam, że więcej nie wytrzymam. Coś we mnie pękło. Łzy same popłynęły mi z oczu. Zaczęłam szlochać, nie mogłam pohamować płaczu. Nie mogłam wykrztusić z siebie słowa.

– Jest pani wyczerpana, potrzebuje pani odpoczynku – mówił do mnie spokojnym, łagodnym głosem. – Moje zaproszenie jest nadal aktualne. Proszę do mnie przyjechać, choćby dzisiaj. Z Sylt ma pani samolot do Monachium, za półtorej godziny będzie pani z dala od kłopotów. Zaopiekuję się panią, zapomni pani o przykrych przeżyciach. Po kilku dniach będzie pani jak nowo narodzona. Będzie to dla mnie szczęście, gościć panią u siebie.

– Ale ja się boję latać – chlpałam dalej.

– W jedną stronę da pani radę, z powrotem wróci pani pociągiem. Będzie dobrze. Co pani na to? – Mówił do mnie spokojnie, jak do dziecka. Chcę przez chwilę być dzieckiem. Chcę, żeby ktoś się o mnie zatroszczył.

– Zgadzam się. Dziękuję panu, Andreasie. Muszę tylko załatwić kilka dni urlopu.

– Myślę, że mając wzgląd na minione wydarzenia, pani szefowa zrozumie. Poproszę zaraz wnuka, żeby sprawdził pani połączenie lotnicze i zabukował bilety. Powiadomię panią o godzinie odlotu. Będzie dobrze, Susi. Zaopiekujemy się panią – dodał serdecznie, a ja poczułam ulgę.

\*

Co jest z nim nie tak? Czy ma jakiegoś gigantycznego pecha w życiu, czy też wszystkie moce tego świata sprzysięgły się przeciwko jego związkowi z Zużą?

Kiedy zobaczył ją w swoim domu, leżącą na podłodze, nieruszającą się i Ingrid mierzącą do niej z pistoletu, stanęło mu serce. Myślał, że już za późno. W tej właśnie chwili uświadomił sobie, ile ta ciepła kobieta dla niego znaczy. Nie chciał dalej żyć bez niej. Kiedy dopadł do niej i stwierdził, że jest cała, miał ochotę ją ścisnąć i całować, nie zważając na inne osoby w pokoju. Zuza ufnie tuliła się do niego, wiedział, że czuje podobnie.

A potem te słowa Ingrid. Że zostanie ojcem. Przez chwilę pomyślał, że to prawda. Osłupiał. Nie mógł się poruszyć. Czuł, jakby czas wokół się zatrzymał, jakby wciśnięto PAUSE na oglądanym na DVD filmie. I znowu popełnił błąd. Był oszołomiony. Dał się poprowadzić policjantowi na górę, jakby zapomniał o Zuzi. Ona mu tego nie wybaczy. Nie tym razem. Czuł to.

A co do Ingrid, nie wierzył, że mówiła prawdę. Kolejny błąd w jej życiu. A jeżeli nie? Co wtedy? I tak nie może, nie chce z nią być. Ale co z dzieckiem, jeżeli rzeczywiście przyjdzie na świat? Zawsze o nim marzył. Zaopiekuje się nim, będzie kochał z całych sił, rozpieszczał i mądrze wychowywał. A to przecież nie zmieni jego uczuć do Zuzy. Tak, zakochał się w niej. Nie tak, jak zakochał się kiedyś w urodzie Ingrid. Zakochał się w Zuzy duszy, charakterze, ciepłe. Ale także w jej ciele. Zuza jest piękną kobietą. Mniej wyzywającą od jego byłej żony. Piękną tak subtelnie, tak spokojnie, bez tego całego blichtru i szumu wokół siebie. I wiedział, że on także nie jest jej obojętny. Te wszystkie perypetie, które w większości z jego winy miały miejsce podczas całej ich znajomości, nie mogą przeszkodzić, żeby jednak byli razem.

Ale co może zrobić? Jak to było do przewidzenia, Zuza nie odbierała od niego telefonów. Wiedział, że musi mieć serdecznie dosyć wydarzeń minionej nocy, ale przecież musi jakoś do niej dotrzeć. Na pewno znowu myśli, że ją zlekceważył, zostawił. I nie ma się czemu dziwić. Po tylu razach inaczej myśleć nie może.

Przez ten czas, kiedy siedział w więzieniu, bardzo polubił mecenasa Millera. Czuł, że Zuza jest im obu bliska. Darzył go zaufaniem, jakim syn darzy ojca. Minęło już kilka lat, od kiedy jego ojciec zginął, nie miał od tej pory nikogo, komu mógłby tak po przyjacielsku zaufać. Aż wreszcie spotkał kogoś takiego. Zawiązała się między nimi nić porozumienia, wydawało się, że mimo różnicy wieku nadawali na tych samych falach. Miał wrażenie, że mecenas także go polubił. Może i tym razem mu pomoże, tyle że teraz w prywatnej sprawie.

Dochodziło południe, kiedy postanowił do niego zadzwonić. Odebrał po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry, panie mecenasie. Mówi Maks Weber. Czy mogę panu zająć chwilę? – zapytał nieco niepewnie.

– Witam, panie Maksie, czy jakieś nowe problemy w sprawie? Wyglądało, że jesteśmy już na prostej. – W głosie mecenasa wyczuwało się zaniepokojenie.

– Niestety, od naszego ostatniego spotkania dużo się wydarzyło – powiedział Maks przejętym głosem. Opowiedział mecenasowi zdarzenia poprzedniej nocy, nie pomijając swoich prywatnych problemów. – Dzwonię do pana tym razem z prośbą o pomoc w moich osobistych sprawach. Wiem, że czuje pan sympatię do Zuzy. Po moim wczorajszym zachowaniu nie odbiera ode mnie telefonu. Kocham ją, muszę ją odzyskać. Jest najważniejszą istotą w moim życiu. Nie zdawałem sobie z tego dotychczas sprawy, ale po wczorajszych wydarzeniach wiem to na pewno. Proszę, żeby pan mi w tym pomógł. – W jego głosie było błaganie.

– Ach, gdybym był młodszy, miałby pan we mnie konkurenta, zrobiłbym wszystko, żeby zdobyć Susi. A tak mogę jedynie być szczęśliwy jej szczęściem. Musi być wyczerpana, fizycznie i psychicznie. Czułem ostatnio przygnębienie w jej listach, były smutne, jakby ktoś jej zakrył słońce. A dzisiaj to już pewnie ledwo żyje. Chciałbym, żeby to się zmieniło. Mam pewien plan.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Siedziałam na kanapie w salonie Andreasa, owinięta kocem. Z kubka popijałam grzane wino, w kominku wesoło trzaskał ogień. Na dworze było już ciemno. Późna jesień, za dwa dni grudzień. Zapowiadali w najbliższych dniach opady śniegu. Nie mogłam uwierzyć, że tak szybko mija czas. Dopiero latem przyjechałam na Föhr, a tu już zima i Boże Narodzenie przed nami. Andreas siedział w fotelu, swobodnie założył nogę na nogę. Dzisiaj bez muszki pod szyją. Ubrany w sportowy beżowy sweter i brązowe spodnie z grubego sztruksu. Na nogach miał miękkie skórzane mokasyny. Elegancki jak zawsze. Spokojnym głosem czytał poezje Shelleya.

### CZAS

O morze Czasu! Morze niezgłębione,  
W którym falują lata – twoje wody  
Są w swych odmętach od łez ludzkich słone!  
Gdzie rytmem przyływ z odpływem się schodzi,  
Granice kreślisz dla narodzin –  
I tych, co chrypną od błagań bezsilnych,  
Na kształt wraków wypluwasz na brzeg niegościny!  
Któż ci zaufa – złe w burzliwej porze,  
Podstępne w czas pogody –  
Niezgłębione morze?

(Tłum. Juliusz Żuławski)

To takie piękne. Ten wiersz pasował do mojego refleksyjnego nastroju. W tle muzyka – Frank Sinatra śpiewał *Night and Day*. Było cudnie. Absolutna, bezgraniczna przyjemność. Bez żadnych podtekstów damsko-męskich. Grzane wino rozchodziło się rozkosznym ciepłem po moim ciele. Słowa wiersza pieściły moją duszę.

Byłam tu już trzeci dzień. Prawie doszłam do siebie po przeżyciach w domu Maksa. Andreas i jego gosposia, pani Sabine, zaopiekowali się mną cudownie. Nie zadawali zbyt wielu pytań. Pozwolili odpocząć, pomyśleć, zresetować się. Andreas zaproponował, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

– Ponieważ jestem niestety od ciebie zdecydowanie starszy, dlatego ośmielam się wyjść z tą propozycją. Tak będzie łatwiej i przyjemniej. A do Sabine także mów po imieniu, tak się po prostu do siebie w domu zwracamy.

I tak zostało.

Dom Andreasa był jak z powieści Dickensa. Położony na przedmieściach Monachium, w dużym ogrodzie, z wysokimi drzewami, o tej porze roku pozbawionymi liści. Klasyczny, wiktoriański. Jakby żywcem przeniesiony ze starej Anglii. Zbudowany z czerwonej cegły, z białymi oknami ze szprosami. Parterowe okna osadzone w wykuszach, na dachu lukarny. Białe, półokrągłe zakończone drzwi wejściowe ozdobione mosiężną kołatką. Wewnątrz w holu i na klatce schodowej dębowe boazerie, udekorowane olejnymi obrazami przedstawiającymi w większości krajobrazy. Salon i biblioteka częściowo wyłożone boazerią, nieco jaśniejszą niż w holu, z ozdobnymi łączeniami i gzymsami. W salonie marmurowy kominek z otwartym paleniskiem, nad kominkiem portret żony Andreasa, stylizowany na dawne czasy. Na kominkowym gzymsie kremowe świece różnej wielkości. Wygodne skórzane kanapy i fotele,



niski stolik kawowy, w rogu stary fortepian. W kącie pięknie rzeźbiona mahoniowa witryna z delikatną, kruchą porcelaną. W bibliotece dwie ściany zabudowano półkami robionymi na miarę, sięgającymi sufitu, wypełnionymi książkami. Antyczne biurko pod oknem, olbrzymich rozmiarów (takich już się chyba nie robi, nie zmieściłoby się do współczesnego wnętrza), przed nim obrotowe, skórzane krzesło, a właściwie fotel. Na biurku sterta papierów, stara suszka do atramentu, lampa biurkowa jak ze starej biblioteki. W srebrnych ramkach zdjęcia rodzinne, na pierwszym miejscu piękna kobieta, chyba w moim wieku, radośnie uśmiechała się do fotografa. A w tych wnętrzach elegancki i szarmancki Andreas, często z muszką na szyi, jak z innej epoki.

Na piętrze cztery sypialnie, dwie łazienki. W mojej sypialni podwójne łóżko z ciemnego drewna z ozdobnymi kolumnkami, w podobnym stylu komoda i szafa. Na łóżku delikatna pościel z cienkiej bawełny, z koronkami i falbankami! Kto teraz ma w domu pościel z falbankami? Brakowało mi tylko rozświergotanych, radosnych siostr Benett w powiewnych białych sukienkach. Albo pana Darcy'ego (vel Maksa Webera?). Jane Austin by się spodobało.

Cały dom robił na mnie wrażenie, byłam nim zachwycona. Tak idealnie pasował do Andreeasa. Nie wyobrażam go sobie w nowoczesnym wnętrzu. Był częścią tego miejsca. Czułam, jakbym przeniosła się w inne czasy, jakbym zostawiła moje problemy w tamtym gorszym świecie.

– Widzę, Zuzanno, że odsapnęłaś po niedawnych przeżyciach. Nabrałaś kolorów na twarzy, ale nadal wyczuwam w tobie smutek. Możesz mi zdradzić, jaka jest jego przyczyna? – zapytał Andreas z troską w głosie.

– Och, Andreeasie, wiem, że mam w tobie przyjaciela, ale nie chcę obarczać cię moimi problemami – odparłam z rezygnacją.

– Kiedyś John Steinbeck powiedział ironicznie: „Wiem, że nikt tak naprawdę nie chce korzystać z czyjegoś doświadczenia, dlatego jest ono tak szczerze oferowane”. Ostatnio nie dzieje się zbyt wiele w moim życiu. Goszczenie cię w moim domu jest dla mnie prawdziwą radością. Nasze wspólne rozmowy są jak lody w upalny dzień. Gdybym jeszcze mógł ci jakoś pomóc w twoich problemach albo chociaż ulżyć na duszy, byłbym jeszcze szczęśliwszy. – Wpatrywał się we mnie przenikliwie, mądrym wzrokiem. – Korzystaj z mojego doświadczenia, proszę.

Uśmiechnęłam się.

– Mówiłam ci kiedyś, że rozwiodłam się z ojcem moich dzieci wiele lat temu. Bardzo to przeżyłam. Długo byłam sama. Było kilka przelotnych znajomości, ale nic poważnego. I nagle teraz, po latach posuchy, pojawiło się przy mnie dwóch mężczyzn. Jeden to kolega z pracy. Rozwiódł się niedawno. Wyznał mi, że mnie kocha, przyjechał specjalnie do mnie na Föhr. Wiem, że z nim byłoby mi bezpiecznie, spokojnie. A drugi z nich to właśnie Maks. Od dawna nie czułam wobec nikogo takich emocji, właściwie to nigdy czegoś takiego nie czułam. Jest jak trzęsienie ziemi. Kiedy jestem z nim, mogłabym góry przenosić, czuję się przepelniona energią i szczęściem. Ale ciągle wydarza się coś przykrego, dlatego wątpię, czy on mnie traktuje poważnie. Obawiam się, że byłam dla niego tylko chwilową zabawką. – Znowu czułam, że smutek i przygnębienie wpełzają w moją duszę. – Nie wiem, co mam zrobić, nie chcę skrzywdzić Adama, a z drugiej strony nie potrafię zrezygnować z Maksa.

– Czy kochasz któregoś z nich? – Pochylił się do przodu, łokcie oparł o uda i wpatrywał się we mnie uważnie.

– Chyba szaleję za Maksem – powiedziałam. Nigdy wcześniej nie próbowałam sprecyzować moich uczuć. – Ale Adam nie jest mi zupełnie obojętny. Był moment, kiedy Maks, zresztą po krótkiej, aczkolwiek intensywnej, naszej znajomości, odszedł do Ingrid. – Czułam, że zaczynają mi się pocić oczy. – Kiedy myślałam, że się mną zabawił i już nie wróci, przyjechał

Adam. Spędziłam z tobą kilka cudownych dni i myślałam wtedy, że będzie nam razem dobrze, że przestanę cierpieć i zapomnę o Maksie. Niestety Maks wrócił i wszystko odżyło na nowo. – Chlipałam już, nie mogłam nad tym zapanować. – A potem... te wydarzenia... z aresztowaniem i włamaniem znowu wszystko pomieszały. I jeszcze na koniec Ingrid powiedziała Maksowi, że jest w ciąży, a ja czuję, że on bardzo pragnie zostać ojcem. I teraz wszystko jest do dupy. – Zanosilałam się płaczem.

– Myślę, wiem to właściwie, że nie jesteś mu obojętna. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tobie. – Mówił to bardzo przekonująco.

– To dlaczego wszystko tak się pochrzaniło? – chlipałam dalej.

Andreas wstał z fotela. Podeszedł do mnie i pomógł mi wstać.

– Susi, jest już późno, widzę, że wpadasz w coraz smutniejszy nastrój. Pora spać, przespać ten zły nastrój. A jutro zabieram cię do opery. Spędzimy cudowny wieczór, odegnamy te twoje smutki.

– Do opery? Uwielbiam operę, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio tam byłam. A na jakie przedstawienie? – Skutecznie odwrócił moją uwagę od moich amantów.

– *Madame Butterfly*.

– Och, to cudownie! Ale ja nie mam się w co ubrać. Nie wzięłam żadnej odpowiedniej sukienki. – Znowu mam problem.

– W takim razie rano jedziecie z Sabine na zakupy. A teraz spać!

Kiedy późnym popołudniem następnego dnia wróciłam z Sabine z zakupów, Andreasa nie było w domu. Po chwili odebrałam od niego telefon.

– Zuzanno, bardzo cię przepraszam, ale nie zdążę po ciebie przyjechać do domu przed przedstawieniem. – Miał taki przejęty głos. – Musiałem bardzo pilnie spotkać się z dawnym klientem, który popadł w spore tarapaty. Przezornie zabrałem ze sobą smoking i wszystkie potrzebne rzeczy. Przebiorę się w kancelarii i spotkamy się w operze. Przyjedzie po ciebie taksówka. Gdyby jeszcze mnie nie było w holu, to proszę cię, zajmij swoje miejsce, a ja wkrótce do ciebie dołączę. Bilety będą w kasie, na moje nazwisko. Nie martw się, na pewno nie będziesz sama. I jeszcze raz przepraszam, że tak to wyszło, ale nie mogę odmówić staremu klientowi, a syn jest w Berlinie.

– Andreasie, nie ma żadnego problemu, nie zamartwiaj się tym – odpowiedziałam, pocieszając go. Jaki on jest troskliwy. Mężczyzna starej daty, prawdziwy przyjaciel. – Nawet, gdybyś dojechał w trakcie przedstawienia, to nic się nie stanie. Pracuj spokojnie, spotkamy się w operze.

Wyszykowałam się bardzo starannie. Założyłam nowo kupioną, długą, czarną sukienkę o prostym kroju, z okrągłym, głębokim dekoltem. Na szyi zawiesiłam srebrny wisior na aksamitce, który bardzo ładnie kontrastował z czernią sukienki i moimi ciemnymi włosami. W uszach podobne do wisiora, ale delikatniejsze, kolczyki. Na nogi czarne szpilki, jeszcze staranny makijaż, czerwona szminka na usta i byłam gotowa. W tym momencie dzwonek do drzwi oznajmił przybycie taksówki.

Czułam podekscytowanie, jak dziecko przed pierwszym wyjściem do cyrku. Kręciłam się na siedzeniu, nie mogłam spokojnie usiedzieć. Idę do opery na *Madame Butterfly* i w dodatku w Monachium! W operowym holu Andreasa nie było. Poczekałam chwilę, ale czas rozpoczęcia spektaklu zbliżał się nieubłaganie. Odebrałam swój bilet w kasie i zajęłam miejsce na głównym balkonie. Fotel obok nadal był pusty.

Miejsce było doskonałe, miałam wspaniały widok. Sala wypełniała się widzami. Kiedy zgasły światła, podniosła się kurtyna i rozległy się dźwięki pierwszego aktu, zapomniałam o bożym świecie. Jak zauroczona wpatrywałam się w cudowną scenografię, piękne stroje,

śluchałam przejmującej muzyki. To było niesamowite przeżycie, na ciele czułam gęsią skórę. Nie zauważyłam nawet, kiedy ktoś zajął wolne miejsce obok mnie i delikatnie wziął mnie za rękę.

„Andreas” – pomyślałam, odwracając się i... nie po raz pierwszy w ostatnim czasie znieruchomiałam.

Obok mnie siedział Maks. W czarnym smokingu, śnieżnobiałej koszuli i czarnej muszce na szyi wyglądał oszałamiająco! Trzymał mnie za rękę i wpatrywał się we mnie udręczonym wzrokiem.

– Skąd ty tu? – zdołałam wyszeptać, marszcząc czoło.

– Andreas – bezgłośnie wypowiedział Maks.

Chciałam wyrwać rękę i wstać, ale Maks stanowczo mnie przytrzymał. Nachylił się do mnie i wyszeptał mi do ucha:

– Zostańmy, proszę, to takie piękne przedstawienie. – Nie puszczał mojej ręki, gładził ją delikatnie kciukiem. Czułam, że mu zależy. Chochlik, zaskoczony, przyglądał nam się przez teatralną lornetkę. Rozluźniłam się. – Obejrzyjmy je, a potem porozmawiamy. Proszę.

Po chwili spektakl pochłonął mnie całkowicie. Miałam w sobie ostatnio tyle emocji, podobnie jak Pani Motyl czułam się odtrącona, zrozpaczona, zagubiona. Odbierałam spektakl bardzo osobiście. W przerwie między aktami Maks podał mi ramię i zaprosił na lampkę szampana. „Chwilowe zawieszenie broni” – pomyślałam.

– Uknuliście to razem z Andreasem? – zapytałam z irytacją w głosie.

– Zuza, poczekajmy z rozmową do końca przedstawienia. Wszystko ci spokojnie wyjaśnię, tylko daj mi szansę, proszę – mówił ze szczerą skruchą.

Sączyłam perlistego szampana, smakował wspaniale, rozluźnił nieco moje napięte nerwy. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Staliśmy w holu, obserwowaliśmy przechodzących obok ludzi, słuchaliśmy szumu ich rozmów. Pochłonięta byłam własnymi myślami, kątem oka widziałam, że Maks mnie obserwuje. Czy rzeczywiście mu zależy, skoro przejechał taki szmat drogi, żeby się ze mną zobaczyć? Jak mam się zachować, jak z nim rozmawiać?

Drugi akt był jeszcze bardziej przejmujący. Na końcu nie mogłam pohamować łez. Czułam nieopisany żal, los jest taki okrutny i niesprawiedliwy. Czy nie należy łapać szczęśliwej chwili i cieszyć się nią, kiedy tylko można? Wycisnąć z niej, ile się da? Nie wiadomo, jak długo potrwa.

Widownia powoli pustoszała, przesuwaliśmy się za wychodzącym tłumem w stronę szatni. Maks troskliwie przytrzymywał moje ramię, było to miłe.

– Zapraszam cię na kolację. – Czułam, że jest to dla niego ważne. – Dwie przecznice dalej jest hotel z bardzo dobrą restauracją. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Proszę, zgódź się, bardzo mi zależy.

– Dobrze, chodźmy. Wysłucham, co masz mi do powiedzenia. – Na twarzy Maksa pojawiło się uczucie ulgi. Wziął mnie za rękę i wyszliśmy na ulicę. Owiąło nas przenikliwie zimne powietrze. Zaczynał padać śnieg, było nieprzyjemnie wietrznie.

Restauracja rzeczywiście była niedaleko. Wnętrze było imponujące, urządzone z rozmachem. Duże, złote żyrandole oświetlały salę, ale dawały bardzo delikatne światło. Ciemne drewniane stoliki przykryte białymi obrusami, na każdym z nich dodatkowo mała lampka. Usiedliśmy w rogu sali, odgradzeni od innych gości konstrukcją z nieznanym mi pnących kwiatów. Maks zamówił na początek szampana, dla mnie łososia z rusztu, a dla siebie stek. W tle słychać było muzykę. Dopiero teraz spostrzegłam, że na małej scenie występuje duet – pianista i skrzypek. Grali bardzo spokojne, nastrojowe, klasyczne utwory, nieznanne mi wcześniej. Udzielił mi się nastrój tego miejsca. Czułam, że w tej chwili wybaczyłabym Maksowi

wszystko, rozgrzeszyłabym go z każdego występku. Chciałam jednak, żeby wreszcie szczerze wyznał mi, co do mnie czuje.

– Zaczynaj – powiedziałam stanowczo, upijając łyk szampana.

– Tylko nie wiem, od czego. – Czułam lekki niepokój w jego głosie. Widziałam, że nie jest mu łatwo, ale bardzo się stara. – Kiedy tylko zaczynam ci tłumaczyć, coś nam zawsze przeszkadza i wychodzą z tego jeszcze większe komplikacje. – Przerwał na chwilę, jakby zbierał myśli. – Mówiłem ci już poprzednio, że przeraziło mnie uczucie, jakie zaczynałaś we mnie wzbudzać. Wyjechałem z Ingrid, uciekłem przed tobą. To był błąd, jak można było przewidzieć na samym początku, ale zachowywałem się, jakbym nie był przy zdrowych zmysłach. W Berlinie dołączył do nas Dirk, brat Ingrid. – W Maksie narastała frustracja. – Zmanipulowali mnie perfidnie. Założyliśmy wspólną firmę, utopiłem w niej dużo pieniędzy, po czym oboje zniknęli. Zrobili masę przekrętów, a wszystko poszło na moje konto. Dlatego zostałem aresztowany.

Było mi go żal. Widziałam w jego oczach udrękę, bezsilność. Ale czy byłby tutaj, gdyby nie poszło mu z Ingrid? Nie chcę być mniej wartościowym towarem.

– Wróciłem na Föhr, bo zawsze tam przyjeżdżam, kiedy jest mi źle – kontynuował Maks. – Myślałem, że już wyjechałaś, miał ci się skończyć kontrakt. Zresztą byłem przekonany, że nigdy mi nie wybacysz. Kiedy zobaczyłem cię znowu, byłem jak sparaliżowany. Już wtedy zrozumiałem, że zakochałem się w tobie. – Chochlik jak durny robił fikołki w tył! O mamusiu, to nie może być prawda! – A kiedy spotkałem was w restauracji na klifie, poczułem się zdruzgotany. Bałem się, że wszystko stracone. Ale przed aresztowaniem, u mnie w domu, wyczułem, że nie jestem ci obojętny. Czułem, że wszystko zaczyna się układać. – Wziął mnie delikatnie za rękę, drugą dłonią nieświadomie bawił się moim pierścieniem. – Potem załatwiłaś mi adwokata, zaopiekowałaś się moim domem, uwierzyłem, że jak tylko mnie wypuszczą, wszystko ci wyjaśnię, zrozumiesz.

Wpatrywał się we mnie z uczuciem. Nie musiał już nic więcej mówić. Najchętniej rzuciłabym się na niego tu, w restauracji, i nie zważając na innych gości, całowałabym ten jego smutek. Maks jednak mówił dalej, wiedziałam, że chce z siebie wszystko wyrzucić.

– Kiedy mnie zwolnili z aresztu, natychmiast wróciłem na Föhr. Przypadek sprawił, że wtedy znalazłem się przed moim domem. Patrol policji akurat mijał mnie, kiedy rozległ się brzęk tłuczonego szkła i przez okno wyleciał fotel. – Nie mogłam pohamować uśmiechu, Maks też nieco się rozluźnił, lecz zaraz spoważniał i kontynuował. – Przeraziłem się, a kiedy usłyszeliśmy wystrzał z pistoletu, bałem się, że już jest za późno. Kiedy zobaczyłem cię leżącą na podłodze, myślałem, że nie żyjesz. Umarłem tysiąc razy. – Boże, on naprawdę jest udręczony. – Na szczęście nic ci się nie stało. Tak ufnie się do mnie przytuliłaś. A potem Ingrid wypaliła z tą ciężką i znowu wszystko się rozsypało.

– A jest w ciąży? – zapytałam z nadzieją, że jednak nie.

– Nie wiem, ale jesteśmy z panem Andreasem w trakcie załatwiania formalnej zgody na ujawnienie tej informacji. – Czułam, że bardzo go to martwi. – Bardzo się polubiliśmy z mecenasem. Kiedy już było po wszystkim i nie mogłem się do ciebie dodzwonić, jedyne, co mi przyszło na myśl, to szukanie ratunku właśnie u niego. Zadzwoiłem do niego na drugi dzień rano, kiedy nie odbierałaś ode mnie połączeń i nie reagowałaś na dzwonek do drzwi. Opowiedziałem mu wszystko szczerze, także że cię kocham. To on zaproponował, że zaprosi cię do swojego domu, żebyś doszła do siebie. Operę wymyślił wczoraj, zadzwonił do mnie i przyleciałem pierwszym samolotem.

Patrzył na mnie z wyczekiwaniem. Czułam, że potrzebuje mojego rozgrzeszenia. Nadal analizowałam w myślach jego słowa.

– Kocham cię, Zuza, i jeżeli tylko jesteś w stanie wybaczyć mi te wszystkie moje głupie

decyzje, obiecuję ci, że nigdy więcej cię nie zawiodę. – Mówił to z wielkim przejęciem. Czułam, że lekko drżą mu dłonie. Patrzył mi głęboko w oczy. – Powiedz coś.

– Ja też się w tobie zakochałam, już nad Bałtykiem. – Jego twarz się rozjaśniła. – Ale wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. – Zamyśliłam się. – Dużo cierpiałam z twojego powodu. Kiedy przyjechał Adam, miałam nadzieję, że zdołam o tobie zapomnieć. Dał mi poczucie bezpieczeństwa, spokoju. Ale nie było tak, jak z tobą – dodałam ze smutkiem.

– Czyli jak? – Zaintrygowałam go.

– Nie było trzęsienia ziemi. Nie było tej niesamowitej fascynacji, nie czułam, że należę do niego, duszą i ciałem. Nie było fajerwerków, nie było takiego spełnienia, jakbym wybuchła od środka. Nie było pragnienia zatracenia się w nim bez reszty. – Pokręciłam głową. – Nie było.

Maks wyglądał na wzruszonego. I szczęśliwego. Uniósł moje dłonie do ust, całował je delikatnie. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Nie widzieliśmy w restauracji nikogo poza nami. Ta chwila trwała i trwała. Przerwał ją dopiero kelner, przynosząc nasze dania. Nie czułam głodu. Albo czułam, ale miałam apetyt na coś zupełnie innego.

Jedliśmy wspaniałą kolację, ale oboje byliśmy zbyt podekscytowani, żeby czuć jej smak. Spoglądaliśmy na siebie co chwilę, pełni wyczekiwania, milczeliśmy. Kiedy kelner odebrał nasze talerze, dołączył nam szampana. Smakował znakomicie, zaostrzał moje zmysły. Maks wygodnie oparł się o krzesło, wpatrywał się we mnie przenikliwym wzrokiem. Czułam, jakby mnie dotykał. To niesamowite, co można zrobić samym wzrokiem. Czułam coraz większe podekscytowanie, pragnęłam go. A odwlekanie tego, co nieuchronne, jeszcze bardziej zaostrzało apetyt. Zaszło mi w ustach, czułam, że się rumienię, moje serce zaczęło galopować.

– Zatrzymałem się w tym hotelu – odezwał się Maks po chwili. Głos miał głęboki, zachrypnięty. Rozbierał mnie wzrokiem. – Może wejdziemy na górę? – zapytał z nadzieją.

Wstałam bez słowa. Nie musiałam nic mówić. Wiedzieliśmy oboje, czego pragniemy. Chochlik stał na sąsiednim stoliku i niecierpliwie ponaglał mnie, machając ręką. Oj, dobra, dobra.

Maks wstał, wziął mnie za rękę, gładził delikatnie kciukiem jej wnętrze. Rzucił kelnerowi na odchodne, żeby dopisał kolację do jego rachunku, i powoli, jakbyśmy chcieli zwolnić czas, ruszyliśmy w stronę windy. Chwilę czekaliśmy, aż zjedzie z góry. Z całej siły usiłowałam zapanować nad pragnieniem rzucenia się na Maksa tu i teraz. On zerkał na mnie co chwilę, przełykał niespokojnie ślinę. Narastało między nami napięcie, bałam się, co się stanie, kiedy dotrzemy na górę. Weszliśmy do pustej windy, drzwi zaczęły się powoli zamykać, Maks objął mnie w pasie i gwałtownie przyciągnął do siebie. W tym momencie jakiś młody człowiek włożył rękę między drzwi, otwierając je ponownie, i wpadł do środka zdyszany.

– Dzień dobry – rzucił. Kiwnęliśmy oboje głowami. Nie mogłam odpowiedzieć, miałam zupełnie wysuszone gardło. Jak spragniony na pustyni. Wyszliśmy na naszym piętrze, młody człowiek pojechał dalej.

Maks sprawnie otworzył drzwi kartą magnetyczną. Kiedy tylko zatrzasnął je za sobą, objął mnie gwałtownie, przyciskając całym sobą do ściany. Całował mnie natarczywie, namiętnie, jakby chciał we mnie przelać całą swoją tęsknotę, niepokój, pragnienie. Objęłam jego głowę, zanurzyłam palce we włosach, przyciągałam mocno do siebie, odwzajemniając pocałunek. Jedną ręką obejmował moje plecy, drugą błędził po pośladkach.

– Zuza, tak bardzo cię pragnę – mówił zdyszany prosto w moje usta.

Odwiązałam mu muszkę, zaczęłam rozpinać guziki koszuli. Szybkim ruchem zrzucił z siebie marynarkę, upadła na podłogę. Wziął mnie na ręce i objając się o ścianę, wtoczyliśmy się do sypialni. Postawił mnie przy łóżku, objął rękoma moją twarz i popatrzył głęboko w oczy.

– Będziemy razem? – zapytał z nadzieją – Powiedz, będziemy?

– Tak! Tak! – Przyłgnęłam do niego całym ciałem. Przez koszulę czułam jego twarde mięśnie. Złapał moją sukienkę i zdecydowanym ruchem podciągnął ją do góry, ściągając ją ze mnie. Stałam przed nim w bieliźnie, szpilkach i naszyjniku. Nie czułam skrępowania, jakbyśmy należeli do siebie od dawna. Maks wpatrywał się we mnie przenikliwie. Z miłością.

Rozpięłam jego koszulę do końca, odpięłam spinki od mankietów. Maks się nie ruszał. Patrzył... Moje ruchy zwolniły. Pieszcząc go, jednocześnie zsunęłam z niego koszulę, upuściłam ją na podłogę. Odpięłam spodnie. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Spodnie podążyły na podłogę za koszulą. Został w samych bokserkach. Delikatnie położył mnie na łóżku. Zdjął mi buty, rozcierał palcami moje stopy, masując je niezwykle erotycznie. Leżałam nieruchomo, każdą komórką mego ciała chłonełam jego zmysłowy dotyk. Miłość sprawia, że wrażenia potęgują się niewyobrażalnie.

Delikatnie pieścił moje uda, podążając coraz wyżej. A we mnie narastało napięcie. Chciałam go szybciej, mocniej, już, już, już! Przyciągnęłam go do siebie, całowałam gwałtownie, błazniłam rękoma po jego nagim ciele. Maks dotrzymywał mi kroku. Rozpiął mi stanik, całował moje piersi, a ja czułam, że za chwilę się rozpadnę. Mogłam tylko w kółko powtarzać jego imię. A on posuwał się coraz niżej, zdjął moje majtki, a kiedy dotarł do złączenia moich ud, myślałam, że umieram.

– Maks, nie mogę już dłużej, proszę, proszę. – Wiłam się na łóżku, jakbym była w agonii. Zsunęłam z niego bokserki i kiedy nasze ciała się złączyły, wiedziałam, że jest mężczyzną, z którym chcę być zawsze.

– Kocham cię. – Zatrzymałam się na chwilę, żeby mu to powiedzieć.

– Kocham cię – odpowiedział i czułam, że jesteśmy jednym ciałem i duszą.

A potem wybuchły fajerwerki. Kolorowe, piękne, rozjarzyły cały pokój.

I wybuchały, wybuchały... wybuchały...

Obudziłam się rano z uczuciem przepelniającego mnie szczęścia. Maks spał obok, opleciony wokół mnie, jakby się bał, że zniknę. Był, nie odszedł. Nosem dotykał mojego ramienia, czułam jego ciepły oddech. Poczulałam w sobie niesamowitą tkliwość. Dotknęłam jego zmierzwionych włosów, przeczesywałam je delikatnie palcami. Maks zamruczał cicho jak kocur. Przeciągnął się, nie otwierając jeszcze oczu, przygarnął mnie mocniej do siebie. Popatrzył na mnie i na jego twarzy pojawił się zawadiacki uśmiech.

– Jak się pani spało, pani Maj? – zapytał figlarnie, unieruchamiając jednocześnie moje nogi swoją. Uniósł się na łokciu, patrzył na mnie. Jego twarz promieniała.

– Bardzo dobrze, panie Weber – odpowiedziałam, chichocząc. – Miałam cudowny sen.

– Co się pani śniło, pani Maj? – Nadal się uśmiechał.

– Śniły mi się fajerwerki, panie Weber – odpowiedziałam, znowu chichocząc.

– Fajerwerki? – zapytał, łaskocząc mnie po brzuchu. Nie mogłam opanować śmiechu. – Fajerwerki? Ja pani dopiero pokażę fajerwerki! – Nie przestawał mnie łaskotać. Nie mogłam złapać tchu, zaśmiewałam się szczerze. To było takie cudowne, beztroskie uczucie. Katharsis. Zachowywał się jak chłopiec, nigdy go takim nie widziałam. Nagle spoważniał, wpatrywał się we mnie z zadumą.

– Dziękuję ci, że jesteś. Dziękuję, że mnie kochasz. Dziękuję, że mnie wspierasz. Czuję się przy tobie taki spokojny, ufam ci, wiem, że mogę na tobie polegać, wiem, że mnie nie oszukasz. – Był bardzo poważny. Figlarny Maks oddalił się chwilowo.

Delikatnie pocałował moje usta, gładził mnie dłonią po plecach, dotykał moich piersi. Czułam znowu narastające we mnie pragnienie, ale była w nas nie tyle żądza, co miłość. Kochaliśmy się powoli, sycąc się każdą chwilą, wkładając w to całe uczucie, jakie do siebie żywiliśmy. Nie spieszyliśmy się, nawet staraliśmy się odwlekać moment spełnienia, żeby jak

najdłużej się sobą cieszyć, a kiedy w końcu nadszedł, był jak morska fala, która rośnie, rośnie, aż wreszcie rozlewa się łagodnie po brzegu, zostawiając za sobą ciszę i spokój.

\*

Koło południa, kiedy wreszcie obudziliśmy się na dobre, wygłodniali oboje do granic możliwości, spałaszowaliśmy obfite śniadanie zamówione przez Maksa do pokoju. Przypomniałam sobie o Andreasie.

– Andreas! Muszę go powiadomić, że jesteśmy razem. – Byłam zdenerwowana. Jak mogłam tak zupełnie o nim zapomnieć? Ależ ze mnie przyjaciółka! – Na pewno się o mnie martwi, nie wiedząc, co się ze mną dzieje!

– Nie martw się, kochanie. Andreas wie, że jesteś ze mną. Ukartowaliśmy to obaj. – Zrobił minę niewiniątka. Rzuciłam w niego poduszką. – Wysłałam mu SMS-A (Andreas pomimo wieku jest bardzo postępowy, żadne nowinki techniczne nie są mu obce), zaprasza nas na obiad, a właściwie obiadowanie, bo za szybko to się nie wygrzebiemy.

O siedemnastej stanęliśmy przed domem Andreasa. Maks nie puszczał mojej ręki, jakby nie chciał oddalić się ode mnie ani na chwilę. Ja oczywiście w tej samej czarnej sukience, którą miałam w operze, bo nie miałam w co się przebrać. Przecież nie planowałam noclegu w obcym miejscu. Więc ja wyelegantowana, a Maks ubrany na sportowo – dżinsy i szary sweter, spod niego wystający kołnierzyk białej koszuli. Andreas otworzył nam drzwi.

– Kochani, jak się cieszę, że was widzę razem! – powitał nas. Z jego twarzy biła szczerą radość. Wyciągnął do mnie ramiona, przygarnął mnie po ojcowsku. Czułam, że był szczęśliwy.

– Zawdzięczamy to w głównej mierze tobie, Andreasie – powiedziałam z wdzięcznością. – Ale z drugiej strony to niezły intrygant z ciebie – zaśmiałam się.

– Taki mam zawód – odparł, śmiejąc się także.

Weszliśmy do jadalni. Stół pięknie nakryty przez Sabine, z kuchni docierały kuszące zapachy.

– Co tak pachnie? – Odezwała się kucharska dusza Maksa. Zaczął węszyć jak pies tropiciel. – Mogę was zostawić na chwilę? Pójdę do Sabine na przeszpiegi. – Zauważyłam, że czuł się swobodnie w tym domu.

Kiedy Maks wyszedł, podeszłam do Andreasa i przytuliłam się do niego, obejmując go w pasie, przyciskając policzek do jego swetra.

– Dziękuję ci, nie wiesz, ile dla mnie zrobiłeś. Dla nas – powiedziałam wzruszona. Andreas pogłaskał mnie po głowie. Jak to dobrze mieć takiego przyjaciela. Mężczyznę przyjaciela. Czułam łzy wzbierające w moich oczach.

– Susi, zasługujesz na to. Zasługujecie oboje. Jesteś wspaniałą kobietą, ale Maks to też dobry człowiek. Wiele wycierpiał w życiu, podjął kilka złych decyzji. Ale żałuje ich. I musi mieć dużo siły i wsparcia, żeby przejść przez to, co jeszcze go czeka. Będzie cię bardzo potrzebował.

– To sprawa z Ingrid i Dirkiem jeszcze nie jest zakończona? – zaniepokoiłam się. Myślałam, że po schwytaniu Ingrid mamy już wszystko za sobą.

– Niestety, nie – odpowiedział Andreas zmartwiony. – Dirka nadal nie złapano. Może być wszędzie. Nie są jeszcze zupełnie wyjaśnione sprawy jego przekrętów. Większość zarzutów wobec Maksa została wycofana, ale kilka spraw jeszcze wymaga wyjaśnienia. – Andreas zawahał się, jakby nie do końca wiedział, czy ma powiedzieć to, o czym pomyślał. – I musi się jeszcze wyjaśnić sprawa z ciążą Ingrid. Nie wiem, czy w tej chwili to nie jest największym problemem Maksa.

– Wiem – powiedziałam ze smutkiem. – Czuję, że Maks bardzo pragnie dzieci. Ja już mu ich dać nie mogę. Jeżeli okaże się, że Ingrid jest w ciąży, z jednej strony dla Maksa będzie to

olbrzymie szczęście, ale z drugiej strony przeraża mnie to. – Czułam narastający niepokój. Wcześniej, podczas wczorajszego wieczoru, już mnie nachodziły takie myśli, ale usiłowałam je ignorować. – Boję się, że mnie znowu zostawi. – Poczułam łzy spływające po policzku.

– Zuzanno, nie martw się, Maks nie popełni po raz drugi tego samego błędu – mówił kojącym głosem. – Wiem, że nie darzy już Ingrid żadnym uczuciem. Zresztą ona na pewno dostanie wyrok, myślę, że będzie to ponad dziesięć lat. Tak więc nie martw się na zapas.

– Polubiłeś go? – zapytałam, ale właściwie znałam odpowiedź.

– Zaangażowałam się w tę sprawę osobiście. Z twojego powodu, bo stałaś się przez te kilka miesięcy dla mnie ważną osobą. – Zamyślił się. – Przypominasz mi moją żonę. W młodości była do ciebie podobna z wyglądu, ale nie o wygląd tu chodzi. Miała podobną osobowość.

Szczera, bezpośrednia, umiała zjednywać sobie ludzi. – Czułam, że jest wzruszony. –

Przebywając z tobą, mam wrażenie, że część jej jest z nami.

– Och, Andreasie, to najwspanialszy komplement, jaki mogłam od ciebie usłyszeć. – Tak bardzo mnie wzruszył.

Z kuchni dochodziły śmiechy i przekomarzania Maksa i Sabine.

– Dużo rozmawialiśmy z Maksem – kontynuował Andreas – o sprawie, ale widziałem, że boryka się także z osobistymi problemami. Potrzebował ojcowskiej rady. Otworzył się przede mną. Zrozumiałem, że to wartościowy człowiek, którego w życiu mocno skrzywdzono. Tak, polubiłem go. Mogę nawet powiedzieć, że zaprzyjaźniliśmy się. Bardzo chcę mu pomóc, dlatego osobiście prowadzę jego sprawę, mimo że od pewnego czasu już tego nie robię.

W tej chwili do pokoju weszła Sabine, niosąc półmiski z parującymi potrawami, a za nią Maks z olbrzymią miską sałaty, podjadając ją ukradkiem, z miną niesfornego chłopca. Spojrzałam jeszcze raz na Andreasa, porozumieliśmy się wzrokiem.

– Dziękuję – powiedziałam bezgłośnie, a on mrugnął do mnie okiem z miną dobrego wujaszka.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie spodziewał się, że można być tak szczęśliwym. Od dwóch tygodni byli z Zużą na Föhr. Namówił ją, nie bez pewnych trudności, żeby przeprowadziła się do jego domu. Wyczuwał, że się boi, że może im się nie udać, że on ją znowu opuści. Nie wiedział, jak ją przekonać, a bardzo mu zależało. Nie chciał tracić więcej czasu na życie osobno. W końcu mu się udało. Od kilku dni mieszkali razem, a każdy z tych dni był wspólny.

Zazwyczaj Zuza, wracając z pracy, przychodziła do jego restauracji i jedli razem obiad. Czasem on gotował, czasem przyrządzał ktoś z kuchni. Nie spieszyli się donikąd. Zwolnił trochę tempo swojego życia, miał tak wyszkolonych pracowników, że nie musiał wszystkiego doglądać sam. Po obiedzie albo razem wracali do domu, albo Zuza szła sama, a on zostawał jeszcze trochę. Za to wieczory były całe dla nich.

Uwielbiał te momenty przy kominku, kiedy pili czerwone wino, słuchali spokojnej muzyki i rozmawiali, rozmawiali... rozmawiali... No, nie zawsze tylko rozmawiali. Uwielbiał seks z Zużą. Nigdy przedtem, Kochając się z kobietą, nie odczuwał tego tak intensywnie. Widocznie dlatego, że nigdy nie był tak zakochany. A przecież nie mieli już dwudziestu lat. Każdy jej dotyk wywoływał w nim nieprawdopodobne wrażenie. Nie mógł przestać się nadziwić, nie mógł się nią nasycić. A kiedy doznawał spełnienia, wrażenia były tak intensywne, że nigdy nie przypuszczał, że to tak może wyglądać. I pomyśleć, że mógłby przeżyć życie, nigdy tego nie doświadczając.

Miał wrażenie, że się od niej uzależnia. Kiedy rano wychodzili do pracy, nie mógł się już doczekać, kiedy znowu będą razem. Gdy w nocy spali obok siebie, tulił się do niej jak dziecko, musiał jej dotykać. Czuł, że wreszcie znalazł swoją przystań. Że wreszcie ma prawdziwy dom.

Zuza wprowadziła w domu dyskretne zmiany. Nie wpadła jak huragan, jak to zrobiła Ingrid po zamieszkaniu razem, i nie wyrzuciła domu do góry nogami. Dyskretnie wyeksponowała pamiątki po dziadkach, co wprawiło go w tkliwy nastrój. Na kominku ułożyła zdjęcia dziadków, jego i rodziców, które wcześniej stały w zupełnie niewidocznym miejscu. Zaczęła używać babcinego serwisu do kawy, wyjęła wydziergane przez nią serwetki, rozweseliła wygląd pomieszczeń, układając w nich kompozycje z kwiatów. To wszystko i temu podobne drobiazgi sprawiało, że dom stał się przytulny, że widać w nim było kobiecą rękę, obecność pani domu. Pani domu – dobrze brzmi.

Wczoraj zaprosili na święta rodziców i dzieci Zuzy oraz jej przyjaciółkę Manię z jej partnerem Andrzejem. Dobrze, że miał taki duży dom. Bardzo się stresował tym spotkaniem. A co, jeżeli jej dzieci go nie polubią, nie zaakceptują? A rodzice? Będzie bardzo się starał, ale jeżeli nie, to trudno. Może gdy go lepiej poznają? Nie ma co się martwić na zapas. W Wigilię będą gościć jeszcze przyjaciółkę Zuzy z Föhr – Balbinę z rodziną. Poznał ich już wcześniej, a Roberta znał z racji ich wspólnej pasji. Przypadli sobie do gustu. Chcieli zaprosić także Andreasa, ale zamierzał spędzić święta z synem i jego rodziną. Przyjedzie za to do nich na tydzień po świętach i zostanie na sylwestra. Zresztą pozostałe towarzystwo też do tego czasu zostanie. Zapowiadał się bardzo intensywny okres. Ale czuł z tego powodu radość i podekscytowanie. Zawsze chciał mieć dużą rodzinę, chciał dla nich gotować, biesiadować z nimi, spędzać czas na długich rozmowach. Teraz wyglądało na to, że będzie ją miał. Bał się tylko, żeby nie okazało się to snem, żeby się nie przebudził. A może powinien zrobić coś, żeby mieć pewność, że tak już zostanie na zawsze? Ożenić się z Zużą? Ale czy to gwarantuje szczęście? I czy ona by go chciała?

Była jeszcze jedna sprawa, która spędzała mu sen z powiek. Cięża Ingrid. Wiedział, że

przeszła już badania, ale nie wyrażała zgody na poinformowanie Maksa o ich wynikach. A sąd nie spieszył się z wydaniem decyzji. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać. A co, jeśli się okaże, że ta ciąża istnieje? Co dalej? Chciałby wychowywać to dziecko, ale co na to Zuza? Bał się zadać jej to pytanie, bo co będzie, jeżeli Zuza odmówi? Jednak jeśli ciąża istnieje, nie będzie miał wyboru. Nie wyrzeknie się swojego dziecka. Ale czy Zuza postawi go przed taką alternatywą? Nie wierzył, żeby mogła tak zrobić. A jeżeli jednak?

\*

Nie mogę uwierzyć, że jestem z Maksem, że mieszkamy razem, prowadzimy wspólne życie. I jest cudownie! Zasypiamy razem i budzę się przy nim, a on oplata mnie sobą, jakby się bał, że rano zniknę. To takie wzruszające. Jestem szczęśliwa. Przykro mi tylko, że musiałam poinformować o tym Adama, i to przez telefon.

Zadzwoiłam do niego zaraz po powrocie na Föhr. Bardzo się denerwowałam, było mi go żal, bo wiedziałam, jak się poczuje, kiedy wybiorę innego. I nie uspokajało mnie to, że niczego mu nie obiecywałam. Zadzwoiłam wieczorem, jeszcze przed przeprowadzką do Maksa.

– Zuzia! – Odebrał po drugim sygnale. – Tak się cieszę, że wreszcie się odzywasz. Nie dzwoniłem do ciebie, chciałem dać ci czas na podjęcie decyzji.

– Witaj, Adamie. Także się cieszę, że cię słyszę. – Zawahałam się, nie wiedziałam, jak najłagodniej mu to przekazać. – Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć. Naprawdę jesteś wspaniałym mężczyzną, spędziłam z tobą cudowne chwile, ale niestety, zakochałam się w Maksie. Nie mogę zmienić swoich uczuć, wiesz, że nie mamy na nie wpływu. Ale zawsze będziesz bliski mojemu sercu, mam nadzieję, że spotkasz jeszcze w życiu swoje szczęście.

Zamilkł na dłuższą chwilę, zaczęłam się niepokoić. Kiedy w końcu się odezwał, mówił bardzo cicho.

– Spodziewałem się tego po twoim długim milczeniu. – Głos miał bardzo smutny, ale jakby pogodzony z rzeczywistością. – Od początku czułem, że dla mnie to sprawa przegrana, ale musiałem spróbować. Żałuję bardzo, bo kochałbym cię szczerze. Mam tylko nadzieję, że on będzie dla ciebie dobry. I że będziesz z nim szczęśliwa.

– Też mam taką nadzieję. Zrobię wszystko, żeby tak się stało. A jeżeli będziesz miał ochotę przyjechać na wyspę, pojeździć na rowerze, pozwiedzać ją, to zapraszam serdecznie. Będziesz u mnie zawsze mile widziany.

– Żegnaj, Zuziu. I jeszcze raz powodzenia.

– Do widzenia, Adamie.

Kiedy zakończyłam rozmowę, ogarnął mnie smutek. To okrutne, że człowiek musi dokonywać takich wyborów. Nie miałam ani chwili wątpliwości, którego wybrać, ale mimo wszystko odczuwałam żal. Nie będę teraz o tym myślała.

Wieczorem krzątałyśmy się z Maksem w kuchni. Zabraliśmy się za przyrządzanie pasztetów, żeby mieć mniej pracy przed samymi świętami. Był piątek, mieliśmy przed sobą wolny weekend, więc mogliśmy się temu poświęcić bez reszty. Maks szefował, a ja byłam od brudnej roboty. Uwielbiałam obserwować go, kiedy gotuje. Przepełniała go wtedy taka radość. Mówił, że gotować trzeba z miłością, bo jeżeli to się robi bez niej, to jest jak seks z dziwką. Nie wiem, jak to jest uprawiać seks z dziwką, ale gotuje wspaniale!

Podawałam mu naczynia, zmywałam, kroiłam warzywa według jego instrukcji. Przyzwyczajony był do wydawania poleceń w kuchni. Miałam nadzieję, że to się nie przeniesie na inne dziedziny naszego życia. Maks włączył płytę Roda Stewarta (Chochlik podrygiwał do rytmu, też go lubi). Nalał do kieliszków białego wina. Podśpiewywaliśmy sobie bardziej znane kawałki. Maks ładnie śpiewał, ile on jeszcze ma tych talentów?

– Kochanie, stale mnie zaskakujesz. Bardzo utalentowany z ciebie człowiek – mówiłam żartobliwie. – Czy masz jeszcze jakiś talent, o którym nie wiem?

– Hmm... niech pomyślę. Doskonale myję okna! – Powiedział to z takim przekonaniem, że parsknęłam śmiechem. – No co? Nie śmieję się. Jako student dorabiałem myciem okien w pociągach. Rodzice byli dosyć zasadniczy. Uważali, że młody człowiek powinien uczyć się wszystkiego od podstaw. Ja zresztą też wyznaję taką zasadę – dodał nieco poważniej.

– Zupełnie się z tobą zgadzam, dlatego Antek dorabia sobie w McDonaldzie.

– Ale mam jeszcze kilka drobnych seksownych talentów, które będę ujawniał stopniowo. Będę je dozował, aż się od nich uzależnisz i zostaniesz ze mną na zawsze. – Mówiąc to, powoli zbliżał się do mnie z lubieżnym uśmiechem. Mieszał wcześniej pasztet rękoma (twierdził, że tak lepiej mu idzie) i był nim cały umazany. Zaczęłam chichotać, odsuwając się od niego. Zaśmiewaliśmy się przy tym oboje. Nagle rozległ się dźwięk telefonu Maks, ale on na niego nie zareagował.

– Odbierz, to może być coś ważnego, jeżeli ktoś dzwoni o tej porze – powiedziałam zaniepokojona.

– Andreas! – powiedział, spojrzawszy na ekran. – Odbierz i włącz na głośnomówiący.

– Witam, Maks. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale mam ważne informacje. – Andreas był przejęty, mówiąc to.

– Dobry wieczór, Andreasie. Telefon jest włączony na głośnik, słuchamy cię razem z Zuzką – odpowiedział Maks, myjąc jednocześnie ręce.

– Dostałem z sądu zapieczętowaną kopertę z wynikiem testu ciążowego Ingrid, z poleceniem przekazania ci jej – powiedział, a w jego głosie wyczułam napięcie.

Maks usiadł gwałtownie, zbladł.

– Otwórz ją, proszę, i przeczytaj wynik – powiedział cichym, zachrypniętym głosem. Słuchać było, jak Andreas rozdziera kopertę. Czytał treść pisma, napięcie sięgnęło zenitu.

– Nie jest w ciąży – powiedział po chwili Andreas. Stałam przy Maksie, rozcierałam jego napięte ramiona. Pochylił nagle głowę, skurczył się cały, podparł czoło na dłoniach.

– Maks, tak mi przykro. – Przytuliłam się do niego. – Wiem, że chciałeś zostać ojcem, nie wiem, jak cię pocieszyć. – Czułam się bezsilna, widząc go w takim stanie.

– Nie, Zuziu, dobrze się stało. Dla nikogo nie byłaby to dobra sytuacja. Widocznie tak miało być. – Wydawał się już pogodzony z tą wiadomością. Andreas nadal milczał. – Andreasie, jesteś tam? – odezwał się po chwili Maks.

– Tak, chciałem dać ci chwilę na ochłonięcie. To nie wszystkie informacje, jakie mam dla ciebie dzisiaj.

– Co jeszcze? – Czułam zdenerwowanie Maks.

– Łłapali Dirka. Na Dominikanie. Okazało się, że był członkiem szajki trudniącej się nielegalnym handlem i praniem brudnych pieniędzy. Dirk zajmował się także wywożeniem młodych dziewcząt z Dominikany do domów publicznych w Zachodniej Europie. – Andreas zrobił przerwę, jakby zastanawiał się, w jaki sposób przekazać dalsze informacje. – Ponieważ nie mamy jednoznacznej umowy z Dominikaną o ekstradycji, a jego przestępstwa dotyczą także łamania prawa dominikańskiego, istnieje taka możliwość, że nie będzie sądzony w Niemczech i nie będziesz mógł odzyskać swoich pieniędzy. Jedynym pocieszeniem dla ciebie może być fakt, że zostałeś oczyszczony z zarzutów.

– Chociaż tyle dobrze – powiedział Maks z rezygnacją w głosie. – Czy dla mnie ta sprawa jest już zupełnie zakończona?

– Tak, jak już wcześniej powiedziałem, nie jesteś o nic oskarżony. Będziemy nadal walczyć o odzyskanie twoich pieniędzy, ale szanse są małe, dopóki Dirk pozostanie na

Dominikanie. Będę cię informował na bieżąco.

– Dziękuję za wiadomość, Andreasie. – Głos Maksa był nieco pogodniejszy. – Czekamy zatem na ciebie po świętach.

– Do zobaczenia, tęsknię za tobą – dodałam.

– Trzymajcie się, kochani. Wkrótce się zobaczymy. – I rozłączył się.

Siedzieliśmy w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Nadal stałam za plecami Maksa, masując delikatnie jego ramiona, on głaskał moją rękę. Co on teraz czuje? Jeżeli chodzi o ciężę, to poczułam ulgę. Żal mi go było, ale czy dałabym radę zajmować się takim maleństwem? Czy moja miłość do Maksa jest wystarczająca? A jaka byłaby rola Ingrid? Kiedyś przecież wypuszczą ją z więzienia. I co wtedy? Tak będzie nam zdecydowanie łatwiej. Na pewno mnie będzie łatwiej. A jeżeli chodzi o Dirka, to mam to zupełnie gdzieś. Niech sobie gnije w jakimś więzieniu na Dominikanie, byle jak najdalej stąd. Pieniądzy nam wystarczy, a przynajmniej czuję się bezpiecznie, kiedy oboje są uziemieni. I niech tak zostanie.

Maks wstał powoli, odwrócił się do mnie, ujął dłońmi moją twarz, popatrzył mi głęboko w oczy spokojnym wzrokiem i pocałował delikatnie w usta.

– Chciałbym, żebyśmy tę sprawę uznali za zakończoną i nigdy do niej nie wracali. Uważam, że dobrze się stało. A co będzie z Dirkiem, zobaczymy, ale to nie będzie miało wpływu na nasze osobiste życie. O pieniądze się nie martw. Nawet jeżeli ich nie odzyskam, mam jeszcze spory majątek, wystarczy nam.

– Sama jestem w stanie na nas zapracować. Pamiętaj, że też do biednych nie należę, a z moim zawodem pracę znajdę wszędzie – odpowiedziałam z dumą. Maks się roześmiał zdrowym, zaraźliwym śmiechem. Objął mnie ramionami, zamykając w czułym uścisku.

– Ty moja dzielna kobieto! Dobrze, będę zatem twoim utrzymankiem. – Kołysał mnie delikatnie. Oboje się uśmiechaliśmy. Będzie dobrze.

\*

Nadeszły święta. Wszystko mieliśmy przygotowane, a ja nie mogłam usiedzieć na miejscu. Została jeszcze godzina do przyplłynięcia promu, chciałam już gnać do portu.

– Zuzka, uspokój się, nie będziemy tam czekać godzinę, to bez sensu – próbował uspokoić mnie Maks.

Przyjeżdżają wszyscy razem – moi rodzice, Jagna z Antkiem i Mania z Andrzejem. Siedmioosobowym renault scenic. Dobrze, że dom Maksa jest taki duży. Cztery pokoje na górze, dziadkowie Maksa mieli dużą rodzinę. A po przyjeździe Andreeasa bliźniaki będą nocowały u Balbiny. Już się umawiali wcześniej z Klaudyną i Paolem, szykują się na wspólnego sylwestra i świąteczne imprezy. Cieszę się, że się polubili. Żeby jeszcze tylko Maks polubił ich, a oni Maksa. Ale jak można go nie lubić? Wiem, że będzie bardzo się starał.

Po dwudziestu minutach nie mogłam już wytrzymać.

– Chodź, skarbie, bo za chwilę wydepcesz dziurę w podłodze – powiedział, mierzwiąc mi włosy. – Albo wypatrzysz cały krajobraz za oknem i zostanie tam tylko czarna dziura. – Śmiał się serdecznie, ale czułam, że też się denerwuje. – Ubierzemy się ciepło i pospacerujemy wzdłuż nabrzeża. Nie jest dzisiaj tak zimno, dobrze robi nam trochę świeżego powietrza. – Och, zawsze wie, jak mnie opanować.

Gdy wyszliśmy z domu, uderzyło w nas ostre powietrze, ale było przyjemnie. Nasunęłam głębiej czapkę, nos wtuliłam w szalik, Maks objął mnie ramieniem, chroniąc dodatkowo przed chłodem. Było dobrze, bezpiecznie, poczułam się spokojniejsza. Spacerowaliśmy wolnym krokiem ścieżką wzdłuż plaży. Morze było stalowoszare, kontrastowało z mroźnym błękitem zimowego nieba. Na plaży leżało niewiele śniegu, opady zapowiadali dopiero na drugi dzień

świąt. Falochrony pokryte warstwą lodu przybrały bajkowe kształty. Nie było ludzi, czułam się jak na bezludnej wyspie. Był przyptyw. W oddali widziałam prom, był jak łupinka orzecha, ale się zbliżał.

– Zobacz, płyną! – Podskakiwałam jak mała dziewczynka. Rozbawiłam tym Maksa, przytulił mnie mocno.

– Kocham cię, Zuzanko, bardzo cię kocham – powiedział czule.

– Z wzajemnością, Maksymilianku. – Uczucie mnie przepełniało.

Pierwszego zobaczyłam Antka, za nim wybiegła Jagna. Rzucili mi się w objęcia, paplając jedno przez drugie. Śmiałam się i ściskałam ich jednocześnie, nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Po nich przywitali się ze mną moi rodzice, tak za nimi tęskniłam. A na koniec Mania z Andrzejem. Maks stał z boku, przyglądał się temu tłumowi z uśmiechem. Kiedy wreszcie wyswobodziłam się z ich uścisków, powiedziałam:

– Kochani, poznajcie Maksa. – Wzięłam go za rękę. Uśmiechał się nieco niepewnie. Jak zwykle pierwszy do witania był Antek.

– Cieszę się, że pana poznałem. Mama tyle o panu opowiadała – powiedział, ściskając Maksowi rękę.

– Ja także się cieszę. Jestem Maks, po prostu Maks. – Rozluźnił się nieco.

Wszyscy pozostali przywitali się z nim serdecznie. Mania puściła do mnie oko i dyskretnie uniosła kciuk. Może nieco bardziej oficjalny był mój tato, ale cóż, dla niego zawsze będę jego małą córeczką. Mam nadzieję, że kiedy poznają się lepiej, będzie bardziej wyluzowany. Pierwsze lody zostały przełamane. Zapakowaliśmy się wszyscy do scenica, ja siedziałam Maksowi na kolanach. Podjechaliśmy pod dom. Prezentował się wyjątkowo pięknie w zimowym słońcu. Stał na skraju osiedla, prawie na wydmie. Kiedy otwieraliśmy okno w sypialni, morze szumiało, jakby było w pokoju. Zbudowany z ciemnej cegły, z dachem krytym trzciniową strzechą i owalnym dachowym oknem od frontu nazywanym bawolim okiem, sprawiał wrażenie, jakby na nas patrzył. Parterowe okna były białe, z białymi okiennicami. Podobnie drzwi wejściowe, przy których Maks ustawił choinkę w doniczce przybraną lampkami i ekologicznymi, drewnianymi ozdobami. Prezentowała się cudnie. Na drzwiach świerkowy wieniec z dużymi, czerwonymi kokardami, które były jedynym kolorowym akcentem w tym zimowym krajobrazie. Przy podjeździe dwa wysokie drzewa o powyginanych gałęziach, przypominające wierzby, pokryte teraz cienką warstwą szronu.

Cały nasz tłumek hałaśliwie wtoczył się do holu. Wszyscy jednocześnie coś mówili, śmiali się, przekrzykiwali nawzajem. Ogarnęło mnie wspaniałe uczucie. Miałam ich wszystkich przy sobie, wszystkich moich najbliższych! Maks zarządził najpierw rozlokowanie naszych gości w ich pokojach. Z hukiem i śmiechem bagaże zostały wtaszczone na górę. Każdy oglądał swój pokój, ale też chciał zobaczyć sąsiednie, przekomarzając się przy tym i targując, który jest lepszy, ładniejszy. Kiedy zasiedliśmy po godzinie do stołu, wszyscy goście odświeżeni, trochę wypoczęci, rozmowom nie było końca. Każdy chciał opowiedzieć o swoich nowinach, każdemu się śpieszyło i w efekcie sprowadzało się do tego, że kilka osób mówiło jednocześnie, co chwilę wybuchając śmiechem. A mnie przepełniała radość. Widziałam, że Maks się temu przygląda z lekkim zdumieniem, ale przede wszystkim z zachwytem. Byliśmy dużą, hałaśliwą, kochającą się rodziną.

Te Święta Bożego Narodzenia były chyba najwspanialsze w moim życiu. Nic nie zakłócało naszego wyjątkowego nastroju, naszej radości. Miałam wszystkie moje najukochańsze osoby przy sobie, byłam taka szczęśliwa. I wszystko to dzięki Maksowi.

W Wigilię Maks z Robertem zajęli się przyrządzaniem wigilijnych potraw. Prześcigali się w pomysłach, przygadując sobie wesoło, każdy chciał okazać się lepszy. Mieliśmy więc Wigilię

polско-włosko-niemiecką. Moja mama z bliźniakami precudnie udekorowała choinkę. Tato z Andrzejem przygotowali drewno do kominka i zajęli się odśnieżaniem podjazdu i schodów, bo w nocy, wbrew zapowiedziom, napadało osiem centymetrów śniegu. Dzięki temu otoczenie przybrało bajkowy wygląd. Klaudyna z Paolem zajęli się prezentami. Ja z Manią nakryłyśmy i udekorowałyśmy stół, a Balbina wszystkimi dyrygowała i pomagała każdemu po trosze. Panowała luźna, wesoła atmosfera. Każdy czuł się swobodnie, jakbyśmy od dawna stanowili rodzinę.

Wieczorem do kolacji każdy zszedł elegancko wystrojony. Nawet moja Jagusia założyła szykowną, granatową sukienkę, pozbywając się jej nieodłącznych džinsów. Słychać było cichą muzykę, były to kolędy wykonywane w różnych językach. Maks zajął miejsce na szczycie stołu, ja po jego prawej ręce. Po lewej mój tato, potem moja mama, a dalej swobodnie rozsiadła się reszta gości. Dwanaście osób, jak dwanaście potraw wigilijnych!

– Kochani, chciałbym powiedzieć parę słów jako gospodarz tego domu – powiedział Maks przejętym głosem. Wiedziałam, że się denerwuje, że jest to dla niego bardzo ważne. Ale ktoś, kto nie zna go tak dobrze, pomyśli, że jest pewny, opanowany i wyluzowany. – Jestem bardzo szczęśliwy, że spotkaliśmy się tu wszyscy w tak wspaniałym gronie. To wiele dla mnie znaczy, zawsze chciałem mieć dużą rodzinę, ale niestety byłem jej pozbawiony. A teraz jesteśmy tu razem, a to wszystko stało się dzięki wspaniałej osobie, która zgodziła się być ze mną i którą kocham całym sercem oraz zrobię wszystko, żeby była ze mną szczęśliwa. – Popatrzył na mnie, podniósł moją dłoń do ust i pocałował. – Wesołych Świąt, kochani, i życzę wszystkim smacznego!

Antek z Jagą zaczęli bić brawa, moja mama dyskretnie ocierała łzy z oczu, tato także był poruszony, chyba Maks zdobył u niego pierwszy punkt. Następny będzie, gdy skosztuje jego potraw. Pozostali goście śmiali się, przekrzykiwali wzajemnie, wznosili toasty i zrobiło się bardzo gwarnie. W tle słychać było polskie kolędy, świeciły lampki na choince, a na stole migały świece. Pod choinką piętrzył się stos prezentów. Cały salon udekorowany był kolorowymi ozdobami. Przez poczwórne przeszklone drzwi balkonowe, które wychodziły na podświetlony teraz taras, widać było delikatnie padający śnieg. No bajka, po prostu bajka! Chochlik stał nieruchomo, wpatrując się w zamyśleniu w ogród. Zamurowało go czy co?

Wszyscy wyglądaliśmy pięknie, na stole pachniały potrawy. Gwar rozmów nie przycichał. Goście podawali sobie półmiski, żartowali, czuło się ogólną radość. Chwalili naszych kucharzy, kucharze chwalili siebie nawzajem. Popijaliśmy wyśmienite wino, wszyscy byli swobodni, szczęśliwi. Maks przyglądał się temu wszystkiemu z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Wziął mnie za rękę, nachylił się i pocałował delikatnie w usta.

– Nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy. – Był bardzo wzruszony. – To wszystko dzięki tobie. Dajesz mi więcej, niż na to zasługuję. Dałaś mi miłość, rodzinę i zaufanie. Pomimo że dwukrotnie cię zawiodłem. Nie zrobię tego więcej, przyrzekam ci. Kocham cię.

– Jesteś mężczyzną mojego życia, wiedziałam o tym od początku, kiedy zobaczyłam cię pod słupem ogłoszeń. – Patrzyłam na jego kochaną twarz, z moich oczu popłynęły łzy wzruszenia. – Chcę cię uszczęśliwić, dbać o ciebie, być twoim wsparciem i najlepszym przyjacielem.

– Amen.

– Amen.

Zauważyłam, że moi rodzice przestali jeść, przyglądali się nam ze wzruszeniem, lekko się uśmiechając. Drugi punkt u taty, a właściwie trzeci, bo wcześniej zachwycił się jedzeniem. Trafiony, zatopiony!

– Prezenty, czas na prezenty! – przekrzykiwały się Jagna z Klaudyną.

Przeszliśmy wszyscy do salonu, rozsiedliśmy się na fotelach i kanapach, młodzież na dywanie na podłodze. Dziewczyny wyciągały na zmianę prezenty spod choinki, odczytując głośno imię i podając je właściwej osobie. Rozlegały się okrzyki zachwytu. Każdy był czymś wspaniałym obdarowany.

Klaudyna podała mi nieduże pudełeczko owinięte delikatną czerwoną bibułką, przewiązane złotą wstążeczką. Ciekawe, co to. Delikatnie zdjęłam warstwę bibułki, pod nią była mała, drewniana, pięknie rzeźbiona szkatułka, wyglądająca na starą. Powoli podniosłam wieczko, wewnątrz znalazłam srebrny medalion wielkości monety pięciozłotowej, ozdobiony przez misterne motywy kwiatów, zawieszony na delikatnym srebrnym łańcuszku o niespotykanym splocie oczek. Medalion otwierał się, a wewnątrz było nasze wspólne zdjęcie – moje i Maks. Przytulaliśmy się do siebie uśmiechnięci. Pamiętam, kiedy je zrobił. W dniu powrotu na Föhr z Monachium, po kolacji, którą przygotował na moją cześć. Czułam się wtedy taka szczęśliwa.

– Maks, kochany. Jest taki piękny, dziękuję ci bardzo. A szkatułka to także małe dzieło sztuki – powiedziałam zachwycona, całując go mocno w usta. Bliźniaki patrzyły na nas, podśmiewając się.

– Medalion należał do mojej babci, Mathilde. Dostała go od dziadka w pierwszą rocznicę ślubu. A puzderko dziadek wyrzeźbił sam z kawałka drewna wyrzuconego przez morze. Miał talent, potrafił robić z drewna piękne rzeczy. Część mebli w tym domu jest przez niego wykonana. Pokażę ci je. – Widziałam, że jest szczęśliwy, że podoba mi się prezent. Pomógł mi go zawiesić na szyi.

Jaga podała z kolei prezent Maksowi. Był to spory pakunek. Maks z ciekawością obracał go w dłoniach, ścisnął delikatnie. Był miękki. Jednym ruchem rozerwał papier. W środku znalazł wykonany z mięciutkiej, szarej wełny długi, puszysty szal i taką samą czapkę. Udziergałam je w tajemnicy przed nim.

– Sama je zrobiłaś? – zapytał z uśmiechem, rozczulony.

– Tak, kiedy nie było cię w domu – odpowiedziałam z dumą. – Żebyś nie zmarł zimą na wyspie. – Maks założył oczywiście na głowę czapkę, opatulił się szalikiem i chwalił się wszystkim gościom, mówiąc, że to sama specjalnie dla niego zrobiłam. I że nikt nie będzie miał takiego samego. Czasami był jak dziecko, sprawiał, że miękło mi serce.

Reszta rodziny demonstrowała wszystkim otrzymane prezenty, które przechodziły z rąk do rąk, w ogólnej wrzawie i wesołości. Z głośników słychać było świąteczną muzykę, w kominku wesoło tańczyły płomienie, migały lampki na choince. Było tak wspaniale, że aż trudno uwierzyć, że tak może być.

Dni mijały w ogólnej radości. Moi goście polubili Maks. Zresztą nie dziwiłam się, że tak się stało. Wiedziałam, że pokaże się ze swojej najlepszej strony. Starał się bardzo. Po świętach dołączył do nas Andreas i od razu przypadli sobie z moim tatą do gustu. Tato znał biegle niemiecki, urodził się i wychował na Śląsku, uczył się tego języka od dzieciństwa. Andreasowi dobrze się z nim rozmawiało, a ponieważ nie wszyscy moi goście mówili po niemiecku, czasami ja lub Maks musieliśmy tłumaczyć.

Bliźniaki na całe dni zniknęły z domu, wędrowały, gdzieś z dziećmi Balbiny, odwiedzali ich wspólnych znajomych. A ja cieszyłam się, że mają taki dobry kontakt. Wieczorami przesiadywałyśmy sobie przed kominkiem na damskich ploteczkach z moją mamą, Balbiną i Manią. W tym czasie panowie, popijając koniak, grali w brydża, jeżeli Roberto miał wolne, albo politykowali, oglądając wiadomości. Maks tryskał dobrą energią. Gotował dla nas i puszył się jak paw, kiedy wszyscy go chwalili, my, kobiety, zaś byłyśmy od sprzątanania w kuchni. Co za hierarchia!

Sylwester powitał nas mroźną pogodą. W nocy znowu spadło pięć centymetrów świeżego

śnieżnego puchu, który przykrył świat białą pierzynką. Od rana niebo było błękitne, świeciło słońce, w którego promieniach skrzyły się płatki śniegu. Maks zaprosił nas wszystkich do swojej restauracji na bal, który się tam corocznie odbywa. Od rana musiał więc nadzorować prace na miejscu. Niestety Roberto musiał w ten wieczór pracować, Andreas zatem miał za towarzyszkę Balbinę, a Roberto zamierzał do nas dołączyć po północy. Dzieciaki zaś wybierały się na prywatkę do znajomych Paola i Klaudyny i mieliśmy się z nimi spotkać o północy na plaży, na pokazie sztucznych ogni.

Po śniadaniu zabrałam moich gości na spacer, nie można było przegapić tak pięknej pogody. Przeszliśmy wzdłuż pola golfowego, dzisiaj pokrytego śniegiem. Obok na lotnisku akurat lądowała jakaś awionetka, przywożąc zapewne nowych gości na imprezę sylwestrową. Wolnym krokiem dotarliśmy na plażę. Właśnie zaczynał się odpływ. Plaża była pokryta niewielką warstwą śniegu, za nią widoczny był brązowy piasek odsłonięty przez uciekające morze, a dalej za nim srebrzystość morskiej wody z iskrzącymi się w niej promieniami słońca. I dla kontrastu lazur zimowego nieba. A na horyzoncie prom, wyglądający jak zabawka. Staliśmy zapatrzeni w dal, nikt się nie odzywał, chłoniliśmy piękno krajobrazu. Żałowałam, że nie ma z nami Maksa, chciałabym zawsze dzielić z nim takie chwile.

Wrócił późnym popołudniem. Chciał wszystkiego sam dopilnować. Pańskie oko konia tuczy, jak to mówią.

Właśnie wychodziłam z naszej łazienki, kiedy wszedł do pokoju. Miałam na sobie szlafrok, na głowie turban z ręcznika. Podszedł do mnie zmysłowym krokiem, ujął w dłonie moją twarz, popatrzył na mnie z czułością.

– Tak się cieszę, że razem zaczniemy nowy rok. I to w tak wspaniałym gronie – powiedział, całując mnie delikatnie. – Wszystko dopięte na ostatni guzik. Teraz już będę gościem w mojej restauracji. Mają powiedziane, że dalej muszą sobie radzić beze mnie. Ja się dzisiaj bawię i to szampańsko.

– W takim razie mamy jeszcze małą chwilę dla siebie – powiedziałam kokieteryjnie, odpinając mu koszulę. Nabrał głęboko powietrza, źrenice mu się rozszerzyły. Wyglądał zmysłowo.

– Mamo! Na pomoc! – rozległo się wołanie z korytarza. Maks drgnął przestraszony, już chciał pędzić na ratunek.

– Spokojnie, kochanie, nic się nie dzieje – powiedziałam, całując go w czubek nosa. – Poznają po głosie, to tylko jakaś awaria. Jagna tak ma, zawsze najpierw panika, potem myślenie. Idź pod prysznic. Podejrzewam, że zanim uporam się z Jagą, trzeba będzie się szykować do wyjścia.

– Hmm... jestem niepokieszony. Odbiorę to sobie w przyszłym roku – odpowiedział, przyciągając mnie seksownie do siebie i całując w czoło.

Awarię okazała się plama z tuszu do rzęs na sukience sylwestrowej Jagny i trochę potrwało, zanim udało nam się ją usunąć. Intymne chwile, ostatnie w tym roku, przeszły nam koło nosa.

Punktualnie o wpół do ósmej zebraliśmy się wszyscy w holu. Prezentowaliśmy się wspaniale. Panie w długich wieczorowych sukienkach, panowie w ciemnych garniturach, Maks w tym samym smokingu, który miał na sobie w operze. Maks i Andreas w muszkach, pozostali panowie w krawatach. Moja mama w długiej seledynowej sukni, ja w mojej operowej czarnej, Mania i Balbina jakby się umówiły – na czerwono – a młodzież kolorowo. Stanowiliśmy barwną gromadkę. Jak kolorowe ptactwo.

Lokal zmienił się nie do poznania. Cały udekorowany zielono-czerwonymi girlandami, na stołach czerwone obrusy i złote świece. Nastrojowe oświetlenie dodawało szyku



przemieszczającym się po sali gościom. Młodzież nas opuściła, zasiedliśmy więc przy stole przygotowanym dla dziewięciu osób, jedno puste miejsce czekało na Roberta. Na małym podium przygrywał czteroosobowy zespół, chyba utwory z repertuaru orkiestry Glenna Millera. Stopy aż same podskakiwały. Wokół stolików uwijali się kelnerzy w białych koszulach, czarnych kamizelkach i spodniach, wyglądali jak tańczące pingwiny. Gwar rozmów i śmiechów przeplatający się z miłą dla ucha muzyką wywoływał poczucie bez troski i radości.

Kiedy podano kolację, opustoszał parkiet, na którym jeszcze przed chwilą tańczyło kilka par, przycichły też nieco rozmowy. Po krótkiej przerwie zespół ponownie zaczął grać, tym razem *Save the Last Dance for Me*, który uwielbiam w wykonaniu Michaela Bublé. Maks wziął mnie za rękę.

– Zatańczymy? – zapytał, unosząc się z krzesła i całując mnie.

– Z przyjemnością – odparłam, patrząc mu w oczy.

Nie miałam dotychczas okazji tańczyć z Maksem, nie licząc podrygiwania lub kołysania się do muzyki u niego w salonie. Nie zdziwiłam się, kiedy pewnie poprowadził mnie po parkiecie. Uwielbiam tańczyć, ale z dobrymi partnerami. Z Maksem tańczyło się cudownie. Był duży, silny, pewnie mnie trzymał, przewidywałam jego kroki. Taniec nie wymagał ode mnie wysiłku, czułam, jakbym płynęła po parkiecie. Było to ekstatyczne uczucie, a piosenka, którą bardzo lubię, i szampan szumiący lekko w mojej głowie stanowiły odurzającą mieszankę.

Wszyscy bawili się wyśmienicie. Partnerzy prosili nas do tańca, a panie nie odmawiały. Andreas adorował moją mamę, która była zachwycona, a tato obtańcowywał Balbinę, która także bawiła się świetnie. Przy sąsiednim stoliku siedzieli znajomi Maksa, którzy także bawili się z nami. Było to wesołe grono naszych rówieśników, znali Maksa od wielu lat. Trzy pary małżeńskie. Niektórzy z nich wychowali się na Föhr, ale obecnie mieszkają na lądzie. O wyspie jednak nie zapominają. Jeden z nich, Borys, poprosił mnie do tańca.

– Co pani zrobiła z naszym Maksem? Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego. Bardzo go wszyscy lubimy. Jest bardzo dobrym człowiekiem, zawsze można było na nim polegać. Chciałbym, żeby był szczęśliwy – powiedział szczerze.

– Kocham Maksa i wiem, że on też mnie kocha. Myślę, że razem będzie nam dobrze – odpowiedziałam szczerze. Chciałam dowiedzieć się czegoś o jego żonie, ale rozmówca okazał się w tej kwestii bardzo lakoniczny.

– Nikt z naszej starej paczki nie akceptował Ingrid. Dziwiliśmy się, co Maks w niej widzi. Stara historia i niech tak już zostanie – powiedział w zamyśleniu. Niczego więcej nie udało mi się od niego wyciągnąć.

Kilka minut przed północą lokal opustoszał. Jak to jest w zwyczaju na wyspie, wszyscy witają Nowy Rok na plaży. Nigdy przedtem nie widziałam w tym miejscu tylu ludzi! Po prostu tłumy. Wszyscy opatuleni w ciepłe płaszcze, panie w kozakach do długich, balowych sukien. Roześmiany, rozbawiony tłum. Wzrokiem szukałam moich dzieci, miałam nadzieję, że się spotkamy i że wszystko z nimi w porządku, że nie zabalowały zanadto.

Na szczęście nie było mrozu, otulało nas rześkie nadmorskie powietrze. Na bezchmurnym niebie świeciły gwiazdy, plażę rozświetlało światło księżycy oraz latarnie znad promenady. Było całkiem jasno. Maks obejmował moje ramiona, ogrzewając mnie dodatkowo. Nie czułam chłodu. Byłam tak podekscytowana. Tym tłumem, tą radością, tą niesamowitą scenerią.

– Mamo, mamo! – rozległo się wołanie. Pędzili do nas Jagna z Antkiem, za nimi dzieci Balbiny z paczką rozbawionych znajomych. Dzieci dopadły nas, wzięły mnie w objęcia.

– Mamo, ale jest super! – wołał Antek.

– Mamo, mój najlepszy sylwester w życiu! – słyszałam od Jagny. I popędzili całą gromadą, przepychając się nawzajem, śmiejąc się i piszcząc. Jak sfora niesfornych szczeniaków.

Poczułam ciepło wokół serca.

Po chwili odnalazł nas Roberto. Uściskał Balbinę, przywitał się z nami.

– No, wreszcie mam wolne. Teraz mogę z wami świętować. – Na jego twarzy było widać zmęczenie.

W tym momencie na drewnianym podeście ustawionym przy promenadzie pojawił się burmistrz Föhr, wygłosił krótką przemowę i złożył życzenia noworoczne, po czym zegar ratuszowy zaczął wybijać dwunastą, cały tłum rozpoczął zgodne odliczanie i punkt dwunasta pojawiły się na niebie fajerwerki. Widok był bajeczny! Niebo rozświetliły tysiące iskier w różnych kolorach i kształtach, a efektem tym towarzyszyło charakterystyczne „bang, bang” rozlegające się co chwilę i potęgujące wrażenia.

Zaczęliśmy się ściskać, składać sobie życzenia. Moi rodzice, przyjaciele, dzieci. Każdy chciał drugiemu powiedzieć coś ważnego, czegoś wyjątkowego mu życzyć. Magiczny moment.

– Zuziu – Maks mnie objął – życzę ci miłości, którą ja chcę ci dać. Życzę ci szczęścia przy moim boku. I życzę ci spełnienia twoich marzeń, do których chętnie się przyczynię. Pozwól mi się tobą zaopiekować.

– Och, kochanie, to takie piękne życzenia. – Pocałowałam go czule, miałam łzy w oczach. – Ja życzę tobie, żeby wszystko to, czego mi życzyłeś, wróciło do ciebie w dwójnasób. Żebyś był ze mną szczęśliwy i czuł się spełnionym człowiekiem. – Nie mogłam nic więcej powiedzieć, wzruszenie mi na to nie pozwoliło. Objęłam dłońmi jego twarz i całowałam go czule. Tyle szczęścia.

Noworoczny poranek zastał wszystkich w łóżkach. Nawet moi rodzice i Andreas, którzy z racji wieku wstają wcześniej, nie kręcili się jeszcze po domu. Panowała niczym niezmacona cisza. Leżałam w łóżku, patrzyłam na śpiącego Maksa i ogarniała mnie niesamowita czułość. Leżał na boku, jedną rękę trzymał pod głową, drugą obejmował mnie w pasie. Jak zwykle. Pochrapywał delikatnie. Szczęście, że nie należy do tych intensywnych chrapaczy, bo nie wiem, czy byłabym w stanie spać obok niego całą noc. Twarz pokrywał mu jednodniowy zarost, czyniąc ją jeszcze bardziej seksowną. Taki ciepły niedźwiedź.

Wysunęłam się delikatnie z jego objęć, założyłam podomkę i zesłam na dół. Przez okna wpadało do wnętrza zimowe światło. Na dworze była piękna pogoda, świeciło słońce, skrzył się śnieg. Zaparzyłam sobie kawę, stałam z gorącym kubkiem przed oknem tarasowym i kontemplowałam cudowny widok. Czułam absolutny spokój. To już niestety ostatni dzień pobytu moich gości u nas, jutro wszyscy nas opuszczą. Będę za nimi tęskniła, ale wiem, że wszyscy zaakceptowali siebie nawzajem, polubili. Będziemy stanowić wspólną rodzinę i zrobię wszystko, żeby takie wspólne spotkania nie były rzadkością.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Święta minęły, goście wyjechali i w domu zapanowała cisza. Czuli się zmęczeni po tak intensywnych dniach, ale przepelniało ich szczęście. A szczególnie on czuł się zadowolony, kiedy widział tak promienną Zużę. Tryskała energią. W dzień i w nocy. Miał teraz rodzinę i nic tego nie zmieni. Normalną rodzinę, ciepłą, serdeczną. Coraz częściej myślał, żeby zalegalizować ich związek. Był na to gotowy, bał się tylko, czy nie spłoszy Zuzy, czy ona ufa mu wystarczająco. I czy chciałyby tego. A jeżeli nie? Odczuwał wtedy strach. Nie może jej stracić.

Mijały tygodnie, zima powoli odpuszczała. Śnieg już zupełnie stopniał, czuło się nadchodzącą wiosnę. Żyli spokojnie, dochodzili do siebie po wcześniejszych intensywnych dniach. Lubili spędzać ze sobą czas, nigdy się razem nie nudzili. Pracowali, spotykali się ze znajomymi – Balbiną i Robertem, ale także z jego znajomymi z czasów młodości. Wszyscy przyjęli Zużę ciepło, polubili ją. Zresztą jak można jej nie lubić? Swoją serdecznością i bezpośredniością zjednywała sobie ludzi. Wieczorami spędzali wspólnie czas w salonie albo w sypialni lub gotowali coś razem w kuchni, oczywiście pod jego rządami.

Nadszedł jeden z sobotnich, leniwych poranków. Obudził się pierwszy. Leżał, ociągając się ze wstaniem, przypatrywał się Zuzi. Boże, jak on ją kocha. Czasami aż ogarnia go lęk z tego powodu. Nie przeżyłby ponownego rozstania, bał się nawet o tym myśleć. Pocałował ją delikatnie w czoło, uśmiechnęła się przez sen, mruczając zmysłowo.

Kiedy parzył w kuchni kawę, rozległ się dzwonek do drzwi. „Kto to może być o tej porze w sobotę?” – pomyślał zdziwiony.

Przed drzwiami stał kurier z przesyłką.

– Pan Maksymilian Weber? – zapytał oficjalnie. – Mam dla pana przesyłkę.

– Od kogo? – zapytał zdziwiony.

– Firma kurierska z Berlina.

„Od Andreasa? – pomyślał, rozpakowując małą paczuszkę. Na opakowaniu ani na dokumentach kurierskich nie było nazwiska nadawcy. Paczuszka była niewielkich rozmiarów, miękka w dotyku. – Co to może być?” – myślał zaniepokojony.

Kiedy rozwinął papier do końca, wyjął z niego mały, wełniany, niemowlęcy bucik. Niebieski!

\*

Kiedy zeszłam na dół, zastałam Maksa w holu, stojącego nieruchomo, wpatzonego w coś, co trzymał w rękach. Minę miał zdezorientowaną, lekko zaniepokojoną.

– Maks, kochanie, co się stało? Kto to był? – zapytałam.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Kurier przywiózł przesyłkę. Nie ma nadawcy. Zobacz, co było w środku – powiedział, wyciągając przed siebie na otwartej dłoni malutki niemowlęcy bucik. – Nic z tego nie rozumiem.

– Co to ma być? – Poczułam niepokój. – Dziecięcy bucik? Kto ci to przysłał? I w jakim celu?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział w zamyśleniu.

Podeszłam do niego, pogłaskałam po plecach. Widziałam, że coś bardzo przeżywa.

Wzięłam bucik do ręki, nie był nowy. Widać było, że jakieś dziecko go używało. Na pięcie miał lekkie przetarcie. Maks patrzył na mnie w zadumie. Odezwałam się po chwili:

– Chodź do kuchni, zrobię śniadanie i zastanowimy się nad tym wspólnie.

Milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy śniadanie było gotowe, jadł w ciszy, czułam, że

myślami jest daleko. Po chwili wstał i zaczął nerwowym krokiem przemierzać kuchnię.

– Nie wiem, czy to jakiś durny żart, czy ktoś zamierza mnie czymś szantażować, ale dowiem się. Mam znajomego detektywa w Berlinie. Zlecę mu rozpracowanie tej sprawy. – Wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer. – Witaj, Bruno. Tu Maks Weber. Chciałbym ci zlecić zadanie – powiedział, wychodząc z kuchni. Rozmawiał z salonu, dochodziły do mnie tylko stanowczo wypowiedane przez Maksa słowa, ale nie przysłuchiwałam się treści. Po chwili wrócił do kuchni i usiadł przy stole zamyślony.

– Wiesz, Zuza, gdyby nie ta historia z ciążą Ingrid, pomyślałbym, że ktoś robi sobie głupie żarty, ale w kontekście wcześniejszych wydarzeń przychodzą mi do głowy różne warianty. Niczego nie wymyślę, musimy czekać, może Bruno czegoś się dowie. Chodziliśmy razem do szkoły, zawsze był bystry. Mówiliśmy o nim: umysł ściśnięty. Potrafił rozwiązać każdą zagadkę matematyczną. Łebski facet, coś wydedukuje. Nie psujmy sobie weekendu. – Podeszedł do mnie, przytulił mocno. Staliśmy tak przez chwilę, kołyszając się delikatnie, uspokajająco.

Weekend upłynął nam na lenistwie. Wylegiwaliśmy się na kanapie, jak dojrzewające warzywa, przytuleni do siebie. Trochę czytaliśmy, trochę oglądaliśmy filmy na DVD. Nie rozmawialiśmy o tajemniczej przesyłce, ale każde z nas myślało o niej, nie chcieliśmy jednak nawzajem się nakręcać.

Kiedy nadszedł poniedziałek, odetchnęłam z ulgą. Mogłam wreszcie czymś się zająć, czymś, co odciągnie moje myśli od tej idiotycznej sprawy. Po pracy poszłam jak zwykle do restauracji na obiad. Siedzieliśmy z Maksem przy stole, jedliśmy w milczeniu.

– Czy zauważyłeś, jak ta idiotyczna przesyłka psuje nam nastrój? Może nadawcy właśnie o to chodziło, żeby popsuć relacje między nami? No bo jaki inny cel może mieć? Chyba że to jakiś głupi żart, na przykład twoich kolegów? Albo kogoś z konkurencji? Kogoś, kto na przykład chce ci zasugerować, że masz jakiegoś malucha na boku?

– To niemożliwe – odpowiedział w zadumie. – Miałem dwa przelotne romanse po odejściu Ingrid, ale zawsze się zabezpieczałem. Zresztą mam nadal kontakty z tymi kobietami, rozstaliśmy się bez żalu i wiem, że żadna z nich nie była w ciąży. To nie może o to chodzić.

– Dobrze, nie wracamy w takim razie więcej do tego tematu. Czekamy na rozwój wypadków. Nie może nam to zepsuć życia – powiedziałam, głaszcząc go delikatnie po twarzy. Na czole robiła mu się taka smutna zmarszczka, kiedy był czymś bardzo zatroskany. – Masz dzisiaj dużo pracy? Bo jeżeli nie, to zapraszam cię nad morze. Zrobimy sobie długi spacer, to zawsze pomaga. I będziemy się długo kochać po powrocie do domu.

– Hmm – zamruczał seksownie, przyciągając mnie do siebie. – Pani ma na wszystko lekarstwo, pani doktor Maj.

– W rzeczy samej, panie Weber – odpowiedziałam, spoglądając na niego spod zmrużonych powiek.

Spacer rzeczywiście był oczyszczający. Zmarzliśmy niemiłosiernie, na naszych twarzach pojawiły się zdrowe rumieńce. Biegaliśmy po plaży, goniliśmy się nawzajem. Poprawiły się znacznie nasze nastroje. Kiedy wracaliśmy do domu, całe przygnębienie zostawiliśmy na brzegu, tryskaliśmy energią. Wtoczyliśmy się do holu, poszturchując i przepychając się w drzwiach, każde z nas chciało być pierwsze.

Na podłodze leżało kilka listów, które listonosz wrzucił przez otwór na pocztę w drzwiach wejściowych. Maks podniósł je i przeglądał, ja zdejmowałam płaszcz. Zauważyłam kątem oka, że znieruchomiał, oglądał jeden z listów z każdej strony, po czym gwałtownie rozerwał kopertę. Podeszłam do niego zaniepokojona. Ze środka wyjął kosmyk krótkich, jasnych włosów. Stał nieruchomo i wpatrywał się w nie z przerażeniem.

– O cholera, a co to? – Byłam w szoku. To się robi absurdalne.

– Włosy – odpowiedział Maks, jakby nie dowierzając. – Są miękkie, chyba dziecięce. List wysłano z Berlina, ale oczywiście nie ma nadawcy.

– Zaczynam czuć się jak w jakimś horrorze. Maks, chyba trzeba o tym zawiadomić policję. Zaczynam się bać. To jest nienormalne. – Czułam, że zaczyna narastać we mnie histeria. Maks oprzytomniał.

– Zuzia, uspokój się – powiedział łagodnie. – Zadzwońię do Bruna i poradzę się, czy zawiadamiać już policję, czy jeszcze poczekamy. Nie denerwuj się. Myślę, że zatrudnię jakiegoś ochroniarza, będziesz czuła się bezpiecznie. Najlepiej będzie, jeżeli zadzwonię po Krzysztofa, pracuje dla mnie w Polsce. Pamiętasz, poznałaś go, przyjechał po nas po naszym wypadku rowerowym.

„Stalowy” – pomyślałam. A więc to ochroniarz, nie przyjaciel. Stałam przed przeszkloną ścianą w salonie, wpatrywałam się w zamyśleniu w szary ogród. Na jego koniec prowadziła ścieżka, zwieńczeniem której były kamienne schodki wiodące prosto na plażę. Furtka była zawsze otwarta. Tak łatwo dostać się nią na posesję. Pomyślałam, że musimy bardziej dbać o nasze bezpieczeństwo. Rozluźniliśmy się trochę po aresztowaniu Ingrid i Dirka, ale chyba to jeszcze nie koniec. Muszę powiedzieć Maksowi, żeby pozamykał furtki i bramę wjazdową. Będę czuła się bezpieczniej. Może dobrze byłoby mieć psa? Przynajmniej dałby znać, kiedy ktoś obcy kręciłby się po okolicy.

Maks rozmawiał w kuchni przez telefon. Wyczuwałam niepokój w jego głosie. Czułam się odrętwiała. Czy nie możemy po prostu spokojnie żyć? Czy ciągle muszą wokół nas wydarzać się jakieś sensacje?

– Zuziu. – Maks wszedł do salonu. – Rozmawiałem z Brunem. Poradził jednak powiadomić policję. Nie zrobią zbyt wiele, ale niech wiedzą, że coś się dzieje. Nie ma na razie dla mnie żadnych informacji, jest na etapie sprawdzania firmy kurierskiej z Berlina. Zadzwońię także do Krzysztofa, przyjedzie pojutrze i zostanie, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Niestety, będę także musiał pojechać na parę dni do Polski. Przeprowadzamy modernizację hotelu i muszę podjąć kilka decyzji, a nie byłem już tam dawno. Beze mnie nie ruszą z remontem. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Będę spokojniejszy – mówił, głaszcząc mnie delikatnie po policzku. Martwił się. Bał się o mnie?

– Nie mogę, kochanie. Zmieniają się turnusy, mam z tego powodu dużo pracy, a wiesz, że nie mam nikogo do pomocy. Nie musisz się o mnie martwić, będę tu bezpieczna. Pozamykaj tylko, proszę, wszystkie furtki i bramę wjazdową. – Patrzyłam na niego ze smutkiem. Widziałam, jak to wszystko przeżywa. Albo ktoś wykorzystuje jego słabość, pragnienie posiadania dziecka, żeby znęcać się nad nim psychicznie, albo szykuje jakąś nową aferę.

Maks wyszedł na posterunek policji, a ja pograżyłam się w odrętwieniu. Położyłam się na kanapie, zwinęłam w kłębek, przykryłam kocem. Właściwie przecież nic takiego się nie stało, żadne nieszczęście. Dlaczego reaguję takim przygnębieniem? Czy dlatego, że niepomyślne zdarzenia przekroczyły poziom krytyczny? Czy dlatego, że chciałabym prowadzić nudne, spokojne życie?

Z odrętwienia wyrwał mnie dźwięk telefonu. Numer prywatny... nie lubię takich. Nigdy nie wiem, kto się za nim ukrywa.

– Słucham? – zapytałam niepewnie.

– Zuzanna Maj? – odezwał się zniekształcony kobiecy głos. Jakby ktoś celowo go zmieniał. Usiadłam gwałtownie, serce waliło mi w piersi.

– Tak, kto mówi?

– Nikt, kogo by pani znała – nadal charczała w słuchawkę. – Proszę przekazać panu Weberowi, żeby nie latał na policję, jeżeli chce się czegoś ważnego dla siebie dowiedzieć.

Odezwę się wkrótce, ale jeżeli jeszcze raz tam pójdzie, nic z tego.

– Ale o co chodzi? Nic nie rozumiem! – Usłyszałam tylko kliknięcie w słuchawce i rozmówczyni się rozłączyła. A może to był mężczyzna?

Poczułam się jak sparaliżowana. O matko kochana, ona musiała nas obserwować! Skąd inaczej by wiedziała, że Maks jest na policji? Albo jakiś podsłuch? Znowu rosła we mnie panika. Zerwałam się z kanapy, podbiegłam do drzwi, sprawdzić, czy są zamknięte. Potem wszystkie okna, drzwi balkonowe. Zamknęłam także na klucz drzwi do piwnicy, bałam się jednak zejść na dół. Drżącą ręką wybrałam numer do Maksa.

– Maks, Maks, gdzie jesteś? – pytałam z niepokojem, kiedy odebrał połączenie.

– Wracam właśnie z policji, jestem pod domem. Co się stało? Dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

– Maks, miałam przed chwilą okropny telefon. Ale dobrze, że już wracasz, zaraz ci wszystko opowiem, pośpiesz się! – mówiłam, cała rozdygotana. W tym momencie usłyszałam szcęk klucza w drzwiach i do domu wpadł zdenerwowany Maks.

– Zuza, nic ci nie jest? Co się stało?

Opowiedziałam mu o telefonie roztrzęsiona, nie mogłam zapanować nad drżeniem całego ciała. Maks przytulał mnie mocno, uspokajająco głaskał po plecach.

– Sprawa robi się coraz poważniejsza – powiedział bardzo zaniepokojonym głosem. – Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli Bruno przyjedzie na Föhr, a Krzysztofa ściągnę tu jutro.

Nalał mi lampkę koniaku.

– Wypij to, uspokoisz się trochę, będziesz mogła jaśniej myśleć. Musisz wszystko opowiedzieć Brunowi.

Bruno zjawił się następnego dnia w południe. Wyobrażałam sobie detektywa o wyglądzie porucznika Columbo albo Sherlocka Holmesa, tymczasem okazał się mężczyzną w Maksa wieku, średniej budowy ciała, w okularach o grubych szklach i o dosyć przystojnej twarzy. Ubrany w dżinsy, sportowy sweter i trapery na nogach, sprawiał wrażenie raczej nauczyciela matematyki ze szkoły średniej niż detektywa. Zauważyłam jednak, że pod swetrem rysują się dobrze wyćwiczone mięśnie, podobnie jak na udach. „Siłownia” – pomyślałam. Detektyw musi chyba dbać o kondycję, nigdy nie wie, na co się naraża.

Sprawił sympatyczne wrażenie. Przywitał się z Maksem serdecznie, uściśnął zdecydowanie moją dłoń. Wysłuchał naszej relacji, zadawał dodatkowe pytania, oglądał przesyłkę i list. Jak udało mu się już wcześniej sprawdzić, firma kurierska nie istnieje. Wypytał Maksa, jak wyglądał kurier, ale on nie bardzo mógł sobie przypomnieć. Czerwony uniform, krótkie włosy i naciągnięta na oczy bejsbolówka. Równie dobrze mógł być kobietą, jak i mężczyzną. Zresztą był wtedy tak zaintrygowany paczką, że zupełnie nie zwracał uwagi na kuriera.

– Podstawowy wniosek, jaki mi się nasuwa, to że ktoś próbuje ci zasugerować, że jesteś ojcem jakiegoś dziecka. Czy istnieje taka możliwość? – zapytał Bruno rzeczowo.

– Zastanawialiśmy się nad tym z Zuzią – odpowiedział z zadumą Maks. – Nikt mi nie przychodzi do głowy, ale niczego w życiu wykluczyć nie mogę.

– Następną niepokojącą sprawą jest to, że ktoś was obserwuje. Inaczej nie wiedziałby, że poszedłeś na policję – mówił Bruno w skupieniu. – Czy jesteś pewna, Zuzanno, że to był kobiecy głos? Czy też mógłby to być zniekształcony męski?

– Nie wiem, jakie są możliwości zmiany głosu. Stawiałabym jednak na kobietę.

– Nie pozostaje nam zatem nic innego – kontynuował Bruno – jak tylko zrobić badanie genetyczne, aby wykluczyć lub potwierdzić twoje, Maks, pokrewieństwo z osobą, do której należały włosy. Jednym słowem: test na ojcostwo.

Znieruchomieliśmy oboje z Maksem. Widziałam, że myśli intensywnie. Był chyba przerażony.

– Na czym polega to badanie? – zapytał po chwili.

– Badanie pozwala potwierdzić lub wykluczyć biologiczne pokrewieństwo między osobami. Porównuje się materiał DNA z próbek należących do obu osobników. Z jednej strony mamy włosy, a u ciebie, Maks, wystarczyłby wymaz z policzka. Badanie jest bezbolesne, a da nam pewność, czy to twoje dziecko. Niestety, nie jest tanie. – Bruno mówił, jakby przemawiał do małego dziecka.

– Nie mamy wyboru, trzeba je zrobić jak najszybciej. – Maks był zdecydowany. – Po jakim czasie będą wyniki?

– Po kilku dniach, do tygodnia. Zadzwoń do mojego pracownika, przyjedzie rano po próbki. Przed śniadaniem pobierzemy ci wymaz z policzka i materiał natychmiast pojedzie do Berlina. – Bruno zachowywał się profesjonalnie. – Ja w tym czasie spróbuję namierzyć, skąd dzwoniła osoba, z którą rozmawiałaś, i pokręcę się po okolicy. Może natrafię na jakiś ślad. Na razie nic więcej nie możemy zrobić. Musicie być bardzo czujni. I oczywiście, Maks, jeżeli możesz zapewnić ochronę, to dobrze, a jeżeli nie, to dam ci kogoś, z kim współpracuję.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Maks pewnie. – Dzisiaj przyjedzie mój ochroniarz z Polski, jeżeli będzie trzeba, to wynajmę jeszcze kogoś miejscowego.

– Myślę, że jedna osoba na razie wystarczy. Ale bądźcie ostrożni.

Nie miałam już siły dłużej wałkować tego tematu. Wymówiłam się bólem głowy. Poszłam do sypialni. Maks i Bruno zostali na dole. Słyszałam ich przyciszone głosy. Weszłam do łazienki, nalałam wody do wanny, dolałam aromatycznego olejku, zapaliłam świece. W słuchawkach z odtwarzacza MP3 śpiewał tylko dla mnie Engelbert Humperdinck. Stare, dobre piosenki, które uwielbia mój tato. Czasami, kiedy jestem wyczerpana, słucham ich i wspominam moje bezpiecznie dzieciństwo, gdy razem z tatą słuchaliśmy ich z płyt winylowych. Zaraz robi mi się lepiej, jakbym komuś powierzała moje troski.

Nie wiem, jak długo leżałam w wodzie, zrobiła się letnia. Chyba przysnęłam. Obudził mnie Maks. Stał nade mną, patrzył na mnie w napięciu, powoli rozpiął guziki koszuli.

– Mogę się przyłączyć? – zapytał.

– Ale woda już prawie wystygła, a moja skóra się pomarszczyła – powiedziałam z żalem.

– Zaradzimy temu – powiedział, dopuszczając gorącą. Rozebrał się powoli. Wszedł do wanny, usiadł naprzeciwko mnie, dotykaliśmy się jedynie nogami. Oparł ramiona o brzegi wanny i wpatrywał się we mnie smutno, przenikliwym wzrokiem. – Nie chciałem, żebyś była narażona na takie nieprzyjemności. Miałem nadzieję, że kłopoty już za nami. Ale nie mam na to wpływu. Bardzo cię przepraszam, Zuziu.

Po telefonie od nieznajomej zaczęłam znowu się bać. Ciągle stawała mi przed oczami walka z Ingrid tu, w tym domu. Ale nie mogłam mu o tym powiedzieć, byłoby mu jeszcze ciężiej.

– Przejdziemy przez to razem, damy radę. – Chciałam dodać mu otuchy. Zaczęłam drżeć, nie wiem, czy z zimna, czy ze stresu.

– Wychodzimy, zanim się rozchorujesz – powiedział, myjąc się szybko. Wstaliśmy oboje, wyszedł z wanny, wytarł się, owinął mnie ręcznikiem i zaniósł do sypialni. Nie miałam na nic siły. Po raz pierwszy od naszego wspólnego zamieszkania nie miałam ochoty na seks. Wiedziałam, że Maks to wyczuwa. Byłam przygnębiona.

Delikatnie wycierał moje ciało, kiedy leżałam na łóżku, niezdolna do żadnego wysiłku. Pomógł mi założyć koszulkę nocną, sam naciągnął spodnie od piżamy. Położyliśmy się do łóżka, objął mnie ramionami, wtuliłam nos w zagłębienie pod jego obojczykiem, ręką objęłam go w pasie, przytulając mocno. Bezpośredni kontakt z jego ciałem działał na mnie kojąco, uspokajał

mnie. Czułam bijące od niego ciepło, bicie jego serca. Bum, bum... bum, bum... bum, bum... Głaskał mnie ręką po ramieniu, delikatnie całował po skroni. Stres odchodził w nieznane. Ogarnęło mnie to błogie uczucie, którego doznajemy tuż przed samym zaśnięciem, kiedy wyciszają się nasze zmysły, kiedy odpływamy...

I znowu nawiedził mnie sen, jak zwykle nieprzyjemny. Mam tak, kiedy jestem w stresie.

Śniłam, że stoję przed wielkim lustrem. Nie widzę jednak w nim swojego odbicia, tylko Maksa. Wpatruje się we mnie, podobnie jak ja zdziwiony. Wyciąga rękę, żeby mnie dotknąć, ja robię to samo. Stykamy się dłońmi, ale wyczuwam tylko chłód gładkiego lustra. Chcę drugą ręką dotknąć jego twarzy, ale znowu tylko chłodna gładkość. Obchodzę lustro, mając nadzieję, że za nim zobaczę Maksa, ale widzę tylko brudną ścianę. Wracam przed lustro, on kręci głową z rezygnacją, odwraca się plecami i odchodzi. Czuję przerażenie! Dlaczego mnie opuszcza? Znowu? Wołam go... Maks... Maks... Z moich ust wydobywa się jakiś bełkot. Może gdybym zawołała go wyraźnie, usłyszałby i wrócił. Ale ciągle tylko ten bełkot. Maks...

– Kochanie, Zuziu, obudź się. Śniło ci się coś. Zuza! – Maks potrząsnął mną, tuląc jednocześnie. Obudziłam się, spojrzałam w jego twarz, szlochając.

– Już dobrze – powiedział uspokajająco. – Jesteś bezpieczna, wszystko dobrze.

– Śniło mi się, że mnie znowu zostawiłeś – mówiłam, jakbym chciała zrzucić z siebie jakiś ciężar. – Zawsze mnie prześladowa podobny sen, zmienia się tylko scenografia. Zawsze odchodzisz, nie oglądając się, a ja cię wołam i wołam, bez skutku. – Łzy spływały mi po policzkach, mocząc Maksa.

– Nigdzie nie odejdę. Nie popełnię po raz drugi tego samego błędu. Nie mogę i nie chcę żyć bez ciebie. – Zawahał się na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć. – Śpij, kochanie, wszystko będzie dobrze. – Mówił to, kołysząc mnie delikatnie. Uwierzyłam mu. Znowu odpłynęłam.

Następne dni miały na oczekiwaniu. Bruno wyjechał po dwóch dniach, nie odkrył niczego interesującego, nie

wpadł na żaden ślad. Dojechał Krzysztof, który zajął się naszą ochroną. Poczułam się bezpieczniej. Jak się okazało, był nie tylko pracownikiem Maksa, ale także jego dobrym przyjacielem. Rozumieli się bez słów. Krzysztof zajął jeden z pokoi na górze. Starał się być jak najmniej widoczny w domu, ale wiedziałam, że jest, i byłam spokojniejsza. Odprowadzał mnie do pracy, czasem wspólnie z Maksem, potem razem szli do restauracji. Uznaliśmy, że jestem w sanatorium bezpieczna, portier nie wpuszczał obcych osób bez powiadomienia personelu, Krzysztof nie musiał mi tam towarzyszyć. Zresztą nie podejrzewaliśmy, że to ja stanowiłabym ewentualny cel. Gorzej było w restauracji, gdzie przewijało się sporo ludzi. Maks nie był tam bezpieczny.

Po dziesięciu dniach zadzwonił Bruno.

– Maks, wysłałem do ciebie mojego pracownika. – Wychodziliśmy właśnie do pracy, kiedy zadzwonił. – Są wyniki testu. Powinien być u ciebie za kilka godzin. – Patrzyłam na twarz Maksa. Była bez wyrazu, nie mogłam wywnioskować, co odczuwa.

– Mogłeś przeczytać mi przez telefon – powiedział z napięciem w głosie.

– Niestety, nie wolno nam tego robić. Cierpliwości, wytrzymałeś tyle, jeszcze trochę dasz radę. Jak już będziesz znał wyniki, zadzwoń do mnie.

Trudno było mi się w tym dniu skupić na czymkolwiek. Co chwilę spoglądałam na zegarek, jak zbawienia wyczekiwałam zakończenia pracy. Przed budynkiem czekał Maks z Krzysztofem, poszliśmy prosto do domu. Nie mogliśmy sobie znaleźć miejsca. Maks zajął się gotowaniem, to go odprężyło. Ja usiłowałam mu pomagać, ale wszystko leciało mi z rąk. Kiedy zaczęliśmy we trójkę jeść przygotowany przez Maksa posiłek, zadzwieczał dzwonek do drzwi. Znieruchomieliśmy. Drzwi otworzył Krzysztof.



Tak jak się spodziewaliśmy, był to pracownik Bruna, ten sam, który przyjechał po próbki do testu. Wręczył Maksowi kopertę, kazał pokwitować i odszedł.

Maks wszedł do salonu, biorąc mnie po drodze za rękę i prowadząc za sobą. Krzysztof dyskretnie został w kuchni. Usiedliśmy na kanapie.

– Otwórz ją – powiedział do mnie, podając mi kopertę drżącą ręką.

– Jesteś pewny, że chcesz, żebym ja to zrobiła? – chciałam się upewnić.

Maks kiwnął tylko głową. Oddychał szybciej, twarz miał bladą. Nie chciałam przedłużać tej niepewności. Jednym ruchem rozdarłam kopertę, wyjęłam dwie kartki. Na początku były jakieś tabele z niezrozumiałymi dla mnie cyframi. Szukałam konkretnego wniosku.

– Zuza, proszę, czytaj! – Czułam, że Maks jest na granicy wytrzymałości. Znalazłam. Zaczęłam głośno czytać.

– Interpretacja wyniku testu DNA: We wszystkich analizowanych markerach odnaleziono zgodności pomiędzy profilem DNA badanego domniemanego ojca a profilem DNA badanego dziecka. Prawdopodobieństwo biologicznego ojcostwa wynosi powyżej 99,9999%, w związku z tym ojcostwo badanego domniemanego ojca w stosunku do badanego dziecka zostało praktycznie potwierdzone.

\*

Miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Czuł, jak cała krew odpływa mu z mózgu. Jak to możliwe? Jest ojcem? Ma dziecko? Ale z kim? I takie duże, ma już takie włosy? I jakiej płci, w jakim wieku? Tyle pytań, ale czy znajdzie na nie odpowiedzi? Nie mógł wykonać żadnego ruchu, siedział jak zastygły posąg. Zuza coś do niego mówiła, dotykała go czule, ale nie mógł w żaden sposób na to zareagować. Popadł w stupor.

I co teraz? Musi to dziecko odnaleźć, tylko jak? Ktoś, kto przysłał mu te przesyłki, musiał mieć jakiś cel, tylko jaki? Może chce wyjawić mu prawdę, tylko za jaką cenę? A może po prostu chce go dręczyć?

A jeżeli odnajdzie to dziecko, to co na to Zuza? Zaakceptuje ten fakt? W nocy, kiedy obudził go jej pełen udręki krzyk, kiedy wołała go z rozpaczą, chciał poprosić ją, żeby została jego żoną. Chciał zapewnić ją, że jej nie opuści. Ale stwierdził, że to nie jest dobry moment. A teraz? Jak ma postąpić teraz?

Otrząsnął się z odrętwienia. Zuza siedziała obok, odwrócona do niego twarzą, wpatrywała się w niego bez słowa, nie dotykała go. Wstał gwałtownie.

– Muszę zadzwonić do Bruna – powiedział. Wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer i zaczął rozmawiać, wchodząc po schodach. Zuza nadal siedziała na kanapie, nie poruszyła się. Poczul niepokój w sercu, ale zbagatelizował go.

\*

Maks wyszedł, jakby mnie tu nie było. Widziałam, jak potężne emocje nim targają. Rozumiałam, że otrzymana wiadomość jest dla niego szokiem, ale dlaczego tak zupełnie mnie zlekceważył? Zauważyłam, że zawsze tak się dzieje, kiedy jest bardzo wzburzony. Ale czy właśnie wtedy nie powinien mnie potrzebować? A on mnie zupełnie odtrąca, jakbym nie istniała. O czym to świadczy? Powinien chcieć dzielić ze mną swoje emocje, ja bym tak zrobiła. Ale widocznie mężczyźni działają inaczej. Muszę dać mu czas, nie osaczać go. Musi ochłonąć.

Poszłam do kuchni, rozmawiałam z Krzysztofem o błażych sprawach. Z góry nie docierały żadne dźwięki. Długo to trwało. Podstępnie zaczęło do mnie podpełzać uczucie odrzucenia. Odpychałam je z determinacją, ale powracało. Krzysztof widział moje zatroskanie, usiłował zająć mnie rozmową, ale nie bardzo mogłam się na niej skupić. Kiedy na dworze było

już zupełnie ciemno, Maks zszedł z góry. Zamyślony podszedł do mnie, objął mnie ramionami i przytulił. Czułam, że jest nieobecny duchem. Z rezerwą odwzajemniłam uścisk.

– Co powiedział Bruno? – zapytałam głosem niezdradzającym emocji.

– Mało prawdopodobne, żeby można się czegoś dowiedzieć, jeżeli nie będzie więcej kontaktu z tym, za kim stoją przesyłki – mówił zrezygnowanym głosem. – Niewiele można zrobić, to jest jak szukanie igły w stogu siana. A stóg jest olbrzymi, cały świat.

Zrobiło mi się go żal.

– Musisz się uzbroić w cierpliwość. Zobaczysz, że nadawca się wkrótce odezwie. Musi mieć jakiś cel, dziwne byłoby, gdyby poprzestał na tym. W tym czasie spróbuj ochłonać. – Poklepałam go po plecach, próbując dodać otuchy. Nie reagował na mój dotyk.

Mijały dni i nic się nie działo. Maks cały czas był małomówny, zachowywał się, jakby funkcjonował w innym świecie. Ciągłe zamyślony, smutny. Bruno nie miał żadnych nowych wieści, Krzysztof większość czasu spędzał, pracując przy komputerze. Czuliśmy się bezpieczni, bo właściwie co miałyby nam grozić?

Nadszedł dwudziesty pierwszy lutego, najważniejsze na wyspach święto – Biikebrennen. *Biike* znaczy „znak ognia”. To starofryzyjski, wywodzący się jeszcze ze średniowiecza obyczaj przegania zimy i powitania wiosny. Kiedy mężczyźni wypływali na długie miesiące w morze, by zapewnić swoim rodzinom środki do życia, kobiety rozpałały na plaży stosy, aby żeglarze i wielorybnicy mogli powrócić z dalekiego świata oraz aby odpędzić złe duchy. Często także płonące na wyspie ogniska były sygnałem dla mieszkających na łodzi mężczyzn, że oto właśnie na wyspie pozostały same kobiety i potrzebują pomocy albo „innych przysług”. Ambicją każdej wioski jest posiadanie największego *Biike*, czyli stosu. Kilka tygodni wcześniej zaczynają gromadzić na plażach gałęzie, bożonarodzeniowe choinki, stare drewniane sprzęty, bele słomy. Robi się także porządki w ogródkach, przycinając stare krzewy i drzewa, a gałęzie wykorzystuje do budowy stosu. Jest to swoista okazja do pozbycia się starych szpargałów. Zgromadzeni mieszkańcy wraz z miejscowymi władzami muszą na początku wysłuchać krótkich przemówień co ważniejszych osobistości, a na zakończenie części oficjalnej burmistrz wygłasza zdanie: *Maaki di biiki on*, czyli: „rozpalajcie znak ognia”. I stosy zostają podpalone. Podobnie jak w Polsce topi się lub pali Marzannę, tak tam wrzuca się do ognia ręcznie zrobioną kukłę stracha na wróble, który symbolizuje zimę. W czasie gdy stos płonie, mieszkańcy dorzucają stare ubrania, następne bele słomy. Ceremonii tej towarzyszy wesoła zabawa, ze śpiewami, występami aktorskimi, tańcami, grzonym winem lub mocniejszymi trunkami. A kiedy po kilku godzinach stosy zaczynają się dopalać, zabawa przenosi się do okolicznych knajp i pubów i trwa do białego rana.

Umówiliśmy się z rodziną Balbiny na wspólne świętowanie, tym bardziej że po północy ma urodziny. Towarzyszył nam Krzysztof i znajomi Maks. Wieczór był wyjątkowo pogodny, rozgrzewały nas dodatkowo ogniska i grzane wino. Wszyscy wspólnie śpiewali, tańczyli, panowała atmosfera bez troski i ogólnej radości. Powrócił nawet mój dawny Maks, odprężony, żartujący. W ostatnich dniach obchodziłam się z nim jak z jajkiem, ale trochę zaczynało mnie to nużyć. Czas najwyższy, aby było jak dawniej.

Grzane wino smakowało wybornie, a pieczone mięsa i inne potrawy, które co chwilę donosił mi Maks, były dopełnieniem smaku. Odczuwałam działanie wina, zaczynałam czuć się bez troski i nie chciałam zmieniać tego stanu. Dość miałam ciężkich minionych dni. Tańczyłam, śpiewałam i było mi dobrze.

Znajomi i nieznajomi mężczyźni prosili mnie do tańca. Nie odmawiałam, miałam ochotę zaszaleć. Maks początkowo zatańczył ze mną jeden czy dwa tańce, ale później zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Ponieważ alkohol dość mocno szumiał mi w głowie, wypłynęła moja

gromadząca się od kilku dni irytacja. Poczułam, że mam dość ciągłego adorowania Maksa, ciągłego tolerowania tego, że lekceważy mnie zawsze, kiedy ma kłopot. Ciągłego głaskania po głowie. Chyba w pewien sposób chciałam dać mu odczuć, że ja też jestem ważna. Chciałam chociaż na chwilę oddalić od siebie narastające we mnie w ostatnich dniach poczucie, że opuszcza mnie szczęście. Tryskałam więc pozornie dobrym humorem i bawiłam się szampańsko. Kiedy wypijałam kolejną szklaneczkę grzanego wina i śmiałam się serdecznie w towarzystwie zupełnie nieznanym mi ludzi, nagle poczułam, że ktoś obejmuje mnie ramionami. Maks!

– O, znalazła się moja zguba – powiedział pogodnie.

– Dlaczego twoja? I nie wiem, czy zguba! – odpowiedziałam trochę bez sensu.

Maks zmarszczył brwi. O! Wkurza się. I dobrze, a co tam. O! Chochlik, cześć! Dawno cię nie było! I co tak się pukasz w czoło i marszczysz te brwi? Zupełnie jak Maks. Zaczęłam chichotać. Nie mogłam tego opanować. Nawet nie zauważyłam, kiedy odeszliśmy z Maksem od reszty towarzystwa.

– Dokąd mnie prowadzisz? Ja chcę się jeszcze bawić! Jeszcze się nie wytańczyłam! – mówiłam zadziornie.

– Zuziu, kochanie, chyba trochę się wstawiłaś. Chodź, zaprowadzę cię do domu i położę do ciepłego łóżeczka.

– Ale ja nie chcę do łóżeczka, chcę się bawić! Dość mam tego ciągłego znoszenia twoich problemów i tego, że za każdym razem, kiedy coś się dzieje nie po twojej myśli, odtrącasz mnie. Zachowujesz się, jakbym w ogóle nie istniała. – Tama puściła, nie mogłam już zatrzymać wpływającego ze mnie żalu. I łez. – Nie wiem czasami, czy mnie kochasz na dobre i na złe, czy tylko bawisz się mną, kiedy jesteś w dobrym humorze. Chyba nie na tym polega partnerski związek.

Maks milczał. A ja szlochałam. A Chochlik stał, trzymając ostentacyjnie palce w uszach.

– Przepraszam, kochanie, masz rację. Nie zdawałem sobie sprawy, że się tak zachowuję. Wiem, że nie znasz moich myśli, muszę się z tobą bardziej komunikować. Ale nie jest to rozmowa na dzisiaj. Wstawiłaś się trochę, ale dzięki temu powiedziałaś mi to, czego na trzeźwo bym od ciebie nie usłyszał. – Objął mnie ramieniem, było mi ciepło, bezpiecznie. Szliśmy wolnym krokiem w stronę domu. Przestałam szlochać. Zaczęłam ziewać, zrobiłam się bardzo senna. Kiedy dotarliśmy do naszej sypialni, nie miałam siły nawet się rozebrać. Maks zrobił to za mnie, założył mi piżamę i położył do łóżka. Sam zrobił to samo, objął mnie ramieniem, a ja wtuliłam się w niego mocno. Jego zapach mnie uspokajał, ciepło działało kojąco. Zasnęłam natychmiast.

I znowu kolejny ranek wolny od pracy. Sobota, na szczęście. I kolejna pobudka przy boku Maksa. Ale głowa mnie boli, chyba wczoraj przesadziłam. Co ja tam wyprawiałam, niezupełnie pamiętałam końcówkę. Chyba trochę narozrabiałam. I okrutnie chciało mi się pić. Maks obok pochrapywał, spał jeszcze głęboko. Oplatał mnie nogami, zawsze blisko mnie. Szkoda, że w ciągu dnia nie zawsze. Delikatnie wysunęłam się spomiędzy jego nóg, założyłam podomkę, pamiętając, że przecież w domu jeszcze jest Krzysztof, zesłam do kuchni z jednym pragnieniem, a właściwie dwoma: wody i kawy. To mi uratuje życie. Przechodząc przez hol, zobaczyłam leżący na podłodze pod drzwiami list. Podniosłam go, zaadresowano tylko: Maksymilian Weber. List nie był płaski, w środku wyczułam coś małego, nierównego. Nie wiedziałam, co z nim zrobić. Czy od razu obudzić Maksa, czy też dać mu się wyspać? To i tak niczego nie zmieni. Im później zaczniesz się stresować, tym lepiej dla niego.

Weszłam do kuchni, wypiłam duszkiem szklanekę wody i nastawiłam ekspres do kawy. Położyłam list na stole i wpatrywałam się w niego tępym wzrokiem. A więc jednak ktoś znowu się odezwał. Nadal będzie nas dręczył. A właściwie to Maksa.

Usłyszałam kroki na schodach, poznałam, że to Maks. Był jeszcze zaspany, rozczochrany, drapał się nieprzytomnie po głowie.

Nagle znieruchomiał, widząc mnie zaniepokojoną i list na stole.

– Co to? – Znowu ten niepokój w jego głosie.

– Znalazłam go przed chwilą pod drzwiami. Ktoś musiał go wrzucić rano. Chyba nie było go w nocy, kiedy wróciliśmy?

– Nie, nic nie zauważyłem – odpowiedział, otwierając go jednocześnie. Z wnętrza wyjął opaskę, jaką zakłada się noworodkom w szpitalu. Było na niej napisane: „Syn WEBER 10.08.2011”.

Podał mi ją bez słowa, patrząc mi w oczy. Myślał intensywnie.

– To musi być Ingrid – odezwał się po chwili. – Musiała być w ciąży, kiedy mnie opuszczała. Ale nie rozumiem, dlaczego zataiła ten fakt przede mną. Chciała się zemścić? Ale jeżeli tak, to dlaczego? Wydaje mi się, że o nią dbałem, kochałem ją wówczas, materialnie też niczego jej nie brakowało, więc nie rozumiem, dlaczego. – Zaczął przemierzać nerwowo kuchnię, jak to miał w zwyczaju w momentach wielkiego stresu. – I jak mam znaleźć tego chłopca? Bo przecież muszę go odnaleźć.

Słyszałam w jego głosie niesamowitą determinację. Wiedziałam, że nie zatrzyma się, dopóki go nie odnajdzie. Miałam tylko nadzieję, że po drodze nie zgubi mnie.

Od tego dnia Maks stał się nieobecny duchem. Wiecznie zamyślony, wiecznie wiszący na telefonie. Użył wszystkich swoich znajomości i możliwości, żeby znaleźć to dziecko. Na razie bez efektów.

Coraz bardziej czułam, że oddalamy się od siebie. Nie rozmawiał ze mną na temat swoich poczynań. Na zadawane przeze mnie pytania odpowiadał zdawkowo. Kiedy coś do niego mówiłam, czułam, że nie zawsze słucha, odpowiadał wymijająco. Przytulał mnie od czasu do czasu, ale nie wkładał w to uczucia. Chyba nawet nie zauważał, kogo tak naprawdę przytula. Wieczorami, kiedy leżeliśmy w łóżku, stale był zamyślony. Kochał się ze mną zupełnie mechanicznie, czasami miałam wrażenie, jakby chciał zostawić we mnie całą swoją frustrację. Przez pierwsze dni czekałam cierpliwie, rozumiałam, że ta sytuacja jest dla niego szokiem, że potrzebuje czasu, żeby to wszystko przetrwać i zaakceptować. Ale kiedy mijał drugi i trzeci tydzień i nic się nie zmieniało, zaczęłam odczuwać frustrację. Kochałam Maksa, ale czy było w tej sytuacji miejsce dla mnie w jego życiu?

Próbowałam kilkakrotnie z nim rozmawiać na ten temat, ale za każdym razem zbywał mnie jakąś odpowiedzią, dodając, że przecież wiem, że mnie kocha. Czy takie zapewnienie wystarczy? Czy do utrzymania miłości wystarczy tylko słowa?

Zaczynałam czuć się samotnie. Banalna samotność we dwoje. Jak stare małżeństwo. Kiedy wracałam z pracy, albo go jeszcze nie było, albo toczył niekończące się rozmowy przez telefon, albo właśnie gdzieś wychodził. Kilkakrotnie próbowałam zwrócić na siebie jego uwagę, przygotowałam kolację przy świecach, założyłam ładną, kobiecą sukienkę, podpięłam włosy, żeby stworzyć wyjątkowy nastrój. Zawsze był zachwycony, całował mnie namiętnie, a kiedy zasiadaliśmy do kolacji, albo znowu ktoś dzwonił, albo przychodził detektyw dodatkowo oprócz Bruna przez niego wynajęty i rozmowy przeciągały się do późnego wieczora.

Krzysztof wyjechał przed tygodniem, uznaliśmy, że jednak nikt nam nie grozi fizycznie. Od tego czasu byłam jeszcze bardziej samotna. Zazwyczaj zasypiałam na fotelu lub kanapie, niezjedzona kolacja lądowała po raz kolejny w śmieciach i tak kończył się wieczór.

Kiedy w końcu, zazwyczaj późną nocą, szliśmy do łóżka i Maks próbował być czuły, nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Kilka razy usiłowałam się zmusić, kochałam się z nim, ale przepełniał mnie tylko żal. A kiedy było już po wszystkim, wyplakiwałam się cicho w poduszkę.

Czekałam jednak cierpliwie. Nadal go kochałam, nadal był mężczyzną mojego życia. I w gruncie rzeczy wiedziałam, że on też nie przestał mnie kochać. Więc o co chodzi? Dlaczego taki jest? Czy nikt nie nauczył go dzielić się radością ani też problemami z najbliższą, wydawałoby się, osobą w jego życiu?

I tak oto dni mijały, a ja nadal czekałam cierpliwie.

Któregoś smętnego dnia, kiedy siedzieliśmy w salonie, zadzwonił Andreas. Rozpoczął się już marzec, na dworze było szaroburo, słońce usiłowało się przedzierać przez gęstą warstwę chmur, ale te nie chciały go wypuścić ze swoich objęć. Dzwoniliśmy do siebie od sylwestra kilka razy, ale zazwyczaj rozmawialiśmy tylko na prywatne tematy. Proces Ingrid trwał i prawdopodobnie pociągnie się jeszcze kilka miesięcy. Będziemy wezwani oboje z Maksem na świadków, ale jeszcze nie było wiadomo kiedy. Dirk zaś utknął na Dominikanie i szczerze mówiąc, przestałam się nim interesować.

Tego wieczoru akurat wyjątkowo Maks był wolny. Siedzieliśmy na kanapie, Maks oglądał wiadomości w telewizji, a ja czytałam książkę *Wszystko czerwone* Joanny Chmielewskiej. Cudowny kryminał na poprawę nastroju. Czytałam go już chyba czwarty raz i za każdym zaśmiewałam się do rozpuku z dziwacznej, biblijnej polszczyzny kapitana Muldgaarda. Trzymałam stopy na kolanach Maksa, głowę na poduszce. Głaskał czule moje nogi, piliśmy czerwone wino i było tak przyjemnie, jak kiedyś. Wydaje się, że minęły wieki całe od takich naszych chilloutowych wieczorów. W takich chwilach czułam, że się kochamy, chciałabym, żeby trwały wiecznie. I wtedy nie były potrzebne żadne słowa. Kiedy odezwał się telefon, Maks spojrzał na wyświetlacz.

– Andreas – powiedział i włączył na głośnomówiący. – Witaj, Andreasie, słuchamy cię oboje z Zużą.

– Cześć, Andreasie – powiedziałam.

– Witajcie, kochani – powiedział, a w jego głosie wyczułam napięcie. – Przerwywam wam zapewne spokojny wieczór, ale mam dla Maksa ważne informacje.

– Słuchamy cię – odezwał się Maks i wyczułam, że napinają się w nim wszystkie mięśnie.

– Sprawa dotyczy Dirka. Usilnie walczy wraz ze swoimi prawnikami o powrót do Niemiec. Myślę, że bardzo obawia się dominikańskiego więzienia i ciężaru kary, która go tam czeka. I słusznie zresztą. Otóż jego prawnik zwrócił się do mnie o pomoc w załatwieniu ekstradycji. Wie, że mam duże wpływy, ale obawiam się, że nawet one by nie wystarczyły. W zamian za pomoc oferuje tobie, Maksie, informacje na temat twojego syna.

Z obu stron zapadło głębokie milczenie. Po dłuższej chwili Maks ocknął się z letargu.

– Że też wcześniej nie wpadłem na pomysł, że Dirk może coś na ten temat wiedzieć! Co możemy zrobić w tej kwestii? – Czułam, że zaczyna się nakręcać. Nie wiedziałam, czy to dobrze, czy też powinnam się bać.

– Maks, bądź realistą. Żaden adwokat nie jest w stanie załatwić ekstradycji, myślę, że prawnik Dirka zdaje sobie z tego sprawę. Złożył propozycję, żebyśmy przyjechali na Dominikanę i świadczymy na jego korzyść, co mi się wydaje bzdurną propozycją. Zresztą ja i tak nie nadaję się do takiej podróży, jestem na to za stary.

– A twój syn by pojechał? – Głos Maksa przepełniony był nadzieją.

– Maksie, wiesz, że pomożemy ci w każdy możliwy sposób. Zresztą zatrudniasz nas, więc w tym wypadku ty wydajesz polecenia. Jeżeli tak zdecydujesz, to oczywiście Marcus z tobą pojedzie.

– Kiedy byłoby to możliwe? – Czułam, że najchętniej jechałby już.

– Myślę, że nie wcześniej niż w ciągu tygodnia. Ale zastanów się jeszcze. Koszt takiej podróży będzie spory, a efekt raczej wątpliwy. Niczego nie możemy Dirkowi obiecać, nie

spodziewaj się więc informacji za darmo. – Andreas tłumaczył jak małemu chłopcu. Wiedziałam już w tym momencie, że nie ma takiej siły, która odwiodłaby Maksa od tej decyzji.

– Dobrze, Andreasie, załatwajcie wszystko, co trzeba. Im wcześniej, tym lepiej. Będę czekał na wiadomość.

– Okay. Postaramy się zrobić to jak najszybciej. Susi, kochana, ja się w tym czasie do ciebie wybiorę, dotrzymam ci towarzystwa podczas nieobecności Maksa. Co ty na to? – Jego słowa były dla mnie jak miód albo raczej lody waniliowe z polewą truskawkową.

– Och, Andreasie, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo się cieszę. Będę czekała na ciebie z utęsknieniem. Zaszalejemy sobie. – Powiedziałam to niby żartem, ale wiem, że Andreas usłyszał w moich słowach gorycz. Po tylu latach pracy jako adwokat był lepszym psychologiem niż niejeden zawodowiec.

– I jeszcze jedna prośba – odezwał się Maks. – Chciałbym, żebyś załatwił mi widzenie z Ingrid po powrocie z Dominikany.

Andreas milczał przez chwilę.

– Nie sądzę, żeby było to możliwe. Jesteś świadkiem w sprawie, małe więc jest prawdopodobieństwo, że sędzia się zgodzi. Ale spróbuję. W ostateczności, jeżeli Ingrid się zgodzi, możesz przekazać informacje przeze mnie.

– Dobrze, ale wolałbym się z nią spotkać osobiście – powiedział stanowczo Maks.

– W takim razie, kochani, będziemy w kontakcie. – I rozłączył się.

W pokoju zapadła cisza. Maks swoim zwyczajem przemierzał salon tam i z powrotem. Szybciej niż zwykle, więc jego wzburzenie musiało być naprawdę potężne. Milczałam, czekałam, czy się do mnie odezwie. Nie zapowiadało się na to. Wstałam z kanapy.

– Dobranoc, Maksie, idę spać – powiedziałam, wpatrując się w niego. Nie słyszał mnie, kiwnął tylko głową, odburkując coś niezrozumiałego pod nosem. Wchodząc na górę, usłyszałam, że do kogoś dzwoni, mówi coś wzburzonym głosem. Nawet nie miałam siły podsłuchiwać. Nie, żebym to normalnie robiła. Czułam się odrętwiała, miałam wrażenie, że to wszystko dzieje się gdzieś obok mnie.

Całą noc męczyły mnie koszmary, jak zwykle w stresie. Nie pamiętałam treści tych snów, ale obudziłam się wymęczona. Maksa obok mnie nie było, pościel nie była pognieciona. Tę noc spędziłam sama.

Następne dni mijały w nerwowej atmosferze, co było do przewidzenia. Maks bombardował Marcusa telefonami, ponagłając go niecierpliwie. Miał jeden cel w życiu, a ja, po głębokim zastanowieniu, postanowiłam ten okres po prostu przeczekać. Wiedziałam, że mnie kocha. Patrzył na mnie udęczonym wzrokiem, jakby chciał przeproszać. Wiedziałam, że jest mu ciężko. To nic, że czułam się samotnie, ale przecież to się kiedyś skończy. A potem, bez względu na efekt końcowy poszukiwań, Maks do mnie wróci. Mój dawny Maks, taką miałam nadzieję.

Po tygodniu wyjechał. Do ostatniej chwili załatwiał formalności. Miał już nawet kupiony bilet lotniczy, ale brakowało mu jakichś dokumentów i nie wiadomo było, czy polecą. Na szczęście wszystko się udało. Zawiozłam go na prom do Sylt, stamtąd odlatywał do Berlina, a dalej na Dominikanę. W Berlinie miał się spotkać z Marcusem. Pomagałam mu się pakować, przygotowywałam potrzebne rzeczy, zachowywałam się jak przykładna żona. Niestety, stosunek Maksa do mnie nie uległ zmianie. Nadal byłam dla niego kimś potrzebnym, ale raczej jak wyposażenie mieszkania, a nie ukochana kobieta. Czułam, że zdaje sobie z tego sprawę, ale nie był chyba w stanie zmienić swojego zachowania. Nie mogłam tego zrozumieć. Co ja mam z tym wszystkim zrobić? Czy tak już będzie zawsze? Jeżeli tak, to chyba się poddam. Nie jest mi potrzebny związek o temperaturze jednego stopnia powyżej zera. Albo zaledwie pół stopnia. A co będzie, jeżeli odnajdzie syna? Zabierze go oczywiście do siebie, jeżeli będzie taka

możliwość. A co ze mną? Nawet nie zapytał, jakie ja mam zdanie na ten temat. Może uważa, że jestem tu tylko tymczasowo, a syn będzie zawsze? Nie, dość tego. Nie mogę tak ciągle gdybać. Zobaczą, co będzie, kiedy wróci. Planował powrót za tydzień. Mam nadzieję, że może rozłąka coś zmieni, może będzie tęsknił, może odległość pozwoli mu nabrać dystansu do tego wszystkiego? Zobaczymy...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego dnia po odjeździe Maksa przyjechał Andreas. Wyjechałam po niego do portu. Zbliżał się koniec marca, coraz bardziej czuło się wiosnę. Słońce grzało coraz mocniej i na świecie robiło się jakoś weselej. Kiedy zobaczyłam go w wełnianym kapelusiku, szpakowatego starszego pana w okularach, uśmiechniętego od ucha do ucha, zrobiło mi się ciepło na sercu. Tyle serdeczności w jednym człowieku. Mimo różnicy wieku był wspaniałym przyjacielem. Z młodą duszą. Szkoda, że nie miał trochę mniej lat, chybabym go zbałamuciła.

– Susi! – wykrzyknął, ściskając mnie z całej siły.

– Andreas! – witałam się z nim, całując serdecznie w oba policzki. – Tak się cieszę, że przyjechałeś.

– Ostatnio wyczuwałem w twoim głosie smutek. Wiem, że coś jest nie tak. Muszę się tobą zaopiekować. – Trzymał mnie za ramiona, patrzył prosto w oczy.

– Nie mam nic przeciwko temu, kochany Andreasie. – Wzięłam go pod ramię, szliśmy wolno w stronę samochodu.

Kiedy wieczorem siedzieliśmy w salonie, popijając aromatyczną herbatę z rumem, opowiedziałam mu o wszystkich moich rozterkach.

– Nie jestem młodą siksą, mam już za sobą pewien багаż doświadczeń, Maks nie jest przecież pierwszym moim mężczyzną – opowiadałam spokojnym głosem. – Wydaje mi się, że nie popełniam błędów, które miały miejsce w moich poprzednich związkach. Ale mimo że bardzo się staram, że usiłuję nie być zaborczą kobietą, że w gruncie rzeczy jestem bardzo tolerancyjna, nie udaje mi się osiągnąć w związku potrzebnej mi harmonii i poczucia bezpieczeństwa. Czuję się coraz bardziej rozczarowana. I nadal Kocham Maksa.

– Nie zawsze między dwojgiem kochających się ludzi jest idealnie. Nad związkiem trzeba nieprzerwanie pracować. Opowiem ci historię z mojego życia. – Andreas był w tej chwili myślami daleko. Uśmiechał się lekko, ale chyba trochę smutno. – Wiesz, że bardzo kochałem moją żonę. Po jej śmierci nie dotknąłem żadnej kobiety. Była tą jedyną. Ale mieliśmy taki okres, kiedy nasze małżeństwo zawisło na włosku. – Pokiwał głową w zadumie. – Kiedy byliśmy jeszcze młodzi, Marcus był malutki, miał może dwa latka, bardzo dużo pracowałem. Nie pochodzę z bogatej rodziny, rodzice Ruth też nie byli zamożni. Wszystkiego dorabiałem się sam. Długo pracowałem na swoją renomę. Ale wracając do początków naszego małżeństwa, pamiętam, że obsesyjnie bałem się, że nie zdołam zapewnić mojej rodzinie dobrobytu. Pracowałem coraz więcej, a im więcej pracowałem, tym bardziej miałem wrażenie, że mam za mało. Zaczęliśmy się z Ruth oddalać od siebie. Wychodziłem do pracy, kiedy Marcus jeszcze spał, wracałem, kiedy już spał. Pomimo częstych nalegań żony, żebyśmy wspólnie jadali chociaż kolacje, przez większość dni w tygodniu lekceważyłem jej prośby. Kiedy późnym wieczorem wracałem wreszcie do domu, moi kochani już spali, a kolacja spoczywała w śmietniku. Taka sytuacja ciągnęła się przez kilka miesięcy, aż w końcu któregoś dnia wróciłem do pustego domu. Nie było mojej żony i syna, nie było ich rzeczy. Szafy były puste. Zostały w domu wszystkie wspaniałe sprzęty, na które tak ciężko pracowałem, a które były mi w tej chwili zupełnie niepotrzebne. Najbardziej do szczęścia potrzebowałem Ruth i Marcusa, a przez moją ślepotę ich właśnie straciłem. – Zamilkł na chwilę, splótł dłonie na brzuchu, patrzył gdzieś daleko. Nie było go w tej chwili w tym pokoju, był w swoim domu, sam, nieszczęśliwy.

– Szukałem ich wszędzie, u rodziców Ruth, u znajomych, w hotelach, gdzie zazwyczaj jeździliśmy na wakacje – kontynuował. – Zapadli się pod ziemię. Odchodziłem od zmysłów. Bałem się, że straciłem ich na zawsze. Nie mogłem spać, nie mogłem jeść, tęskniłem za nimi



niewyobrażalnie. Ale moje poszukiwania nadal pozostawały bez efektów. Aż nagle, po miesiącu, kiedy wróciłem wieczorem z pracy, wcześniej niż zazwyczaj, zastałem Ruth w domu krzątającą się przy kuchni, Marcus bawił się kolejką na dywanie w salonie, stół był nakryty do kolacji dla trzech osób, grała spokojna muzyka. Zupełnie, jakby nie było tego miesiąca bez nich! Pamiętam, że stanąłem w drzwiach, łzy ściekały mi po policzkach i nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu. To jest to, co najważniejsze w życiu, a nie sprawy materialne. – Andreas zamyslił się, czułam, że duchem jest znowu w tamtym salonie. – Moja ukochana żona była bardzo mądrą kobietą. Kiedy zrozumiała, że jej słowne prośby nie odniosą efektu, postanowiła uzmysłwić mi w inny sposób, co jest dla mnie sensem życia. Od tego czasu zmieniłem się. Zaczęłem słuchać tego, co do mnie mówi, reagować na jej potrzeby. Ale też mówiłem jej, czego ja pragnę. Bez tego żaden związek nie będzie szczęśliwy.

Nie przerywałam mu. Jak bardzo ta sytuacja przypominała moją rzeczywistość. Nie zawsze wystarczy miłość. Musi być jeszcze zrozumienie i wysłuchiwanie oczekiwań drugiej strony. I dużo, dużo ciężkiej pracy nad sobą, nad związkiem.

– Przyznam ci się, że miałam takie momenty, kiedy chciałam stąd wyjechać. I tak do końca nie wiem, czy wkrótce tego nie zrobię. Tylko widzisz, ja nie jestem tak wspaniałą kobietą jak Ruth. Ona wyjechała, żeby zawalczyć o ciebie. Jeżeli ja wyjadę, to dlatego, że się poddam. – Ogarniał mnie coraz większy smutek. – Szczerze mówiąc, wątpię, czy Maks będzie tak szalał z rozpacy, jak to było z tobą. A jeżeli odnajdzie swojego syna, to obawiam się, że zupełnie nie będę mu potrzebna.

– Susi, nie chcę więcej wracać do tego tematu i zasmucać cię, ale walcz o swoje szczęście. Następnego może nie być.

Długo myślałam o naszej rozmowie, nie mogłam zasnąć. Następnego dnia z Dominikany zadzwonił do Andreasa Marcus z informacją, że szczęśliwie dojechali. Maks milczał.

Spędzaliśmy miło czas. Kiedy szłam do pracy, Andreas mi towarzyszył, ponieważ wykupił sobie w sanatorium zabiegi. Kiedy kończyłam pracę, spacerkiem szliśmy do Mathilde na obiad, a potem wzdłuż plaży do domu. Czasem wpadaliśmy na kawę do Balbiny, raz zaprosiliśmy ich z Robertem na brydża. Tydzień minął szybko. Od Maksa nie było żadnych wiadomości. Marcus dwukrotnie dzwonił do Andreasa i przekazywał nam pozdrowienia od Maksa, ale ten nadal milczał.

Po dziesięciu dniach Marcus wrócił do Monachium. Kiedy zadzwonił do Andreasa, przygotowaliśmy akurat kolację. Andreas smażył jajecznicę, a ja kroiłam chleb i pomidory. Twierdził, że jest mistrzem w robieniu jajecznicy, według przepisu Ruth oczywiście. Ponieważ zostawił telefon w salonie, wyszedł tam i nie słyszałam jego rozmowy. Kiedy wrócił, był przygnębiony.

– Zuza, Marcus wrócił dzisiaj z Dominikany, Maks został tam jeszcze, nie wiemy, na jak długo. – Patrzył na mnie w zamyśleniu. – Martwi mnie to, co powiedział mi syn. Twierdzi, że Maks znowu działa jak w amoku. Podobnie było, kiedy ponownie związał się z Ingrid. Jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje wokół niego, co się dzieje z tobą. Jakby nie potrafił rozsądnie ocenić sytuacji. Dużo rozmawiali ze sobą, Marcus twierdzi, że Maks cię bardzo kocha, ale nie rozumie, co ty odczuwasz. Nie sądziłem, że moja historia, którą ci dopiero opowiedziałem, będzie tak bardzo podobna do twojej.

– Co mi więc radzisz? Czy mam wyjechać, jak to zrobiła Ruth? Myślałam już o tym, wiesz przecież. I nie jest wykluczone, że tak zrobię. Obawiam się tylko, że go stracę. Nie chcę żyć bez niego. – Zaczęłam szlochać, nie mogłam nad tym zapanować. Andreas podszedł do mnie, przytulił mnie po ojcowsku, poklepywał po plecach, głaskał po głowie.

– Cii, cii – szeptał uspokajająco.

– Jak to dobrze, że cię mam – chlifałam.<sup>[P]<sub>SEP</sub></sup>

– I jeszcze jedno, Susi. Za tydzień muszę wyjechać. Rozpoczyna się proces jednego z naszych ważnych klientów. Muszę być na miejscu. Z żalem będę cię opuszczał, ale mam nadzieję, że do tego czasu Maks wróci i wszystko się między wami łoży.

Tydzień minął, nawet nie zauważyłam kiedy. Andreas dotrzymywał mi towarzystwa, dużo rozmawialiśmy o jego życiu, o moim. Chyba żaden psycholog nie wyciągnąłby tak trafnych wniosków z moich opowieści. Znał ludzkie charaktery, spotkał się w swoim życiu, zawodowym i prywatnym, z niejednym ludzkim problemem. Nie zawsze mi radził. Często pozwalał mi po prostu mówić, zrzucić z serca trapiące mnie sprawy. Było mi lżej. Nadal jednak czułam odrętwienie z powodu zachowania Makska. Nie odezwał się przez cały ten czas, nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Także Marcus nie wiedział o nim niczego nowego.

W końcu w piątkowe popołudnie Andreas wyjechał. Popłynęłam razem z nim promem na Sylt, odprowadziłam go na samolot. Pożegnaliśmy się serdecznie, czułam, że bardzo będzie mi brakowało naszych rozmów. Już za nim tęskniłam. Długo stałam na tarasie widokowym, patrzyłam, jak jego samolot robi się coraz mniejszy, aż wreszcie zamienił się w niewielki punkcik i zniknął. Nie chciało mi się wracać do pustego domu. Czułam się w nim ostatnio nieswojo. Kiedy dotarłam do portu, miałam godzinę do odpłynięcia promu. Usiadłam w poczekalni przed ogromną przeszkloną ścianą i obserwowałam falujące morze. Na dworze zrobiło się szaro, zaczynał siąpić drobny deszczyk. Na niebie szybko przesuwwały się szarobure chmury. Rozmyślałam.

Dlaczego Maks ani razu do mnie nie zadzwonił? Przecież stać go na wykonanie połączenia z Dominikany. W dobie telefonii komórkowej nie stanowi to żadnego problemu. Wprawdzie ja też do niego nie dzwoniłam, ale przecież to on wyjechał. A poza tym cały czas czuję się zraniona jego zachowaniem. Chciałam go chyba przetestować, czy będzie za mną tęsknił, czy przemyśli sobie pewne sprawy. Widocznie nie tęskni i nie myśli.

Na sąsiednim fotelu usiadł Chochlik i wpatrywał się we mnie bez słowa, z bardzo poważną miną.

Muszę zadzwonić do Makska, postanowiłam. I jeżeli nie zrobię tego teraz, po powrocie do domu nie zrobię na pewno. Wybrałam numer. Odezwał się po kilku sygnałach.

– Zuza, coś cię stało? – mówił lekko nieprzytomnym głosem.

– Nic się nie stało. Chciałam się dowiedzieć, czy żyjesz. Nie odezwałeś się ani razu od wyjazdu, martwiłam się o ciebie. – Staralam się mówić spokojnie, ale byłam zirytowana. A poza tym rozmawiało się źle, ponieważ mój głos wracał do mnie z opóźnieniem, jakby w słuchawce siedziało echo i naigrawało się ze mnie. Było to bardzo deprymujące.

– U mnie wszystko w porządku. Planuję wrócić w poniedziałek, prawdopodobnie o dwudziestej będę w Wyk. Nie mogę teraz rozmawiać, bo wychodzę na widzenie z Dirkiem. Niedługo się zobaczymy, wtedy wszystko ci opowiem. – Wyczułam, że jest zniecierpliwiony.

– Kocham cię, Maks. I tęsknię za tobą. I martwię się o ciebie – powiedziałam z uczuciem.

– Zuza, muszę kończyć. Do zobaczenia wkrótce. – I rozłączył się. Nic dodać, nic ująć.

Siedziałam odrętwiała, jakby zeszło ze mnie całe powietrze. Nie pamiętam podróży promem, nie pamiętam drogi do domu. Poruszałam się jak we śnie, cały czas myślałam o zachowaniu Makska.

Po powrocie do domu snułam się bez celu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Brakowało mi Andreeasa, byłam dezorientowana, czułam się samotnie. Czułam się nieszczęśliwa! Czy na tym polega związek dwojga ludzi? Chciałam zadzwonić do dzieci albo do rodziców, ale zaraz wyczuliby w moim głosie smutek, nie potrafiłabym tego przed nimi ukryć. A nie chciałam ich martwić. Położyłam się na kanapie, opatuliłam kocem, włączyłam telewizor i... zasnęłam

kamiennym snem. Spałam do rana.

Weekend przesiedziałam w domu. Czytałam, robiłam porządki, oglądałam telewizję, słuchałam muzyki. Wegetowałam. Tęskniłam za Makssem i odliczałam godziny do jego przyjazdu.

W poniedziałek nie mogłam usiedzieć w pracy. Nie mogłam się skoncentrować. Kiedy dobiegła piętnasta, wybiegłam z budynku, jakby mnie ktoś gonił. Nie poszłam nawet do Mathilde na obiad. Popędziłam do sklepu, zrobiłam zakupy, kupiłam dobre wino. Postanowiłam przygotować pyszną kolację i czekać na Maksa. Byłam podekscytowana jak nastolatka przed pierwszą randką.

Pichciłam w kuchni, podśpiewując sobie *Home* z Michaeliem Bublé. Zawsze dobrze mnie nastrajał. Przygotowałam boeuf bourguignon według starego, sprawdzonego przeze mnie przepisu. Wymagał trochę pracy, ale efekt był wyśmienity. Ciekawe, czy Maksowi będzie smakował, z tym jego wysublimowanym gustem kulinarnym.

Dziesięć deko wędzonego, pokrojonego w kostkę boczku przysmażyłam na patelni, a potem odłożyłam na dno dużego, żaroodpornego naczynia. Następnie pół kilo wołowiny pokrojonej w kostkę, oprószonej mąką, przyrumieniłam na tym samym tłuszczu. I ponownie wrzuciłam do szklanego naczynia. Ciągłe na tej samej patelni przypieklam dwie duże marchewki pokrojone w pięciocentymetrowe kawałki, dziesięć małych cebulek szalotek w całości i dwa rozgniecione ząbki czosnku. I jak poprzednie składniki, tak i te wylądowały w naczyniu do zapiekania. Na to wszystko dwieście mililitrów czerwonego wytrawnego wina, dwieście mililitrów wołowego bulionu, kilka liści laurowych, ziarenek ziela angielskiego i pieprzu, po gałązce rozmarynu i tymianku oraz puszka krojonych pomidorów. Na koniec sól, pieprz – i gotowe. Ciekawe, co by powiedział Maks, widząc mnie tak szalejącą w kuchni.

Po przygotowaniu i połączeniu wszystkich składników potrawa musi przebywać trzy godziny w piekarniku. Obliczyłam, że na 20.30 kolacja będzie akurat, więc wstawiłam ją do piekarnika o 17.30, nastawiłam timer, nawet jeżeli nie zdążę wrócić, piekarnik sam się wyłączy, a potrawa będzie ciepła do naszego przybycia. Do tego chrupiąca bagietka i sałata lodowa z sosem winegret. I czerwone wytrawne wino, oczywiście. Będzie super! Podskakiwałam z radości. A Chochlik razem ze mną.

Ubrałam nową sukienkę, kupioną specjalnie dzisiaj na tę okazję w butik w pobliżu sanatorium. Była w kolorze bakłażana, z prostym, wąskim dołem sięgającym przed kolana, luźną górą i wąskimi rękawami. Do tego założyłam medalion od Maksa i delikatne kolczyki. Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Dochodziła 19.30, a ja coraz bardziej się denerwowałam, jakbym oczekiwała wizyty królowej angielskiej. A właściwie dlaczego mam się tak męczyć w domu? Wyjdę po niego do portu – postanowiłam.

Na piętnaście minut przed przybyciem promu byłam w porcie. Widziałam z daleka jego zbliżające się światła. Za chwilę go zobaczę! Tak za nim tęsknię! Prom powoli cumował do nabrzeża. Kiedy pierwsi pasażerowie pojawili się u wyjścia, stałam jak najbliżej, gotowa w każdej chwili rzucić się w ramiona Maksa. Pasażerów było sporo, aż dziwne jak na tę porę roku. Bałam się, że w tym tłumie go przeoczę, a on przecież nie wie, że po niego wyjdę, może mnie nie zauważy i jeszcze się nie spotkamy. Wpatrywałam się więc z napięciem w tę ludzką masę, ale Maksa ciągle nie było. Serce biło mi szybko. Tłum zaczął się przersedzać, a ja nadal czekałam. W końcu wyszła ostatnia osoba, zaczęły wjeżdżać samochody i wchodzili pasażerowie, którzy chcieli przeprowić się na ląd.

Byłam zdezorientowana. Czyżbyśmy jednak się minęli? A może wsiadł do samochodu z kimś znajomym, a przecież na samochody nie patrzyłam. Tak, na pewno ktoś go podwiezie do domu i będzie tam przede mną.

Puściłam się biegiem w stronę domu. Nie mogłam złapać tchu, ale nie chciałam się zatrzymać ani na chwilę. Rozpięłam płaszcz, zniszczyła się moja tak misternie przygotowana fryzura. Byłam zgrzana, spocona, ale nie zwracałam na to uwagi. Kiedy zdyszana wpadłam do domu, zaczęłam wołać Maksa, ale nikt mi nie odpowiedział. Przeszłam przez wszystkie pomieszczenia. Nie było go! Nie przyjechał!

Czyżby coś mu się stało? A może spóźnił się na samolot do Sylt? Albo na prom do Wyk? Może gdzieś tam tkwi w poczekalni, a ja się tu denerwuję.

Wyjęłam telefon, wybrałam jego numer. Że też wcześniej nie pomyślałam, żeby do niego zadzwonić! Długo nie odbierał. W końcu usłyszałam jego głos:

– Zuza? – jakby lekko zaskoczony.

– Maks, kochanie! Nic ci nie jest! – wykrzyknęłam z ulgą.

– A co miałyby mi być? – zapytał zdziwiony.

– Czekałam na ciebie w porcie. Miałeś dzisiaj przyjechać. Potem pomyślałam, że się minęliśmy, pobiegłam do domu, ale tam też cię nie było. Pomyślałam, że coś musiało się stać! – mówiłam rozgorączkowana. – Gdzie teraz jesteś? Spóźniłeś się na samolot?

– Zuza, ja jestem jeszcze na Dominikanie. Nie mówiłem, że na pewno przyjadę dzisiaj. Miałem pierwotnie takie plany, ale trochę się tu pozmieniało i muszę jeszcze zostać. – Powiedział to takim tonem, jakby miał zostać pół godziny dłużej w pracy.

Byłam wstrząśnięta.

– Jak to? To nie mogłeś mnie zawiadomić? Nie pomyślałeś, że będę na ciebie czekała? – Czułam, jak wzbiera we mnie złość. I coś jeszcze... niechęć, obojętność? Nie, tylko nie to! – Nie myślisz o mnie zupełnie? Nic dla ciebie nie znaczę? Liczy się tylko to dziecko? Naprawdę?

– Och, Zuza, nie przesadzaj. Przecież wiesz, że jesteś dla mnie ważna, ale teraz muszę się zająć czymś innym. Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie. – Mówił z poirytowaniem.

Nie słuchałam. Nie miałam ochoty, nie miałam potrzeby. Miałam tego dość.

– Rozumiem, Maks. W takim razie powodzenia. – Gdyby się we mnie wsłuchał, usłyszałby rezygnację.

– Na razie – odpowiedział, jakby żegnał się z koleżanką szkolną. Rozłączyłam się.

Usiadłam, zupełnie osłupiała. Nie byłam zła, nie byłam zrozpaczona. Byłam zdziwiona. Jak to możliwe, że kochający przed kilkoma tygodniami mężczyzna, zapewniający mnie wielokrotnie, że nigdy więcej mnie nie zostawi, stał się nagle tak obojętny? Jak doktor Jekyll i Mr Hyde. Ale zrozumiałam jedno. Definitywnie i nieodwołalnie nie chcę trwać w takim związku. Nie, nie i jeszcze raz nie!

Nie wiem, jak długo tak siedziałam. Myśli w mojej głowie pędziły z szybkością światła. Tysiące pomysłów i rozwiązań na minutę, ale żaden nie wydawał się dobry. Rozpatrywałam wiele ewentualności. A co, jeśli... a może jednak... ale może lepiej...? Nic nie pasowało, nic nie było wystarczająco dobre. Kiedy wreszcie wynurzyłam się z mojej podświadomości, było po północy. Podjęłam decyzję. Wyjeżdżam!

Kocham Maksa nadal, siła mojego uczucia i pożądania nie zmieniła się. Nadal jest moją wielką miłością. Czuję się jednak po raz drugi głęboko zraniona jego obojętnością, jego wręcz lekceważeniem mnie. Może ma problem z empatią? A także z dzieleniem się swoimi troskami z kimś, kogo kocha? Może w związku z Ingrid popełniał te same błędy? A może to przez Ingrid jest właśnie taki? A może... a może... a może...

Podobnie jak Andreas, Maks nie zrozumie tego, jeżeli nie wyjadę. Muszę to zrobić dla dobra naszego związku. A co, jeżeli ze mnie zrezygnuje? Jeżeli nie będzie mnie szukał? Jeżeli nie będzie już mnie chciał? Jeżeli uzna, że to ja go porzuciłam w trudnych dla niego chwilach? Muszę mu to wszystko wytłumaczyć. Ale nie mogę czekać do jego powrotu. Nie mogę też

powiedzieć mu tego przez telefon. Zostawię mu list!

Następnych kilka dni minęło mi na pakowaniu, załatwianiu formalności w sanatorium. Bardzo żalowali, że chcę odejść, chcieli mi ponownie przedłużyć umowę. Doszliśmy więc do porozumienia, że na razie biorę miesięczny urlop. Jeżeli po miesiącu nie zdecyduję się wrócić, umowa zostanie rozwiązana.

Czułam się zupełnie rozbita. Pakowałam rzeczy, popłakiwałam, nachodziły mnie wątpliwości, czy dobrze robię. A może to we mnie nie ma empatii? A może to ja krzywdzę Maksa? Nie wiem, jak to jest, wiem natomiast, co ja czuję. I tego muszę się trzymać.

Po trzech tygodniach od wyjazdu Maksa na Dominikanę byłam gotowa do opuszczenia wyspy. Jak Robinson Crusoe. W piątkowe popołudnie zapakowałam samochód, posprzątałam w domu, pilnując, żeby nie pozostał po mnie żaden ślad. Wcześniej pożegnałam się ze współpracownikami w sanatorium, a wieczorem poszłam do Balbiny. Nie wiedziała wcześniej, że podjęłam taką decyzję. Była w szoku. Nie zagłębiałam się w szczegóły. Powiedziałam tylko, że wracam do Polski, że nie udało mi się z Makssem, bez podawania przyczyny.

– I nie pytaj, Balbina, o nic więcej, nie chcę o tym rozmawiać – powiedziałam stanowczym głosem.

– Powiedz chociaż: dokąd jedziesz? – pytała zaskoczona.

– Nie wiem jeszcze. Na kilka dni wrócę do Gniezna, zobaczą się z rodziną, a potem prawdopodobnie wyjadę gdzieś odpocząć. Może przed siebie? W nieznane? Zobaczą.

W sobotę wczesnym rankiem opuściłam Föhr.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wracał samolotem z uczuciem porażki. Te kilka tygodni spędzonych na Dominikanie nie przyniosło żadnych rezultatów. Dirk był uparty. Twierdził, że wie, gdzie przebywa jego syn, ale wyjawia mu to tylko wtedy, jeżeli on pomoże mu wydostać się z Dominikany. Na Boga, nie jest przecież cudotwórcą! Zmarnował tyle czasu. A na każde widzenie musiał czekać po kilka dni. Bez sensu.

A teraz jeszcze od kilku dni nie mógł dodzwonić się do Zuzy. Jej telefon nie odpowiadał. Zaczynał się niepokoić. Zadzwoił nawet do Andreasa, ale on nie wiedział, co się z nią dzieje. A Balbina nie odbierała telefonów. Wracał więc pełen obaw, miał nadzieję, że Zuzi nic złego się nie stało.

Wprawdzie ich ostatnia rozmowa nie była serdeczna, ale był tak pochłonięty sprawą z Dirkiem, że zupełnie nie miał do niczego innego głowy. Przecież Zuza musi to rozumieć. Też ma dzieci, wie, jakie to jest ważne.

Chyba jednak trochę przegiął w ostatnich tygodniach. Dopiero teraz nachodzą go takie refleksje, wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Parł do przodu jak czołg, nie oglądając się na zniszczenia. Chyba ją zranił swoim zachowaniem. Naprawi to, Zuza na pewno mu wybaczy, zrozumie go przecież. Kocha ją całym sercem, jest obok nieznanego mu syna najważniejszą osobą w jego życiu. I wie, że ona też go kocha.

Kiedy dotarł na Föhr, był już późny wieczór. Wyszedł z promu, odetchnął pełną piersią. Początek kwietnia, ale czuło się już w powietrzu nadchodzącą wiosnę, nawet teraz, wieczorem. Czuł podekscytowanie, radość, że za chwilę przytuli Zużę, ale też niepokój. Nie... musi być dobrze.

Pocieszał sam siebie.

Po piętnastu minutach dotarł na swoją ulicę. Zauważył, że dom tonie w ciemnościach. Nie świeciło się nawet światło przed drzwiami, które mieli z Zużą w zwyczaju zapalać, kiedy gdzieś wychodzili. Zaczął narastać w nim lęk. Kiedy drżącą ręką otworzył drzwi, zawołał Zużę, odpowiedziała mu cisza. Obszedł cały dom, zapalając po kolei światła. Zaniepokoił go idealny porządek. Żadnych brudnych szklanek, żadnych pozostawionych gazet, ubrań, książek. Nic, jak w muzeum. Kiedy wszedł na górę do sypialni, zastał idealnie zasłane łóżko, szafka nocna Zuzy była pusta. Stały na niej zazwyczaj jakieś flakoniki, leżała książka lub czasopisma. Nic! Kiedy w łazience nie znalazł kosmetyków Zuzy, a w garderobie nie było jej ubrań, zrozumiał, że odeszła. Usiadł ciężko na łóżku. Czuł się zdruzgotany. Dlaczego? Co on takiego zrobił? Myślał, że go kocha, że będą ze sobą już zawsze. Czyżby zabawiła się nim tak jak Ingrid? Nie, to przecież niemożliwe, Zuza nie jest taką osobą. No więc o co chodzi? Nic z tego nie rozumiał.

Nie wiedział, jak długo tak siedział nieruchomo, zatopiony w swoich myślach. W końcu poczuł odrętwienie, musiał się ruszyć. Może jeśli zrobi sobie drinka, będzie mógł jaśniej myśleć.

Zszedł do kuchni, zapalił światło. Na stole zobaczył list, a na nim leżał medalion, który podarował Zuzi na Gwiazdkę. Zabrakło mu tchu. Z galopującym sercem otwierał list, trzymając w dłoni zimny przedmiot.

„Kochany Maksie,  
jesteś moją wielką miłością. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa, jak przez te kilka miesięcy z Tobą. Zawsze będę tęskniła do naszych wspólnych rozmów, do Twojego uśmiechu, do Twojego dotyku. Do naszych wspólnych nocy. Twoją kochaną twarz zawsze będę miała przed oczami, będę ją przywoływać, kiedy będzie mi smutno, kiedy za Tobą zatęsknię.

Ale ostatnich kilka tygodni uświadomiło mi, że nie zniosę po raz kolejny odrzucenia. Boję się tego, nie mogę się z tym pogodzić. Od kiedy zacząłeś szukać swojego syna, zupełnie zapomniałeś o mnie. Przestałam się dla Ciebie liczyć, przestałeś mnie zauważać, przestałeś starać się mnie zrozumieć. Nie chciałeś dzielić swoich smutków ze mną, odsunąłeś mnie na bok swojego życia. Odrzuciłeś mnie.

Związek dwojga ludzi polega na byciu razem na dobre i na złe, na wspieraniu się i pocieszaniu w kłopotach, ale też na wspólnej radości. Trzeba ze sobą rozmawiać, trzeba sobie wyjaśniać wiele spraw. Ty nie dopuszczałeś mnie do siebie w ostatnich tygodniach, sam podejmowałeś decyzje, nie liczyłeś się z moim zdaniem ani z moimi potrzebami. Przestałam być dla ciebie ważna. A ja bardzo chciałam Cię wspierać. Nie pozwalałeś mi na to.

Kochany mój, będzie lepiej, jeżeli rozstaniemy się teraz, zanim nagromadzi się w nas zbyt wiele żalu i goryczy, żeby życzyć sobie dobrze.

Pamiętaj, zawsze będę Twoim przyjacielem. I mam nadzieję, że odzyskasz syna i wychowasz go na wspaniałego człowieka.

Kocham Cię, Maksie. Zuza”.

PS I jeszcze coś dla Ciebie.

*Jeśliś jest prawdą, przyjdź do mnie bez słów  
i weź w twe ręce wszystko, co dać mogę.  
Lecz jeśliś snem jest pośród innych snów,  
och! to samotną puść mnie w dalszą drogę.  
Czy wiesz, co znaczy być jak biały bez,  
który ku słońcu wypręża się cały,  
i tak już za nic nie chce więcej łez? –  
Patrz na me oczy – one już płakały.*

(Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Jeśliś jest prawdą*)

Długą chwilę stał nieruchomo, bezwiednie obracając w dłoni medalion. Zrozumiał.

\*

Minęła połowa kwietnia, wyjątkowo ciepłego jak na tę porę roku. Spacerowałam po górach, chłonełam piękne widoki, rozmyślałam. Byłam w Wiśle od tygodnia. Nie mogłam podjąć decyzji, co dalej z moim życiem.

Po wyjeździe z Föhr pojechałam do Gniezna. Musiałam powiedzieć rodzinie o mojej sytuacji, bez zagłębiania się w szczegóły. Byli bardzo zdziwieni i zasmuceni, wiedziałam, że polubili Maksa. Ale muszą uszanować moje decyzje. Wyznałam im szczerze, że nadal bardzo go kocham, ale jeżeli teraz czegoś nie zrobię, on nigdy nie zrozumie, jaki błąd popełnia, i będzie się tak działo w obliczu każdego większego problemu. A ja nie chcę żyć w ciągłym poczuciu odrzucenia. Widziałam w ich oczach nadzieję, że jednak na tym się nie skończy. Ale któż to może wiedzieć?

Nie zamierzałam na razie podejmować pracy. Miałam sporo oszczędności, nie musiałam więc zarabiać. Czekałam...

Święta Wielkanocne, które w tym roku wypadły na początku kwietnia, spędziłam w Gnieźnie z rodzicami i dziećmi. Wyłączyłam moją starą komórkę, kupiłam nową, na kartę, której numer podałam niewielu osobom. Maksowi nie. Zabroniłam mojej rodzinie informować Maksa o miejscu mojego pobytu. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, sama się do niego

odezwę. Na razie potrzebuję czasu, żeby nabrać do tamtych spraw dystansu, żeby spojrzeć na nie bez tak wielkich emocji. I chcę także dać czas jemu na przemyślenie ostatnich wydarzeń.

Po przyjeździe do Gniezna zadzwoniłam do Andreasa. Był jedyną osobą, która wiedziała o mnie wszystko. No, prawie wszystko.

– Witam cię, Andreasie – powiedziałam pozornie wesołym głosem.

– Zuzanna, jak się masz! Martwiłem się o ciebie od czasu, kiedy zadzwonił do mnie Maks i powiedział o twoim zniknięciu.

– A więc dzwonił do ciebie? Kiedy? – Ucieszyłam się, że jednak mnie szukał.

– Kilka dni temu. Przed tygodniem wrócił z Dominikany i przeżył szok, kiedy nie zastał cię w domu. Szalał z rozpaczy. Czy stosujesz metodę Ruth, czy jest inny powód twojego wyjazdu? – pytał zatroskanym głosem.

– Nie wiem, Andreasie, co wyniknie z mojego wyjazdu. Z jednej strony chciałabym Maksowi uświadomić błąd w jego postępowaniu, ale jak już ci wcześniej mówiłam, nie jestem pewna, czy akurat w jego przypadku jest to dobra taktyka. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Próby rozmów z nim nie odnosiły żadnego efektu. A nie mogłam czekać do jego powrotu, bo kiedy bym go zobaczyła, siła jego fizycznego przyciągania zniweczyłaby wszelkie moje postanowienia.

– Zamyśliłam się. Tak, gdyby tylko mnie dotknął, żadna siła by mnie od niego nie odciągnęła. – Zawsze zachowywałby się tak w obliczu problemów. A ja nie chcę być ciągle odrzucana. Zresztą to samo tłumaczyłam mojej rodzinie. Byłabym po prostu ciągle nieszczęśliwa, a Maks także nie byłby szczęśliwy, nie uświadamiając sobie przyczyny mojego smutku. Trochę to zagmatwane, ale czuję, że tak muszę postąpić. Może popełniam błąd, może jestem egoistką? Już sama nie wiem, ale tak czuję. Próbuję kierować się instynktem. Zobaczmy, co będzie.

– Co więc zamierzasz robić dalej? – Wyczułam, że martwi się o mnie, jak zwykle zresztą.

– Po świętach, które spędzę tutaj z rodziną, wyjadę gdzieś na kilka dni, może na dłużej. Pomyślę, odsapnę trochę, wtedy podejmę decyzję, co dalej. A czy znalazł mój list? Czy mówił ci coś więcej, co zamierza zrobić?

– Nic nie mówił o żadnym liście – Andreas się zamyślił. – Nie mówił także nic o swoich zamiarach. Zachowywał się, jakby był w lekkim szoku, ale nie zadał mi pytania, dlaczego to zrobiłaś.

– Wytłumaczyłam mu w liście, dlaczego odeszłam. Najbardziej rzeczowo, jak tylko mogłam. Może zrozumiał?

– Mam taką nadzieję, kochacie się przecież bardzo. Musicie dojść do porozumienia, musicie się nawzajem zrozumieć i zaakceptować. Nie jest to łatwa droga, ale warta wysiłku. Życzę ci w takim razie, Zuzanno, spokojnych świąt, podejmij mądre decyzje i nie zapominaj o starym przyjacielu. I pamiętaj, że drzwi mojego domu zawsze stoją dla ciebie otworem. Niewiele rzeczy w życiu sprawia mi taką radość, jak przebywanie z tobą.

– Tobie, Andreasie, także życzę miłych świąt i obiecuję, że jak tylko postanowię, co dalej, odezwę się do ciebie. Do usłyszenia zatem. – Żal mi było się rozłączać. On mnie tak dobrze rozumiał. Teraz jednak potrzebowałam samotności.

Przez pierwsze dni w Wiśle było dobrze. Zatrzymałam się w małym pensjonacie na obrzeżach miasta. Wnętrza urządzone w stylu góralskim, z meblami robionymi przez lokalnych stolarzy. Gospodarze – małżeństwo w wieku około sześćdziesięciu lat – okazali się bardzo sympatyczni i towarzyscy. W kameralnej jadalni na ścianach wspaniale prezentowała się galeria obrazów olejnych malowanych przez panią Zofię oraz wywieszane koszulki zawodnicze z różnych krajów. Pan Roman uprawiał w młodości narciarstwo alpejskie. Śniadania przygotowywane przez właścicielkę, podawane do stołu przez pana Romana, były miłym początkiem dnia. Sympatyczne rozmowy, miła, domowa atmosfera sprawiały, że nie czułam się



u nich obco. I ta troska o gościa, jakby był najważniejszą osobą w domu.

Odpoczywałam psychicznie, ale im więcej czasu mijało, tym więcej wątpliwości miałam i tym bardziej nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. „Beznadzieja to obecnie moje drugie imię” – myślałam. Coraz częściej wydawało mi się, że niezbyt mądrze zrobiłam. A może jednak nie? Nie wiem! Nic nie wiem! Coraz gorzej ze mną. Przecież było nam razem tak dobrze. No, ale z drugiej strony powinniśmy się razem wspierać, rozmawiać, wspólnie podejmować trudne decyzje. No, ale z innej strony... No nie, chyba odbiera mi rozum!

I znowu nawiedził mnie sen. Jak zwykle w sytuacjach dużego stresu. Chyba śpię wtedy tak powierzchownie, że zapamiętuję, co mi się śni. Bo kiedy jestem szczęśliwa i zasypiam kamiennym snem, nic mi się nie śni albo niczego nie pamiętam. Otóż śniło mi się, że siedzę w salonie w domu Maksa. Jest wieczór, w kominku pali się ogień. Siedzę na kanapie z podwinętymi nogami, przykryta ciepłym kocem i czytam książkę. Jestem sama. Jest mi dobrze. Nagle do pokoju wchodzi starsza pani ubrana w dziwny strój nie z tej epoki. Na głowie ma charakterystyczny biały czepiec obszyty białą koronką, z dziwnie wywiniętymi ku górze bokami. Spod czepka wystają starannie ułożone siwe włosy. Czarna, długa sukienka układa się w obfite fałdy od pasa w dół. W pasie przepasana kolorową szarfą w czerwone róże, do pasa ma przytroczoną sporych rozmiarów czerwoną sakiewkę. Nic nie mówi, uśmiecha się do mnie ciepło. Podchodzi do mnie powoli, sięga po moją dłoń i kładzie na niej coś zimnego. Zamyka to coś w mojej garści, głaszcząc ją delikatnie i poklepując, jakby na pocieszenie. Zdziwiona, otwieram dłoń i widzę na niej medalion podarowany mi wcześniej przez Maksa. Ten sam, który zostawiłam mu wraz z listem, odchodząc. Otwieram go, w środku nie ma naszego zdjęcia, tylko stara, pożółkła fotografia uśmiechniętej pary, jak ze starego albumu. Zdziwiona, podnoszę głowę, chcąc zapytać starszą panią, skąd go ma, ale... jestem sama w pokoju.

Zbudziłam się oszołomiona, ale też dziwnie spokojna. Kim była ta kobieta? Skądś ją znam? Wiem! To babcia Maksa, Mathilde. Jej zdjęcie, na którym jest razem z dziadkiem, postawiłam na kominku. Było czarno-białe, więc w pierwszej chwili nie skojarzyłam, że to ta sama osoba. Miała na sobie tradycyjny strój fryzyski. Oddała mi medalion... Czyżby chciała mi coś przekazać, o czymś powiedzieć? Czy możliwe są wizyty z zaświatów, czy też to tylko moja wybujała fantazja?

Bardzo tęskniłam za Maksem. Myślałam o nim bez przerwy. Przypominał mi się jego uśmiech, jak zabawnie przekrzywił głowę, kiedy go rozśmieszałam. Widziałam miłość w jego oczach. I pożądanie, kiedy wpatrywał się we mnie intensywnie. Myślałam, że będzie mi łatwiej, ale teraz, po tych trzech tygodniach, żal ze mnie wyparował, pamiętałam w większości dobre chwile, ile szczęścia z nim zaznałam.

Jak zwykle starałam się maksymalnie zmęczyć. Robiłam długie spacery po Wiśle, uprawiałam nordic walking, chodziłam po górach. Podziwiałam piękne, nawet o tej porze roku, widoki, obserwowałam przyrodę. Na krzewach zaczęły pojawiać się pierwsze pąki, na razie małe, ale już były. Taki widok zawsze budził we mnie nadzieję. Czułam, że lada moment minie tak niekochana przez mnie zima, że wszystko wokół się zazieleni, że wreszcie przygrzeje słońce. Wtedy wstąpi we mnie nowa energia zaczerpnięta z budzącej się przyrody. I zawsze miałam w takich chwilach nadzieję, że wszystkie problemy rozwiążą się, jakby ktoś rozplątał zaplątany motek włóczki.

Było późne popołudnie, środa, środek tygodnia. Wróciłam właśnie ze spaceru. Przez kilka godzin chodziłam uliczkami Wisły, oglądałam wystawy sklepów, do niektórych wchodziłam, oglądałam towary, ale niczego nie kupowałam. Spacerowałam wzdłuż brzegu rzeki. Robiłam wszystko, żeby tylko poczuć zmęczenie, a po powrocie do pensjonatu zasnąć kamiennym snem. Wszystko, żeby tylko nie myśleć o Maksie.

Wstąpiłam jeszcze do gospodarzy poprosić o dzbanek gorącej herbaty. Zawsze do niego dostawałam coś słodkiego przygotowanego przez panią Zofię. Dzisiaj była to szarlotka z cynamonem, pachniała oszałamiająco. Usiadłam w fotelu w moim pokoju, uruchomiłam laptopa, włączyłam muzykę – tym razem Michael Jackson. Coś energetyzującego, nic smętnego. Nalałam herbatę do kubka i rozkoszowałam się doskonałym ciastem. Rozpływało się w ustach, było mięciutkie i delikatne, a jednocześnie miało w sobie grudki nierozgotowanych jabłek. I ten świąteczny smak cynamonu.

Wzięłam do ręki mój stary telefon, który leżał cały czas na stoliku obok komputera. Nie włączałam go od dnia wyjazdu z Föhr. Przez chwilę obracałam go w dłoni.

Włączyłam go po raz pierwszy od trzech tygodni. Pięćdziesiąt pięć nieodebranych połączeń, z czego trzydzieści cztery od Makska! Popatrzyłam na daty, początkowo było kilkanaście w ciągu jednego dnia, ale przez ostatnich dziesięć dni dzwonił raz dziennie, około osiemnastej. Czyli myśli o mnie cały czas, nie zrezygnował. Obracałam w dłoni telefon, myśląc o Maksie. Nagle telefon zadzwonił, a ja podskoczyłam przestraszona. Maks! Co mam zrobić? Co teraz? Już czas... odbieram.

– Witaj, Maks – powiedziałam z wahaniem.

– Zuza! – W jego głosie usłyszałam radość, ale też zaskoczenie i niepewność. – Odebrałaś! Kochanie... tak bardzo za tobą tęsknię – mówił łamiącym się głosem, wiedziałam, że jest bardzo poruszony. – Proszę cię, porozmawiaj ze mną. Zrozumiałem, co chciałaś mi powiedzieć. Zrozumiałem dopiero po przeczytaniu twojego listu. Byłem zdruzgotany, kiedy mnie zostawiłaś. Zuza, proszę, daj mi szansę.

Milczałam, nie mogłam powiedzieć ani słowa. Czułam, jakby ktoś ścisnął moje gardło. Nie mogłam powstrzymać łez.

– Zuziu, jesteś tam? – pytał zaniepokojony.

– Tak, jestem. – Mój głos drżał, odmawiał mi posłuszeństwa.

– Wybacz mi, proszę. Wiem, że to po raz kolejny, ale naprawdę nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Nie miałem pojęcia, że tak się w sobie zamknąłem, że poczujesz się odrażona. – Mówił szybko, jakby się bał, że nie zdąży wszystkiego powiedzieć, że się wyłączy albo mu przerwę. – Kochanie, powiedz coś, proszę.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – powiedziałam cichym, łamiącym się ze wzruszenia głosem.

– Och, kochanie! Gdzie jesteś, powiedz mi. Przyjadę do ciebie natychmiast, wszystko ci wytłumaczę. Błagam, pozwól mi! – Wyczuwałam, że jest zdesperowany.

– Jestem w Polsce, w Wiśle. – Nie mogłam już powstrzymać płaczu. Czułam, że dłużej bez niego nie wytrzymam.

– Będę u ciebie przed północą. Jestem w Warszawie. Podaj mi adres, kochanie, zaraz wyjeżdżam.

\*

Odebrała telefon! Wreszcie! To cud! Dzięki Ci, Boże! Jego modły zostały wysłuchane. Bał się, że już nigdy nie będzie chciał z nim rozmawiać. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ją krzywdzi, odrażając ją. Ale to Ingrid go tego nauczyła. Znowu Ingrid. Przez te kilka lat ich małżeństwa wielokrotnie dawała mu do zrozumienia (ba! wręcz mu to mówiła), że swoje problemy musi rozwiązywać sam, że ona nie zamierza się nimi przejmować. Że on nie ma prawa jej nimi obciążać. Myślał, że tak powinno być. Zapomniał, że istnieje zasadnicza różnica między Zużą a Ingrid. Bezwiednie przeniósł zwyczaj z swojego poprzedniego związku do związku z Zużą. Nigdy więcej tego błędu nie popełni.

A teraz wreszcie ją odnalazł. Nie pozwoli jej więcej odejść. Musi się zmienić, wiedział o tym. Ale nie poradzi sobie z tym sam. Nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Zuba musi mu jasno i czytelnie sygnalizować swoje pragnienia, potrzeby. A on musi jej wreszcie zacząć słuchać. Będą mieli na to dużo czasu. Nie wypuści jej już. Przyjechał do Polski, żeby załatwić parę spraw, ale nie musiał tego robić, przynajmniej nie teraz. Czuł jednak, że ona gdzieś tu jest, chciał być bliżej. Codziennie dzwonił o tej samej porze, mając nadzieję, że wreszcie odbierze.

A teraz pakował się gorączkowo. Nie miał zbyt wiele bagażu. Szybko załatwił sprawy w recepcji i bez zwłoki wyruszył w drogę. Z samochodu zadzwonił do Andreasa.

– Andreasie, odezwała się! – powiedział bardzo przejęty. – Wreszcie odebrała telefon! Powiedziała, że za mną tęskni. Błagałem ją, żeby mi wybaczyła. Pozwoliła mi do siebie przyjechać. Jadę właśnie do Wisły. Andreasie, teraz wiem, że wszystko się ułoży. Będzie dobrze.

– Tak się cieszę, Maksie! – W głosie przyjaciela wyczuwał autentyczną radość. – Oboje potrzebowaliście czasu, aby sobie wszystko przemyśleć. Tylko pamiętaj, żeby jej wysłuchać, nie myśląc przez pryzmat Ingrid. I ty też musisz jej jasno mówić o swoich pragnieniach, bo bez tego żaden związek nie ma przyszłości.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział z wahaniem. – Chcę ją poprosić, żeby za mnie wyszła. Co o tym sądzisz?

– To wspaniała wiadomość! Ale to ty musisz wiedzieć kiedy, czy to jest ta odpowiednia chwila. – Chciał mu dać do zrozumienia, żeby nie wyskoczył jak Filip z konopi i zamiast porozmawiać o ich problemach, nie zaczął się oświadczać.

– Nie martw się, poczekam na odpowiedni moment. Nie wiem nawet, czy to będzie tak od razu. Mam ze sobą pierścionek babci Mathilde. Dała mi go w moje dwudzieste pierwsze urodziny. Prosiła, żebym dał go mojej przyszłej żonie jako pierścionek zaręczynowy. Jest bardzo piękny, delikatny, ale i bardzo staroświecki. Czułem, że to nie jest pierścionek dla Ingrid, dlatego jej go nie dałem. Ona wolała coś dużego, drogiego, tandetnego. Natomiast uważam, że doskonale pasuje do Zuzy. Wiem, że będzie jej się podobał. Żeby tylko zgodziła się za mnie wyjść – powiedział niepewnie.

– Bądź dobrej myśli, wszystko się ułoży. A teraz prowadź ostrożnie, szerokiej drogi. I odezwcijcie się oboje, jak już się sobą nacieszycie i się porozumiecie.

– Do usłyszenia, Andreasie.

Musi się zgodzić, musi za niego wyjść. Nie mogą żyć osobno.

\*

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. W najśmielszych snach nie przewidziałabym takiego rozwoju wypadków. Impuls, żeby włączyć telefon właśnie w tej chwili. A może to babcia Matylda sprawiła? Może gdzieś tam nad nami czuwa?

Zbiegłam na dół, żeby uprzedzić gospodarzy, że w nocy przyjedzie mój przyjaciel. Zapytali, czy będzie potrzebował osobnego pokoju. Odpowiedziałam, że nie. Na szczęście mam w pokoju podwójne łóżko. I znowu na szczęście mało jest w pensjonatach pokoi *stricte* jednoosobowych.

Pobiegłam znowu na górę. Wzięłam szybki prysznic, założyłam najlepszą bieliznę, dzinsy i świeżą bluzkę. Poprawiłam makijaż. Byłam gotowa. I nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Słuchałam muzyki – tym razem melancholia – Jason Mraz, Natalie Cole. Siedziałam przy komputerze, odpowiadałam na zaległą pocztę, piłam herbatę i co chwilę spoglądałam na zegar. Miałam wrażenie, że czas zwolnił, jakby chciał wypróbować moją wytrzymałość.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Musiałam zasnąć. Byłam skulona w fotelu, zdrętwiały

mi wszystkie kończyny. Zerwałam się gwałtownie, otworzyłam drzwi. Maks wyglądał na bardzo zmęczonego. Zbyt długie włosy w nieładzie, dwudniowy zarost na twarzy, ale w oczach niesamowita radość. Staliśmy oboje w drzwiach, wpatrując się w siebie z niepewnością, ale i z radością. Ja pierwsza wykonałam ruch, przytuliłam się do niego całym ciałem. Jak dobrze było wreszcie go czuć. Jak dobrze, że był. Maks wziął mnie w objęcia, wchodząc jednocześnie do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Odsunął mnie nieco od siebie, wziął w dłonie moją twarz, patrzył na mnie z czułością.

– Zuzia, odnalazłem cię wreszcie. Nigdy już cię od siebie nie puszcze. Nie wiem, czy nie będę popełniał błędów, ale obiecuję, że będę słuchał, co do mnie mówisz, i będę starał się zrozumieć, czego ode mnie oczekujesz. – Mówił to z głębi duszy.

– Bałam się, że cię stracę, ale musiałam coś zrobić. Dwukrotnie byłam w związkach, w których czułam się nieszczęśliwa, bo przez nawarstwiające się niedopowiedzenia oddalaliśmy się od siebie bezpowrotnie. Nie mogłam po raz kolejny do tego dopuścić. – W moim głosie był smutek, ale i stanowczość. – Czy możesz mi zaufać i następnym razem dzielić się ze mną swoimi troskami i problemami?

– Zrobię wszystko, żeby nam się udało. Kocham cię.

Z całych sił powstrzymałam się przed rzuceniem się na niego. Nie, jeszcze nie teraz. Musimy dokończyć naszą rozmowę. Usiadłam w fotelu, Maks usiadł obok, trzymał mnie za rękę.

– Ja też cię kocham, Maks. Nigdy przedtem nie darzyłam takim uczuciem żadnego mężczyzny. I nie mogę zrozumieć, dlaczego ciągle tak mnie odtrącasz. To mnie niszczy. Musisz mi zaufać, musisz wreszcie pozwolić mi ci pomagać. Ja oczekuję od ciebie tego samego.

– Kochanie, takiego zachowania nauczyłem się od Ingrid przez te kilka lat naszego małżeństwa, a potem bezwiednie powielalem te wzorce, będąc z tobą. Nie chcę jej obarczać całą winą za moje czyny, ale po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że postępuję źle. Ale teraz już wiem i zmienię to, obiecuję.

Nie miało sensu kontynuowanie tej rozmowy. Chyba wszystko zostało powiedziane. Nie wiedziałam tylko, czy odnalazł syna, ale o tym porozmawiamy później. Wstałam z fotela, wzięłam go za ręce, podciągnęłam do góry i zaczęłam powoli rozpinać jego kurtkę. Maks nie ruszał się, patrzył. Rzuciłam kurtkę na fotel. Przyciągnęłam go do siebie, patrzyłam w jego wymęczoną twarz i czułam radość, że wreszcie jesteśmy razem, ale jednocześnie smutek i wyczerpanie. Napięcie ostatnich tygodni ustąpiło. Oparłam moje czoło o jego. Maks objął mnie ramionami, ja otoczyłam go rękoma w pasie i staliśmy tak z zamkniętymi oczami, czując swoją bliskość.

A potem, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odzyskaliśmy siły. Czułam wstępującą we mnie niesamowitą energię. Nasze ciała, stęsknione za sobą, reagowały na każdy najdelikatniejszy dotyk. Cieszyliśmy się sobą, a jednocześnie chcieliśmy wyładować napięcie ostatnich tygodni. I było tak, jak podczas nocy z fajerwerkami. Tylko jeszcze intensywniej. Czy to możliwe? Czy istnieje jakaś granica tych doznań? I nie było Chochlika! Przepadł! Bezpowrotnie?

Nie mogłam się dobudzić. Dryfowałam na granicy jawy i snu. Było mi tak przyjemnie, czułam się zrelaksowana. Brakowało mi tego. Maks oczywiście spał. Zazwyczaj to ja budzę się pierwsza. Dotykał mnie całym swoim ciałem, jego noga ciążyła mi jak zwykle przerzucona przez moje nogi. Lubiłam patrzeć na niego, kiedy śpi. Był taki bezbronny. Ależ miałabym ochotę go obudzić. Ale nie, niech się wyśpi. Widziałam, że był wczoraj bardzo zmęczony. Powoli wyśliznęłam się z jego uścisku, weszłam do łazienki. Kiedy stałam pod prysznicem i nie śpiesząc się, pozwalałam, aby strumienie wody masowały moje ciało, czułam się zupełnie odprężona. Fizycznie i psychicznie.

Odświeżona weszłam do pokoju, Maks nadal spał, nie zmienił nawet pozycji. Ależ musiał być wyczerpany.

Zeszłam na dół po śniadanie. Gospodarze jak zwykle przywitani mnie serdecznie. Nałożyłam mu na talerz górę jedzenia, wzięłam dzbanek z kawą, sama zjadłam kanapkę. Kiedy weszłam do pokoju, już nie spał. Leżał i patrzył na mnie wyczekująco.

– Bałem się, że znowu odeszłaś – powiedział, ale jego oczy się śmiały. – Czyżby ta sterta jedzenia była dla mnie, pani Maj?

– W rzeczy samej, panie Weber – śmiałam się, stawiając tacę na stole. – Zapraszam pana na piknik, proszę pana.

Energicznie wyskoczył z łóżka. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy. Cały czas sprawiał mi przyjemność widok jego ciała. I przychodziły mi do głowy kudłate myśli. A kysz, nie teraz!

Pałaszował śniadanie, jakby przez tydzień nic nie jadł. Fakt, schudł nieco. I wyglądał na faceta po przejściach. Ale z jego twarzy biła radość.

– Mam propozycję – powiedział, wypijając ostatni łyk kawy. – Jest taki piękny dzień. Chodźmy na spacer. Nie byłem nigdy w Wiśle. Oprowadzisz mnie, dotlenimy się, odprężymy. Będziesz moim przewodnikiem?

– Z miłą chęcią – odpowiedziałam, całując go w czubek głowy. – Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, czy odnalazłeś syna.

– Niestety, nie. – Czułam, że robi się znowu smutny. – Straciłem te kilka tygodni, kiedy byłem na Dominikanie. Dowiedziałem się jedynie, że przesyłki wysyłała przyjaciółka Dirka. Bucik należał do innego dziecka, a kosmyk włosów i opaskę szpitalną wykradła z domu Ingrid. Ale oni także nie wiedzą, gdzie przebywa chłopiec. Wiedzieli jedynie, że istnieje. Jestem zatem znowu w punkcie wyjścia. Nie mam żadnych nowych informacji, nie mam żadnego punktu zaczepienia. Ale nadal będę go szukał, nie przestanę. Tylko będę ci o wszystkim mówił, będę się dzielił z tobą moimi troskami i radościami. Obiecuję.

– A ja obiecuję, że będę cię w tym wspierać. Będę cię pocieszać, cieszyć się i smucić razem z tobą. Obiecuję. – Podeszłam do niego, usiadłam mu na kolanach i pocałowałam. Czule, delikatnie, wkładając w to całą moją miłość.

Godzinę później spacerowaliśmy leniwym krokiem alejką wzdłuż Wisły. Wyczuwało się wiosnę. Powietrze było przyjemnie ciepłe, przesycone świeżym zapachem, może wiosennej zieleni? Pogoda dzisiaj dopisała. Niebo błękitne nad nami, na nim tylko pojedyncze kłębiaste chmurki. Spacerujących turystów prawie nie było. Kwiecień to nie jest pora roku na spacer po uzdrowiskach. Cisza i spokój działały kojąco. Słysząc było świergot ptaków. Trzymałam Maksa pod rękę, a on czułym gestem gładził moją dłoń. Był jakiś zamyślony. Czyżby udzielał mu się nostalgiczny nastrój?

Doszlśmy do malowniczego skweru z fontanną ozdobioną posągami kobiety. Obok stały ławeczki, puste o tej porze roku.

– Usiądźmy – zaproponował Maks. Czułam, że jest zdenerwowany. Dlaczego?

– Martwisz się czymś? – zapytałam zaniepokojona.

– Zuziu – powiedział, odwracając się do mnie twarzą i biorąc mnie za rękę. – Ostatni miesiąc był dla mnie bardzo trudny, ale też uświadomił mi wiele faktów, z których prawdopodobnie nie zdawałbym sobie sprawy, gdyby nie minione wydarzenia. One mi uświadomiły, że jesteś najważniejszą osobą w moim życiu. Kocham cię, Zuziu, i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. – Wyciągnął coś z kieszeni, przyklęknął na prawe kolano. O Boże, czy ja się nie mylę? Czy ja śnię? Czy to to, o czym myślę? Wyciągnął przed siebie małe pudełeczko, otworzył je. W środku był precyzyjny pierścienek z misterną plecionką i przezroczystym,

mieniącym się oczkiem.

– Zuza, czy zostaniesz moją żoną?

Patrzyłam na niego niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Wzruszenie odebrało mi mowę. Łzy same pociekły mi po policzkach. Maks czekał w napięciu, na jego twarzy malował się coraz większy niepokój, a ja nadal nie mogłam wykrztusić słowa. Zdołałam w końcu kiwnąć głową, ale ciągle nie mogłam nic powiedzieć.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Tak, zgadzam się. – W końcu mogłam mówić. Maks złapał mnie w niedźwiedzim uścisku, całował mnie po twarzy, nie mogłam złapać tchu. – Udusisz mnie – zdołałam wykrztusić, śmiejąc się ze szczęścia.

– Taki jestem szczęśliwy! Bałem się, że mi odmówisz, że nie będziesz mnie chciała. – Czułam ulgę w jego głosie.

Wyciągnął pierścionek z pudełeczka i wsunął mi go na palec. Był śliczny, delikatny. Stara, misterna robota. Pasował na mnie jak ulał.

– Jest piękny – powiedziałam, przyglądając się mu.

– To pierścionek mojej babci, Mathilde. Podarowała mi go w moje dwudzieste pierwsze urodziny, abym dał go mojej przyszłej żonie.

– Nie dałeś go Ingrid? – zapytałam zdziwiona.

– Nie, on nie był dla niej – odpowiedział, zaciskając usta i kręcąc głową.

– To dziwne – powiedziałam w zadumie. – Twoja babcia śniła mi się parę dni temu. – I opowiedziałam mu mój sen. Widziałam, że Maks był bardzo poruszony. Siedzieliśmy na ławce. Obejmował mnie ramieniem, wpatrzony w dal, głęboko zamyślony. Przyglądałam się pierścionkowi na mojej dłoni. Oczko skrzyło się w wiosennych promieniach słońca. Każde z nas błędziło gdzieś myślami. Byłam szczęśliwa.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I znowu wróciłam na Föhr. Chyba to jest właśnie moje miejsce na ziemi. Przepęłniało mnie szczęście. Wiedziałam, że już teraz wszystko będzie dobrze. Maks tryskał energią, cały czas mówił o ślubie, chociaż nie ustaliliśmy jeszcze daty. Ale wiemy, że odbędzie się w restauracji Maksa, a poprawiny u nas (u nas! jak to brzmi!) w ogrodzie. Albo odwrotnie, zobaczymy, w zależności od prognoz pogody. Najlepiej, kiedy bliźniaki będą miały wakacje, więc albo koniec czerwca (muszą się sprężyć z sesją), albo początek lipca. Dobrze, że mamy Skype i możemy rozmawiać ze sobą codziennie, inaczej umarłabym z tęsknoty za nimi.

Po wyjeździe z Wisły pojechaliśmy prosto do Gniezna. Maks oficjalnie poprosił moich rodziców o moją rękę. Obawiałam się trochę reakcji taty po ostatnich wydarzeniach, ale widać zaakceptował Maksa w stu procentach i chyba bardziej byłby nieszczęśliwy, gdybyśmy naprawdę się rozstali. Mama oczywiście płakała, ja też, bliźniaki cieszyły się niesamowicie. Jagusia piszcziała z radości i wyściskała nas oboje, a Antek odbył poważną rozmowę z moim narzeczonym (to też fajnie brzmi!), oznajmiając mu, że byle komu nie oddałby mojej ręki. Ale biada mu, jeżeli jeszcze raz doprowadzi do tego, że będę musiała od niego uciekać. Na to Maks odpowiedział mu, że dałam mu taką nauczkę, że będzie siedział pod moim pantoflem, aż miło. No i dobrze! To żart, oczywiście, żart.

A Chochlika ciągle nie było. Przepadł. Dziwne, ale trochę mi smutno, chyba za nim tęsknię.

W pracy przyjęto mnie z otwartymi rękami, tym bardziej że mój poprzednik zrezygnował definitywnie. A kiedy oznajmiłam, że wychodzę za mąż za Maksymiliana Webera, podpisano ze mną umowę bezterminową.

Wiosna wkroczyła na dobre. Nie myślałam, że tak bardzo będę się nią cieszyła, że tak będę ją dostrzegać. W Polsce nigdy nie miałam na to czasu. Nie zauważałam, kiedy wreszcie nadchodziła. Zamknięta ciągle w pracy, prawie nie oglądałam nieba. A tu, proszę, jest! I tak pięknie pachnie! Wszystko wokół pokryte soczystą zielenią. Aż kipi! A to dopiero połowa maja. I odkryłam moją pasję ogrodniczą. Kopię, pielęgnuję, przesadzam. To fantastyczne! Zakwitła forsycja, którą dopiero posadziłam. Na malutkim krzewie-sadzonce kwiecia co niemiara. Aż dziwne, jakby specjalnie dla mnie.

Dni były coraz dłuższe, słońce jeszcze bardziej przygrzewało. Miałam coraz więcej energii, jakby słońce ładowało moje wewnętrzne baterie. Po prostu cieszyłam się życiem. Snuliśmy z Maksem plany na przyszłość. Postanowiliśmy osiąść na stałe na Föhr. Oboje kochaliśmy to miejsce, zresztą Maks zawsze był tu szczęśliwy. Kochaliśmy dom po dziadkach, który miał taki wspaniały klimat. I w którym, miałam nadzieję, mieszkały ich dobre duchy. Bo babci Mathilde na pewno. Kochałam ten cudny ogród, w którym było tyle pracy i co do którego miałam tyle pomysłów. I widok z okien sypialni na morze, dochodzący do nas jego szum. To wszystko było tak wspaniałe, że nie mogłabym stąd wyjechać, zostawić tego. A do tego jeszcze miałam pracę, która dawała mi satysfakcję, do której z przyjemnością chodziłam.

Maks miał jeszcze inne obowiązki. Hotel na wybrzeżu, hotel w Berlinie. Ale do tej pory też nie jeździł tam często. Stwierdził, że raz na dwa miesiące powinno wystarczyć. Może nad wszystkim sprawować pieczę stąd, z Föhr. Miałam nadzieję, że to wszystko się uda.

Pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w salonie, zadzwonił Andreas. Maks pracował na komputerze, siedząc na kanapie i trzymając laptopa na kolanach. Ja czytałam książkę, leżałam obok niego, głowę opierałam o jego bok. Maks włączył jak zwykle na głośnomówiący.

– Andreasie, witaj. Jak miło cię słyszeć. Słuchamy cię razem z Zużą.

– Witaj, Andreasie – odezwałam się.

– Witajcie, kochani – powiedział. Wiedział już oczywiście wcześniej, że jesteśmy razem. Zadzwoniliśmy do niego w tym samym dniu, w którym Maks mi się oświadczył. – Mam dla was nowe wiadomości, chyba tym razem dobre.

– Słuchamy cię. – Maks poruszył się niespokojnie. Wyczułam, że odruchowo chciał już wstać, wziąć telefon i przejść do drugiego pokoju. Powstrzymałam go, przytrzymując jego ramię, uśmiechnęłam się ciepło, patrząc mu prosto w oczy, pokiwałam przecząco głową. Maks się zreflektował, rozluźnił, uśmiechnął do mnie, pocałował mnie w czubek głowy. Zrozumiał.

– Otóż skontaktował się ze mną adwokat Ingrid. Do tej pory nie chciała się z tobą, Maksie, spotkać, mimo twoich usilnych próśb. Teraz jest na to gotowa, wręcz nalega.

– A czym to jest spowodowane, czy adwokat coś wyjaśnił? – zapytał Maks, czułam, że coś podejrzuwa.

– Tak, wyjaśnił. Okazało się, że Ingrid po prostu skończyły się pieniądze i nie ma czym zapłacić obrońcy. Jeżeli dostanie kogoś z urzędu, obawia się, że ten będzie mniej skuteczny.

– Więc musi coś proponować w zamian. Co to jest? – Maks chyba się domyślał. W jego głosie było ogromne napięcie.

– W zamian za opłacenie adwokata ujawni ci miejsce pobytu waszego syna. – Czułam w głosie Andreasa odrazę.

– To za mało. – Maks kipiał z emocji. – Mam trzy warunki. Po pierwsze: zrzeknie się sędownie wszelkich praw do niego. Po drugie: adwokat będzie mi co miesiąc wystawiał rachunek, z dokładnym rozliczeniem. I finansuję go tylko do zakończenia procesu. Wszelkie apelacje nie wchodzi w grę. I po trzecie: chcę się spotkać z Ingrid osobiście – jeden raz. Moje warunki nie podlegają negocjacji, możesz im to przekazać. – Był bardzo stanowczy, wiedziałam, że nie ustąpi.

– Oczywiście, Maksie. Myślę, że przystaną na nie, Ingrid nie ma wyboru. W takim razie zapewne odezwę się wkrótce. Trzymajcie się oboje i kochajcie coraz mocniej. – Andreas roześmiał się serdecznie.

– Cześć, Andreasie – odezwaliśmy się jednocześnie.

– I odwiedź nas, zanim jeszcze ustalimy termin ślubu – dodałam.

– Z miłą chęcią. Wiosna na Föhr jest taka piękna – dodał i rozłączył się.

Maks przemierzał salon, jak to miał w zwyczaju, pogrążony w swoich myślach. Marszczył czoło, wiedziałam, że jest niezmiernie wzburzony.

– Kochanie, usiądź koło mnie, uspokój się, porozmawiamy – starałam się go uspokoić.

– Nie mogę usiedzieć, muszę chodzić! Bo jak usiądę, to wybuchnę! – Mówił to, gestykulując energicznie. – Jaka matka sprzedaje swoje dziecko? Bo jak inaczej nazwać tę transakcję, jak nie zwyczajną sprzedażą? Myślę, że nigdy go nie chciała, ale trzymała w zanadrzu, bo wiedziała, że może mnie przy jego pomocy wykorzystać.

Nagle znieruchomiał. Myślał nad czymś intensywnie. Po chwili podszedł do mnie, usiadł obok na kanapie, wziął mnie za rękę i wpatrując się we mnie intensywnie, powiedział:

– Nigdy przedtem nie zadałem ci tego pytania, ale teraz, kiedy zgodziłaś się zostać moją żoną, muszę cię o to zapytać. – Zawahał się przez chwilę. – Jeżeli odnajdę mojego syna, to czy zgodzisz się, żebyśmy go razem wychowywali? – W jego wzroku widziałam, że boi się mojej odpowiedzi.

– Kochanie, postaram się być dla niego najlepszą matką – powiedziałam z ciepłym uśmiechem. – A co najmniej taką, jaką byłam dla Jagny i Antka.

Odetchnął z ulgą. Przytulił mnie mocno, a po chwili delikatnie pocałował w usta.

– A co zrobisz, jeżeli okaże się, że jest chory albo kaleki? Myślałeś o tym? – zapytałam. –



Dasz radę psychicznie?

– Wielokrotnie o tym myślałem. Nie ma to dla mnie znaczenia. Będę go wychowywał, jak potrafię najlepiej. Jestem zamożny, stać mnie będzie na najnowocześniejsze leczenie. – Po chwili posmutniał. – A czy ty go takim zaakceptujesz?

– Maks, wątpisz w to? – Zmarszczyłam brwi.

– Nie, Zuziu, ale musiałem o to zapytać – odpowiedział, uśmiechając się.

– Nie martw się. Jestem lekarzem, to mój dodatkowy atut. Pewnie dlatego się ze mną żenisz. – Mrugnęłam do niego okiem. Lewym, bo tylko tym potrafię. – Damy radę, a jak będzie ciężko, weźmiemy kogoś do pomocy.

Nagle zerwał się z kanapy, wziął mnie w objęcia i okręcił wokół.

– Zuza, odnajdziemy go, zobaczysz! – Objął mnie mocno ramionami i zamknął znowu w tym swoim niedźwiedzim uścisku. – I będziemy rodziną. Dużą, hałaśliwą. I będziemy się obżerać na wspólnych świętach, a ja będę dla was gotował. I będziemy się wspierać w trudnych chwilach i cieszyć wspólnie z naszych radości. I wszyscy będą nas odwiedzali. Jak trzeba będzie, to przebudujemy dom, żeby było więcej sypialni. Albo wybudujemy domek dla gości w ogrodzie. Będzie super! I będziemy żyli długo, kochali się i kłócili, rozmawiali ze sobą i znajdowali kompromisy w konfliktowych sytuacjach.

– Kochanie, to była najpiękniejsza deklaracja miłości, jaką kobieta może usłyszeć – powiedziałam, całując go namiętnie. Po początkowym wzburzeniu Maksa pozostał jedynie cień. Uśmiechał się teraz pogodnie, czułam, że wstąpiła w niego nadzieja. Ja też byłam dobrej myśli. Damy radę.

Podeszłam do niego, objęłam go w pasie, przez chwilę patrzyłam mu głęboko w oczy, po czym wsunęłam dłonie pod jego bluzę, gładząc go zmysłowo po gołym ciele. Popatrzył na mnie zdziwiony, po chwili na jego ustach pojawił się filuterny uśmiech.

– Czy pani zamierza mnie uwieść, pani jeszcze Maj? I to w maju?

– Tak, panie na zawsze Weber. No, chyba że chce pan przyjąć nazwisko Maj? Ofiaruję je panu z miłą chęcią.

Zaczęłam go delikatnie łaskotać po bokach. Wiedziałam, że długo tego nie wytrzyma. Usiłował zachować poważną minę, ale po chwili się poddał i zaczął się śmiać, jednocześnie usiłując wyslizgnąć się z moich objęć.

– Czyżby chciał pan ode mnie uciec? – Nie puszczałam go nadal.

– Spróbuję pokonać panią jej własną bronią. – Zaczął mnie łaskotać, ale ja nie jestem taka wytrzymała, puściłam go i zaczęłam się bronić. Po chwili oboje spowaźniliśmy, zaczęliśmy się całować, delikatnie, bez pośpiechu. Kochaliśmy się na rozpostartym na podłodze kocu, płomienie palącego się drewna w kominku oświetlały nasze ciała, naszą miłość przepępiała dzisiaj radość. A w tle Michael Bublé śpiewał *Me and Mrs. Jones*.

Andreas zadzwonił po tygodniu. Ingrid zgodziła się na wszystkie warunki Maksa, sędzia wydał zgodę na widzenie – za trzy dni Maks miał jechać do Berlina. Postanowiliśmy, że pojedzie sam. I tak nie wpuściliby mnie do Ingrid, zresztą po co miałabym tam iść. Czułam niepokój Maksa, wiedziałam, że bardzo to przeżywa. Miał wyjechać we wtorek. Ale dzisiaj, w niedzielę, zamierzaliśmy się zabawić.

Dwudziesty czwarty maja – Zielone Świątki. Bardzo wesołe święto na wyspie. Chyba stanie się moim ulubionym. W tym dniu po całej wyspie jeżdżą traktory z przyczepami oplecionymi zielonymi gałązkami. Świeża seledynowa zieleń otula je jak kołderka. Wewnątrz ustawia się ławy, a pośrodku długi stół. Na ławach siedzą rozbawieni pasażerowie, śpiewają i częstują piwem albo mocniejszymi trunkami siebie nawzajem, ale także przechodniów i rowerzystów (których w tym dniu na drogach jest co niemiara). Na całej wyspie jest kilkanaście

miejsc, w których osobnicy z takich przyczep spotykają się, witają nawzajem, przepijają do siebie i po krótkich rozmowach i odśpiewaniu kilku piosenek jadą dalej. Wszystko to odbywa się w wesołej, serdecznej atmosferze. A im później, tym weselej.

Oczywiście Balbina z rodziną była organizatorką jednej z takich ekip. Zaprosiła mnie z Maksem, ale także naszych wspólnych znajomych. Jeździliśmy po całej wyspie od południa, wyśpiewywaliśmy polskie, włoskie i niemieckie piosenki, nikt nie żałował gardła. Oczywiście nie brakowało alkoholu. Panowie w szampańskich humorach, panie może nieco mniej rozweselone, ale w śpiewie dotrzymywałyśmy im kroku.

Dojechaliśmy do restauracji na klifie. Tej, w której zmokły Maks spotkał mnie z Adamem. Wysiedliśmy wszyscy, żeby przywitać się z gospodarzami. Panuje zwyczaj, że kiedy przyjeżdża taki wehikuł, gospodarze wychodzą i witają się z przybyszami. Oczywiście muszą z nimi wypić mały kieliszek. Nie wiem, jak oni to wytrzymują. Maks podszedł do mnie, objął mnie ramieniem.

– Nie byłem tutaj od czasu, kiedy spotkałem was tu razem – mówił smutnym głosem. – Poczuliśmy się, jakby uderzył we mnie grom. Wtedy pomyślałem, że straciłem cię bezpowrotnie. Długo nie mogłem dojść do siebie. Kiedy o tobie myślałem, zawsze miałem przed oczami was razem, ciebie taką uśmiechniętą, szczęśliwą. To bolało.

– To dobrze, że bolało. Inaczej może nie uświadomiłbyś sobie, że nie możesz beze mnie żyć! – zaśmiała się, przytuliła go i mocno pocałowała.

– Ale teraz jesteś moja i już na zawsze tak pozostanie – powiedział głosem zwycięzcy. Ponownie rozchmurzył się, podniósł mnie i okręcił wkoło ku uciechu Balbiny.

Maks pojechał do Berlina. Czuliśmy się dziwnie niespokojni. Chyba udzieliło mi się jego zdenerwowanie. Przeżywał bardzo to spotkanie z Ingrid. Nie widzieli się od kilku miesięcy. Czuliśmy, że żywi do niej odrazę. Miałam nadzieję, że zdoła zapanować nad swoimi emocjami.

Trudno mi było skupić się na pracy. Cały czas moje myśli wędrowały do Maksa. Chciałabym mu pomóc, ale nie byłam w stanie. Musiał przejść przez to sam.

\*

Chciałby już mieć to spotkanie za sobą. Siedział w więziennej poczekalni, przypominały mu się dni, kiedy to on był w podobnym miejscu. Nie chciałby za nic w świecie tam wrócić. Oczekiwanie przedłużało się, a on rozmyślał. Jak to dobrze, że ma Zuzę. Osobę, którą kocha, ale przede wszystkim której ufa. Wie, że ona go nie oszuka. I często jest takim jego buforem, kiedy chce działać zbyt emocjonalnie. A co czuje do Ingrid? Chyba w szczególności pogardę.

Zobaczył ją przez przeszklone drzwi w głębi korytarza, prowadzoną przez strażniczkę. Szła z dumnie podniesioną głową, wyprostowana. Nadal była piękną kobietą. Stwierdził to obiektywnie, ale jej widok nie robił już na nim żadnego wrażenia. Podeszła do stolika, przy którym siedział, usiadła naprzeciwko.

– Witaj, Maks – powiedziała bez cienia uśmiechu.

– Ingrid – odpowiedział i skinął lekko głową.

– Tęskniłam za tobą – odezwała się, przyjmując kokieterijną pozę, patrząc na niego spod przymrużonych powiek.

– Daruj sobie te gierki, to już na mnie nie działa. – Jego głos był stanowczy.

Roześmiała się ironicznie.

– Ale chcesz coś ode mnie uzyskać, prawda?

– To ty kontaktowałeś się ze mną przez swojego adwokata. Nie zapominaj o tym – powiedział rzeczowo. Był zdziwiony, że jest taki opanowany. – Przejdźmy do rzeczy. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży?

– Och, kochanie, wiesz przecież, że nie cierpię dzieci. Niestety, za późno się zorientowałam, że jestem w ciąży, i nie mogłam jej już usunąć. Wszystko przez te beznadziejne spirale. – „Czy była tak wyzuta ze skrupułów, czy tylko taką udawała?” – pomyślał.

– Pytam ponownie: dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – Zaczęła narastać w nim irytacja, nie mógł do tego dopuścić.

– Bo nie chciałam ci zrobić przyjemności! Wiedziałam, że będziesz szczęśliwy, a przecież nie zamierzałam przyczynić się do twojego szczęścia. – Zaśmiała się złośliwie. Robiła się wtedy brzydka. Jak Cruella de Mon – skąd w tej chwili takie skojarzenie? Uśmiechnął się z politowaniem, irytacja minęła.

– Co z nim zrobiłaś po urodzeniu? – Starał się być spokojny.

– Och, oddałam go do ochronki. Mój drogi, i tak moja figura ucierpiała, nie mogłam sobie przecież pozwolić na nieprzespane noce. – Mówiła to, jednocześnie oglądając swoje, o dziwo, pomalowane paznokcie.

– Widziałas go chociaż raz po urodzeniu? – Nie wiedział właściwie, dlaczego zadał to pytanie, chyba z czystej ciekawości.

– Wiesz przecież, że byłam bardzo zajęta. Nie jest łatwo samotnej kobiecie – mówiła, wydymając usta. Okropne! Była taka pospolita, wręcz wulgarna. Ciekawe, że nigdy wcześniej tego nie zauważył. Chyba nie miał po prostu porównania. Zwabiła go jej zewnętrzna otoczka, na zasadzie lepu na muchy. A środek okazał się przegniły.

– Jak mu dałaś na imię? – Miał nadzieję, że chociaż to zrobiła.

– Hmm, nie pomyślałam o tym. Ale może teraz wspólnie go jakoś nazwiemy? Co ty na to, kochanie? Może Ciapuś? Albo Misiu? – Wiedział, że chce go sprowokować. „Cruella de Mon” – pomyślał znowu. To pomagało.

– Gdzie on jest? – zapytał stanowczym głosem, pozornie pozbawionym emocji.

– Podpiszesz zobowiązanie, w zamian dostaniesz adres. – Patrzyła na niego prowokacyjnie, bawiąc się kosmykiem włosów, rozparta nonszalancko na krześle.

– Przekażesz mi przez adwokata sądowe zrzeczenie się praw do dziecka i jego miejsce pobytu. W zamian adwokat przekaze ci moje zobowiązanie – wyrzucił z siebie te słowa, nadal jednak zachowując pozorną obojętność. Wiedział, że nie musi jej płacić. Że jeżeli zgłosi sprawę do prokuratora, wygra. Tylko kiedy? Sprawa będzie się ciągnęła miesiącami, Ingrid będzie grała na zwłokę, a odnalezienie chłopca przeciągnie się w nieskończoność. Mały był ważniejszy niż jakiegokolwiek pieniądze. Wołał zapłacić.

Wstał i wyszedł, nie żegnając się i nie oglądając za siebie. Ingrid się nie odezwała.

Kiedy wyszedł z budynku, gotowało się w nim. Najchętniej poszedłby na jakąś siłownię i wyładował te emocje. Zamiast tego zaczął chodzić energicznym krokiem w pobliżu więzienia. Nie chciał wsiadać do samochodu w stanie takiego wzburzenia. Musiał jeszcze podjechać do hotelu, załatwić parę spraw personalnych, podpisać umowę zatrudnienia nowego szefa kuchni, przeprowadzić z nim rozmowę i będzie wracał do Zuzy. Za sześć godzin będzie w domu. W ich prawdziwym domu. Myśli o tym działały na niego uspokajająco. Żałował jedynie, że nie zdecydował się na lot samolotem, byłby w domu wcześniej.

Spojrzał w niebo, było takie błękitne. Wokół wszystko zaczynało się zielenić. Wziął głęboki oddech. Miał przed sobą całe życie z kobietą, którą kochał i która kochała jego. I z synem, którego razem wychowają. Obejrzał się za siebie. Budynek więzienia oświetlały promienie słońca. Ale do wnętrza dostanie się ich niewiele. Ingrid zostanie tam na długo. Nie dane jej będzie cieszyć się pięknem tego świata, przynajmniej przez dłuższy czas. Uważał, że to sprawiedliwe, zasłużyła na to.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Termin ślubu ustaliliśmy na osiemnastego lipca. Siedemdziesiąt osób! Skąd ich się tyle nzebierało? Nie myślałam, że mamy taką dużą rodzinę i tylu znajomych. Maks cieszył się jak dziecko, ciągle o tym mówił. A w podróż poślubną wybierzemy się we wrześniu do Włoch! Moje ukochane Włochy i to na całe trzy tygodnie! Na razie mieliśmy połowę czerwca i na wyspie zrobiło się cudownie. Wszystko się zieleniło, pogoda dopisywała. Z pasją oddawałam się ogródkowym pracom. Jedynie dzikie króliki spędzały mi sen z powiek. Było ich tu na wyspie całe multum. Hasały nawet po plaży. A w ogródku zajaadały co smaczniejsze roślinki. Nie bały się ludzi, przyglądały się nam z ciekawością, czasami pozwalały bliżej do siebie podejść, szczególnie dzieciom. I beczelnie podgryzały moje najpiękniejsze kwiatki, a kiedy próbowałam odstraszyć stworzenia, pokrzykując, patrzyły na mnie zdziwione. Kupiłam w sklepie ogrodniczym specjalne odstraszacze, ale niewiele sobie z nich robiły. Nauczyły się je omijać. Uszate bestie!

Okazało się, że Maks nie przepadał za pracami w ogrodzie. Wykonywał na moją prośbę cięższe czynności bez marudzenia, ale też i bez entuzjazmu. Podziwiał natomiast efekty mojej pracy, które były rzeczywiście imponujące. Ogród w tej chwili cały kwitł. Gdy wyszło się na taras, oszałamiał barwny widok, a i zapach pobudzał zmysły. I oczywiście Maks chwalił się znajomym, jak to pięknie z Zuzką „zrobiliśmy”. Hmm...

Stolarze postawili na wzgórzu altanę według mojego projektu. Była kryta trzciniową strzechą (tak jak dach domu), o okrągłym przekroju, częściowo od strony wietrznej zasłonięta przez drewnianą pergolę, przy której posadziłam milin. Miałam nadzieję, że szybko ją zarośnie i będzie pięknie kwitł latem na czerwono. Wewnątrz ustawiłam drewniany okrągły stół i cztery wiklinowe fotele z wysokimi oparciami, wyścielone miękkimi poduchami. Ale najwspanialszą rzeczą w naszej altanie był hamak, tak rozwieszony, że wylegując się na nim, można było obserwować morze wraz z jego przyplływami i odpływami. *Flut und Ebbe*. Siedząc w altanie, mieliśmy piękny widok, ponieważ wzniesienie znajdowało się na skraju naszej działki. Za nią była tylko wysoka skarpa i schodki prowadzące wprost na plażę. Uwielbiałam pić tam popołudniową kawę, czytać, leniuchować.

Za tydzień miały przyjechać dzieciaki. Nie mogłam się doczekać. Zostaną do końca lipca, a potem wyruszają z grupą znajomych w podróż stopem przez Europę, żeby pod koniec sierpnia znowu dotrzeć do Hiszpanii na winobranie. Rodzice przyjadą dopiero na ślub, ale za to zostaną do końca sierpnia. Zapowiadało się więc towarzyskie lato. Maks nie mógł się doczekać. Obiecywał gotować, ciekawe, czy mu się nie znudzi. Na razie wyżywał się w swojej restauracji.

Pewnego późnego popołudnia siedzieliśmy z Maksem w altanie, piliśmy mrożoną kawę i podziwialiśmy odpływ, kiedy zadzwonił telefon. Andreas!

– Cześć, Andreas! – Odebrał Maks.

– Witajcie, kochani, spodziewam się, że jestem na głośnomówiącym, jak zwykle? – zapytał pogodnym głosem.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Co u ciebie słychać? Miałeś nas odwiedzić przed ślubem i chyba się na to nie zapowiada? – zapytałam.

– Niestety, żałuję bardzo. Miałem definitywnie przejść na emeryturę, ale nagromadziło się tak dużo trudnych spraw, że niestety musiałem synowi pomagać. Może po wakacjach będzie trochę luźniej. Ale na wesele oczywiście przyjadę. Dzwonię z dobrymi wieściami. Jest gotowe sądowe zrzeczenie się przez Ingrid praw do dziecka, jest także przygotowana umowa adwokacka. Wystarczy podpisać i dostaniesz, Maksie, adres miejsca pobytu twojego syna. I jest

jeszcze oświadczenie Ingrid, że to ty jesteś ojcem dziecka. Oczywiście, jeżeli będziesz chciał, można jeszcze wykonać badanie genetyczne, żebyś miał pewność, że to właśnie tego dziecka jesteś ojcem. Ja bym ci radził to zrobić.

Maks westchnął głęboko.

– Oczywiście, to jest rozsądne, ale wydłuży czas, kiedy będę mógł go wreszcie odebrać.

A czy wiesz chociaż, w jakim jest mieście?

– Nie, Maksie, nie wiem. Wszystkiego dowiemy się dopiero po podpisaniu umowy.

– W takim razie jestem w stanie jutro być w Berlinie. Czy możemy w jakiś sposób załatwić szybkie wykonanie tych badań genetycznych? I żeby były pod jakimś nadzorem? – zapytał niecierpliwie.

– Oczywiście, jutro zostaną komisyjnie pobrane próbki od ciebie i od dziecka. Wyniki będą najszybciej za tydzień. Od ciebie tylko zależy, czy będziesz chciał się wcześniej widzieć z dzieckiem, czy poczekaś na wyniki badań.

– Poczekać na wyniki. I oczywiście chciałbym, żeby porozumienie było tak skonstruowane, że w przypadku gdyby się okazało, że to nie jest moje dziecko, umowa traci ważność. Nie ufam Ingrid zupełnie. Dlatego nie chcę się wcześniej widzieć z chłopcem, bo gdyby okazało się, że nie jest jednak mój, miałbym moralny dylemat, czy zostawić go tam, gdzie jest. Przylatuję jutro do Berlina najwcześniejszym samolotem z Sylt. Czy zdążysz wszystko przygotować?

– Tak, nie ma problemu. Już właściwie całą umowę mam sformułowaną, naniosę tylko drobne poprawki. A badaniami genetycznymi zajmie się Marcus, nie będzie z tym problemu. – Andreas jak zwykle był profesjonalistą. To fantastyczne!

– Dobrze, w takim razie idę zabukować bilet. Jak już załatwię sprawę w Berlinie, zadzwonię do ciebie. Dziękuję za wszystko. – Maks podniósł się z fotela.

– Żegnajcie, kochani. Do zobaczenia wkrótce – powiedział Andreas.

– Pa, Andreasie – pożegnałam się.

Maks stał na brzegu altany i wpatrywał się w morze. Zaczynał się przypływ, plaży coraz bardziej ubywało, mewy krążyły nad wodą.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – zapytałam, podchodząc do niego i przytulając się do jego pleców. Razem patrzyliśmy w morze.

– Nie, kochanie, nie ma takiej potrzeby – odpowiedział, obejmując mnie ramieniem i całując przelotnie w czubek głowy. – Ale jeżeli wszystko już będzie załatwione i potwierdzi się fakt, że jestem ojcem tego dziecka, chciałbym, żebyś po małego pojechała ze mną. Co ty na to? – W jego głosie brzmiała nadzieja.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Przecież to będzie nasze wspólne dziecko. Będę jego mamą. – Uśmiechnęłam się ciepło do niego.

– Kocham cię – powiedział z czułością.

– Wiem – odpowiedziałam.

Wrócił późnym wieczorem bardzo zmęczony. Policzki pokrywał mu jednodniowy zarost. Usiadł w salonie na kanapie, wyciągnął przed siebie nogi, oparł głowę o wezgłowie, przymknął oczy i milczał przez chwilę. Nalałam mu lampkę koniaku, podałam, wkładając do ręki, bo oczy miał nadal zamknięte. Usiadłam obok, ręką delikatnie masowałam jego plecy.

– Wszystko załatwiłeś? – zapytałam.

– Tak. – Otworzył oczy, wyprostował się nieco, upił odrobinę złocistego napoju. – Trochę to trwało, ale wszystko załatwiłem. Chcesz wiedzieć, gdzie jest mały?

– Gdzie? – zapytałam.

– W domu dziecka w Poczdamie – westchnął głęboko. – Byłem tak blisko niego.

Walczyłem ze sobą, żeby tam nie pojechać. Nie byłoby to jednak rozsądne. Zresztą i tak jeszcze nie mógłbym się z nim zobaczyć bezpośrednio, jedynie z daleka. Ale cały czas się boję, że to jakaś ściema i potem przez całe życie będę miał przed oczami obraz tego chłopca. Zresztą chcę, żebyśmy tam pojechali razem. – Uśmiechnął się do mnie, objął ramieniem i przytulił.

– Oczywiście, tak zrobimy – odpowiedziałam, głaszcząc go po policzku.

– Dzwonił do mnie jeszcze przed południem Andreas. Dostał wiadomość, że Dirk został skazany i spędzi w więzieniu na Dominikanie osiem lat. Myślę, że nie jest z tego faktu zadowolony. Moim zdaniem to i tak zbyt mała kara, biorąc pod uwagę to, czego się dopuścił.

– Ciekawe, ile dostanie Ingrid. Chyba nie ma nadziei na uniewinnienie? – zadałam pytanie.

– Nie ma szans. Za włamanie z bronią w rękę, napaść na ciebie, zranienie policjanta i te wszystkie przekręty, które teraz jeszcze dodatkowo wychodzą na jaw, dostanie z dziesięć lat. Tak twierdzi Andreas. Czyli Dirk miał szczęście. Ale jeżeli po odsiedzeniu wyroku chciałby wrócić do Niemiec, będzie nadal ścigany i jeżeli go złapią, zostanie sądzony i dostanie wyrok. Mam więc nadzieję, że nigdy się tu nie pojawi. – Maks się przeciągnął. – Cały dzień w pomieszczeniach i w ciągłym napięciu. Czuję się jak przeciągnięty przez magiel.

– W takim razie chodźmy na spacer. Nie jest jeszcze tak późno, wieczór jest dzisiaj bardzo ciepły. Przejdziemy się brzegiem morza, dotlenimy, może posiedzimy chwilę w altance. Zupełnie inaczej się poczujesz. – Pomyślałam, że dobrze robi to nam obojgu. Ja po całonocnym wyczekiwaniu też czułam się wyczerpana.

Założyliśmy kurtki i ścieżką przez ogród, a potem przez furtkę na jego końcu, przeszliśmy prosto na plażę. Po napaści Ingrid przez jakiś czas furka była zamykana, ale teraz znowu czuliśmy się pewnie, nie było potrzeby tak się barykadować. Föhr wydawała mi się bezpieczną wyspą. Była bezchmurna noc. Patrzyliśmy na niebo usiane gwiazdami, wśród nich świeciła jasno połówka księżycy. Była pełnia przyływu, księżycowe światło igrało na morskich falach, migocząc różnymi odcieniami złota. Gdzieś w oddali, na dzikiej plaży ktoś palił ognisko, którego światło także sprawiało magiczne wrażenie. Szliśmy, trzymając się za ręce, nie odzywaliśmy się do siebie. Wdychaliśmy świeże morskie powietrze. Czułam przyływ energii, rzeźkość, udzielił mi się magiczny nastrój. Morze jednak potrafi czynić cuda. Doszliśmy do wysokości głównej promenady. W jednej z tawern przy plaży grała muzyka, na drewnianym podeście wysuniętym w kierunku morza, na wolnym powietrzu tańczyło kilka osób. Kiedy zbliżyliśmy się do desek, akurat Shakira śpiewała *Waka, Waka*, rytmiczną piosenkę. Nogi same podrygiwały.

– Zatańczymy? – zapytał Maks z błyskiem w oku.

– A masz siłę? – zdziwiłam się.

– To jest chyba właśnie to, czego mi trzeba! – Pełen był entuzjazmu.

I porwał mnie do tańca, a szło mu to świetnie. Miejsca na szczęście było dużo, mogliśmy więc poszaleć. Czułam się jak w siódmym niebie. Wirowałam, ruszałam biodrami i czułam się fantastycznie. Widziałam, że pary obok patrzą na nas z podziwem. Maks w szkole średniej był w klasie sportowej, mieli między innymi lekcje tańca, a ja z moim pierwszym mężem chodziłam na kurs tańca. Tego się nie zapomina. Zresztą zawsze uwielbiałam tańczyć i cieszyłam się, że mój przyszły mąż umie to robić tak dobrze. Byliśmy już trochę zmęczeni, kiedy zabrzmiał następny utwór, przepiękny – Toni Braxton śpiewała *Un-Break My Heart*. Piękna, spokojna piosenka. Maks objął mnie mocno w pasie, przytrzymał podniesioną moją prawą dłoń, pocałował ją, a potem niezwykle swobodnie płynęliśmy po parkiecie. Czułam się magicznie, piękna noc, muzyka i taniec działały jak narkotyk. Miałam poczucie, jakbym była w innej rzeczywistości.

Czuliśmy zmęczenie, kiedy po godzinie dotarliśmy do schodków prowadzących do naszej

furtki. Fizycznie zmęczeni, ale psychicznie byliśmy nowymi ludźmi. Usiedliśmy jeszcze na kilka minut w naszej altance i odpoczywając, podziwialiśmy wspaniały widok. A kiedy znaleźliśmy się w sypialni, delikatnie, czule i bardzo powoli kochaliśmy się, wkładając w to całe nasze uczucie. Czułam się szczęśliwa, spełniona. Z Maksem, u jego boku.

Minął tydzień. Tak, jak obiecał Andreas, wyniki badań genetycznych były gotowe. W czwartek koło południa przywiózł je kurier. Wiedzieliśmy, że przyjedzie, Andreas nas zawiadomił. Zwolniłam się z pracy i niecierpliwie czekaliśmy z Maksem w jego restauracji. Nie mógł znaleźć sobie miejsca, wygoniłam go więc do kuchni. Musiał czymś się zająć, bo inaczej zapaliłoby się powietrze wokół niego. Mnie też nie było lekko, ale potrafiłam nad sobą zapanować. Zajęłam się układaniem świeżych kwiatów w wazonach na stołach. Kiedy kurier stanął w drzwiach, zawołałam tylko głośno: Maks! – nie mogłam się ruszyć, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Na szczęście byłam przy drzwiach do kuchni, goście na sali nie mogli mnie usłyszeć. Maks z wahaniem wszedł na salę, odebrał przesyłkę, podpisał, po czym stał nieruchomo, wpatrując się w zamkniętą kopertę.

– Chodźmy do biura. Otworzysz ją – powiedział do mnie zachrypniętym głosem.

Ręce trzęsły mi się, kiedy rozrywałam papier. Przebiegałam wzrokiem po treści pisma, Maks stał w bezruchu, chyba nie oddychał.

– Potwierdzili! – zawołałam, wyciągając jednocześnie do niego ramiona.

– Naprawdę? – Nie mógł chyba uwierzyć. – Pokaż, co tam jest napisane. – Przytulił mnie, a po chwili wziął ode mnie pismo i czytał niecierpliwie. – A jednak! Zuza, mam syna! Mam syna! Jestem taki szczęśliwy! – Złapał mnie wpół i okręcał wokół siebie, śmiejąc się głośno, aż personel, zdziwiony tymi odgłosami, zaglądał przez drzwi. A mnie zaczęło się kręcić w głowie.

– Postaw mnie, bo mam w głowie karuzelę – śmiałam się razem z nim. Postawił mnie, po czym mocno pocałował, a pracownicy zaczęli bić brawo.

– Mam syna! – wykrzyknął dumnie. Wszyscy wiedzieli, że Maks oczekuje na wyniki testu na ojcostwo. Stanowili jedną rodzinę i mimo że był ich szefem, relacje między nimi były raczej przyjacielskie.

– Hurra! – rozległ się ich okrzyk, po czym po kolei zaczęli do niego podchodzić i gratulować. Widziałam w jego oczach szczęście. Śmiał się całym ciałem.

– Mam ciebie, syna, twoje wspaniałe dzieci i twoich rodziców. Mamy przyjaciół. Będziemy świetną rodziną! Szampan dla wszystkich! Najlepszy rocznik! Peter, zajmij się tym, ja muszę wykonać parę telefonów. Teresa, proszę, pomóż mu. – Objął mnie, pocałował w czoło. – Idę zadzwonić do Andreeasa, zaraz do was wrócę.

– Pozdrów go ode mnie. Ja pomogę przy rozlewaniu szampana – powiedziałam z radością w głosie. Czułam szczęście, ale jednocześnie niepokój. Jak będzie wyglądał ten chłopiec, czy nas polubi? I czy sprawdzę się jako matka nie swojego przecież dziecka? Czas pokaże. Wiem, że będę się starała.

\*

Od kilku godzin był z Zużą w swoim berlińskim mieszkaniu. Za trzy godziny mieli umówione pierwsze spotkanie z małym. Na początku w towarzystwie opiekunki. Chłopiec miał na imię Sebastian. Tak go nazwano w ochronce. Ładne imię, nie zamierzał mu go zmieniać. Zresztą mały już się na pewno do niego przyzwyczaił. Odczuwał ogromną radość, ale i niepokój. Nie mógł go sobie wyobrazić, a nie chciał wcześniej oglądać zdjęcia, chociaż mu proponowano. Odbył wiele rozmów z dyrektorką tego przybytku. Okazała się sympatyczną kobietą w średnim wieku, bardzo ciepłą i wyrozumiałą. Wytłumaczyła im, że nie mogą zabrać chłopca z dnia na dzień. Musi się odbyć kilka spotkań, żeby się z nimi oswoił, żeby wyjazd w nieznanne miejsce, do

obcych ludzi nie był dla niego szokiem. Zależało im z Zużą, żeby Sebastian był z nimi już na ślubie. Byłaby to wielka radość. Ale nic na siłę, mały jest najważniejszy. Małymi kroczkami, a będzie dobrze.

W pośpiechu urządzali pokój dla Sebastiana, tuż obok ich sypialni. Razem z dziećmi Zuży, które przyjechały przedwczoraj i dziećmi Balbiny, odmalowali pokój, usunęli na strych wszystkie stare meble. Wszyscy razem wybierali nowe mebelki dla małego, nowe zabawki, firanki, dywan. Wszyscy byli bardzo podekscytowani, chyba najbardziej Jagna. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się poznają. Mówiła, że już go kocha, chociaż jeszcze go nie zna. W efekcie końcowym pokój wyglądał imponująco. Na jednej ze ścian kolorowa tapeta z samochodami, łóżko w kształcie czerwonego ferrari, a dywan – w tor wyścigowy. Od dyrektorki ochrony dowiedział się, że Sebastian uwielbia bawić się samochodami, nawet zasypia z którymś z nich.

Zuza była oazą spokoju. Cierpliwie znosiła jego ekscytację, roztargnienie, nieobecność duchem przez te kilka ostatnich dni. Ale zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami dzielił się z nią wszystkimi swoimi myślami, wątpliwościami, problemami. Za nic w świecie nie dopuści, żeby ponownie czuła się odrzucona.

Jechali przez zatłoczone ulice Berlina w stronę Poczdamu. Zuza prowadziła, był zbyt zdenerwowany, więc ona przejęła ster. Kiedy podjechali pod wyznaczony adres, zobaczyli dużą, przedwojenną willę położoną w malowniczym ogrodzie, w którym dominowały wysokie liściaste drzewa, a wśród nich rozmieszczono huśtawki, piaskownice, zjeżdżalnie. Wszystko w żywych kolorach, wesoło komponowało się z zielenią drzew. Obiekt sprawiał miłe wrażenie. W ogrodzie bawiła się gromadka dzieci w wieku przedszkolnym, towarzyszyły im dwie opiekunki. Zadzwonili do furtki. Jedna z kobiet nich podeszła, a kiedy się przedstawili, wpuściła ich na teren ogrodu.

– Sebastian jest w tej chwili z nami w ogrodzie. Pomyślałam, że będzie to dobre miejsce na pierwsze spotkanie. Opowiadałam mu już o państwie. To mądry chłopczyk. Zresztą przekonacie się sami. – Uśmiechnęła się ciepło. – Podejdę teraz do niego, proszę, usiądźcie na ławce obok huśtawki. Przyjdziemy do was.

Z niepokojem śledził wzrokiem opiekunkę. Serce tłukło mu się w piersi, brakowało mu oddechu. Czuł niesamowitą radość, ale jednocześnie niepokój. Żeby wszystko dobrze wypadło, żeby mały ich polubił. I przede wszystkim żeby się ich nie bał.

Kobieta podeszła do ciemnowłosego, drobnego chłopca, który jeździł dużą ciężarówką po obrzeżu piaskownicy. Miał na sobie czerwoną bluzeczkę z krótkimi rękawkami, krótkie dżinsowe spodnie, a na nogach tenisówki. Wzruszenie odebrało mu zdolność ruchu. Widział siebie ze zdjęcia z dzieciństwa. Wyglądali identycznie! Nie potrzebował badań genetycznych, żeby mieć pewność, że to jego syn.

Chłopiec odwrócił się w ich stronę, podczas gdy opiekunka coś mu tłumaczyła. Uśmiechnął się nieśmiało, pokiwał głową.

Zuza cały czas ścisnęła go za rękę. Była bardzo podekscytowana.

– Maks, on wygląda jak ty. Ze zdjęć. Jak twoja kopia – powiedziała z przejęciem.

– Wiem – odpowiedział cicho, jakby bał się go spłoszyć.

Opiekunka wzięła chłopca za rękę i powoli podeszli do ławeczki.

– Sebastianie, to jest twój tato, ma na imię Maks. A to będzie twoja mama. Ma na imię Zuzanna. Przywitasz się? – zapytała miłym głosem. Chłopiec przyglądał im się nieśmiało, ale po chwili na jego buzi pojawił się delikatny uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział nieśmiałym głosem po niemiecku. Maks poczuł się lekko zaskoczony, wyobrażał sobie zawsze syna mówiącego po polsku. Ale przecież nie mogło być



inaczej. Nauczy się obu języków.

Wyciągnął do niego rękę na przywitanie. Mały odważnie podał mu swoją dłoń, patrząc mu prosto w oczy.

– A gdzie byłeś przedtem? – zapytał poważnie.

– Cały czas cię szukałem i nie mogłem cię znaleźć, bo się wcześniej zgubiliśmy. Ale teraz już cię odnalazłem i nigdy cię nie zostawię – powiedział ze wzruszeniem, patrząc małemu prosto w oczy.

Chłopiec uśmiechnął się szczęśliwy. Popatrzył na Zuzę.

– Czy mogę cię uściskać? – zapytała, także wzruszona. Mały kiwnął głową, Zuza podeszła do niego, przykucnęła i objęła ramionami, całując czule we włoski. – Cieszę się, że cię poznałam. – Była bardzo wzruszona.

– Jesteś moją mamą? – zapytał znowu poważnie.

– Nie urodziłam cię, ale będę twoją mamą. Najlepszą, jaką będę umiała.

– A gdzie jest moja prawdziwa mama? – zapytał. Skąd takie małe dzieci mają takie poważne pytania?

– Twoja prawdziwa mama odeszła daleko stąd i nie będzie mogła tu wrócić – odpowiedział Maks chłopcu niepewnie. Bo co można odpowiedzieć niespełna czteroletniemu chłopcu na takie pytanie? Że matka go nigdy nie chciała? Że jest potworem bez serca? Kiedy dorośnie, może mu o tym opowie. Może. – Ale zawsze będzie o tobie myślała, zapewniam cię. – Uśmiechnął się ciepło.

– A pobawicie się ze mną w piaskownicy? – Sebastian stracił zainteresowanie poważnymi tematami. Dzieci tak łatwo potrafią zaakceptować pewne fakty.

– Z przyjemnością – odpowiedziała Zuza, biorąc małego za rękę. Chłopiec podał drugą rękę Maksowi i pociągnął ich w stronę piaskownicy, podskakując wesoło.

Cały czas szczebiotał do nich beztrudno i angażował ich w zabawę. Zuza zdjęła buty, nogi zanurzyła w piasku i udawała podjazd dla ciężarówek, a Maks odgrywał rolę strażnika bramy i wpuszczał nadjeżdżające pojazdy. Niestety, czas mijał nieubłaganie. Zbliżyła się pora kolacji. Opiekunka, która do tej pory trzymała się w bezpiecznej odległości, obserwując od czasu do czasu ich wspólną zabawę, zaproponowała, żeby towarzyszyli Sebastianowi w trakcie kolacji. Mały mocno trzymał ich za ręce, jakby bał się, że znowu go opuszczą. Apetyt dopisywał mu, pałaszował kanapki, aż miło było patrzeć. I był bardzo samodzielny. Kiedy się najadł, poskładał naczynia i odniósł do okienka.

– Czy będziecie ze mną spali? – zapytał z nadzieją.

– Niestety, musimy wrócić do domu. Ale jutro rano znowu do ciebie przyjedziemy i spędzimy z tobą cały dzień. Chciałbyś? – zapytał Maks z nadzieją w głosie.

Mały kiwnął głową, po czym niespodziewanie przytulił się do Maksa, a on poczuł łzy w oczach. Po chwili Sebastian przytulił się do Zuzy, pocałowała go czule w policzek.

A w następnej chwili, podskakując, biegł do swojej opiekunki. Przed wyjściem z jadalni odwrócił się, pomachał do nich i posłał im buziaka. Odesłali mu go z powrotem i tyle go było widać.

Stali przez chwilę nieruchomo, trzymając się za ręce. Odczuwał szczęście wypełniające go całkowicie. Uśmiechał się, takim szczęśliwym uśmiechem. Czy to miłość ojcowska? Tak to wygląda? Chyba tak. Był dumny z syna. Taki mądry, rezolutny, urodziwy, pogodny. Wszystkie najlepsze cechy po tacie. Po Ingrid odziedziczył ruchy. No i może jeszcze uśmiech. Ale nie będzie teraz o tym myślał.

Pociągnął Zuzę w stronę wyjścia. Widział, że także jest oczarowana. Po jej twarzy błędził delikatny, czuły uśmiech. Matczyny. Zdawał sobie sprawę, że kładzie na jej barki wielki obowiązek. Wychowanie cudzego dziecka. Czy to nie jest z jego strony egoizm? Ale przecież

kochają się, to chyba rozumiały, że skoro znalazł się w takiej sytuacji, muszą ją dzielić razem. Obrócił głowę w jej stronę, przypatrywał się jej przez chwilę. Była zamyślona.

– Jakie wrażenia? – zapytał cicho, jakby bał się, że to był tylko sen, że go spłoszy.

– Och, Maks! Sebastian jest wspaniałym chłopcem – powiedziała z uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy. – Boję się tylko: czy okażę się dla niego dobrą matką?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zresztą będziemy go wychowywali razem. Nie zostawię cię z tym samej.

– Wiem, kochanie. A ty na pewno będziesz wspaniałym ojcem. Najważniejsze, żebyśmy dali mu miłość. Będzie dobrze. – Przytuliła go i stali tak przez chwilę, każde błędzące myślami gdzieś w przyszłości.

Następne dni mijały bardzo podobnie. Przychodzili rano do Sebastiana, a wychodzili wieczorem. Mały coraz bardziej się z nimi oswajał, nie odstępował ich ani na krok. Lubił siadać Zuzie na kolana, tuląc się do jej piersi. A ona kołysała go wtedy delikatnie, głaszcząc po głowie. A on, Maks, był od tych poważniejszych, męskich spraw, jak zabawa samochodzikami, zjeżdżanie ze zjeżdżalni czy budowanie zamków z piasku. Oboje czuli ogromną radość z tych spotkań. Szybko stali się rodziną. Nie wyobrażał już sobie życia bez Sebastiana. Dawał mu tyle szczęścia. Oboje z Zużą uszczęśliwiali go.

Wreszcie po tygodniu zapadła decyzja, mogli zabrać chłopca do domu. Mały przechodził jeszcze badania psychologiczne i stwierdził, że bardzo chce pojechać z mamą i tatą do nowego domu i poznać nowego brata i siostrę. Czyli Jagę i Antka.

Piątkowego przedpołudnia spakowali jego rzeczy, wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę. Sebastian chyba pierwszy raz wybrał się w tak daleką podróż. A morza nie widział nigdy. Cudownie było obserwować jego spontaniczne reakcje. Zachwyty, zaciekawienie, rozbawienie, zdumienie. Siedział w foteliku na tylnym siedzeniu, obok niego usiadła Zuza, żeby było mu raźniej. Pałaszował przygotowane przez Zuzię kanapki, popijał pyszniutkim, jak mówił, sokiem. I ogólnie widać było po nim, że jest szczęśliwy. A oni byli szczęśliwi razem z nim. Kiedy wreszcie wjechali na prom, chłopiec był oszołomiony. Tylu wrażeń nie zaznał chyba w całym swoim krótkim życiu. Interesował go każdy szczegół. A dlaczego statek płynie, a jak płynie, a gdzie jest kierowca, a dlaczego jest taki duży, a dlaczego ma takie okna? I wymagał odpowiedzi na każde pytanie i to poważnej. I on, Maks, z całą powagą mu ich udzielał, najlepiej, jak umiał.

W porcie z niecierpliwością czekały na nich bliźniaki. Sebastian początkowo nieśmiało przyglądał się młodemu, trzymając się Zuzi ręki, ale kiedy Jagna kucnęła przy nim i zaczęła go zagadywać niezbyt płynną niemczyzną, rozbawiła go i pierwsze lody zostały przełamane. A kiedy Antek wziął go na barana, radość była bezgraniczna. Popiskiwał jak mały szczeniaczek.

Zapakowali się wszyscy do samochodu. Podjechali pod dom i Maks z poważnym wyrazem twarzy powiedział:

– Witamy cię, Sebastianie, w twoim nowym domu. – Mały zaklaskał rączkami i podskakiwał z radości. Oglądał uważnie wszystkie pomieszczenia. Kiedy dotarł do swojego nowego pokoju, który na jego przyjazd bliźniaki udekorowały kolorowymi balonikami, stanął w drzwiach i patrzył wielkimi oczami. Nie wiedział, co oglądać najpierw, czego najpierw dotknąć. Tyle nowych zabawek. I łóżko Ferrari, czerwone. I klocki Lego. Był pełen zachwyty, oszołomiony. Ale po krótkim czasie zmęczenie zaczęło się dawać we znaki. Zasiadli do przygotowanej przez Jagnę kolacji, po której Sebastian oparł się wygodnie o oparcie i najzwyczajniej w świecie zasnął. Maks wziął go z czułością na ręce, zaniósł do łóżeczka, Jagna przebrała chłopca w nową piżamkę, otuliła kołderką, zafascynowana wpatrywała się w jego twarzyczkę, zakochana bez pamięci. A malutki nawet na chwilę się nie przebudził. Spał

spokojnym snem dziecka, szczęśliwy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nadszedł dzień ślubu.

Pogoda była piękna, letnia. Niebo błękitne, bezchmurne, temperatura idealna, deszczu nie zapowiadali. Cała impreza miała odbyć się w ogrodzie. Dzieci moje i Balbiny udekorowały drzewa i krzewy białymi balonami i kolorowymi lampionami. W długim, białym namiocie pracownicy Maksa ustawili długie stoły, które pięknie nakryto w odcieniach bieli i łososiowego różu. Obok ustawiono drewniany podest, na którym burmistrz będzie udzielał nam ślubu, a który potem stanie się podłogą do tańca. Przed podestem kilka rzędów krzeseł dla gości, a całość otoczona girlandami z łososiowych róż.

Goście zjechali się dzień wcześniej. Moi rodzice wraz z Andreaselem zostali ulokowani u nas w domu, bliźniaki u Balbiny, a pozostali goście w hotelu Maksa. Panował ogólny rozgardiasz, wszyscy mówili jednocześnie, kręcili się po posesji, ciągle ktoś czegoś od nas chciał, dojeżdżali nowi goście, nie było chwili wytchnienia.

Nie mogłam spać tej nocy, chyba z emocji. Zresztą Maks też był bardzo przejęty. Mówił przez sen, usłyszałam tylko „Kąp się, kąp, kochanie. W zupie”. Rozśmieszyło mnie to, rozładowało trochę moje emocje. Kiedy rano pytałam, co mu się śniło, niczego nie pamiętał. I oczywiście twierdził, że go podpuszczam. A, niech tam!

Rano Maks został wyekspediowany z naszej sypialni przez Jagusię, Balbinę i Manię. Twierdziły, że nie może widzieć panny młodej przed ślubem. Zabrał więc swoje rzeczy i przeniósł się do pokoju Sebastiana, zresztą ku jego uciesze. Mały okazał się cudownym dzieckiem, zdobył serca nas wszystkich, łącznie z dziadkami. Czuł się w dniu dzisiejszym bardzo ważną osobą, bo tata ubiera się w jego pokoju, a on, Sebastian, musi mu pomagać. Opiekę nad małym przed ślubem zaofiarował się pełnić Antek. Był świetnym bratem do zabawy. Chłopiec go uwielbiał, a najbardziej noszenie na barana.

Od rana nie mogłam niczego przełknąć. Po wspólnej nocy miałam nie zobaczyć Maksa aż do chwili ślubu. Nie wiedziałam nawet, jak będzie ubrany. Nie chciał mi powiedzieć. Zresztą on też nie widział mojej sukienki. Cały czas odczuwałam jakieś dziwne rozdygotanie wewnątrz ciała. Czy to stres przedślubny? Nie pamiętałam tego z mojego poprzedniego ślubu. Zresztą w ogóle niewiele z tego czasu pamiętałam. Kiedy nadeszła pora, ubierałam się drżącymi rękami. Pomagały mi moje ukochane dziewczyny, każda chciała coś poprawić, dodać coś od siebie. Pomimo całego stresu nie miałam cienia wątpliwości, czy robię dobrze. Wiedziałam, że Maks, to TEN. I może właśnie to nasze trudne początki scaliły więź między nami. Kto wie?

Wczoraj dostałam życzenia od Adama. Nie wiem, skąd się dowiedział, że wychodzę za Maksa. Może z pracy? Przesłał kartkę z dwoma białymi gołębiami na tle plaży. Nic więcej. A w środku życzenia: „Droga Zuziu, miłość jest życiem w całej swojej pełni. Żyjemy na tym świecie prawdziwie dotąd, dopóki kochamy. Dzisiaj Twoje słowo TAK oznacza zwycięstwo Twojej miłości. Życzę Wam obojgu wielu lat szczęścia i aby spełniały się Wasze marzenia. Adam”. Czytając te życzenia, poczułam ukłucie smutku. Gdybym nie poznała Maksa, pewnie byłabym z Adamem. I myślę, że także byłabym z nim szczęśliwa. Ale los chciał inaczej. I nie żałuję tego.

Moje kobietki właśnie wyszły. Prosiłam je o to. Chciałam na chwilę zostać sama. Stałam przed lustrem i patrzyłam na swoje odbicie. Miałam na sobie długą, kremową sukienkę z lejącej satyny, z delikatnie rozkloszowanym dołem, który pokrywały misterne koronki. Ale tylko do wysokości kolan. Pozostałe elementy były gładkie, bez żadnych ozdób. Dopasowana w pasie, góra z wycięciem w karo z delikatnymi krótkimi rękawkami. Na szyi medalion od Maksa,

w uszach jego kolczyki. Włosy proste, mojej naturalnej długości, z boku wpięta mała łososiowa gardenia. Żadnego szaleństwa. W końcu nie jestem panną młodą-dziewicą, żebym miała występować w białej sukni à la beza. Nie te czasy, nie ten wiek. Przyglądając się swojemu lustrzanemu odbiciu, czułam radość, ekscytację, ale jednocześnie niepokój. Czy to już będzie ten ostatni, na zawsze, do końca moich dni? A jeżeli znowu się nie uda? No chyba mnie nie zostawi? A skąd, u licha, takie myśli w mojej głowie? Stres czy co? Zuza, ogarnij się. Wdech, wydech... wdech, wydech... Pomaga.

Serce zaczęło bić wolniej, poczułam się spokojniejsza. Wzięłam ślubny bukiet z łososiowych gardenii i powoli zesłam schodami.

Dom był pusty. Wszyscy goście byli już w ogrodzie. W salonie czekał tylko mój tato, cierpliwie, dał mi czas, abym ochłonęła, uspokoiła się. Kiedy usłyszał moje kroki, podszedł do schodów.

– Gotowa? – zapytał. – Wiesz, co robisz?

– Tak, tatku. Kocham go. Będę z nim szczęśliwa – powiedziałam, całując go w policzek. Uśmiechnął się uspokajająco. Podał mi ramię, poklepał mnie po dłoni i wyszliśmy na zewnątrz.

Oślepiło mnie słońce, w pierwszej chwili nie mogłam niczego dojrzeć. Szłam prowadzona przez mojego tatę, jak ślepiec. Dopiero kiedy weszliśmy w cień drzew, zobaczyłam wszystkich gości. Zespół zaczął grać piękną melodię, ale nawet nie wiem, co to było. Na podeście zobaczyłam Maksa, obok niego stał Sebastian i trzymał tatę za rękę. Wyglądało, jakby to on przyprowadził Maksa i oddawał mi go za męża. Obaj byli identycznie ubrani – w czarne smokingi ze srebrnymi muszkami pod szyją. Maks wpatrywał się we mnie z ciepłym uśmiechem, a Sebastian podrygiwał w takt muzyki, potrząsając ręką Maksa. Na ich widok poczułam radość, tkliwość, pewność. Przestałam się denerwować.

Tato doprowadził mnie do podestu, pocałował w policzek i oddał moją dłoń Maksowi. Czułam się, jakbym była w kinie i oglądała amerykańską komedię romantyczną. Ze mną w roli głównej. U nas w Polsce raczej nie praktykuje się ślubów na wolnym powietrzu i jeszcze udzielanych przez burmistrza miasta. A szkoda.

Burmistrz okazał się przyjacielem Maksa z czasów szkolnych i sam zaproponował, że udzieli nam ślubu. Na szczęście to nie on udzielał ślubu Maksowi i Ingrid.

Maks pocałował mnie w dłoń, Antek wziął za rękę Sebastiana i odeszli nieco na bok. Jagusia i moje przyjaciółki stały obok jako drużby, a po stronie Maksa – Antek, Sebastian i Krzysztof. W pierwszej ławce moi rodzice z Andreasem. Reszty gości nie byłam w stanie ogarnąć wzrokiem, byłam zbyt podekscytowana. Staliśmy z Maksem, trzymając się za ręce, a burmistrz wypowiadał swoją formułkę. Zespół w tle przygrywał delikatny smooth jazz, założyliśmy obrączki, wypowiedzieliśmy słowa przysięgi i staliśmy się mężem i żoną. Za nami rozległy się owacje i brawa.

– Maksie, możesz pocałować pannę młodą – powiedział burmistrz, puszczając do Maksa oko. W tym samym momencie zobaczyłam w oddali Chochlika, odchodził ze smutną miną, machając ręką na pożegnanie. „Idź do kogoś innego, uprzykrzać mu życie” – pomyślałam, ale jednocześnie zrobiło mi się ckliwo. Zawsze był przy mnie w dziwnych sytuacjach. O rany, przecież to tylko fantazja. Moja imaginacja.

Po złożeniu przysięgi przeszliśmy wszyscy do namiotu, gdzie podano poczęstunek. Goście byli w wyśmienitych humorach, rozbawieni, szampan i wino dodawały wszystkim animuszu. Podchodzili do nas, składali życzenia, rozmawiali, ściskali nas. Podszedł do nas Andreas.

– Wreszcie udało mi się do was dobić. Wiecie, kochani, że jesteście dla mnie jak najbliższa rodzina. Życzę wam tylko jednego. Żebyście byli tak szczęśliwi, jak ja z moją Ruth.

I żebyśmy mogli razem świętować niejedną waszą rocznicę. Niechaj wam los sprzyja. –  
Widziałam, że jest bardzo wzruszony, drżał mu głos.

– Nie byłoby nas bez ciebie, kochany przyjacielu – odpowiedział mu Maks, także wzruszony.

– Andreasie, dziękuję. – Zdołałam tylko tyle powiedzieć i z oczu popłynęły mi łzy. Przytuliłam się do starszego pana.

– No już dobrze, nie wolno ci dzisiaj płakać, bo zamażą ci się oczy – odpowiedział żartobliwie, poklepując mnie po plecach.

Kiedy nadszedł czas na nasz pierwszy taniec, zespół zagrał *If We Fall in Love Tonight* z repertuaru mojego ukochanego Roda Stewarta. Maks podał mi rękę, pocałował wnętrze mojej dłoni, a po moim ciele przeszedł prąd. Mój mąż wyglądał wspaniale. Wysoki, z ciemnymi włosami, delikatnie szpakowatymi na skroniach, w ciemnym smokingu. Kiedy patrzyłam na niego, zapierało mi dech w piersiach. Czy to możliwe, żeby pokochał właśnie mnie? Czym sobie na niego zasłużyłam? Ja, taka szara mysz? A on patrzy na mnie z taką miłością. Może jednak nie jestem taka szara? Chyba muszę w sobie mieć to coś! A może ja jestem po prostu wyjątkowa?

Poprowadził mnie na parkiet. Czułam się, jakbyśmy po nim płynęli, jakbym była w jakimś transie. Nie widziałam ludzi dookoła, istnieliśmy tylko my dwoje i piękna muzyka. I słowa zapewniające o miłości i że mnie nigdy nie zawiedzie. Pasowały do naszej przeszłości.

Kiedy zespół skończył grać, posypały się brawa, a my jeszcze chwilę staliśmy na środku parkietu, wpatrzeni w siebie, lekko się kołysząc. Czułam, jakbyśmy byli odgradzeni od świata, jakbyśmy byli w bańce mydlanej. Ale po chwili zostaliśmy otoczeni przez innych gości i zaczął się odbijany. Każdy chciał zatańczyć z panną młodą i każda z panem młodym. Od czasu do czasu podbiegał do nas Sebastian, pokręcił się z nami w kółko i już go nie było, biegł dalej do gości albo bawił się z Jagną, bo ona była jego księżniczką.

Stopy powoli zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa, czułam, jakbym miała wrzątek w butach. A nie wszyscy byli takimi świetnymi tancerzami jak Maks. Na szczęście zespół zarządził przerwę i goście usiedli za stołami, aby nieco odpocząć, inni przechadzali się po ogrodzie. Grała cicha muzyka odtwarzana z płyty, wesoło migają światła z porozwieszanych kolorowych lampionów. Czułam się szczęśliwa.

Usiedliśmy z Maksym na ławeczce pod rozłożystym orzechem. Oparłam głowę o jego ramię, on delikatnie głaskał moją rękę.

Nagle odezwał się dźwięk jego telefonu.

– Maks, telefon? Nie wyłączyłeś go? – zdziwiłam się. – Ja swojego wcale nie zabrałam.

– Zapomniałem – odpowiedział, robiąc przy tym zawstydzoną minę, jak nastolatek przyłapany na oglądaniu „świerszczyków”. Spojrzał na wyświetlacz i... znieruchomiał. Zmarszczył brwi. – Ingrid?! – powiedział skonsternowany. – Mam odebrać? Czego ona może chcieć? I jakim sposobem dzwoni z więzienia? Bo chyba jej nie wypuścili? I przecież to niemożliwe, żeby miała swój telefon?

Pokręciłam głową. Stanowczym, ale delikatnym, ruchem wyjęłam ciągle dzwoniący aparat z dłoni Maksa i wyłączyłam go zupełnie.

– Nie ma w tej chwili takiej sprawy, która byłaby ważniejsza niż nasz ślub. Cokolwiek by to było, będzie musiało poczekać do jutra. Nie pozwolę, żeby coś popsuło nasz dzień. Lub ktoś.

Poczułam jednak, że na moim szczęściu położył się jakiś cień. Czułam, że Ingrid robi wszystko, żeby zasiać ziarno niepokoju, niezgody między nami. Miałam nadzieję, że już nigdy jej się to nie uda. Nie dopuszczę do tego. I pomyślę o tym jutro, jak Scarlett.

Więcej nikt nie zakłócał naszego szczęścia. Tańczyliśmy prawie do białego rana, dopóki ostatni goście nie opuścili ogrodu. Czułam się wyczerpana, nigdy nie mogłam zrozumieć,

dlaczego niektórzy ludzie muszą być na imprezie do końca, dopóki prawie nie padną (i na nieszczęście gospodarze też). No, ale takie jest prawo gościa. Kiedy wreszcie zostaliśmy sami, a pracownicy obsługi zabrali się za sprzątanie, powoli poszliśmy w kierunku altany, chcieliśmy jeszcze przed snem zaczerpnąć trochę ciszy. Od strony morza zaczynało świtać. Najpierw pojawiła się różowa poświata, a po chwili z morza wynurzył się kawałek ognistej kuli. Staliśmy przez chwilę na naszym wzniesieniu i chłoniliśmy niesamowity widok jak zahipnotyzowani. Ciągle nie mogłam uwierzyć, że to właśnie ja jestem tu i teraz. I że to właśnie ja jestem główną bohaterką dzisiejszego wieczoru. A co będzie, jeżeli Maks zorientuje się, że się pomylił? Że nie jestem go warta?

– Pierwszy wschód słońca w naszym małżeństwie – powiedział Maks, patrząc na mnie z czułością, odgarniając z mojej twarzy niesforne włosy nawiewane przez wiatr.

– I na pewno nie ostatni, kochanie – odpowiedziałam, ujmując jego twarz w dłonie i składając delikatny, czuły pocałunek na jego ustach. Maks zdjął marynarkę i narzucił mi ją na ramiona. Objęliśmy się w pasie i przytuleni zmierzaliśmy w stronę domu. Kiedy weszliśmy na taras, nagle wziął mnie na rękę i przeniósł przez próg. Tarasowy wprawdzie, ale zawsze!

– Witaj w naszym domu, żono – powiedział, stawiając mnie na nogi. Nie mogę w to uwierzyć. Zuzanna Weber. Jak to się szybko potoczyło. Wyjeżdżając na urlop nad Bałtyk, nigdy w życiu nie byłabym w stanie przewidzieć takiego scenariusza.

– Wiesz, kochanie, ostatnio mam wrażenie, że żyję w jakimś urojonym świecie. – W moim głosie brzmiała nutka zdziwienia.

– Oczywiście, bo jakiś świat trzeba mieć, choćby urojony – odpowiedział Maks, śmiejąc się. – Chodź, ty mój damski filozofie. Nasz dzień jeszcze się nie skończył. A właściwie nasza noc. Nie zamierzam jeszcze pozwolić ci spać. Pamiętaj, że to nasza noc poślubna. – Spojrzał na mnie z szelmowskim uśmiechem, przyciągnął do siebie. Czułam przez cienki materiał sukienki jego twarde ciało. Podziałało to na mnie jak afrodyzjak, całe zmęczenie gdzieś uleciało. Pachniał trochę szampanem, trochę cygarem, które wypalił razem z Andreasem, a trochę po prostu sobą. Zakręciło mi się w głowie.

– Ja także zamierzam wykorzystać cię do cna, mój mężu – powiedziałam zalotnie.

Maks pocałował mnie. Początkowo delikatnie, czule, ale po chwili jego pocałunek zaczął stawać się coraz bardziej namiętny, natarczywy. Czułam, jak w głębi mnie zaczyna narastać pożądanie, jakby z tłącego się ognia buchnął płomień. Staliśmy nadal w salonie, po domu kręcili się ludzie, którzy sprząтали po weselu. Maks nagle odsunął się ode mnie, wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą przez salon, potem po schodach na górę. Szybko otworzył drzwi do sypialni, przekręcił klucz od środka. Pokój oświetlało wschodzące słońce. Przysłonił rolety, nie zamykając ich całkowicie. Na podłodze powstały paski światła, które delikatnie rozjaśniały pomieszczenie, tworząc intymny nastrój. Włączył pilotem cichą muzykę, jakiś nastrojowy smooth jazz. Podeszedł do mnie, jednocześnie rozwiązując muchę. Czułam, jak mięśnie w dole mojego brzucha się napinają, serce biło mi szybciej, przyspieszył mi oddech. Od samego patrzenia. Zaczął rozpinać guziki od koszuli, jednocześnie wpatrując się we mnie wzrokiem pełnym pożądania.

Zaczęłam od zdjęcia kolczyków, potem naszyjnika. Maks podeszedł do mnie w samych spodniach, odwrócił mnie tyłem do siebie i powoli rozpinał guziczki mojej sukienki, których miałam na plecach chyba dwadzieścia. Czy ta krawcowa zrobiła mi żart? Chciałam ją zrzucić już, bezzwłocznie, ale stałam tylko cierpliwie, a napięcie we mnie rosło i rosło. Czułam jego palce subtelnie muskające moje plecy. Kiedy dotarł do ostatniego guzika, delikatnym ruchem zsunął ze mnie krację, aż opadła wokół moich nóg. Stałam przed nim w bieliźnie i samonośnych pończochach z czerwoną podwiązką na prawym udzie, założoną mi przez Manię na szczęście.

Kiedy mnie całował, czułam, jak szybko bije mu serce. Czułam gorąco jego ciała,

widziałam jego pragnienie. Żaden zakamarek naszych ciał nie był dla nas niedostępny. Oddaliśmy sobie nasze ciała i dusze. Nigdy wcześniej nie czułam, że jesteśmy jednością, że należymy do siebie. A kiedy znowu wybuchły fajerwerki, miałam wrażenie, że to dusza ze mnie uleciała.

Śniadanie mieliśmy zaplanowane koło południa. Kiedy się obudziłam, Maksa nie było już w łóżku. „Opuścił mnie po nocy poślubnej?” – pomyślałam z niepokojem. Na jego poduszce leżała karteczka, odręcznie przez niego zapisana. „Kochanie moje, poszedłem zrobić Ci śniadanie. Nie martw się, kiedy się obudzisz, że nie ma mnie przy Tobie. Jestem w kuchni. Nigdy Cię nie opuszczę, bo Cię kocham. A teraz biegiem na śniadanie! Załóż tylko szlafrok, bo inaczej nicy że śniadania. Będę musiał skosztować coś innego. Kocham Cię. M.”

Posłusznie założyłam szlafrok i zaspana zesłam na dół. Stopy paliły mnie żywym ogniem. Nie mogłam schodzić po schodach z powodu bólu łydek. Przetknięta cała noc nie może pozostać bez następstw. A już na pewno nie w moim wieku. „I po co mi to było?” – myślałam, człapiąc. W kuchni siedział Maks z Andreasem. Popijali kawę i rozmawiali w skupieniu. Kiedy weszłam, obaj się rozpozgodzili.

– Dzień dobry, żono – powiedział Maks, uśmiechając się do mnie czule.

– Cześć – odpowiedziałam zaspana. – Która to godzina? Bo na górze nie ma żadnego zegarka.

– Bo wszystkie schowałem przed tobą, żebyś mogła dłużej pospać. – Maks seksownie przysunął się do mnie. Tu, przy Andreasie? Co on wyprawia?

– Witajcie, dzieci. Cześć, Andreasie! – rozległo się z góry od strony schodów. To moi rodzice, wyspani i ubrani schodzili na śniadanie. Po chwili na schodach rozległ się szybki tupot małych nóżek. To Sebastian, a za nim wyłonił się Antek. Wszyscy wstali jednocześnie? Nie mogli dłużej pospać? Och, nie...

– Jestem głodny! Poproszę jajecznicę i tosta z szynką! – Sebastian był bardzo stanowczy.

– Witajcie, kochani. Jak się spało? – zapytała moja mama. – A ty, Sebastianku, chrapałeś, aż okiennice trzaskały – powiedziała do małego po niemiecku.

– Babciu, żartujesz? – słodko zapytał mały, a babcia rozpląnęła się całkowicie pod wpływem słowa „babciu”. I przytuliła go z miłością do swojego obfitego biustu. A kiedy chłopiec objął ją rączkami wokół szyi, zobaczyłam w jej oczach łzy. Jak on potrafi zjednywać sobie ludzi! A z drugiej strony ile potrzebuje miłości. Chociaż teraz sobie uświadomiłam, że jeszcze nigdy nie powiedział do mnie „mamo”, mimo że prosiłam go o to. Może potrzebuje więcej czasu? Nagle trzasnęły drzwi i z hałasem i śmiechem do kuchni wtoczyła się Jagna z Klaudyną i Paolem.

– Cześć, macie coś do jedzenia? Bo u nich wszyscy jeszcze śpią, a lodówka świeci pustkami! – zapytała Jagna, przeglądając jednocześnie naczynia stojące na kuchni.

– Słuchajcie wszyscy! Przygotowałem dla was śniadanie, dajcie mi jeszcze pięć minut, a wszystko będzie gotowe. Dla ciebie, synu, oczywiście jajecznica i tosty. Dla każdego będzie coś dobrego, ale idźcie już usiąść do stołu, porozmawiajcie sobie trochę. Stół jest nakryty, za chwilę przyniosę kawę. A dla Sebastiana kakao – Maks wydawał polecenia jak rasowy szef kuchni. – Antek i Paolo, będziecie mi potrzebni jako kelnerzy.

Chłopcy wypadli do kuchni, przepychając się wzajemnie. Rozsiedliśmy się wokół stołu. Wszyscy wesoło opowiadali sobie wrażenia z wczorajszego dnia. Maks szykował śniadanie, a chłopcy przynosili jedzenie do stołu. Cieszyłam się, że jesteśmy wszyscy razem, że jest tak radośnie, ale nie mogłam skoncentrować się na żadnej rozmowie. Czułam się, jakbym była gdzieś obok. Milczałam więc przez większość czasu, nawet nie miałam apetytu. Dziubałam w talerzu, udając, że jem. Ale jednocześnie czułam się tak nieziemsko szczęśliwa.



– Czy mogę się pobawić w ogrodzie? – Podszedł do mnie Sebastian z umorusaną buzią.  
– Oczywiście, kochanie. Ale najpierw musisz umyć buzię, bo wystraszyłybyś wszystkie zwierzątka – powiedziałam, biorąc go za rączkę i prowadząc do łazienki. – Tylko baw się przy tarasie, żebyśmy cię widzieli. Jak skończymy jeść, przyjdziemy do ciebie. – Mały pobiegł, podskakując wesoło, targając pod pachą wielką plastikową ciężarówkę. Siedziałam przy stole i przez rozsunięte drzwi na taras obserwowałam Sebastiana. Znalazł sobie jakiś kijek i walczył z niewidzialnym wrogiem, wymachując patykiem jak szabelką. Po chwili jeździł ciężarówką po tarasie, wydając dźwięki, które miały naśladować klakson samochodu. „Potrafi sam się bawić, niewiele dzieci obserwowanych przeze mnie ma tę umiejętność” – pomyślałam. Bliźniaki zazwyczaj potrzebowały towarzystwa rówieśników albo mojego. Może dzieci wychowywane w domach dziecka, bez rodziców, nie mają innego wyjścia? Może są bardziej zamknięte w sobie? Bardziej samodzielne i zdane na siebie?

Nie spuszczałam z niego wzroku, pomimo że wiedziałam, iż w ogrodzie jest bezpieczny. W głębi ogrodu pracownicy Maksa rozmontowywali namiot i sprząтали teren. Robili to jednak bez hałasu, nie przeszkadzali domownikom. Sebastian, bawiąc się ciężarówką, przeniósł się na trawnik. Oddalił się nieco od tarasu, ale cały czas go obserwowałam. Kiedy pochyliłam się, żeby dolać sobie kawy i spojrzałam ponownie na ogród, zobaczyłam, że z chłopczykiem ktoś rozmawia, pochylony nad nim. Jakaś szczupła osoba w dżinsach i granatowej bluzie, w czapce bejsbolówce na głowie. Pomyślałam, że to ktoś z pracowników Maksa. Wzięłam kubek do ręki i podeszłam na brzeg tarasu. Stałam, popijając kawę i przyglądając się rozmawiającym. Nagle poczułam niepokój. Spod czapki wysunął się kosmyk blond włosów. Co jest? O co chodzi? Kto to jest?

– Sebastian! Chodź do mnie! – zawołałam, ruszając w stronę chłopca. Mały odwrócił się do mnie, pomachał wesoło rączką. Czuję, że coś jest nie tak. Ruszyłam w stronę chłopca, wołając jednocześnie Maksa. Na ten dźwięk intruz ruszył szybkim krokiem w stronę furtki prowadzącej na plażę.

– Stój! – krzyknęłam. – Proszę się zatrzymać! – Puściłam się za nim biegiem, ale byłam w kłapkach, szlafrok płątał mi się między nogami. Kiedy dobiegłam do furtki, zobaczyłam przed sobą plażę, na niej sporo plażowiczów, bawiących się dzieci, spacerowiczów przy brzegu. Ani śladu intruza. Maks w tym momencie dobiegł do mnie.

– Co się stało? O co chodzi? Dlaczego tak biegniesz? – zapytał zdyszany.

– Ktoś obcy rozmawiał z Sebastianem w ogrodzie. A nie był to nikt z twoich pracowników. Kiedy zawołałam go, uciekł przez furtkę i zniknął mi z oczu. – Nadal nie mogłam złapać oddechu.

– Kto to mógł być? I dlaczego rozmawiał z Sebastianem? – Był bardzo zaniepokojony.

– Nie wiem, kochanie. Ale wydawało mi się, że spod czapki wystawały jasne włosy, chyba dosyć długie.

– Chodź, porozmawiamy z Sebastianem. Może od niego czegoś się dowiemy. A furtkę musimy znowu zamykać, nie ma innego wyjścia.

Wziął mnie za rękę i zdecydowanym krokiem ruszyliśmy w stronę domu. Sebastian siedział na tarasie na kolanach mojej mamy, był chyba trochę przestraszony całym tym zajściem.

– Synku, kto to był? Kto z tobą rozmawiał? – zapytał Maks spokojnym tonem, przykucając jednocześnie przy chłopcu.

– Tatusiu, to była taka pani, ładna. Powiedziała, że jestem jej synkiem i że niedługo po mnie przyjedzie. – Maks zbladł, ja nie mogłam ustać na nogach, oparłam się o ogrodowy stół. – Czy to była moja prawdziwa mamusia?

– Nie, synku, ta pani musiała się pomylić. Zuzia jest teraz twoją mamusią. – Po chwili

namysłu dodał: – Chcesz pójść na plażę z Antkiem i Jagną? Pobawicie się trochę, a potem wszyscy pojedziemy do restauracji na obiad. – Popatrzył porozumiewawczo na Antka. – Uważaj na niego – powiedział cicho. Antek tylko skinął głową.

Kiedy Sebastian odszedł z młodzieżą, zostaliśmy na tarasie z Andreasem i rodzicami.

– Czy to mogła być Ingrid? – zapytałam Andreama. – Czy Maks ci mówił, że wczoraj ktoś dzwonił z jej telefonu? Czy to możliwe?

– Właśnie rozmawialiśmy o tym, kiedy weszłaś do kuchni. Nie zdążyłem jeszcze tego sprawdzić, bo zajęliśmy się śniadaniem. Nie myślałem, szczerze mówiąc, że to taka pilna sprawa. Zaraz zadzwonię do Marcusa, spróbuję się czegoś więcej dowiedzieć.

Odszedł na brzeg tarasu, słysząc było z oddali ściszoną rozmowę. Nie mogłam zrozumieć słów. Wpatrywaliśmy się w niego w napięciu. Po chwili wrócił do nas.

– Trwało to trochę, bo Marcus nie miał żadnych nowych wiadomości o Ingrid, musiał zasięgnąć informacji. I dowiedział się, że przedwczoraj Ingrid została zwolniona za kaucją. Nie wiemy, kto ją wpłacił. Uzasadnieniem były problemy zdrowotne. Maksie, uważam, że powinieneś zawiadomić policję.

Przyjechali po piętnastu minutach. Ten sam policjant, który był obecny podczas aresztowania Ingrid, Stephen Kraus. Spisał nasze zeznania, obejrzał ogród, porozmawiał z pracownikami, którzy wtedy pracowali w ogrodzie. Poradził, żeby zamykać furtkę, i nie wyglądał na zbytnio przejętego sprawą. Powiedział, że sprawdzi w Monachium, czy mają jakiś kontakt z Ingrid, i da nam znać. I tyle go było widać. Zachowywał się jak policjant z francuskiej komedii, tej z Louisem de Funès. Podobnie działał poprzednio. Miałam nadzieję, że tym razem będzie bardziej skuteczny, bo wtedy cudem uniknęliśmy katastrofy.

– Zadzwonię do Bruna. Nie mam zaufania do tego gliniarza – powiedział Maks. – Dopiero ożeniłem się, odzyskałem syna, mam prawdziwą rodzinę i miałbym narazić was na niebezpieczeństwo? Nie dopuszczę do tego. Nie zaufam jakiemuś pożał się Boże Columbo od siedmiu boleści, nie powierzę mu losów ludzi, których kocham.

Przemierzał salon tam i z powrotem, jak to miał w zwyczaju robić w chwilach, kiedy był totalnie wyprowadzony z równowagi, równocześnie oczekując na połączenie z Brunem.

– Witaj, Bruno. Tu Maks. Jak zwykle dzwonię do ciebie z problemem – rozmawiał, jednocześnie wychodząc na taras.

Począpałam na górę. Czas najwyższy, żeby się ubrać. Wchodząc z wielkim trudem po schodach, myślałam, jak to jest w życiu, że radość musi być zrównoważona jakimś nieszczęściem. Wszechświat dąży do równowagi. Trochę szczęścia, trochę nieszczęścia. Trochę miłości, trochę nienawiści. Trochę bogactwa, trochę biedy. I tak w każdej dziedzinie.

Weszłam pod prysznic. Strumień ciepłej wody zawsze działał na mnie orzeźwiająco. Oczyszczał mnie z przygnębiających myśli. Przecież na szczęście nic takiego się nie stało. Teraz będziemy ostrożni. Maks nie zostawi nas bez ochrony. I w końcu dojdziemy, kto był tym intruzem. Na razie musimy po prostu być czujni, mieć oczy naokoło głowy i żyć w miarę normalnie. Nie dać się zastraszyć. Cieszyć się każdą wspólnie spędzoną chwilą.

W nieco lepszym nastroju wyszłam z łazienki. Postanowiłam dołączyć do dzieciaków i trochę popłażować z nimi, zanim pojedziemy do restauracji na późny obiad. Mają jeszcze dołączyć do nas Mania z Andrzejem i Krzysztof, którzy nocowali w hotelu.

Kiedy zesłam na dół, Maks siedział na kanapie w salonie, pochylony, z opuszczoną głową. Czulałam, że jest przygnębiony. W ręku trzymał telefon i myślał o czymś intensywnie. Usiadłam koło niego, przytuliłam się do jego ramienia.

– Nie martw się, kochanie. Nie pozwolimy skrzywdzić Sebastiana. Jest nas tutaj tyle osób, ani na chwilę nie zostanie sam. Antek będzie nocował u niego w pokoju, może Jagusia też

będzie chciała. Mały będzie miał zabawę i będzie szczęśliwy. A co powiedział Bruno?

– Jutro przyśle tu swoich dwóch detektywów, którzy będą na zmianę przez całą dobę pilnowali Sebastiana. Ten, który akurat nie będzie pracował, przenocuje w hotelu, dopóki nie wyjedzie Andreas. Potem zajmie jego pokój. Zuziu, musimy jak najprędzej zabrać się za budowę domku dla gości. Zadzwoń jutro do znajomego architekta, niech jak najszybciej przygotuje nam kilka projektów i załatwi zgodę na budowę. Wybierzemy ten, który najbardziej będzie się nam podobał, i zaczniemy budowę jeszcze tego lata. Mam nadzieję, że do zimy uda nam się skończyć. – Objął mnie ramieniem, pocałował w zamyśleniu w policzek. – Zawsze myślałem, że mam duży dom. Ale nigdy nie myślałem, że będzie on za mały dla mojej dużej rodziny. To fantastyczne.

Uśmiechnął się! Wreszcie. Wiedziałam, że to daje mu szczęście. Czułam, że się rozpogadza. Zawsze, kiedy podejmował decyzję, jakby kamień z serca mu spadał, od razu robił się pogodniejszy.

– Chodź, kochanie, przejdziemy się na plażę, zobaczymy, co tam u dzieciaków – powiedziałam, wstając z kanapy i jednocześnie ciągnąc go za rękę. – Pobędziemy trochę z nimi, a jak przyjedzie Mania z chłopakami, moja mama do nas zadzwoni.

Kiedy stanęliśmy przy furtce prowadzącej na plażę, w pierwszej chwili nie mogłam dojrzeć naszej młodzieży. Dopiero po chwili Maks pokazał mi ich. Cała piątka, łącznie z dziećmi Balbiny, grała z Sebastianem w piłkę. Chłopiec sprawiał wrażenie bardzo szczęśliwego. Ubrany w czerwone kąpielówki i niebieską czapkę z daszkiem, kopał piłkę nogą, zaśmiewając się przy tym i piszcząc. Dziewczyny co chwilę podbiegały do niego i obściskwały go. A on przytulał się do nich, był taki kochany. Aż ciarki przeszły mi po ciele na myśl o niebezpieczeństwie, jakie może mu grozić. Trzeba nie być przy zdrowych zmysłach, żeby zagrażać dziecku. Ale nie chcę teraz o tym myśleć. Teraz czas na szczęście. Upilnujemy go.

Sebastian zobaczył nas schodzących ze schodów na plażę i puścił się biegiem w naszą stronę. Pierwszego dopadł Maksa, rzucił się do niego z wyciągniętymi rękami, a ten unióśł go wysoko i okręcił nim młynka w towarzystwie głośnego pisku Sebastiana. Po chwili, kiedy postawił go na ziemię, mały dopadł do mnie z okrzykiem „mama!”, a pode mną w tym momencie ugięły się nogi. Uklękałam na piasku, rozpostarłam ramiona i tuliłam Sebastiana, pochlipując pod nosem.

– Dlaczego płaczesz, mamusiu? – zapytał zmartwiony.

– To ze szczęścia. Dlatego, że cię mamy, że cię odnaleźliśmy. To z radości. – Chłopiec uspokoił się, pozwolił się wyściskać, wycałował w oba policzki i po chwili pobiegł dalej grać w piłkę. Dzieci to cudowne istoty.

Późnym popołudniem rozsiedliśmy się z resztą gości w restauracji Maksa, nastrój nas wszystkich nieco się poprawił. Sebastian dokazywał z młodzieżą, stał się ich maskotką. Wszyscy za nim przepadali, rozpieszczali go, a mały był przeschczęśliwy. Kucharze, którzy mieli dzisiaj dyżur, przygotowali dla nas niespodziankę. Upiekli tort, jak to powiedzieli, na poprawiny. Był w kształcie gwiazdy z lukrową parą młodą na wierzchu. Nie przepadam wprawdzie za tortami, ale ten był rzeczywiście dobry. Delikatny biszkopt, na nim masa truskawkowa, galaretka z całymi truskawkami, a na wierzchu beza. Pyszne to było.

Każdemu potrzebny był po tak obfitym posiłku porządny spacer. Wracaliśmy do domu okrężną drogą, najpierw spacerując starymi uliczkami miasta, a potem wzdłuż promenady. Znowu obserwowałam odpływ, chyba nigdy nie przestanie mnie fascynować. Obejmowaliśmy się z Maksem, przed nami wesoło podskakiwał Sebastian, młodzież wygłupiała się, przepychając się obok niego, a dalej szła pogrążona w rozmowie reszta gości.

Kiedy dotarliśmy do domu, dochodziła dwudziesta. Było jeszcze całkiem jasno. Weszliśmy przez nieszczęsną furtkę od strony plaży. Jeszcze nie zdążyliśmy jej zamknąć.

Niektórzy z gości rozeszli się do swoich pokoi, inni razem z nami usiedli na tarasie. Antek poszedł z Sebastianem do jego pokoju. Maks wszedł do domu, żeby zrobić drinki. Rozmawiałam z mamą, Manią i Balbiną o budowie domku dla gości. Każda miała jakiś swój pomysł na jego lokalizację i wygląd. Siedziałyśmy rozleniwione, obserwowaliśmy zachodzące powoli słońce. Poczuliśmy odprężenie. Nagle na taras wypadł bardzo zaniepokojony Antek.

– Mamo, gdzie jest Maks? Ktoś był w pokoju Sebastiana!

– Co ty mówisz? Jak to możliwe? – Po raz kolejny tego dnia czułam odpływ krwi z mózgu.

– Na środku jego pokoju stoi duża paczka, zapakowana jak prezent, przewiązana czerwoną kokardą. Nie pozwoliłem małemu tego ruszać. Jaga wzięła go do salonu. Gdzie Maks?

– Robi drinki – odpowiedziałam. Pozostałe osoby przysłuchiwały się naszej rozmowie z przerażeniem. – Maks! – zawołałam, jednocześnie zrywając się z fotela. Maks wybiegł na taras, przestraszony.

– Co się stało? – zapytał, a kiedy Antek zaczął opowiadać, widziałam wściekłość malującą się na jego twarzy.

– Zuzia, idź po dzieci do salonu i zawołaj wszystkich na taras. Niech nikt nie wchodzi do domu i niczego nie rusza. Ja dzwonię po policję.

Przyjechali po dwudziestu minutach. Nie wiem, czy na szczęście, czy na nieszczęście, tym razem w innym składzie. Ci teraz byli bardziej żywotni, bardziej przejęci sprawą. Zresztą, widząc tak wkurzonego Maksa, który jest, jak by nie było, personą na wyspie, nie mogli pokpić sprawy. Przeprowadzili dokładne oględziny, ale oczywiście nie znaleźli żadnych odcisków palców. Jak poprzednio, porozmawiali ze wszystkimi osobami obecnymi w domu. Nie byli w stanie na razie niczego konkretnego nam powiedzieć. Paczka została rozpakowana przez policję, z zachowaniem procedur w razie obecności materiałów wybuchowych. Okazało się, że była w niej zabawka – drewniana lokomotywa. Paczkę zabrali ze sobą.

Policjanci podjęli decyzję o pozostawieniu dwuosobowego patrolu, który przez dwadzieścia cztery godziny będzie patrolował ulicę. Znowu, historia lubi się powtarzać. A my z naszej strony mamy zabezpieczyć dom. Na szczęście jutro rano przyjadą pracownicy Bruna. Mam nadzieję, że tyle osób wystarczy, żeby zapewnić nam ochronę.

Zbliżał się wieczór. Sebastian był już bardzo zmęczony. Wzięłam go za rączkę, poszliśmy do łazienki przygotować kąpiel. Uwielbiał się pluskać w wannie. Musiał mieć do tego pełno zabawek. Walczył nimi, toczył bitwy morskie i był przy tym bardzo zabawny. I szczęśliwy. Bardzo lubiałam go obserwować w takich sytuacjach. Jak zwykle nie potrzebował mojego udziału w tych zabawach, był samowystarczalny. Zadawał tylko od czasu do czasu jakieś pytania, jakby kontrolował moje zainteresowanie. Siedziałam zamyślona na kibelku i przypominałam sobie, jak to było, kiedy bliźniaki były małe. Wydaje się, że to było dopiero co, a tu już są takie dorosłe. Teraz poszły z Klaudyną i Paolem do pubu. Mam nadzieję, że będą się rozsądnie bawić. Nigdy nie nadużyły mojego zaufania, ale zawsze będę się o nich martwić.

– Chodź, kochanie, bo już się pomarszczyłeś zupełnie, jeszcze skóra z ciebie zejdzie – powiedziałam do małego, a on wyciągnął do mnie ufnie rączki i dał się opatulić rącznikiem. Kiedy go ubierałam w piżamkę, przytulił się do mnie. Takie ciepłe, pachnące dziecięce ciało. Pocałował mnie mocno w policzek. I znowu poczułam wzruszenie.

– Mamusiu, czy poczytasz mi bajkę przed snem? – zapytał, przechylając główkę. Do tej pory robił to Maks. Kąpiel należała do mnie, a czytanie do Maksa. Chociaż, od kiedy bliźniaki były w domu, to oni robili jedno i drugie. Sami chcieli.

– Oczywiście, kochanie. Ponieważ tatuś jest dzisiaj wyjątkowo zajęty, ja dzisiaj to zrobię – powiedziałam czule, wycierając mu jeszcze rącznikiem włosy.

Przy ciepłym świetle rozchodzącym się z lampki nocnej w kształcie muchomora czytałam mu bajkę o Kocie w butach, obserwowałam go jednocześnie. Słuchał z zainteresowaniem, ale po chwili zmęczenie wzięło górę. Powieki zaczęły mu opadać i odpłynął w ramiona Morfeusza.

Po zapadnięciu zmierzchu siedzieliśmy z rodzicami i Andreasem w salonie. Zadzwonił telefon Maksa, nieznany numer. Maks niecierpliwie odebrał rozmowę. Dzwonił policjant, Stephen Kraus, który był u nas bezpośrednio po wtargnięciu intruza.

– Dobry wieczór, panie Weber. Proszę mi wybaczyć, że dzwonię tak późno, ale dopiero teraz otrzymałem informacje z Monachium o pana byłej żonie. Otóż zwolnienie warunkowe wymaga dwukrotnego w ciągu dnia meldowania się na komisariacie: rano do godziny dziesiątej i wieczorem do godziny dwudziestej. Jak do tej pory meldowała się codziennie. Możemy ją zatem wykluczyć z grona podejrzanych. Zresztą prawdopodobnie za dwa dni wraca ponownie do więzienia. Przechodziła jakieś badania lekarskie i tylko z tego powodu została czasowo zwolniona za kaucją.

– Jesteśmy więc w punkcie wyjścia. – Maks był bardzo strapiiony. – I o ile mógłbym zrozumieć, gdyby to była Ingrid, o tyle nie pojmuję, że ktoś obcy mógłby zrobić coś takiego. I szczerze mówiąc, bardziej się tego obawiam, bo nie wydaje mi się, żeby to była osoba przy zdrowych zmysłach.

– Też niestety mam takie obawy. Jedyne, co możemy w tej chwili zrobić, to pilnować chłopca przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I dalej prowadzić nasze śledztwo. Jeżeli będziemy mieć nowe informacje, niezwłocznie pana powiadomimy. – Tu policjant odchrząknął zakłopotany. – Wiem także, że wynajął pan firmę detektywistyczną. Jeżeli pojawią się jakieś nowe okoliczności, to dla dobra sprawy także prosimy o wiadomość. Jeżeli połączymy siły, mamy większą szansę na rozwiązanie zagadki.

– Dobrze, poruczniku, ale proszę, abyście nie olali sprawy, jak poprzednim razem. Oczekuję od was większego zaangażowania. Jako biznesmen sponsoruję wiele przedsięwzięć na wyspie, w zamian oczekuję chociaż inicjatywy w rozwiązywaniu moich problemów. – W głosie mojego męża brzmiała stanowczość.

– Obiecuję, że dołożymy wszelkich starań, żeby sprawę rozwiązać jak najszybciej. Dobranoc panu, panie Weber – powiedział policjant.

Maks przez chwilę siedział zamyślony. My też się nie odzywaliśmy. Każdy trawił zasłyszane wiadomości, bo słuchaliśmy tej rozmowy przez głośnik. Na szczęście bliźniaki powiedziały, że oboje będą nocować w pokoju Sebastiana, rozłożyli tam sobie połowe łożka. Nie obawialiśmy się chociaż, że w nocy może mu się coś stać. Zresztą gdyby tego nie zaproponowali, mały spałby z nami w sypialni. A tak cieszył się, że będzie mieszkał ze starszym bratem (którego uwielbiał) i ze starszą siostrą (którą ubóstwiał) razem w jednym pokoju. Ale dzisiaj młodzież poszła na imprezę. Zerwałam się z kanapy i pobiegłam zobaczyć, co z małym. Spał słodko, pochrapując delikatnie. Zupełnie jak jego tatuś. Przykryłam go kołderką, pogłaskałam po głowie, zostawiłam otwarte drzwi i ponownie zesłam na dół. Na szczęście jutro przyjadą ochroniarze od Bruna. Poczujemy się bezpieczniej. Ale niestety także jutro wyjeżdża Andreas i Mania z Andrzejem. Będzie mi ich brakowało.

Po godzinie rodzice i Andreas poszli spać. Siedzieliśmy z Maksem na kanapie, sączyliśmy czerwone wino, wpatrzeni w ogień na kominku. Dryfowałam na granicy jawy i snu, oparta głową o klatkę piersiową Maksa, jak zwykle ramieniem obejmował moje plecy. Nie chciało mi się ruszać, nie chciało mi się także mówić. Ogień w kominku mnie hipnotyzował. Działał na mnie odprężająco. Jak na sesji z psychoterapeutą. Cicho śpiewał Frank Sinatra. On jest ponadczasowy, pomyślałam. Prawie jak mój Rod Stewart.

Przysnęłam, nawet nie wiem kiedy. Ocknęłam się, kiedy Maks podnosił mnie z kanapy.

Ogień w kominku się dopalił, w salonie było zupełnie ciemno. Przestała także grać muzyka.

– Żono, zarządzam odwrót. Kierunek: sypialnia – powiedział, uśmiechając się do mnie figlarnie. Obejmując mnie ramieniem, zapalił światło na klatce schodowej. W tym czasie coś trzasnęło w pokoju Sebastiana. Maks puścił mnie, ruszył biegiem na górę, ja tuż za nim. Kiedy wpadliśmy do pokoju małego, okno było szeroko otwarte. Na szczęście Sebastian leżał skulony na łóżku, szczelnie okryty kołdrą przed nocnym chłodem. Nie obudził się. Maks podszedł do okna i oglądał je uważnie.

– Szyba jest zbita! – powiedział szeptem, wyglądając jednocześnie na ogród. Niestety na dole panowały nieprzeniknione ciemności. – Przeniosę Sebastiana do naszego łóżka. Zadzwoń w tym czasie do porucznika. Jak skończysz rozmawiać, przyjdź do nas. Tylko niczego nie dotykaj. Zadzwoń z mojej komórki, jest zapisany pod hasłem „głina”.

Wziął synka razem z kołderką delikatnie na ręce i ruszył w kierunku naszej sypialni. Mały oczywiście ani drgnął. Dzieci mają taki spokojny sen. „To się nie może dziać naprawdę” – pomyślałam. Co za tupet musi mieć ten ktoś, że nie boi się robić czegoś takiego podczas obecności domowników. Musi być bardzo zdesperowany. I chyba niebezpieczny. Poczułam dreszcz przechodzący mi po plecach, wzdrygnęłam się. Czy chce nas tylko nastraszyć i uprzykrzyć nam życie, czy też zamierza wyrządzić nam krzywdę? W tym samym czasie na dole rozległ się jakiś hałas. Serce zamarło mi w piersi. Na szczęście po chwili usłyszałam głosy Jagny i Antka, wrócili z imprezy.

Kapitan z ekipą przyjechał po piętnastu minutach. Wcześniej zjawili się policjanci, którzy patrolowali ulicę, ale oni oczywiście niczego nie zauważyli. Furtka od strony plaży została zamknięta przez Maksa już wieczorem, ale w zasadzie nawet zamknięta nie stanowiłaby wielkiej przeszkody dla kogoś, kto chciałby się dostać do ogrodu. Cała ekipa dochodzeniowa zbadła dokładnie teren. Znalaziono pod oknem drabinę, po której sprawca dostał się z zewnątrz do okna, a która służyła wcześniej do rozwieszania lampionów. Po uprzątnięciu ogrodu przez pracowników Maksa została odłożona pod wiatę garażową. Nie byłoby łatwo znaleźć ją osobie, która o niej wcześniej nie wiedziała. Włamywacz nie odstawił jej na miejsce, porzucił ją pod oknem. Spłoszyliśmy go. Policjanci stwierdzili, że musiał to być ktoś, kto wiedział, gdzie ją może znaleźć. Czyli albo ktoś z naszego bliskiego otoczenia, albo ktoś od dłuższego czasu nas obserwujący. Ta druga wersja zawracała nas znowu do punktu wyjścia.

Pod oknem znaleziono ślady butów. Ponieważ wieczorem włączyły się automatyczne zraszacze, ziemia w tym miejscu była miękka. Nie rosła tam trawa, tylko kępy kwiatów, między nimi była goła ziemia, dodatkowo jeszcze spulchniona przez ogrodnika, który porządkował ogród przed weselem. Rozmiar buta trzydzieści dziewięć–czterdzieści. Czyli mógł to być damski but, ale mężczyźni czasem też mają tak małe stopy, szczególnie ci drobnej budowy. Podeszwa sugerowała zwykłe adidas, ale pod lewą piętą miały charakterystyczny odłamany fragment podeszwy, który dawał niepowtarzalny ślad. Intruz wyciął nożem do cięcia szkła fragment szyby przy klamce, wystarczający, aby wsunąć dłoń i przekręcić klamkę. Nie wszedł do pokoju, nie było w środku żadnych jego śladów. Wypłoszyliśmy go z Maksymem, prawdopodobnie zapalając światło na schodach. A co by było, gdybyśmy tego nie zrobili? Ciarki przeszły mi po plecach. Jakie zamiary miała ta osoba? Czy chciała zrobić Sebastianowi krzywdę? Czy chciała go porwać? Dla wyłudzenia okupu? Maks jest osobą zamożną, nawet bardzo. Czy to był jedyny powód? Czy też jakieś osobiste względy odgrywają tu rolę? I dlaczego ktoś chciał się włamać, kiedy inni domownicy byli w domu? Chyba musiałby być idiotą. A może chciał nas tylko nastraszyć, podreperować? Zburzyć nasze szczęście?

Siedziałam zwinięta w kłębek na fotelu w salonie. Rozmyślałam. Bliźniaki pilnowały Sebastiana na górze w naszej sypialni. O dziwo pomimo hałasu nie przebudził się. Kiedy przed

chwilą poszłam sprawdzić, co u niego, spał rozłożony na środku naszego łóżka, z rączkami rozrzuconymi po bokach i uśmiechał się delikatnie. Kiedy wróciłam do salonu, wszyscy nasi goście i porucznik siedzieli na kanapie i fotelach wokół stolika i rozmawiali przyciszonymi głosami. Usłyszałam już wcześniej od porucznika wszystkie informacje, wyłączyłam się więc w tej chwili. Zagłębiłam się we własnych myślach. Czułam obezwładniające mnie zmęczenie. Intensywność ostatnich dni, stres oraz środek nocy zrobiły swoje. Zasnęłam. Kiedy się ocknęłam, byłam w salonie tylko z Maksem. Budził mnie delikatnie.

– Kochanie, wstań, pójdziemy spać. Nie dam rady cię zanieść na górę. Musisz mi pomóc – mówił czule, głaszcząc mnie przy tym łagodnie po głowie. Z trudem otworzyłam oczy. Miałam wrażenie, że ktoś cofnął taśmę z filmem i ponownie oglądałam ten sam fragment, który dopiero co widziałam. Przecież przed chwilą Maks mnie obudził i już raz szłam po schodach na górę. Co za absurd!

Mój mąż wyglądał na bardzo zmęczonego. Cienie pod oczami wskazywały na wyczerpanie. Potargane włosy, zarost na twarzy. Pogładziłam go po nim. Pochylił się nade mną i delikatnie pocałował w usta.

– A gdzie jest Sebastian? – zapytałam.

– Śpi w swoim pokoju z Jagną i Antkiem. Szybę zabezpieczyłem kartonem. Zresztą mało prawdopodobne, żeby ktoś dzisiaj ponownie próbował się włamać. Możemy spać spokojnie. Dom jest zabezpieczony. Jutro przyjedzie ekipa, która zainstaluje alarm. – Mówił do mnie, jednocześnie podnosząc mnie z fotela. Dopiero przed kilkoma godzinami robił to samo. Znowu déjà vu.

Rano obudził mnie Sebastian, który wdrapał się do łóżka i dmuchał mi prosto w nos. Klęczał nade mną i wpatrywał się w moją twarz. Maksa nie było.

– Mamusiu, obudź się. Musisz już wstać! – Tarmosił mnie za ramię. Udawałam, że śpię jednym okiem. Nagle złapałam go w objęcia i zaczęłam się z nim turlać po łóżku i łaskotać go. Mały zaśmiewał się przy tym, próbując oddać mi łaskotki, ale mu się to zbytnio nie udawało. W tym momencie do sypialni weszła Jagna.

– Mamo, musisz wstać. Przyjechali dwaj detektywi i chcą z tobą rozmawiać – powiedziała poważnym tonem.

– Dobrze, kochanie, potrzebuję paru minut na toaletę i muszę się ubrać. Weź tego małego krasnoludka i zjeździe na dół. Ja zaraz do was dołączę – odpowiedziałam, jednocześnie gramoląc się z łóżka. „Kiedy to się wreszcie skończy?” – pomyślałam i z rezygnacją weszłam do łazienki.

Kiedy po kilkunastu minutach zeszłam na dół, Maks rozmawiał już z detektywami. Rodzice poszli na spacer z Sebastianem, bliźniaki skorzystały z okazji i poszły do Balbiny. Andreas siedział przy stole i kończył śniadanie. Maks podał mi kubek z gorącą kawą.

– Zuziu, to są detektywi od Bruna. – Przywitałam się z nimi, podając każdemu rękę. – Mają do ciebie kilka pytań. Zjedz śniadanie, a potem porozmawiacie. – Skinęłam posłusznie głową. Byłam jakaś dziwnie odrętwiała.

Wypyтали mnie dokładnie o przebieg wydarzeń. Byli bardziej dociekliwi niż policjanci. Jeden z nich coś notował w notesie. Sprawiali sympatyczne, a jednocześnie profesjonalne wrażenie. Kiedy odpowiedziałam na ich pytania, poszliśmy razem do ogrodu. Chcieli widzieć dokładnie miejsce, w którym intruz rozmawiał z Sebastianem, oglądali okno sypialni, chodzili po całym ogrodzie. Kiedy skończyli, przyjechali fachowcy od zakładania alarmu. I znowu Maks był zajęty. I tak przez pół dnia. Wczesnym popołudniem przyjechała Mania z Andrzejem, żeby się pożegnać. Odjeżdżał także Andreas, którego moi przyjaciele zabrali do portu.

Po tym całym rozgardiaszu nagle zrobiło się dziwnie spokojnie. Ogród opustoszał. Maks pojechał do restauracji. Pozostałe towarzystwo jeszcze nie wróciło. Zostałam sama. Usiadłam na

tarasie, piłam zieloną herbatę i rozkoszowałam się ciszą. Lubię towarzystwo, ale teraz potrzebowałam побыć sama ze sobą. Patrzyłam na rozświetlony letni ogród mieniący się mnogością barw kwitnących kwiatów. Promienie słoneczne, przedzierające się przez liście drzew, padały na rosące pod nimi kwiaty, oświetlały je w taki migotliwy sposób. Miałam wrażenie, że to błyszczą rozsypane kolorowe szlachetne kamienie. Nie miałam wątpliwości, że to jest moje miejsce na ziemi. Razem z Maksym, Sebastianem i przyjeżdżającymi do mnie moimi dziećmi i rodzicami. I nikt nie ma prawa tego zniszczyć.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Minęło całe to zamieszanie związane ze ślubem, goście wyjechali, wczoraj opuścili ich także rodzice Zuzi. Zostały bliźniaki, które przedłużyły swój pobyt u nas, ale one żyły swoim życiem (oczywiście wtedy, kiedy nie opiekowały się Sebastianem). Tak długo nie miał rodziny, a teraz był żonaty, miał trójkę dzieci – dwoje dorosłych, jednego malucha, a do tego jeszcze teściów w pakiecie. I cały tabun znajomych. Przepęłniało go szczęście z tego powodu. Rysą na nim kładły się jedynie zajścia ostatnich dni, ale z tym wkrótce sobie poradzą. Wierzył w to.

Po kilku dniach od zajścia zadzwonił Bruno. Sprawdził Ingrid. Rzeczywiście, nadal przebywała w Monachium, gdzie dwa razy dziennie meldowała się na policji. I rzeczywiście, dzwoniła do niego w dniu ślubu z zamiarem złośliwego złożenia życzeń. Sama stwierdziła, że chciała popsuć tę sielankę i była bardzo rozczarowana, że jej się to nie udało. Wyglądało na to, że nie ma nic wspólnego z nękaniami ich przez intruza. Ale miała satysfakcję, jak twierdził Bruno, że coś zakłóca ich szczęście. Zresztą w tej chwili znowu jest w areszcie i pozostanie tam już do zakończenia procesu.

W domu założono alarm, zamykana była brama główna i furtka na plażę. Ochroniarze Bruna i dwóch policjantów stale patrolowali okolicę. Obwarowani byli jak w fortecy. Nie lubił tego. Czuł się z tego powodu ograniczony. Życie na wyspie zawsze było bezpieczne, ludzie zostawiali otwarte samochody, często nie zamykano domów na klucz. Teraz to się zmieniło. A przynajmniej dla niego i jego rodziny.

Pomimo tych niedogodności usiłowali prowadzić normalne życie. Codziennie chodził do pracy, Zuzia także wróciła do sanatorium. Z Sebastianem w tym czasie zostawała Jagna z Antkiem, po ich wyjeździe miał pójść do przedszkola. Był już tam, żeby zobaczyć, czy mu się spodoba. Był zachwycony ilością zabawek, ciągnął do dzieci. Dawał rodzicom tyle szczęścia. Kiedy patrzył, jak cała jego nowa rodzina pokochała tego chłopca, rosło w nim serce. A Zuzia była wspaniałą matką. Kochającą, ciepłą, ale i konsekwentną. Kiedy mały zaczynał dokazywać, robił się niegrzeczny, próbował, na co może sobie pozwolić, jego żona stanowczo określała chłopcu granice. Słuchał jej i kochał, to było widać.

Maks siedział w swoim biurze w restauracji i robił plan na cały miesiąc. Będzie musiał koniecznie pojechać do Berlina i to w ciągu najbliższych dni. W tym miesiącu powinien także pojechać do Polski. W jego hotelu jest kilka spraw, które wymagają jego kilkudniowej obecności. Mogliby pojechać w trójkę, problem tylko z Zuzy pracą. Gdyby nie pracowała, mogliby z Sebastianem podróżować, mieszkać po trochu w każdym miejscu, gdzie prowadzi swoje interesy. Tylko jak jej to zaproponować? Nie może przecież wywierać na nią nacisku. Zuza jest osobą niezależną, znającą swoją wartość, mającą dobry zawód. I jest doceniana w pracy, przełożeni ją chwala, zjednuje sobie sympatię pacjentów. Tylko jak to pogodzi? Jeżeli nie będzie osobiście doglądał swoich interesów, to wszystko wkrótce zacznie się sypać, nie wystarczą najlepsi menedżerowie. Musi chociaż od czasu do czasu sam tego dopilnować. A kiedy Sebastian zacznie chodzić do szkoły, będą musieli osiąść na stałe w jednym miejscu. Czuł, że musi z żoną o tym porozmawiać. Jak tylko wyjaśni się sprawa intruza. „Sprawa intruza”... hmm... tak nazwali tę sytuację. Jak tytuł filmu na podstawie kryminału Agaty Christie.

Kiedy tak siedział zatopiony w swoich myślach, weszła Teresa, jego druga prawa ręka. Dobrze, że ma Petera i ją, zawsze może ich zostawić i być spokojny, że wszystkiego dopilnują. Przyniosła do podpisania nowe kontrakty na dostawy warzyw i owoców. Musieli zmienić poprzedniego dostawcę, bo nie wywiązywał się terminowo z umów, a poza tym dostarczane przez niego produkty nie spełniały Maksa oczekiwań. Kiedy zerwał z nim umowę, tamten

odgrażał się, że jeszcze sobie o nim przypomni (on znaczy Maks) i że będzie tego bardzo żałował. A może to on ma coś wspólnego z ich obecnymi kłopotami? Musi powiedzieć o tym Brunowi. Niech go sprawdzi.

Teresa zdała mu raport z minionego tygodnia, z zysków z restauracji oraz całkowitego kosztu przyjęcia weselnego. Wszystko było zrobione profesjonalnie, nie miał żadnych zastrzeżeń. Interes szedł bardzo dobrze, zdecydowanie lepiej niż w latach poprzednich. A i koszt wesela okazał się niższy, niż pierwotnie oszacował. Zresztą na ten cel wydałby każde pieniądze. Rozmawiali o bieżących planach, o imprezach zarezerwowanych w tym tygodniu, ustalili grafik kucharzy, podpisał listę płac. Teresa była bardzo konkretną osobą, wszystko miała perfekcyjnie przygotowane. Nic jej w pracy nie mogło zaskoczyć.

Po jej wyjściu poszedł do kuchni, wydał jeszcze ostatnie dyspozycje na ten dzień, przygotował sarni udziec, kucharze mieli tylko dokończyć i dopilnować pieczenia. Nie chciał być daleko od rodziny, zrobił w pracy, co niezbędne, i wyszedł z restauracji. Szedł spacerem do domu. Lato dobiegało końca, czuło się to już. Słońce słabiej przygrzewało, mniej turystów kręciło się po wyspie. I zrobiło się tak jakoś ciszej. Wprawdzie liście na drzewach jeszcze nie żółkły, ale to była chyba kwestia dni.

Nie śpieszył się, potrzebował trochę ruchu. Dawno już nie biegał, czuł, że jego ciało zrobiło się mniej sprawne i bardziej zmęczone. Intensywność ostatnich dni nie pozwalała mu na treningi, ale będzie musiał do tego wrócić. Dla własnego dobrego samopoczucia. I może uda mu się namówić do tego Zużę? Chociaż spróbuje. Kiedy tak rozmyślał, zadzwonił Bruno.

– Witaj, Maksie, czy wszystko u was w porządku? Nie wydarzyło się nic nowego?

– Witaj. Myślę, że wiedziałbyś o tym pierwszy, w końcu masz przecież u mnie swoich ludzi – odpowiedział, uśmiechając się. – Czy masz dla mnie jakieś nowe wiadomości?

– Mam kilka swoich teorii, ale muszę posprawdzać pewne fakty. Chciałbym przyjechać na Föhr pojutrze, rozejrzę się. Zamierzam także powęszyć w twojej firmie.

Przypomniał sobie o odgrażającym się dostawcy.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której sobie przypomniałem dzisiaj w pracy – powiedział z zadumą. Opowiedział mu o groźbach ze strony niesłownego kontrahenta. Bruno potrzebował dokładnych danych, zanotował sobie wszystko i pożegnali się.

„Czyżby Bruno podejrzewał kogoś z firmy?” – zastanawiał się po drodze. To niemożliwe. Większość pracowników jest u niego od wielu lat. Dba o swój personel, nagradza ich dobrze, nie jest złośliwym szefem, interesuje się ich problemami. Niemożliwe, żeby któryś z nich tak go nienawidził. Ale z drugiej strony: czy można przewidzieć, co siedzi w drugim człowieku?

Po drodze zбочył na targ. Dochodziło południe. Zuza wróci o trzeciej. Postanowił, że przygotuje im na obiad coś pysznego. Uwielbiał zaopatrywać się na targu, bezpośrednio od producentów. Zresztą w większości znał ich osobiście. Lubił sobie z nimi pogawędzić. Często robił tam zakupy do restauracji. Zawsze, kiedy potrzebował czegoś wyjątkowego. Tak było i tym razem. Kupił świeżego dorsza. Zrobi go na parze z dodatkiem sosu cytrynowego swojego przepisu. Obładowany siatkami wracał do domu. Jak kobieta pracująca.

Kiedy pilotem otworzył bramę i wszedł w głąb ogrodu, zobaczył na trawniku rozbity mały pomarańczowy namiot, a przy nim Jagnę z Sebastianem, siedzących na kocu i zajadających coś ze smakiem. Ależ zaraz, zaraz... przecież to jego stary namiot z czasów młodości. Gdzie oni go znaleźli? Chyba w garażu. I dziwne, że jest jeszcze cały i nawet kolory specjalnie nie wyblakły. Po chwili z namiotu wyłonił się Antek, sapiąc i dysząc.

– No, mistrzu Sebastianie, materac nadmuchany. Możesz się kłaść. Wprawdzie trochę mi się w głowie kręci, więc będziecie musieli mi też dać porcję tych pysznych lodów, które tak zajadacie. – I na czworakach zaczął się zbliżać do Sebastiana, a ten z piskiem i chichotem chował

za siebie pudełko z lodami.

– A czy dla mnie też wystarczy? – Maks czuł wzruszenie. Chłopiec poderwał się na nogi i krzyząc „tata!”, rzucił się w jego ramiona. To było takie wzruszające.

– Skąd wytrzasnęliście ten stary namiot? – zapytał, kiedy w końcu wyswobodził się z uścisków syna.

– Szukaliśmy w garażu rowerów, a natknęliśmy się na to – odpowiedział Antek. – A tak swoją drogą to mówiłeś kiedyś, że w garażu masz kilka rowerów. Poszukalibyśmy, może bym je wyrychtował i dałoby się pojeździć? Wybralibyśmy się wszyscy na przejażdżkę, tylko małemu trzeba by kupić fotelik.

– Nie ma sprawy. Przygotuję obiad, a jak zjemy, możemy iść do garażu. Mój rower jest w restauracji, mamy też. Jeżeli chcecie, możecie je wziąć. Ale w garażu też powinny jakieś być. Zobaczymy.

Kiedy wszyscy najedzeni i rozleniwieni siedzieli po obiedzie na tarasie, Maks poszedł do garażu, rozejrzeć się, co tam w ogóle ma ciekawego, co mogłoby się młodemu przydać, co urozmaiciłoby im czas. W garażu miał rupieciarnię. A samochód i tak parkował zazwyczaj pod gołym niebem. Jak to mówią, pod chmurką. Nie chciało mu się otwierać bramy (wprawdzie pilotem, ale zawsze), potem wjeżdżać i ją zamykać. Potem znowu te same czynności, żeby wyjechać. Strata czasu. Zresztą w chwili obecnej w garażu nie było miejsca dla samochodu, bo pomieszczenie zagracały różne rupiecie, nie wiadomo nawet, skąd się wzięły. Od ponad roku zabierał się do uprzątnięcia tego całego bałaganu, ale ciągle nie miał na to czasu. Albo chęci. A samochodu i tak rzadko używał na wypie.

Okazało się, że pilot do bramy nie działa, ale można ją z łatwością otworzyć ręcznie, nie potrzebował do tego żadnego klucza. W pierwszej chwili po zapaleniu światła nie mógł niczego dojrzeć w tej górze sprzętów. Po chwili odnalazł stary przenośny kosz do koszykówki, stół do ping-ponga, jego stary rower. W kącie stała nawet stara maszyna do szycia marki Singer, która kiedyś należała do babci Mathilde. Pamiętał, jak wieczorami, szczególnie zimą, coś na niej szyła, a on zawsze chciał, żeby go tego nauczyła. Na co babcia odpowiadała, że to nie jest męskie zajęcie.

Buszował w tym całym bałaganie, usiłując odnaleźć coś przydatnego, przede wszystkim rowery. Pod ścianą dostrzegł czarną torbę turystyczną niezbyt wielkich rozmiarów. Nie przypominał jej sobie zupełnie. Wziął ją do ręki, była dosyć podniszczona. Otworzył ją i przez dłuższą chwilę wpatrywał się zdumiony w jej zawartość. W środku były dwa zwoje sznura, szeroka żółta taśma klejąca, dziewczęca sukienka dla około czterolatki, peruka z kręconymi blond włosami i fiolka z tabletkami z napisem Valium.

Wyciągnął telefon i wybrał numer do Bruna.

\*

I znowu w naszym domu urzędowała policja. Czy to się kiedyś skończy? Po znalezieniu przez Maksa torby w garażu zrozumieliśmy, że ktoś planował porwać Sebastiana. Co za chory umysł trzeba mieć, żeby zaplanować coś takiego? I kto za tym stoi? Nie mieściło mi się to wszystko w głowie. Czy kiedyś skończą się te wszystkie sensacje wokół nas? Od kiedy poznałam Maksa, moje życie zmieniło się diametralnie. Ciągle wokół mnie coś się działo. I ciągle wokół mnie pełno było policjantów lub prywatnych detektywów. Na nudę nie mogłam narzekać, Maks zapewniał mi godziwą rozrywkę. Na szczęście Sebastian zupełnie nie był świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Owszem, od czasu do czasu zadawał pytania typu „kim są ci panowie i co robią?”, ale zazwyczaj zadowalały go jakieś banalne odpowiedzi.

Rzeczy znalezione w torbie zostały zabezpieczone. Oczywiście nie stwierdzono na nich

żadnych odcisków palców. Jednoznacznie wskazywały na zamiar porwania Sebastiana i przebrania go w dziewczęce rzeczy oraz uspiania lekiem nasennym. Aż ciarki przechodziły mi po plecach, kiedy o tym myślałam. Nadal jednak nie mieliśmy żadnego tropu, pomimo zaangażowania tylu osób. Kręciliśmy się w kółko w jednym punkcie. I nadal usiłowaliśmy żyć normalnie. Po kilku dniach przyjechał Bruno. Nie chciał nam nic mówić o swoich teoriach, stwierdził, że ma wiele szczegółów do sprawdzenia. Zamieszkał w pokoju, który wcześniej zajmowali moi rodzice, a teraz on do spółki ze swoimi dwoma pracownikami. I nadal mieliśmy tłum w domu. Teresa, pracownica Maksa, codziennie dowoziła nam do domu obiady dla siedmiu lub ośmiu osób (Maks czasami jadał w restauracji). Nikt z nas nie miał czasu ani siły, żeby gotować dla tylu ludzi. Siedzieliśmy wówczas przy stole po moim powrocie z pracy i omawialiśmy naszą codzienną sytuację. Niestety, nie było żadnych postępów w sprawie.

Nadszedł czas wyjazdu bliźniaków. Bardzo mi było smutno z tego powodu, a Sebastian nie chciał o tym słyszeć. W końcu dał sobie wytłumaczyć, że jego siostra i brat jadą do szkoły, żeby się uczyć, i gdy on będzie duży, to też pojedzie. I że oczywiście przyjadą do niego za kilka tygodni. Pojechaliśmy z nimi razem z Maksem i Sebastianem, przepawiliśmy się na ląd i pojechaliśmy do Flensburga, skąd pociągiem wyruszali w dalszą drogę. Wybierali się na dwa tygodnie do Hiszpanii, na winobranie. Rok temu też tam byli, a wtedy ja nieszczęśliwa siedziałam sama w domu w Gnieźnie i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. I tęskniłam za nowo poznanym Maksem, którego za nic w świecie nie mogłam znaleźć w sieci. I którego spotkałam dopiero przypadkowo na Föhr, dokąd uciekałam, żeby zmienić swoje życie. No i zmieniłam je, zupełnie i niespodziewanie. Tyle rzeczy się wydarzyło od tego czasu. Moje życie nabrało rozpędu. Przeżyłam przez ten rok tyle emocji. Byłam narażona na niebezpieczeństwo, przeżyłam miłosne wzloty i upadki. Kochałam i byłam kochana, ale też zostałam porzucona, wylądowałam na dnie rozpaczy. A teraz jestem żoną i mam trójkę dzieci, a jeszcze rok temu miałam dwójkę dorosłych. A tu teraz taki słodki maluch. Patrzałam, jak Sebastian tuli się do Jagny na jej kolanach, a ona coś mu szepcze do ucha. Mały uśmiechał się zawstydzony. Antek pograżony w poważnej rozmowie z Maksem. Lubią się, widzę, że Maks jest dla Antka autorytetem, mają z sobą dobry kontakt. Nie wiem nawet, czy nie lepszy niż z ojcem. Tak właśnie rozmyślałam, płynąc promem. Wyglądałam przez ogromne okno, widziałam powoli przybliżający się stały ląd. Pogoda nadal była ładna, świeciło słońce, ale nie grzało już tak, jak jeszcze dwa tygodnie temu. Nad promem krążyły mewy, nieodłączne towarzystwo wszystkich statków. Byłoby idealnie, gdyby nie ta sprawa, która nie daje nam żyć spokojnie od kilku tygodni. Stała się chwilowo w miejscu, chociaż Bruno z detektywami pracuje nad nią intensywnie.

Kiedy tak stałam zamyślona, podszedł do mnie Maks, objął mnie ramieniem, obok stanął Antek. Byli prawie równego wzrostu, Antek ciut niższy. Obaj przystojni, moje opoki. Staliśmy w milczeniu, przyglądając się, jak prom cumuje do nabrzeża.

\*

Po wyjeździe wszystkich gości nasze życie stało się spokojniejsze. Wprawdzie w naszym domu nadal pomieszkiwało trzech obcych mężczyzn, ale nie wchodzili nam za bardzo do drogi. Wykonywali po prostu swoją pracę. Bruno dużo czasu spędzał w restauracji Maksa. Nie mogłam zrozumieć, czego tam może szukać, ale na moje pytania odpowiadał, że kiedy będzie pewny, wszystkiego się dowiemy.

Sebastian zaczął chodzić do przedszkola. Początkowo miałam obawy, że będzie płakał, będzie się bał, że go tam zostawimy. Ale nic takiego się nie działo. Po pierwszych dwóch dniach niepewności, zapoznawania się z paniami i nowymi dziećmi rozkręcił się na dobre. Któregoś dnia, kiedy przyszedłam po niego po zakończeniu pracy, stwierdził, żebym poszła sobie jeszcze

trochę popracować, bo on się jeszcze nie pobawił. Czekałam ponad pół godziny na zakończenie zabawy, ale nie zanosilo się na to. Razem z dwoma innymi chłopcami jeździli samochodzikami po zbudowanym przez nich torze. Musiałam przekupić go, że u Mathilde (znaczy w restauracji) dostanie dużą porcję lodów z polewą czekoladową. Wtedy dopiero pozwolił się zabrać z przedszkola. Z drugiej strony to dobrze, że nie jest takim bojaźliwym chłopcem, że jest otwarty na ludzi, że się ich nie boi. Poradzi sobie w życiu.

Kiedy weszliśmy do restauracji, Maks akurat rozmawiał z Brunem. Siedzieli przy stoliku pod oknem, pograżeni w dyskretnej rozmowie. Nie widzieli nas, kiedy wchodziliśmy. Podeszłam do Maksa, pocałowałam go w policzek, przywitałam się z Brunem. Sebastian wpakował się zaraz Maksowi na kolana i zaczął mu opowiadać ważne zdarzenia z przedszkola. Rozmowa dorosłych mężczyzn została przerwana. Jaką władzę ma mały chłopczyk!

– Kochanie, widzę, że przy barze jest Teresa. Pójdę po porcję lodów dla małego, to może da wam dokończyć rozmowę – powiedziałam ze śmiechem, zostawiając pleć męską samą sobie.

Kiedy podeszłam do baru, Teresa zajęta była przeglądaniem jakichś dokumentów. Była wysoką, dobrze zbudowaną kobietą około czterdziestki. Zazwyczaj w dzinsach i koszulowej bluzce, bez makijażu, z lekko umalowanymi błyszczkiem ustami. Włosy nosiła proste, farbowane na ciemny brąz, sięgające do brody. Ot, taka niezbyt rzucająca się w oczy babka. Lubiałam ją, była podporą Maksa. I zawsze była dla mnie miła, teraz także dla Sebastiana. On także ją polubił. Nie miała swojej rodziny, może dlatego całe serce poświęcała pracy. Wiem, że Maks bardzo ją cenił i dobrze ją wynagradzał, zresztą Petera też. Mówili sobie po imieniu, jak to u Maksa, nie czuło się dystansu szef–podwładny.

– Cześć, Teresa. Dawno się nie widziałyśmy. Co u ciebie słychać? – zapytałam, uśmiechając się.

– Witam, pani Weber – odpowiedziała ze śmiechem.

– Przestań! Ja nadal jestem dla ciebie Zuza, żadna tam pani Weber – obruszyłam się.

– Wiem, wiem, żartowałam tylko. Macie na coś ochotę? – Spojrzała na Sebastiana.

– Mały ma obiecaną porcję lodów z polewą czekoladową. A ja może poproszę kawę po irlandzku.

– Dzisiaj bez obiadu? – zapytała zdziwiona.

– Zgadza się. Jadłam dzisiaj obfite drugie śniadanie, jak mi przykazał Maks, a mały jadł obiad w przedszkolu. O siedemnastej przychodzi Balbina z mężem i obaj będą coś gotować. Eksperyment kulinarny o podłożu międzynarodowym, jak to nazwali. Zresztą planują zorganizować w Wyk konkurs kulinarny. Czy Maks ci o tym wspominał? – Przypomniał mi się ostatni projekt Maksa.

– Tak, rozmawialiśmy na ten temat. – Była podekscytowana, jednocześnie szykowała deser dla Sebastiana. – Uważam, że to fantastyczny pomysł! Można by zorganizować jakieś media, najlepiej telewizję, choćby lokalną. Dla nas byłaby to jednocześnie reklama. Część konkursów odbywałaby się tu, u nas, część u Roberta. Albo na zmianę. Trzeba tylko ufundować jakąś wartościową nagrodę. – Zapaliła się do tego projektu. – Coś, co przyciągnie kandydatów. Sława i pieniądze są najlepszym magnesem. Pracujemy nad tym.

– Uważam, że to super pomysł! – Mój entuzjazm narastał. W tym całym zamieszaniu z intruzem nie mieliśmy nawet czasu, żeby z Maksem o tym porozmawiać. – Trzeba by zorganizować jakąś imprezę, której dochód byłby przeznaczony na nagrodę w konkursie. Myślę, że wiele osób miałoby w tym swój interes, jeżeli tylko przedstawi się ich jako sponsorów i odpowiednio zareklamuje. Ja mogłabym na przykład charytatywnie udzielać porad lekarskich w trakcie tej imprezy. Pomyślcie o tym, zresztą porozmawiam jeszcze na ten temat z Maksem. Uważam, że trzeba działać i to szybko. Taka impreza może ożywić martwy sezon, na przykład

w listopadzie.

– Tak, masz rację. Nie zostało jednak zbyt wiele czasu, a nie mamy jeszcze niczego uzgodnionego. – Czuję, że posmutniała.

– Mam pomysł! Zapraszam cię dzisiaj do nas. Spotkamy się wszyscy, będzie okazja porozmawiać na ten temat. Co kilka głów, to nie jedna. A może masz ochotę z kimś przyjść? – zapytałam. Wprawdzie nie słyszałam, żeby z kimś była, ale co ja tam wiem.

– Sebastian, lody dla ciebie! – zawołała do małego. – Dziękuję za zaproszenie, chętnie przyjdę. Sama. Ale czy Maks nie będzie miał nic przeciwko temu? – zaniepokoiła się.

Mały podbiegł do baru, jak zwykle podskakując. Wziął z rąk Teresy pucharek z lodami i bardzo uważając, żeby go nie upuścić, wolnym krokiem pomaszerował do Maksa i Bruna.

– Nie, Tereso, on lubi towarzystwo. A jeżeli jeszcze do tego będzie mógł porozmawiać o interesach i gotować, będzie w siódmym niebie. – Wiedziałam, że się nie mylę. – W takim razie do zobaczenia o piątej! – pożegnałam się i dołączyłam do chłopaków.

Sebastian zdążył już pochłonąć połowę porcji.

– Kochanie, ty musisz być bratem Ciasteczkowego Potwora z „Ulicy Sezamkowej”. I chyba nazywasz się Lodowy Potwór? Zgadza się? – zapytałam, pochylając się ze śmiechem nad małym. – Dasz mamusi spróbować? – Zachichotał, nabrał sporą porcję na łyżeczkę i wyciągnął rączkę w moją stronę. Zdziwiło mnie to. Każde z moich starszych dzieci w takiej sytuacji targowałyby się ze mną, a w ostateczności dałoby mi spróbować odrobinę – tyle, co nic. Sebastian umiał się dzielić. Mam nadzieję, że go pod tym względem nie zepsujemy, że taki zostanie.

– Zuziu, Bruno odkrył coś nowego w sprawie – odezwał się do mnie Maks, kiedy mały zajął się dalszą konsumpcją. – Opowiedz jej.

– W ostatnich dniach pracowałem głównie w restauracji – zaczął Bruno. – Na podwórzu, które znajduje się za kuchnią i do którego prowadzą tylne drzwi kuchenne, znalazłem ślady butów, które idealnie pasują do śladów znalezionych w waszym ogrodzie. Rozmiar trzydzieści dziewięć – czterdzieści, z charakterystycznie uszczerbioną podeszwą. Dyskretnie sprawdziłem, jakie rozmiary butów noszą pracownicy. Ten rozmiar nosi Teresa, Anna – jedna z kucharek, Uwe – młody chłopak przyjęty przed dwoma miesiącami na zmywak, i Stephan – kelner.

I znowu zabrakło mi tchu. Czy oni nie przestaną mnie ciągle zaskakiwać? Oni albo raczej życie.

– Maks, właśnie przed chwilą zaprosiłam do nas na dzisiejszą kolację Teresę. Chciałam, żebyście porozmawiali wspólnie z Robertem o konkursie kulinarnym, o którym wcześniej myśleliście. Mamy z Teresą kilka fajnych pomysłów, chciałam je z wami omówić.

– To świetny pomysł – odpowiedział Maks z przekonaniem. – Nie wierzę, żeby Teresa miała z tym coś wspólnego. Zresztą jeżeli nawet, to przecież nie będziemy w domu sami. Będziemy mieli możliwość ją poobserwować. Ale nie, nie wierzę, to niemożliwe. Znamy się tyle lat, ufam jej.

– Słuchajcie – powiedział Bruno – wy róbcie swoje, życie normalnie, a ja nadal będę prowadził swoje śledztwo. Może nawet dobrze się stało, będziecie mieli okazję przyjrzeć się Teresie, ja poobserwuję pozostałych. Najważniejsze, że mamy jakiś trop. Po nitce do kłębka, jak to mówią. Dojdziemy prawdy.

Kończyłam z pomocą Sebastiana nakrywanie stołu, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Goście zeszli się punktualnie. Balbina i Robertem przynieśli karton jakichś produktów potrzebnych chłopakom do gotowania. Teresa zadzwoniła do drzwi po chwili, trzymając w ręce butelkę różowego wina.

– Cześć po raz drugi. Nie wiedziałam, jakie wino będzie pasowało, więc wybrałam coś

pośredniego – powiedziała wesoło. A ja przyłapałam się na tym, że cały czas ją kontroluję i oceniam, cały czas ją podejrzewam. To jest silniejsze ode mnie.

Wszyscy ulokowaliśmy się na razie w kuchni. Panowie zajęli się gotowaniem, jednocześnie prowadząc z nami rozmowę. My popijałyśmy różowe wino i robiło nam się coraz weselej. Sebastian bawił się w salonie, budował z klocków zamek. Co parę minut przybiegał do nas, sprawdzić, co się dzieje, co tak pachnie, skraść coś dobrego. Docierały do nas coraz bardziej nęcące zapachy, zaczęłam odczuwać ssanie w żołądku.

– Maks, Roberto, czy wy chcecie, żebyśmy zaprzedały dusze, zanim nas uruczycie tymi waszymi pysznościami? – Nie mogłam już się doczekać, brak obiadu dawał o sobie znać. W końcu wygonili nas z kuchni. Zasiadliśmy za stołem, rozmawiając, żartując. Dyskretnie przyglądałam się Teresie. Zachowywała się naturalnie, była radosna, swobodna, sprawiała wrażenie, że dobrze się czuje w naszym towarzystwie. Rozmawiała z nami, od czasu do czasu patrzyła na bawiącego się na dywanie Sebastiana, ale nie częściej niż Balbina. Nic w jej zachowaniu nie było dziwnego, nic, co mogłoby zaniepokoić.

Kiedy wreszcie panowie wnieśli potrawy, jęknęłyśmy jednym chórem z zachwytem. Pachniało i wyglądało znakomicie. Na początek włoska zupa solferino, zmodyfikowana przez Roberta – na bazie rosółu, ze zmiksowanymi ziemniakami, kawałkami mięsa indyczego, warzywami utartymi na tarce o średnich oczkach, przecierem pomidorowym, zielonym groszkiem i dużą ilością majeranku. Aksamitne niebo w gębie. Następnie przyrządzona przez Maksa jagnięcina w sosie miętowym ze śląskimi kluskami z surowych ziemniaków i czerwoną kapustą zasmażaną z jabłkami, suszonymi śliwkami z dodatkiem gałki muszkatołowej i bazylii. A na deser babeczki z kruchego ciasta wypełnione malinami i borówkami amerykańskimi, zanurzonymi w malinowej galaretkie, z kleksem bitej śmietany na wierzchu. Hmm... i jak tu zachować linię? Co chwilę rozlegały się ochy i achy zachwyty.

Kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód, rozgorzała dyskusja na temat konkursu. Każdy z nas miał swój pomysł, każdy dorzucił coś ciekawego. Rozmowy były bardzo konstruktywne pomimo krwi odpływającej z mózgu do żołądka, której miejsce zastępowało wino jako to lżejsze. A może to właśnie rozjaśniało umysł? Koniec końców stanęło na tym, że konkurs będzie się odbywał jednocześnie w dwóch restauracjach – u Maksa i u Roberta. W tym samym czasie będą przygotowywane podobne potrawy, tylko u Roberta na sposób włoski, a u Maksa – niemiecko-polski. Uczestnicy zostaną podzieleni na dwie grupy, które będą się zamieniały restauracjami w każdej następnej turze. Oceniani będą przez jury i gości na sali degustujących ich potrawy. Osoba, która na koniec zgromadzi najwięcej punktów, otrzyma nagrodę. I tu zaczął się problem. Żeby przyciągnąć odpowiednią liczbę uczestników i media, musi to być jakaś konkretna nagroda, najlepiej finansowa. Albo na przykład opłacone szkolenie u jakiejś kulinarnej sławy. I do tego potrzeba sponsorów. Zadanie to zostało przydzielone Teresie i Balbinie do spółki. Zauważyłam, że obie nadają na tych samych falach, rozumiały się w pół słowa. Czy to możliwe, żeby Teresa miała coś wspólnego z nękaniem Sebastiana? Nie mogłam w to uwierzyć, ale... Cóż, życie jest nieprzewidywalne.

Goście wyszli, ułożyłam Sebastiana do snu, Maks posprzątał po uczcie. Jak zwykle zasiedliśmy na kanapie w salonie. Maks rozparł się wygodnie, nogi wyciągnął przed siebie, oparł je o stolik. W dłoniach trzymał kieliszek z resztką wina. Odchylił głowę do tyłu, przymknął oczy. Siedziałam obok, patrzyłam na niego, nie rozmawialiśmy. Nadal nie mogę uwierzyć, że jest moim mężem, że to właśnie mnie wybrał z kilku miliardów kobiet na świecie. Ja muszę być naprawdę wyjątkowa! Jakie to budujące.

\*

Dni mijały, a nas coraz bardziej pochłaniała organizacja konkursu. Wspólnie podjęto decyzję o nagłośnieniu sprawy przez internet, ale nie tylko w Niemczech – także w Polsce i we Włoszech. Miał to być międzynarodowy konkurs dla młodych talentów, a międzynarodowy dlatego, że organizatorzy byli powiązani z trzema krajami i potrawy przyrządzane będą z kuchni tych trzech krajów. Problemem nadal była nagroda, ale w kilka dni po ukazaniu się ogłoszeń w internecie zaczęli zgłaszać się potencjalni reklamodawcy, którzy zostaliby sponsorami. Nie mogliśmy się nadziwić, jak z dnia na dzień rosło zainteresowanie imprezą. Pojawiało się coraz więcej kandydatów, którzy chcieli wziąć udział w konkursie. Nie musieli mieć żadnych referencji ani kulinarnego wykształcenia. Po prostu wystarczyło zarejestrować się na stronie internetowej konkursu i potwierdzić swoje dane osobowe skanem jakiegoś dokumentu tożsamości. Ponadto, zgodnie z wszelkimi zasadami prawnymi, zostało założone konto internetowe, na które internauci (i nie tylko) mogli wpłacać pieniądze na poczet nagrody. Kwota rosła z dnia na dzień. Po tygodniu od ukazania się pierwszych ogłoszeń zgłosiła się do Teresy przedstawicielka hamburskiej telewizji z ofertą podpisania kontraktu na transmisję z konkursu. Mieliśmy więc wszystko, czego nam było potrzeba.

Wkrótce został podpisany kontrakt z telewizją, a także umowy ze sponsorami. Do konkursu zgłosiło się stu jeden kandydatów, z których po wstępnych eliminacjach wybrano czterdziestu. Po dwóch pierwszych etapach konkursu miało ich pozostać dwudziestu i między nimi miała rozgrywać się rywalizacja o główną nagrodę. A kwotę zebrano niemałą – trzydzieści tysięcy euro – a konto jeszcze nie zostało zamknięte. Pierwszy etap konkursu ustalono na dzień piętnastego października, sobotę. Nie zostało więc wiele czasu na dopięcie wszystkiego na ostatni guzik.

W imprezę zaangażowały się także władze miasta, które zaoferowały pokrycie kosztów pobytu, czyli zakwaterowania i wyżywienia uczestników, oraz pokrycie kosztów podróży promem. Z dnia na dzień ubywało wolnych miejsc hotelowych na wyspie. U Maksa w hotelu wszystko było zabukowane. Zarezerwowano także wszystkie miejsca dla gości w obu restauracjach w czasie konkursu, na wszystkie etapy.

Jednym słowem – pomysł wypalił, interes kwitł. Byleby tylko impreza okazała się ciekawa, a wyspa na tym skorzysta. No i oczywiście organizatorzy też. W telewizji komentować transmisję miał Tom Schaefer, jeden z bardziej znanych i lubianych spikerów hamburskiej telewizji. Głównym jurorem w komisji u Maksa miał być Antoine, u którego Maks był na kursie na Florydzie przed wieloma laty i z którym do chwili obecnej utrzymywał kontakt. U Roberta komisji zgodził się przewodniczyć Francesco Mirando, który we włoskiej telewizji miał swój własny program kulinarny. Ponieważ komisje miały być trzyosobowe, więc oprócz Maksa i Roberta jako trzecie osoby znalazły się w nich młode aktorki – u Maksa Maria Frank, dwudziestoosmioletnia Niemka, a u Roberta – Giuletta Simona – trzydziestodwuletnia Włoszka. Obie piękne, wesołe i wystarczająco znane w swoich krajach. Zresztą dla nich to też była reklama. No i oczywiście nie robiły tego za darmo.

W całym tym organizacyjnym rozgardiaszu przestaliśmy tak bardzo przejmować się sprawą intruza. Nie znaczyło to, że przestaliśmy być czujni, że zaniechaliśmy pilnowania Sebastiana. Nie. Po prostu nie poświęciliśmy tej sprawie tak obsesyjnie wszystkich naszych myśli i czynów. Zaprzestaliśmy popadać w paranoję.

Detektywi od Bruna nadal rezydowali u nas w domu, ale pojedynczo. Zmieniali się co kilka dni. Bruno dalej prowadził swoje dochodzenie, ale nie informował nas na razie o swoich odkryciach. Nie udało mu się do tej pory zidentyfikować właściciela podejrzanego obuwia ani znaleźć nowych śladów. Nie wydarzało się nic nowego, co byłoby dla nas niepokojące. Nie wiedziałam, czy intruz dał sobie spokój, czy tylko chwilowo się przyczął.



Dużo myślałam o Teresie. Obserwowałam ją uważnie. Zastanawiałam się, czy może mieć coś wspólnego ze sprawą. Czy może dlatego intruz nie działa – bo jest zajęty konkursem? Może czuła się niedoceniana i stąd ta cała akcja? Jeżeli oczywiście to ona była sprawcą. Ale, szczerze mówiąc, im bardziej ją poznawałam, tym większej nabierałam pewności, że to nie może być ona. Była bardzo życzliwa, wesoła, pełna entuzjazmu. Przyjaźnie się odnosiła do większości osób, z którymi się stykała. Dla każdego miała miły uśmiech, jakieś dobre słowo. Polubiłyśmy się, dobrze nam się rozmawiało, nie tylko o sprawach związanych z konkursem. Lubiliśmy sobie zwyczajnie po babsku poplotkować. Zresztą z Balbiną było podobnie. Wypytałam ją, jak ocenia Teresę. Mówiła o niej w samych superlatywach. No więc kto był tym cholernym intruzem?

Na dalszy plan zeszła także budowa domku dla gości. Wprawdzie znajomy architekt Maksa zrobił nam cztery projekty, ale zupełnie nie mieliśmy czasu się im przyjrzeć. Odłożyliśmy to na czas po konkursie. Jak zresztą wiele innych mniejszej wagi spraw. Nie pojechaliśmy także w podróż poślubną. Nie chcieliśmy zostawiać Sebastiana samego, nie mogliśmy przewidzieć, co jeszcze może się wydarzyć.

Popołudniami, kiedy odbierałam Sebastiana z przedszkola, szliśmy zazwyczaj do Mathilde, gdzie ja jadłam obiad, a mały często pałaszował drugi (po pierwszym w przedszkolu) albo pochłaniał jakiś deser. Nabrał trochę ciała, ale nadal był dosyć szczupły. I taki smukły. Miałam wrażenie, że rośnie z dnia na dzień. A potem albo w restauracji Maksa lub Roberta, albo u nas w domu ciągnęły się obrady związane z konkursem. Cały dzień, zarówno Maksa, jak i mój, był temu podporządkowany. Nie zaniedbywaliśmy jednak małego. Codziennie był obowiązkowy co najmniej godzinny spacer ze mną i przynajmniej godzina zabawy z Maksem. Albo Maks go kąpał i potem czytał mu przed snem bajki. Zresztą kiedy obradowaliśmy ze współnikami, Sebastian zawsze dotrzymywał nam towarzystwa, bawiąc się obok na dywanie w salonie albo w restauracji. Ani na chwilę nie zostawał sam. Nigdy się nie nudził w trakcie naszych obrad, bo kiedy już naprawdę nie wiedział, co robić, albo ja, albo Maks, albo ktoś ze współników się z nim bawił, wymyślając coraz to inne zabawy. A wieczorami, kiedy nasz syn zasypiał, byliśmy z Maksem tylko dla siebie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nadszedł wreszcie tak długo oczekiwany dzień. Pierwszy dzień konkursu. Siedziałam razem z Teresą i Peterem przy stoliku najbliższej jury. Balbina z dziećmi obserwowała konkurs, siedząc na sali u Roberta. Oczywiście towarzyszył nam Sebastian. Był bardzo tym wszystkim podekscytowany. Tym, że tata zasiądzie w komisji, że będzie telewizja i że on, Sebastian, także się znajdzie na ekranie. Wiercił się przez cały czas oczekiwania na rozpoczęcie, ciągle zadawał pytania, na które odpowiadałam mu, jak tylko potrafiłam najlepiej. I nie uciszyły go ani na chwilę jego ulubione lody z polewą czekoladową. Nadal pytał, tylko z pełną buzią.

Z boku sali, na dużym monitorze zawieszonym na ścianie, wyświetlany był obraz z restauracji Roberta. Można było więc śledzić jednocześnie oba miejsca konkursowe. Kiedy na salach pojawili się jurorzy i uczestnicy, rozległy się gromkie brawa. Zadaniem na dzisiaj była jagnięcina. U Maksa – po góralsku, u Roberta – po toskańsku. W każdej restauracji po dwudziestu uczestników. Na razie, w pierwszym etapie, mieli pracować w czterech pięcioosobowych grupach, ale każdy uczestnik będzie oceniany osobno. Po pierwszym etapie odejdzie po pięciu uczestników z każdej sali, podobnie po drugim. W drugim zamienią się restauracjami. Po tych dwóch etapach zostanie w każdej restauracji po dziesięciu uczestników, z których po trzech następnych rundach zostanie wyłoniony zwycięzca. Cały konkurs miał trwać pięć sobót.

Kamera zaczęła pracować, kiedy przed jury wyszedł Maks i przystąpił do oficjalnego przedstawienia najpierw członków jury, a potem każdego uczestnika z osobna. Trwało to kilka minut. Podawał imię i nazwisko każdego z młodych ludzi oraz kraj, z jakiego pochodzili. W naszej grupie naliczyłam jedenastu Niemców, pięciu Polaków i czterech Włochów. U Roberta proporcje narodowościowe były podobne. Kiedy uczestnicy rozpoczęli gotowanie, na sali rozległa się muzyka. W tym czasie w telewizji był czas na reklamy. A my, goście na sali, zajęliśmy się konsumpcją podawanych przez kelnerów deserów.

Niestety, mój kochany mały synek zaczął się nudzić. Najadł się już wcześniej, kiedy spałaszował podwójną porcję lodów, teraz więc zaczął chodzić po sali i rozmawiać z gośćmi przy sąsiednich stolikach. Wstałam, chcąc go uciszyć i przyprowadzić z powrotem na swoje miejsce. Kiedy złapałam go za łokieć, chcąc dyskretnie odciągnąć go od innych gości, mały odwrócił się gwałtownie i potrącił kelnera, który akurat niósł sok pomarańczowy do sąsiedniego stolika. Sok oczywiście się rozlał, na szczęście szklanka nie upadła i nie narobiła hałasu. Niestety zostało zażegnane. Mały potulnie dał się zaprowadzić na swoje miejsce, gdzie zajął się oglądaniem książeczki i zabawą swoim ulubionym samochodziem.

Szczęśliwie dla Sebastiana po dziesięciu minutach ogłoszono przerwę. Szłam z nim do toalety, przechodząc obok wcześniej rozlanego soku.

„Nie posprzątała tego jeszcze?” – pomyślałam ze zdziwieniem. Widocznie nie chcieli przeszkadzać, zrobią to w przerwie. Nagle zatrzymałam się w pół kroku. Na rozlanym soku zobaczyłam zaschnięty już w tej chwili ślad buta. Z charakterystycznie uszczerbioną podeszwą! Nie mogłam się mylić. Zdjęcie tego śladu oglądałam wielokrotnie, ten widok miałam zakodowany w umyśle jak w komputerze.

„O matko, zaraz to wytrą! Nie mogę o tym powiedzieć Teresie, zostaje mi Peter”.

Wróciłam z małym do naszego stolika.

– Peter, możesz podejść do wejścia? Ktoś chce z tobą rozmawiać – powiedziałam, siląc się na spokojny ton.

– Kto może teraz czegoś ode mnie chcieć? – zapytał zdziwiony i wstał z krzesła. Teresa

została przy stoliku sama.

– Peter, zaprowadzę cię teraz do miejsca, gdzie na podłodze widnieje charakterystyczny ślad buta, którego tak usilnie szukamy od kilku tygodni. Ja muszę zadzwonić, a twoim zadaniem jest niedopuszczenie do tego, aby ktoś z obsługi wytarł tę podłogę. Ale musisz to zrobić dyskretnie i nikomu nie możesz powiedzieć, o co chodzi. Nawet Teresie. Muszę z kimś porozmawiać, a ty nie możesz się ruszyć z tego miejsca, dopóki po ciebie nie przyjdę. Nawet jeżeli rozpocznie się konkurs.

– Ale co mam mówić, jeżeli ktoś mnie zapyta, dlaczego tu sterczę? – Peter był niepewny i zaniepokojony.

– Coś wymyślisz, improwizuj – powiedziałam, wzięłam Sebastiana za rękę i ruszyłam w stronę toalet, jednocześnie wybierając numer do jednego z detektywów Bruna. Na szczęście był w samochodzie przed restauracją, zobaczyłam go od razu, kiedy wyszłam na zewnątrz.

– Znalazłam ślad buta, ten, którego szukamy – powiedziałam, kiedy uchylił okno w samochodzie. – Peter pilnuje tego miejsca, ale musisz się pośpieszyć, bo zaraz rozpocznie się następny etap konkursu i nie będziesz nawet mógł podejść. – Ruszył za mną, biorąc ze sobą jakiś sprzęt w czarnej torbie, którą przewiesił przez ramię.

Kiedy weszliśmy na salę, widziałam, że Peter odetchnął z ulgą. Zostawiłam detektywa, pokazując mu dyskretnie miejsce ze śladem, i poszłam z Sebastianem do toalety. Szybko wróciłam do stolika i udawałam przed Teresą, że nic się nie stało. Zresztą chyba w niczym się nie zorientowała, zachowywała się nadal pogodnie, była zainteresowana konkursem. A poza tym kiedy miałyby odcisnąć ten ślad na podłodze? Nie przypominam sobie, żeby odchodziła od stolika. Chociaż... nie, były takie dwa momenty, kiedy przez chwilę nie było jej z nami. Hmm... więc nadal wszystko jest możliwe.

Konkurs się rozkręcał, kucharze gotowali, publiczność bawiła się wyśmianicie, jury bez pobłażania oceniało potrawy. Co chwilę na sali wybuchały salwy śmiechu, kiedy któryś z jurorów zabawnie komentował poczynania uczestników. Jednym słowem: wszyscy bawili się wyśmianicie. Zapowiadało się, że impreza odniesie sukces. A tłem tych wszystkich wydarzeń była wpadająca w ucho muzyka. Tylko ja nie mogłam się na tym wszystkim skoncentrować. Cały czas myślami byłam przy nieszczęsnym bucie intruza. I bardzo się starałam, żeby co chwilę nie zerkać w tamto miejsce, chociaż bardzo mnie korciło, żeby zobaczyć, co robi detektyw. Kiedy wreszcie udało mi się dyskretnie (jak mniemałam) spojrzeć w tamtym kierunku, dostrzegłam, że już go tam nie ma. Więc gdzie mógł być? Czy już sobie po prostu wyszedł, czy też złapał trop i węszył dalej? Nie mogłam usiedzieć na miejscu.

Sebastian powoli zaczynał się nudzić. Trudno było mi cokolwiek go zainteresować. Co chwilę zadawał pytanie:

– Mamusiu, długo jeszcze? A kiedy pójdziemy do domu? A kiedy tatuś do nas tu przyjdzie?

Chyba był po prostu zmęczony. Na szczęście pierwszy etap konkursu powoli dobiegał końca. Przy wielkim aplauzie publiczności zostali wyłonieni zwycięzcy pierwszej rundy, którzy przechodzili do następnego etapu. Pięć osób zostało pożegnanych, wręczono im symboliczne upominki oraz niewielką nagrodę pieniężną. Maks, który odczytywał werdykt i jako gospodarz programu był osobą prowadzącą tę część, dostrzegł na sali wierzącego się Sebastiana. Kiedy zostały już ogłoszone wyniki z naszej sali i chwilowo przedłużało się oczekiwanie na werdykt z sali Roberta, Maks powiedział do mikrofonu:

– Szanowni państwo, korzystając z chwili, chciałbym państwu kogoś przedstawić. Na sali jest moja ukochana żona, Zuzanna. – Pokazał w moim kierunku wyciągniętą przed siebie dłoń. Uniosłam się lekko z krzesła, uśmiechając się nieśmiało, i skinęłam głową. Ja mu dam, jak

wrócimy do domu, zwariował? Wprawiać mnie tu w taką konsternację. – I mój mały, niesforny synek. Sebastianie, pozwól tu do nas, dalszy ciąg programu poprowadzimy razem. – Mały, bez cienia tremy, oczywiście w podskokach, przybiegł do Maksa, wziął go za rękę i uklonił się jak rasowy aktor. Siedziałam na sali i przepełniała mnie duma z moich mężczyzn.

Kiedy Roberto ogłosił wyniki z ich restauracji, program powoli dobiegł końca. Nagle zaskoczona zauważyłam na obrzeżach sali znajomych mi policjantów ubranych po cywilnemu, rozstawionych w różnych miejscach, a przy samym wejściu porucznika Krausa. Co się dzieje? Zauważyłam, że dyskretnie obserwują wychodzące osoby, czyżby namierzyli intruza? Maks rozmawiał jeszcze z członkami komisji i z pracownikami telewizji, trzymając Sebastiana za rękę. Mały o dziwo stał grzecznie, nie podskakując, i wpatrywał się w młodą aktorkę, która pochylała się nad małym i coś mu opowiadała.

Stanęłam z boku, udając, że czekam na moich chłopców, ale dyskretnie obserwowałam, co dzieje się na sali. Większość gości już wyszła, pozostało kilka osób z obsługi telewizyjnej, którzy zwiłali sprzęt. Kilku pracowników restauracji uprzątało stoliki. Teresa z Peterem stali przy barze, pochyleni nad jakimiś papierami, sprawiali wrażenie, że zupełnie nie wiedzą, co dzieje się na sali. Myślę, że Maks także nie miał o niczym pojęcia. Nagle zobaczyłam, że porucznik podchodzi wolnym krokiem do Teresy i Petera, rozglądając się dyskretnie na boki. Spojrzał na jednego z policjantów stojącego w pobliżu baru i kiwnął mu dyskretnie głową, a ten ruszył powoli w jego kierunku. Zbliżyli się obaj do Teresy i Petera. Zamarłam. A więc jednak to Teresa! Nie mogę w to uwierzyć, cały czas miałam w sobie głębokie przekonanie, że to nie może być ona.

Stanęli po obu stronach rozmawiającej pary i toczyli spokojną rozmowę. Teresa nie wydawała się jakoś specjalnie przestraszona, słuchała, co mówił porucznik. W tym czasie sala zupełnie opustoszała, widziałam idących w moim kierunku moich chłopców. Nagle dostrzegłam dwóch policjantów wyprowadzających z zaplecza Uwe. Chłopak ze zmywaka! Był ostatnią osobą, którą bym podejrzewała. Trzymali go za ramiona, chłopak miał ręce założone na plecach, skute kajdankami. Był szczupłym, młodym mężczyzną z sięgającymi do ramion jasnymi włosami. Miał młodzieńczą twarz, a odpowiednio ucharakteryzowany mógłby uchodzić za kobietę, szczególnie w oczach dziecka. Wszystko do siebie zaczęło pasować.

W tym momencie podszedł do mnie Maks z Sebastianem. Maks nadal sprawiał wrażenie, że zupełnie nie wie, co się dzieje na sali. Przeżywał jeszcze konkurs. Uwe spojrzął na nas wściekłym wzrokiem, spod byka, i krzyknął:

– Jeszcze mnie popamiętacie! To jeszcze nie koniec! – Wykrzykiwał coś jeszcze, ale policjanci wyprowadzili go z restauracji, nie zrozumiałam reszty. Maks przez chwilę stał zupełnie osłupiały. Po chwili dopiero zorientował się, co się stało.

– To Uwe? – zapytał, nie dowierzając. – Ale jak, skąd wiecie? – Nadal był oszołomiony. Widziałam, że coraz mocniej ściska rączkę Sebastiana, mały aż się wykrzywił.

– Maks, uważaj – powiedziałam, wyjmując delikatnie z jego dłoni dłoń chłopca. Maks zorientował się, wziął Sebastiana na rękę i przytulił mocno. Mały był nieco zdezorientowany, ale po chwili odwzajemnił jego uścisk. Podeszła do nas Teresa.

– Sebastian, chodź z ciocią do barku, będziemy układać serwetki, a pan porucznik porozmawia z rodzicami, dobrze? – Wzięła małego za rączkę, uśmiechając się ciepło, skinęła mi głową, jakby dodając otuchy. W tym momencie podszedł do nas porucznik Kraus z detektywem od Bruna.

– Witam państwa, możemy gdzieś usiąść, żeby spokojnie porozmawiać?

– Chodźmy do mojego biura – powiedział nadal oszołomiony Maks.

Kiedy usiedliśmy wygodnie, porucznik zaczął opowiadać.

– Dzięki pomocy pani Weber udało nam się dzisiaj ująć osobę, która nękała państwa przez kilka ostatnich tygodni. Ale mieliśmy go już namierzonego wcześniej. Można powiedzieć, że dzisiejszy wieczór był ukoronowaniem naszych poszukiwań. – „Co za kwiecista przemowa” – pomyślałam. – Panią Teresę wyeliminowaliśmy w pierwszej kolejności. Dłużej trwało sprawdzanie Anny i Stephena, ale oni także nie budzili podejrzeń. Ostatecznie został nam Uwe. Kiedy pani Weber poinformowała detektywa o znalezionym śladzie, szybko zlokalizowaliśmy właściciela buta. Klocki układanki zaczęły pasować do siebie. W czasie gdy w restauracji trwał konkurs, sprawdziliśmy jego mieszkanie. I oto, co znaleźliśmy. – Wyciągnął przed siebie plik zdjęć. Kiedy rozłożył je na biurku, struchlałam. Część z nich przedstawiała Ingrid w różnych pozach, uśmiechniętą, posyłającą buziaki, puszczającą oko. Ale na kilku fotografiach byliśmy my – Maks, ja i oczywiście na kilku Sebastian. – To jeszcze nie wszystko. W jego mieszkaniu był przygotowany kąpiel dla Sebastiana: łóżeczko, kilka zabawek, ubrań. Nie wiemy, czy chciał go porwać dla okupu, czy miał w tym jakiś inny cel. Musimy wyjaśnić powiązanie z pana byłą żoną, panią Weber. Oprócz tego na ścianie wisiała wielka tablica, cała oklejona zdjęciami waszej rodziny i wycinkami z lokalnych gazet. Były tam także zdjęcia pani dorosłych dzieci i pani rodziców.

Maks obejmował mnie ramieniem, ścisnął je coraz mocniej. Widziałam, jak zaciskają się jego szczęki. Musiał być bardzo wkurzony.

– Maks, nie martw się, nic już nam nie grozi. Ani Sebastianowi, ani mnie. Odpręż się. – Poluźnił nieco ucisk, ale nadal mnie obejmował.

– Nie mogę tylko się nadziwić, jaki wpływ nadal ma na moje życie Ingrid. Przez kilka lat nie dawała o sobie znaku życia, a w ciągu roku zatruła mi je dokumentnie. Ale miejmy nadzieję, że na tym koniec.

– Zatem pożegnaj się w tej chwili z państwem, jadę przesłuchać zatrzymanego – powiedział porucznik, podnosząc się z krzesła. – Kiedy zakończymy przesłuchania, przedstawię państwu końcowy raport.

Gdy policjanci opuścili restaurację, usiedliśmy z Teresą, Peterem i detektywem przy stoliku. Nie mogłam ochłonąć. Sebastian siedział na moich kolanach, bawiąc się jak zwykle autkiem, ale widziałam, że jest już bardzo zmęczony. Nawet się nie wiercił, czułam, że zaraz zaśnie.

– Podejrzewaliście mnie? – zapytała Teresa.

– Byłaś wśród osób, które miały ten sam, poszukiwany przez policję rozmiar buta, trzydzieści dziewięć – czterdzieści, i pracowały u mnie w firmie. Ale nigdy nie wierzyłem, że to możesz być ty. Zresztą cały czas to powtarzałem. – Maks, mówiąc to, patrzył Teresie prosto w oczy.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie dziwię się wam, to mógł być każdy z nas. Ale najważniejsze, że sprawa się wyjaśniła. No i nie było okazji cieszyć się sukcesem konkursu. Myślę, że wszystko wypaliło doskonale. Słyszałam bardzo pochlebne opinie. Może przejdzie do tradycji wyspiarskiej: coroczny konkurs kucharski u Maksa i Roberta? – Wstała, czułam, że jest odprężona. – Czas na odpoczynek, od poniedziałku zaczynamy intensywne przygotowania do następnego etapu.

– Zatem zarządzam odwrót – powiedział Maks, widziałam, że wreszcie się rozluźnił. Sebastian oczywiście spał słodkim snem na moich kolanach, a ja cała ścierpłam. Maks wziął go ode mnie i zaniósł do samochodu. Mały ani nie drgnął.

W niedzielny poranek niestety nie dane mi było dłużej pospać. Obudziło mnie delikatne tarmoszenie za ramię i cicho szeptaane słowa:

– Mamusiu, obudź się, jestem głodny. Zjadłbym jajecznicę i tosta z szynką. – Jak zwykle

ten sam repertuar. Udawałam nadal, że śpię. Mały pochylił się nade mną, nasze nosy prawie się dotykały. – Mamusiu, otwórz oczy! – Zaczął mnie tarmosić za mój biedny nos.

Otworzyłam jedno oko, prawe jak zwykle, bo tylko to umiem.

– A może zrobimy dzisiaj coś innego, na przykład naleśniki? Z dżemem albo z serem? – zapytałam, głaszcząc go po głowie.

– Nie, mamusiu, poproszę tosta i jajecznicę! – Co za stanowczy mężczyzna.

– A gdzie tatuś? Może on nam zrobi jajecznicę? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Tatuś się kąpie, a ja już nie mogę wytrzymać z głodu! – Mówił to, potrząsając mną ze zniecierpliwieniem.

Dotarł do mnie dźwięk wody lejącej się pod prysznicem. Nie miałam wyjścia. Wstałam ciężko z łóżka, przeciągnęłam się i nagle złapałam Sebastiana i zaczęłam go jak zwykle łaskotać. Wiedziałam, że lubi takie figle. Synek nie pozostawał mi dłużny, ale w końcu wyrwał się z moich objęć.

– Dobrze, kochanie, zrobię śniadanie, ale pod warunkiem, że mi pomożesz. Potrzebuję do pomocy kogoś do nakrywania stołu. To będzie twoje zadanie, dobrze? Nikt nie robi tego tak dobrze, jak ty.

Kiedy śniadanie było już gotowe, a po kuchni rozchodził się smakowity zapach jajecznicy na maśle ze szczypiorkiem, na dole pojawił się Maks. Ci mężczyźni mają jakiś szósty zmysł, jeżeli chodzi o jedzenie. Zawsze wyczują, kiedy jest gotowe.

– Witajcie, kochani! – powiedział Maks, całując mnie lekko w usta i mierzwiąc włosy Sebastianowi. – Jak wam się spało?

– Dobrze, ale krótko – odpowiedziałam. – Nasz ranny ptaszek-głodomorek domagał się jedzenia skoro świt. I nie ma mowy o czymś innym na śniadanie niż jajecznica i tosty – powiedziałam ze śmiechem, posyłając całusa małemu i mrugając do niego okiem. Znowu tym prawym. – Jakie mamy plany na dzisiaj? – zapytałam Maksa.

– Po południu chce do nas przyjechać porucznik Kraus. Dzwonił rano, zanim się obudziłaś. Chyba też ma problemy ze spaniem. On z kolei obudził mnie. – Maks był tym faktem rozbawiony. – Ale do południa mamy czas dla siebie. Pogoda jest dzisiaj całkiem ładna, nie wieje zbyt mocno, świeci słońce, temperatura jest także przyzwoita. Mam propozycję. Moglibyśmy ciepło się ubrać i pójść na spacer brzegiem morza, aż dojdziemy do Kliff Cafe. Tam zjemy jakiś lekki posiłek, a wieczorem ugotuję dla was coś dobrego. Co wy na to?

– A mają tam lody czekoladowe? – zapytał Sebastian z buzią pełną jajecznicy.

– Mam nadzieję, że mają – powiedziałam. – To fajna propozycja, przyda się nam trochę ruchu na świeżym powietrzu. W takim razie po śniadaniu się zbieramy.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać. – Po jego minie widziałam, że nie jest pewny mojej reakcji, chyba odczuwa niepokój. – Nie mogę przebywać na Föhr przez okrągły rok. Będę musiał kilka razy w roku wyjeżdżać do Polski i do Berlina. Może także w inne miejsca. Wiąże się to z moimi interesami. Czy bardzo jesteś przywiązana do swojej pracy? Czy nie byłoby możliwe, żebyś z niej zrezygnowała, przynajmniej dopóki Sebastian nie pójdzie do szkoły? – Wpatrywał się we mnie wyczekująco. – Moglibyśmy razem podróżować, częściej mogłabyś odwiedzać swoją rodzinę, za każdym razem, kiedy bylibyśmy w Polsce. Nie znoszę rozstawać się z wami, choćby na jeden dzień.

Widziałam, że boi się mojej odpowiedzi. Uśmiechnęłam się, był to uśmiech z rodzaju tych „rozumiem, ale...”.

– Kochanie, spodziewałam się już od jakiegoś czasu takiego pytania. Z jednej strony rozumiem twoją potrzebę, ale z drugiej strony nie chciałabym być tylko Polką, która wyszła za bogatego Niemca.

– Pół-Niemca – podkreślił żartobliwie.

– Jak zwał, tak zwał. Ale możemy pójść na kompromis. Spróbuję porozmawiać z dyrektorem sanatorium i zmienić moje zatrudnienie na okresowe. Na przykład w czasie, kiedy będziemy na Föhr, będę normalnie pracowała, a w czasie kiedy będziemy wyjeżdżać, mogą zatrudnić lekarza bez specjalizacji. Może się na to zgodzą, rozmawiam o tym.

Widziałam, że Maksowi spadł kamień z serca. Odetchnął głęboko, wstał z krzesła, podniósł mnie i posadził sobie na kolanach. Przytulił mnie mocno, a Sebastian śmiał się, patrząc na nas. Po chwili wgramolił się na mnie, domagając się także pieścizot. Oj, ci moi zaborczy mężczyźni, wiedzą, jak osiągnąć swój cel.

Spacer był bardzo orzeźwiający, a posiłek w Kliff Cafe doskonały. I mieli nawet lody czekoladowe! A teraz siedzieliśmy w salonie z porucznikiem Krausem i słuchaliśmy jego relacji z przesłuchania. Sebastian leżał na dywanie i rysował na rozłożonych kartkach z bloku rysunkowego. Był zupełnie pochłonięty swoim zajęciem. Bardzo sobie pomagał wysuniętym językiem i robił przy tym przezabawne miny.

– Nie mieliśmy większych problemów z uzyskaniem informacji od Uwe Marsdena. Poznał Ingrid na krótko przed jej aresztowaniem. Zakochał się chłopak po uszy. A ona prawdopodobnie planowała go wykorzystać do okradzenia pana, panie Weber. Kiedy aresztowanie pokrzyżowało jej plany, skończyły się jej pieniądze, przekazała chłopakowi zadanie przez współwięźniarkę z celi, która została zwolniona. Zaplanowała sobie przy pomocy Marsdena porwać Sebastiana dla wyłudzenia okupu. Miała nadzieję zemścić się na panu, bo chyba nie liczyła na uniewinnienie, i tak nie mogłaby wykorzystać tych pieniędzy. Wygląda na to, że kierowała nią jedynie chęć zatrucia panu życia, zawiść, nienawiść. Zresztą kto wie, co siedzi w umyśle przestępcy. – Porucznik się zamyślił. – A zakochany Uwe zrobiłby dla niej wszystko. Teraz będzie musiał za to odpowiedzieć.

– Czy Ingrid zostaną postawione dodatkowe zarzuty za chęć uprowadzenia chłopca? – Maks był bardzo poważny, czuł się chyba bardzo przygnębiony tą sytuacją.

– Na pewno, sprawa została już przekazana do Monachium – odpowiedział policjant, wstając z miejsca. – Myślę, że możecie państwo odetchnąć i żyć od tej chwili spokojnie. Nie grozi wam już żadne niebezpieczeństwo.

Kiedy zostaliśmy sami w salonie, a Sebastian oglądał w telewizji bajkę, Maks przez dłuższy czas siedział na kanapie, wpatrzony w telewizor niewidzącym wzrokiem. Był myślami bardzo daleko. Usiadłam jak zwykle obok niego, wzięłam go za rękę.

– Wróć do mnie, kochanie. O czym tak intensywnie myślisz?

– Z jednej strony spadł mi kamień z serca, że już po wszystkim. Ale z drugiej strony zastanawiam się, jak mogłem kiedyś zakochać się w tej kobiecie. Kiedy sobie przypominam nasze wspólne chwile, to tylko ślepiec nie zauważyłby, z jaką kobietą ma do czynienia. A ja byłem gorzej niż ślepiec, zakochany ślepiec. – Objął mnie ramieniem, przytulił policzek do mojej głowy. – I kiedy tak porównuję ciebie do niej, to już zupełnie nie mogę zrozumieć, jak mogłem wtedy odejść od ciebie i wrócić do niej. Dlaczego człowiek popełnia takie błędy? – Smutno pokiwał głową.

– Przebaczone, zapomniane – powiedziałam, patrząc mu głęboko w oczy. – A teraz, kochanie, ja mam do ciebie prośbę. I nie zniosę odmowy. – W moim głosie brzmiała stanowczość. – Nie podejmujemy więcej tematu Ingrid, jej oszustw oraz próby uprowadzenia Sebastiana. Sprawa zamknięta, nie chcę, żeby ona nadal stawała między nami.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, kochanie. – Maks wreszcie się uśmiechnął, całując mnie czule w usta. Cały czas wydawało mi się, że mały z uwagą ogląda telewizję. Ale kiedy usłyszał Maksa śmiech, już był na moich kolanach. „Chyba jest o mnie zazdrosny!” –

pomyślałam. Spojrzeliśmy na siebie z Maksem porozumiewawczo, po czym przytuliliśmy go ze śmiechem oboje. I to mu wystarczyło, już po chwili jeździł po stole ciężarówką.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wracał z Warszawy. Wjechał właśnie na autostradę A2 w kierunku Poznania. Spędził cały tydzień w Polsce. Początkowo załatwiał sprawy hotelu na Wybrzeżu, a teraz dwa dni był w Warszawie, podpisał z biurem podróży nowy kontrakt dotyczący współpracy z jego hotelem. Sprawy poszły wyjątkowo dobrze. Zdążył już właściwie odrobić finansową stratę, jaką poniósł w związku z malwersacjami Dirka. Był zadowolony.

Niestety, Zuzia nie mogła mu towarzyszyć. Zostali z Sebastianem w Wyk. Nie zdążyła jeszcze pozalać swoich spraw z dyrekcją sanatorium. Wprawdzie zgodzili się podpisać z nią nowy kontrakt na świadczenie pracy w nienormowanym czasie i wymiarze, ale zaczną obowiązywać dopiero od nowego roku. Wtedy dopiero zaczną podróżować razem, nie będą się donikąd śpieszyć, nie będą musieli się na tak długo rozstawać. Tym razem jeszcze musieli się rozstać. Ale taka rozłąka też ma swoje dobre strony. Bardzo się za nią stęsknił, odczuwał taki pociąg fizyczny do niej, jaki odczuwał na początku ich znajomości. Nie znaczyło to, że nie pragnął jej w ostatnim czasie. Pragnął, ale było to uczucie stabilne, przeważała w tych pragnieniach czułość, miłość, mniej było szalonej namiętności. A teraz obudziła się w nim ponownie. Nie mógł doczekać się powrotu. Jakie to szczęście, że stanęli na swojej drodze. I to już prawie półtora roku temu. Przypadki rządzą ludzkim losem. Wielokrotnie przypominali sobie ten moment, kiedy po raz pierwszy się zobaczyli. Przy słupie ogłoszeniowym. Oboje wówczas zwrócili na siebie uwagę. Kto by wtedy pomyślał, że los tak splecie ich razem.

Tęsknił także za Sebastianem, za jego niekończącym się szczebiotem, ciągle zadawanymi pytaniami, nieposkromionym apetytem, szczególnie na czekoladowe lody. Spełniło się jego marzenie o posiadaniu dziecka. A do tego jeszcze synek okazał się takim wspaniałym małym człowiekiem. Maks widział, że jest dla niego autorytetem, lubił bawić się z synem. Nigdy się nie nudzili. Czy nie za dużo tego szczęścia?

Kiedy myślał o nich obojgu, robiło mu się gorąco wokół serca. Byli dla niego w życiu najważniejsi. Zrobiliby dla nich wszystko, przychyliłby im nieba. Kiedy ich wspominał, natychmiast zaczynał gościć na jego twarzy czuły uśmiech. Kochał ich bezgranicznie.

W drodze powrotnej zamierzał wstąpić do Gniezna. Chciał odwiedzić teściów, miał także zobaczyć się z Jagną i Antkiem. Jechał wolno autostradą, zbliżał się do Wrześni. Od rana padała mżawka, która teraz zaczęła przymarzać. Jego nissan navara był bezpiecznym samochodem, ale na oblodzone drogi nie ma lekarstwa. Trzeba po prostu jechać wolno. Wprawdzie widział, że nawierzchnia była posypana solą, ale wolał dmuchać na zimne. Lepiej dojechać późno, niż nie dojechać wcale. Zresztą, pomimo pobytu w Gnieźnie, zamierzał wrócić na Föhr i tak dzień wcześniej i zrobić Zuzi niespodziankę.

Wrócił do swoich rozmyślań. Dzięki temu droga stawała się krótsza. Na szczęście na autostradzie panował niewielki ruch. Kilometrów do celu powoli ubywało.

\*

Wczesnym rankiem obudził mnie dzwonek do drzwi. Nie mogłam wrócić do realnego świata, jakieś sny męczyły mnie całą noc. Tak zazwyczaj się działo, kiedy Maks był daleko ode mnie. Zaspana założyłam szlafrok i zesłam na dół. „Czyżby Maks przyjechał wcześniej?” – pomyślałam. Miał wrócić dopiero jutro. Na dworze dopiero zaczynało się rozjaśniać. A jeżeli nie Maks, to kogo przygnało o tak wczesnej porze?

Nadal zaspana, otworzyłam drzwi. Za nimi stał porucznik Kraus z jakimś nieznanym mi policjantem.

– Dzień dobry, pani Weber – powiedział z poważną miną. – Czy możemy porozmawiać?  
– Czy znowu była żona mojego męża narozrabiała? – zapytałam z irytacją w głosie, wpuszczając jednocześnie obu panów do salonu. Z dworu powiało chłodem, opatuliłam się szczelniej szlafrokiem.

– Niestety, pani Weber, mamy dla pani złe wiadomości – powiedział bardzo poważnie porucznik. – Może zechciałaby pani usiąść?

Poczułam, że ciało odmawia mi posłuszeństwa. Nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Nie byłam w stanie nic zrobić. Stałam z szeroko otwartymi oczami.

– Co się stało? – zdołałam w końcu wykrztusić ochryplym głosem. – Maks?

Policjant patrzył na mnie przez chwilę, chyba wahając się, co ma dalej zrobić. Przełykał raz po raz ślinę, jakby zaschło mu w ustach. W końcu to powiedział:

– Niestety, pani Zuzanno, pani mąż zginął wczoraj w wypadku na autostradzie w Polsce. – Zamilkł na chwilę, wpatrywał się we mnie z niepokojem. – Wjechała w niego ciężarówka jadąca z naprzeciwka, która wpadła w poślizg i kierowca nie zdołał opanować pojazdu. Pani mąż zginął na miejscu.

Opadłam na kanapę, nie mogąc ustać na nogach.

– To niemożliwe! – wyszeptałam.

I świat w tym momencie się dla mnie zatrzymał. Nie docierało do mnie nic z zewnątrz. To przecież nie może się dziać naprawdę. Dopiero niedawno zakończyły się nasze problemy, przestaliśmy drzeć o Sebastiana. Zaczynaliśmy żyć szczęśliwie. Sebastian odzyskał ojca, miał nową, kochającą mamę. A teraz co? A ja? Jak ja mam teraz żyć?

Patrzyłam tępo przed siebie. Na kominku stał zegar. Ósma dziesięć, ósmy grudnia. Czy o tej godzinie skończyło się dla mnie szczęście? Czy to się stało już wczoraj? Pochylony nade mną porucznik Kraus coś do mnie mówił, ale miałam wrażenie, że ktoś mu wyłączył głos. Popatrzyłam na jego twarz. Był bardzo zatroskany. Smutny. Co on może wiedzieć o smutku? Czułam, jakby jakiś żar wypalał mi dziurę w piersiach, jakby spalił moje serce na popiół. Jak on mógł mnie tak opuścić? Co ja teraz zrobię bez niego?

Podeszłam do drzwi tarasowych. Policjanci siedzieli nieruchomo, czułam, że śledzą mnie wzrokiem. Spojrzałam na ogród. Był taki szary, bezbarwny. Na niebie szare chmury. Ani odrobiny słońca. Wszystko szare. Takie beznadziejne. Wszechogarniający smutek. Oparłam czoło o chłodną szybę. Poczułam spływające mi po policzkach łzy. „Tak dziwnie zimne” – pomyślałam. Wszystko jest jakieś nierzeczywiste.

„Maks, kochany, gdzie ty jesteś? – pomyślałam. – Maks, pomóż mi!”

KONIEC

Albo...

Obudziłam się zalana łzami. Spływały po moich policzkach, poduszka wokół mojej głowy była zupełnie mokra. Szlochałam nadal. Nie mogłam się otrząsnąć, nie mogłam przestać szlochać. Nie bardzo wiedziałam, gdzie właściwie jestem. W naszej sypialni? Jak się tam znalazłam? Czy policjanci już poszli? Nie wiedziałam nawet, kiedy tu dotarłam. Nic nie

pamiętam. I która to godzina? Spojrzałam na zegarek – dwie minuty po siódmej. Po siódmej? Ale którego dnia? Spojrzałam na komórkę – ósmy grudnia. Jak to, przecież dopiero byłam w salonie i patrzyłam na zegar na kominku, kiedy policjanci przyszli powiedzieć mi o śmierci Maksa. Nic z tego nie rozumiem.

Zaraz, zaraz... może to był sen? Ale taki realny? Boże, to sen! Tak, na pewno to był sen! Boże, żeby to był sen, a nie jakaś moja pomroczość! Muszę zadzwonić do Maksa. Maks, Maks!

Tak mi się trzęsły ręce, że nie mogłam utrzymać telefonu. Kilkakrotnie wybierałam jego numer, bo nie mogłam trafić w klawisze. Jest, wreszcie sygnał. Nie odbiera! Dlaczego nie odbiera? Maks, błagam, odbierz! BŁAGAM!

– Kochanie, co się stało, że tak wcześnie dzwonisz? – usłyszałam w słuchawce kompletnie zaspany głos mojego najdroższego, kochanego, jedyne go na świecie męża.

– Maks! Boże, dziękuję, dziękuję – szlochałam bez opanowania. Teraz już nie musiałam być silna. Nic nie musiałam. Tylko kochać Maksa do końca moich dni. A więc to był jednak sen. Boże, co za ulga. Nadal szlochałam, nie mogłam wykrztusić ani słowa.

– Zuziu, co się dzieje, kochanie? Czy coś się stało? Z tobą? Z Sebastianem? Powiedz coś, nie wiem, co mam robić, kiedy tak szlochasz. – Czułam, że jest przerażony.

– Nie, Maks, wszystko dobrze, już dobrze. Myślałam, że nie żyjesz! Ale to był tylko sen. Na szczęście! Ale był tak strasznie realny – mówiłam między jednym chlipnięciem a drugim. – I przyjechali policjanci i porucznik Kraus. – Mówiłam nieskładnie, nadal nie bardzo mogłam pozbierać myśli. – I powiedzieli, że zginąłeś w wypadku w Polsce na autostradzie. I że wjechała w ciebie ciężarówka, która wpadła w poślizg.

Kiedy to mówiłam, znowu przyszedł do mnie ten niewyobrażalny ból. Nie chciałam ponownie tego czuć.

– Kochanie, jestem cały i zdrowy. Od wczoraj jestem u twoich rodziców. Siedzieliśmy do późna, bo przyjechały jeszcze bliźniaki. Nie mogliśmy się nagadać. Nie mogą już doczekać się świąt. – Czułam, że powoli zaczynam się uspokajać. – Zaraz po śniadaniu wyjeżdżam do domu. Będę wieczorem, nie martw się. Pogoda dzisiaj jest dobra. Nie pada, już jest plus pięć stopni, a w ciągu dnia ma być plus dziesięć. Nic nie może mi się stać. Kocham cię, nie martw się dłużej.

– Maks, najdroższy, ale ten sen był taki realny. I te emocje były tak potwornie silne. Nigdy mi się nic tak realnego nie śniło. Zawsze gdzieś w podświadomości czułam, że to tylko sen, a tym razem myślałam, że to prawda. I tak strasznie bolało, myślałam, że nie zniosę tego. Byłam przekonana, że to się dzieje naprawdę.

– Mamusiu, z kim rozmawiasz tak rano? – Do sypialni wszedł zaspany Sebastian. Przecierał jeszcze oczy, raziło go światło.

– Rozmawiam z tatusiem, wraca dzisiaj po południu – powiedziałam, przytulając go jednocześnie. – Niedługo się zobaczymy.

– To dlaczego płaczesz? – zapytał, ścierając rączką łzy z mojego policzka.

– Bo miałam zły sen, ale tatuś mnie już pocieszył i już się nie martwię – odparłam, przełączając jednocześnie telefon na głośnomówiący.

– Cześć, młody! – zwrócił się Maks do Sebastiana. – Zaopiekuj się naszą mamusią, dopóki nie wrócę. Teraz jesteś jedynym mężczyzną w domu i musisz o nią dbać, bo ona jest słabą płcią i boi się sama spać w nocy. – Usłyszałam chichot Maksa. Czułam, jak opuszcza mnie napięcie.

– Dobrze, tatusiu – poważnie odpowiedział nasz syn, nachylając się nad ekranem telefonu.

– Kochanie, jedź ostrożnie i dzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł, jak najczęściej, żebyśmy była spokojna.

– Dobrze, żono. Polecenie będzie wykonane. – Znowu się śmiał. My z Sebastianem uśmiechaliśmy się także. – Do zobaczenia za kilka godzin.

– Pa, kochanie. I jedź ostrożnie – odpowiedziałam już zupełnie uspokojona.

– Pa, tatusiu – odpowiedział mały.

Siedzieliśmy jeszcze przez dłuższą chwilę razem z moim synkiem na łóżku, przytuleni do siebie. Kołysałam go lekko uspokajającym ruchem. Jak mama kołysze małego niemowlaka.

Westchnęłam głęboko.

„Jak dobrze – pomyślałam. – Jak dobrze...”

KONIEC (PRAWDZIWY)